

KATARZYNA MICHALAK

***Gra o
Ferrin***



Copyright © Katarzyna Lesiecka 2010

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Redakcja: Barbara Nowak

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-967-3

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Poznańska 91,

05-850 Ożarów Maz. t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Tylko człowiek zupełnie samotny może sobie
pozwoić na zmarnowanie własnego życia.
Jeśli jednak zasłużył choć na jedną ludzką miłość,
ktoś oprócz niego płaci za jakość jego istnienia.
Autor nieznany

Tobie, Syneczku, z miłością.

Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>5</u>
<u>PROLOG.....</u>	<u>6</u>
<u>Rozdział I.....</u>	<u>8</u>
<u> KAROLINA.....</u>	<u>8</u>
<u>Rozdział II.....</u>	<u>27</u>
<u> AMRE.....</u>	<u>27</u>
<u>Rozdział III.....</u>	<u>41</u>
<u> REIKAN.....</u>	<u>41</u>
<u>Rozdział IV.....</u>	<u>62</u>
<u> BERENIKA.....</u>	<u>62</u>
<u>Rozdział V.....</u>	<u>75</u>
<u> ELEUZIS.....</u>	<u>75</u>
<u>Rozdział VI.....</u>	<u>83</u>
<u> JOYSELL.....</u>	<u>83</u>
<u>Rozdział VII.....</u>	<u>103</u>
<u> CAMBRIA.....</u>	<u>103</u>
<u>Rozdział VIII.....</u>	<u>118</u>
<u> KASSANDRA.....</u>	<u>118</u>
<u>Rozdział IX.....</u>	<u>142</u>
<u> SASKIA.....</u>	<u>142</u>
<u>Rozdział X.....</u>	<u>160</u>
<u> SELLINARIS.....</u>	<u>160</u>
<u>Rozdział XI.....</u>	<u>180</u>
<u> TARTAR.....</u>	<u>180</u>
<u>Rozdział XII.....</u>	<u>195</u>
<u> FERRIN.....</u>	<u>195</u>
<u>Rozdział XIII.....</u>	<u>226</u>
<u> OSTATNI DUSZOBÓJCA.....</u>	<u>226</u>
<u>EPILOG.....</u>	<u>294</u>

„Jeżeli jakaś powieść może uchronić od obłędu,
jest to właśnie TA powieść”.

Dłoń unosi się nad klawiaturą laptopa. Usta, drgnąwszy, czytają bezgłośnie napisane przed chwilą zdanie. Opuszki palców dotykają pieszczotliwie klawiatury, po czym podejmują przerwany taniec, klikając cichutko...

PROLOG

«Gdyby czarne kamienie mogły mówić, gdyby duchy umarłych mogły szeptać, opowiedziałyby historię świata, którym matki straszą swoje dzieci, a Wielcy Władcy swych poddanych. Historię Tartaru - Świata Bez Powrotu. Świata Bez Nadziei. Świata Szarej Śmierci.

W tym przeklętym przez bogów miejscu, w najgłębszym lochu najdalszych kazamat, stały naprzeciw siebie dwie istoty o duszach mrocznych niczym niebo nad Tartarem.

Stały bez ruchu, szczelnie otulone w lśniące czarne peleryny, z kapturem nasuniętym na twarz, choć nikt ani nie mógł, ani nie chciałby ich ujrzeć. Stały w zupełnej ciszy i ciemności. Nawet w myślach szeptały do siebie, tak jakby ktokolwiek mógł usłyszeć, o czym szepczą.

- *Jestem więc...* - Jedna z istot się poruszyła. Druga trwała niewzruszona.

- *Czyli podejmujesz wyzwanie?*

- *Tak. I nie pozwolę ci wygrać.*

Jedna z tych istot była samym Złem. Druga była gorsza niż Zło - była Zdradą.

Obie sprowadziła tu nienawiść, choć każda nienawidziła z innej przyczyny. Obie ogarnięte były żądzą zemsty, choć każda pragnęła zemsty z innego powodu. I nienawiść, i zemsta skierowane były jednak przeciw tej samej ofierze.

- *Proponuję ci grę, w której stawką będzie...* - Zdrada otwiera dłoń, na której spoczywa Moneta Losu - ...*Ferrin.*

Twarz Zła wykrzywia uśmiech:

- *Na jakich warunkach?*
- *Zwycięzca bierze wszystko.*
- *Podoba mi się ta gra. Kto zaczyna?*
- *Niech Los to rozstrzygnie...*

Moneta jaśniej i przemienia się: na jej awersie i rewersie widnieją teraz dwa odmienne symbole: purpurowa błyskawica i czarny miecz. Podrzucona w górę, w nienaturalnej ciszy wiruje i upada na kamienną podłogę.

- *Twój ruch...*

Rozdział I

KAROLINA

Karetka jęklwym wyciem torowała sobie drogę wśród zatłoczonych ulic. Karolina nawet po roku pracy w pogotowiu nie mogła przyzwyczać się do skowytu syreny. Zawsze wydawało jej się, że ten dźwięk przyciąga śmierć.

Mercedesem rzuciło na ostrym zakręcie. Mało nie grzmotnęli w przepuszczający ich samochód.

- Sorry, pani doktor - wymamrotał kierowca.

- Jedź, jedź - odrzekła, myśląc o zgłoszeniu: dwudziestoparoletnia dziewczyna, próba samobójcza...

Erka podskoczyła na krawężniku, wjeżdżając na chodnik. Gapie rozstąpili się, przepuszczając samochód. Karolina ogarnęła spojrzeniem wstrętne szare blokowisko, wysiadła i pochyliła się nad ranną, by w następnej chwili aż się cofnąć z zaskoczenia.

Patrzyła na siebie! Patrzyła w swoje oczy błędzące nieprzytomnie po szarym niebie; we własną twarz, choć tak bladą, że cętki piegów zdawały się nie złociste, a ciemnobrązowe; na kasztanowe włosy rannej, unurzane we krwi. Tak właśnie wyglądałaby Karolina, gdyby to ona, a nie ta nieznajoma przed chwilą wyskoczyła z okna na piątym piętrze. Spojrzenie dziewczyny zatrzymało się na twarzy lekarki, oczy rozwarły się szeroko...

Karolina otrząsnęła się z szoku. Podczas gdy gapie relacjonowali przebieg wypadku: „po prostu skoczyła”, „weszła na parapet i skoczyła”, „zaczepiła o antenę tego spod szóstki i chyba dzięki temu się nie zabiła”, „to cud, że żyje! z piątego piętra!” - ona zdążyła sprawdzić puls, musnąć zroszone zimnym potem czoło rannej, rzucić okiem na porcelanowo-białe spojówki. Przygryzła wargi. Nie mogło być gorzej: wstrząs i krwotok wewnętrzny.

- Staza, wenflon, płyn pięćsetka - rzuciła do sanitariusza, który wciąż jeszcze nie wierząc własnym oczom, patrzył to na Karolinę, to na bliźniaczo do niej podobną samobójczynię.

- Przygotuj dwójkę cyklonaminy - poleciła drugiemu.

Bez błędnie wbiła się do żyły, w następnej chwili wyciągając dłoń po gotową do użycia kroplówkę. Jej zespół był najlepszy w mieście. Rozumieli się w pół słowa.

- Na trzy! - To wystarczyło, aby w tej samej chwili przenieśli ranną na nosze. -
Uprzedźcie OIOM, niech przygotowują zero Rh plus.

Sanitariusz spojrzał pytająco, ale ona powtórzyła:

- Zero Rh plus.

Jakaś kobieta, być może sąsiadka, chciała o coś zapytać, Karolina odpędziła ją jednak niczym naprzykrzającą się muchę. Wsiadła tylnymi drzwiami i zatrasnęła je za sobą. Mercedes ruszył na sygnale.

Dłoń rannej błędziła, szukając dłoni lekarki, która ujęła ją i po raz setny spojrzała na ekran monitora, potem na wbity w żyłę wenflon i życiodajne płyny sączące się przez niego kropla za kroplą. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w podobny sposób z rannej ucieka życie. Kropla za kroplą.

- Szybciej! - syknęła.

Dziewczyna wykrwawiała się, a ona - pani doktor - mogła ją tylko potrzymać za rękę. Odgarnęła z czoła rannej kosmyk włosów, pogładziła wierzchem dłoni usiany piegami policzek.

Ranna poruszyła ustami. Karolina pochyliła się, by zrozumieć wymawiane z trudem słowa.

- Pozwól... mi... odejść...

Nie zdążyła zaprotestować. Palce rannej nagle zacisnęły się na dłoni Karoliny, a potem zwiotczały. Kardiomonitor zapiszczał przenikliwie.

O nie! Tylko nie to!!! Karolina poderwała się i uderzyła pięścią w ścianę szoferki.

- Hamuj!!!

Pisk opon zawtórował alarmowi aparatury. Karetka z rozpędu wpadła przez bramę szpitala i znieruchomiała.

Czas przyspiesza gwałtownie.

Karolina jednym szarpnięciem rozrywa splamioną krwią koszulkę dziewczyny, rzucając przez ramię:

- Defibrylator. Dwójka adrenaliny. Przykłada elektrody.

- Gotów!

Sanitariusz w ostatniej chwili cofa rękę. Wstrząs rzuca ciałem rannej. Nic.

Karolina zaciska usta i wbija się dosercowo, podając adrenalinę.

- Rusz się! - błaga wpatrzona w ekran, na którym niezdecydowanie drga zielona linia.

Zespół OIOM-u otwiera drzwi karetki. Karolina ponownie sięga po elektrody.

- Gotów!

Wstrząs. Pojawia się słabe tętno.

- Walcz! Mimo wszystko!!! Tętno znów zanika. Wycie aparatury.

Splata dłonie i całym ciałem napiera na pierś umierającej, w ostatniej próbie reanimacji.

- Przestań! Ona nie żyje! - Jeden z lekarzy chwyta Karolinę za ramię i szarpie w tył.

Zimna woda wraz ze łzami spływała po jej rozpalonych policzkach. Karolina raz po raz obmywała twarz, próbując się uspokoić. Spojrzała na swoje odbicie.

- Opanuj się! Opanuj się natychmiast! - krzyknęła. - Nie mogłaś nic zrobić! Czy kiedykolwiek dotrze do ciebie, że nie jesteś Panem Bogiem?

Nie, nie jest Panem Bogiem. Gdyby nim była... Ale nie jest. A On? Gdzie On wtedy był?! Dlaczego na to pozwolił?! Co uczynił tamtej, że wolała odejść, niż żyć na stworzonym przez Niego świecie?!

- Nie mogłaś nic zrobić. Nic. Tylko potrzymać za rękę... - szepnęła.

Przyłożyła dłoń do oczu, jakby siłą chciała zatrzymać łzy. Pod powiekami znów zobaczyła dziewczynę, podobną do niej jak siostra bliźniaczka, która przed chwilą zgasła...

- A ty jak zwykle urządzasz histerie.

Drgnęła, słysząc za sobą głos ordynatora. Zacisnęła palce na krawędzi umywalki.

Odejdź! Daj mi spokój! Nie teraz! - chciała krzyknąć, ale milczała.

- Bierz się do pisania raportu i naucz się w końcu przegrywać.

- Nigdy się nie nauczę - odparła cicho. - Nie ze śmiercią.

Wytarła twarz ręcznikiem i chciała wyjść bez pożegnania. Nie miała siły na wysłuchiwanie komentarzy, zwłaszcza z ust człowieka, którego wszelkie uczucia, jeśli takowe kiedykolwiek istniały, umarły ćwierć wieku temu zabite przez rutynę.

- Czasami zastanawiam się - słowa zatrzymały ją na progu - czy to nie płacze twoja ambicja... jak pacjent śmiało umrzeć mimo heroicznego wysiłku wspaniałej pani doktor.

Poczuła się, jakby dostała w twarz. Pobladła i odwróciła się, by oddać. Stary człowiek, widać zawstydzony tym, co przed chwilą powiedział, uśmiechnął się przeproszająco i umknął.

Wściekłość spłynęła z niej tak nagle, jak się pojawiła. Karolina poczuła się bardzo zmęczona.

Na ulicy uderzył w nią podmuch zimnego, jesiennego wiatru. Podniosła kołnierz płaszcza i przyspieszyła kroku. Po chwili dotarła do przystanku. Widziała stąd swój szpital: długi zielono-biały budynek samym wyglądem dopominający się gruntownego remontu. Dziesięć minut oczekiwania na przyjazd autobusu zazwyczaj poświęcała lekturze, ale dziś nie sięgnęła do torebki po książkę, wciąż wstrząśnięta śmiercią siostry bliźniaczki.

W takich chwilach zastanawiała się, co właściwie każe jej, anestezjologowi o naprawdę wysokich kwalifikacjach, tłuc się całymi dniami w karetce. Dlaczego podporządkowała całe swoje życie niewdzięcznej harówce w tym rozsypującym się przedwojennym gmaszysku? W imię czego kończyła każdy dyżur śmiertelnie (tak, to dobre słowo) zmęczona, zrozpaczona swą bezsilnością i zirytowana arogancją ordynatora?

Co miesiąc patrzyła na wyciąg bankowy, na którym wydrukowane były jej zarobki, zastanawiając się, czy to śmieszne, czy raczej smutne. I ile będzie musiała wziąć wykańczających dwudziestoczerogodzinnych dyżurów dodatkowo, by dożyć następnej wypłaty.

Co mnie tu trzyma? - pytała samą siebie. - Przecież mogłabym pracować w prywatnej klinice. Bez stresu, niemal bez wysiłku, ale za to z kilkakrotnie wyższymi zarobkami. Co mnie trzyma w tym piekle?

Nie musiała odpowiadać. Było to dla niej tak oczywiste, jak to, że musiała oddychać, jeść, spać. Głupie, egzaltowane słowa: powołanie, współczucie, pragnienie niesienia pomocy.

Podjechał autobus. Przemarznięta do szpiku kości usiadła przy oknie i zamknęła oczy. Przed nią był weekend: bez użerania się z ordynatorem, bez dyżurów nocnych i bez nerwowego zerkania na telefon. Dwa długie dni, które należą tylko do niej i... do Anaeli.

Zatrzasnęła zasuwkę i z westchnieniem ulgi oparła się o drzwi. Namacała kontakt. Przedpokój zalało ciepłe światło z witrażowego kinkietu.

Mieszkancko w tej starej jak świat kamienicy było niewiele większe niż klatka dla ptaków: pokój, mała kuchnia i jeszcze mniejsza łazienka. Oto cały jej świat. Wnętrze wypełniały proste i zużyte sprzęty, głównie półki z książkami, ale Karolina nie potrzebowała wiele więcej do szczęścia. Coś jednak różniło jej azyl od tysięcy mu podobnych: jednorożce.

Były wszędzie. Patrzyły na nią ze zdobiących ściany obrazów, podrzucały dumnie rzeźbione w drewnie lub metalu głowy, stojąc na półeczkach i komodzie. Ich spojrzenia pełne bezwarunkowej miłości towarzyszyły Karolinie od samego progu.

- Cześć, moje śliczne - przywitała je ze słabym uśmiechem.

- *Witaj, Anaello!* - usłyszała w myślach odpowiedź.

Drgnęła zaskoczona. Ktoś był w jej mieszkaniu! Ktoś tu był!!! Wstrzymując oddech, podeszła na palcach do drzwi pokoju.

Postać wsparta o blat stołu powoli zwróciła twarz w stronę Karoliny. Ta krzyknęła, przykładając dłoń do ust, i cofnęła się gwałtownie.

- Cześć, mała.

Nagła ulga mało nie zwała jej z nóg. Włączyła światło.

- Łukasz, do cholery! Mało zawału nie dostałam! - krzyknęła ze złością. - Co ty tu robisz?!

Młody, czarnowłosy mężczyzna wstał i podszedł do dziewczyny. Objął ją wpół, ale wykręciła się jak piskorz.

- Czekam na ciebie.

- Na drugi raz uprzedź o odwiedzinach, jeśli ci moje życie miłe - mruknęła, zdejmując płaszcz.

- Ciotka Maryla odeszła. - Te słowa spowodowały, że płaszcz wypadł Karolinie z ręki.

- Umarła?! Kiedy?! Jak?!

- Nie umarła. Odeszła. Tak powiedziała: „odchodzę”. Nic więcej nie wiem.

Patrzył ze współczuciem, jak dziewczyna siada ciężko na krześle, biała jak ściana. Po chwili na jej twarz wróciły rumieńce. Ciocia żyje. Jest nadzieja, że jeszcze się spotkają.

- Prosiła, bym ci przekazał prezent urodzinowy. - Łukasz podał Karolinie małą paczkę, przewiazaną zwykłym konopnym sznurkiem. Ze słowami: „Dzięki temu trafisz do Domu”.

Ręka wyciągnięta ku pakunkowi zawisała w powietrzu.

- Przecież wiesz, że nigdy tam nie wrócę. Nie po tym.

- Ciotce na pewno nie chodziło o sierociniec. Poza tym to już przeszłość. Pora, byś zapomniała. - Ujął ją pod brodę i chciał pocałować ciepłe, miękkie usta, ale Karolina umknęła jak zawsze. Łukasz, by ukryć konsternację, ponownie wyciągnął rękę z paczuszką.

- No weź.

Z wahaniem przyjęła ją.

- Rozpakuj. Rany, jakaś ty trudna! - Łukasz potrząsnął czarną czupryną.

Karolina posłusznie rozsupłała sznurek, rozdarła papier. Stara, oprawiona w skórę książka błysnęła ornamentem złocień. Dłonie dotknęły gładkiej okładki. Otworzyła.

- „Bądź wierna. Idź”. - Przeczytała łamiącym się ze wzruszenia głosem sentencję pisaną okrągłym pismem. Tyle razy słyszała od cioci te trzy proste słowa.

Przewróciła kartkę i westchnęła w zachwycie:

- Zobacz! „Kroniki Ferrinu” i Amarilli dell’ Soll!

Przekartkowała książkę trzęsącymi się z podekscytowania dłońmi. Setki drobno zapisanych stron. Formuły w przedziwnym języku. Odręczne rysunki, szkice, uwagi, adnotacje.

Spomiędzy kartek wypadł na stół nieduży przedmiot. Dziewczyna chwyciła go w palce i uniosła do oczu. Medalion, który ciocia Maryla nosiła na szyi! Karolina nieraz - siedząc pod stołem w jadalni - roiła sobie, iż jest jedną z pięknych, mądrych i dobrych czarodziejek z ciocinych opowieści, zagubioną w obcym świecie, a ten przedziwny klejnot, który trzymała teraz w dłoni, jest kluczem do prawdziwego Domu. Czy jej się wydawało, czy zawibrował lekko? Karolinko, twoja imaginacja jak zwykle wymyka się spod kontroli...

- Karolina, może herbatą chociaż poczęstujesz? - usłyszała głos Łukasza.

No tak, wypadaloby. Już miała zamknąć książkę, gdy coś przykuło jej uwagę.

- Patrz! - wykrzyknęła z triumfem. Złotozielone oczy zajaśniały ogniem. - Kod eksterioryzacji!

- Co?

- Przepis, jak się stąd wyteleportować!

- A czy jest coś o tym, jak wrócić? - zakpił.

- Po co tu wracać? - zapytała ze szczerym zdziwieniem. Łukasz w odpowiedzi popukał się znacząco w głowę.

- Nigdy nie podobała mi się ta wasza zabawa w magię.

- Grunt, że nam się podobała...

Przez chwilę patrzył, jak dziewczyna, w zupełnym oderwaniu od szarej rzeczywistości, czyta bezgłośnie owo cenne zaklęcie, po czym sięgnął do kieszeni marynarki i mówiąc: „Ja też mam coś dla ciebie”, wyjął małe, pluszowe pudełeczko.

Karolina zamrugła jak człowiek obudzony z pięknego snu i odruchowo sięgnęła po prezent. W ostatniej jednak chwili zawahała się, ręka zawisała w powietrzu, a niepokojąca myśl rozdzwoniła się alarmująco w głębi czaszki. Spojrzała na Łukasza. Na jego niepewny uśmiech. Czarne z podniecenia oczy.

Nie! Pokręciła przecząco głową, ale on już otwierał pudełko. Skromny pierścionek wabił agatowym oczkiem.

- Przyrzekałeś! - Poderwała się, przewracając wazon z purpurową różą. - Przyrzekałeś być mi bratem!

- Potrzebny ci facet! Mąż! Kochanek! A nie brat!

Łukasz podszedł do niej. Tak blisko. Za blisko! Cofnęła się w popłochu. To nie może się tak skończyć! Nie Łukasz! Kochała go jak brata! Ufała mu! A on...

- Odejdź! Daj mi spokój! - W głosie zabrzmiała panika. Poczula na ramionach dłonie. Odrzuciła je ze złością i pchnęła mężczyznę ku drzwiom. - Wyjdź!

- Nie każdy facet jest skurwielem! Ja bym ciebie nie skrzywdził!

Próbował raz jeszcze objąć dziewczynę, ale odepchnęła go.

- Wynoś się!!!

Spojrzał na nią z takim bólem, a zarazem nienawiścią, że aż się cofnęła.

- Zawsze będę cię kochał. I przeklinał.

Słowa zawisły między nimi niczym utkany z dźwięku most. Trzaśnięcie drzwiami sprawiło, że rozsypał się w gruzy.

Długo w noc opłakiwała utratę tych, których kochała.

Jak mogła pozwolić, by ciocia odeszła? Czekala tyle lat na powrót Karoliny, by w końcu, zmęczona tych oczekiwaniem, zniknąć. Być może na zawsze...

Jak mogła przegnać Łukasza? Czym zasłużył na takie traktowanie? On - jej Brat Krwi? Jedyny, który nigdy jej nie zawiódł? Jedyny, któremu mogła ufać? Który, nie mając żadnych szans, stanął między nią a tamtymi.

Długo w noc opłakiwała utratę tej, której nie zdążyła pokochać.

Jak mogła stracić swoją siostrę bliźniaczkę? Kamila - tak miała na imię samobójczyni - żyła, a potem zapragnęła umrzeć tak blisko, zaledwie parę przecznic stąd. Gdyby Karolina częściej opuszczała swoją samotnię, gdyby choć raz poszła na spacer do parku, zamiast kryć się we własnym świecie, może spotkałyby się i tamta piłaby teraz z Karoliną malinową herbatę, miast marznąć w kostnicy?

Długo w noc płakała nad przeszłością, która zmieniła serce słodkiej, naiwnej Karolinki, patrzącej na świat w zachwycie i zadziwieniu, w bryłę lodu; i nad przyszłością, w której nie widziała nadziei. Nie tu. Nie na ziemi zbrukanej przez Szarą Śmierć.

Dosyć!!!

Kurant starego porcelanowego zegara wydzwonił północ. Karolina wstała, otarła łzy i rozpoczęła przygotowania do rytuału.

Suknia z ciemnozielonego aksamitu spłynęła aż do ziemi. Długie, kasztanowe włosy zalśniły w blasku świecy. Medalion w zetknięciu z ciepłą skórą drgnął leciutko. I wtem zgaszone smutkiem oczy rozjaśnił blask. Błede, zaciśnięte usta nabrały barw, a przygniecione zmartwieniem ramiona się wyprostowały. Przytłoczona ciężarem trosk zmęczona lekarka pogotowia odeszła w niepamięć. Na jej miejscu znalazła się... ona - Anaela.

Księgę Amarilli, otwartą na formule teleportacji, położyła przed sobą. Na podłodze święconą kredą nakreśliła pentagram. W jego wierzchołkach ustawiła pięć wysokich białych świec. Naprzeciw nich umieściła pięć kryształów górskich skierowanych ostrzami ku sobie. Krag był zamknięty, a podwójne zabezpieczenie - ogień i kamień - dawało Karolinie pewność, że nikt ani nic go nie przerwie. Wstrzymując oddech, weszła do środka pentagramu.

Położyła przed sobą XVII Kartę Tarota, „Gwiazdę” - jej przewodniczkę - po obu stronach postawiła dwie wysokie złote świece. I kartę, i złote świece zaniknęła w kole utworzonym z magicznych symboli, których znaczenie i treść znał tylko autor rytuału. Zapaliła w kadzielnicy porcję sproszkowanej szałwi. Powolnymi ruchami dłoni zaczęła namaszczać świece oliwą i zapalać je po kolei: jedną od drugiej, jednocześnie intonując zaklęcie:

Anadare en'es tella.

Anadare en'es n'ar.

An'er'n telle, tellis'n n'are.

Enesente este dar.

Zapaliła ostatnią ze świec stojących w rogach pentagramu, usiadła pośrodku i zamknęła oczy. Ciepły blask płomyków i woń kadzidła sprawiły, że otaczający ją świat wydawał się coraz mniej realny. Rozluźniła się zupełnie, wsłuchując w swój miarowy oddech i hipnotyzujące bicie serca. Czowała, jak miękko i łagodnie zapada się we własną jaźń.

Wiatr załomotał w okno, jakby chciał wedrzeć się do środka. Płomienie pięciu białych świec zatrzepotały i zgasły. Pięć kryształów pękło z cichym sykiem, zmieniając się w stożki kwarcowego pyłu. Krag był otwarty, ale tego pogrążona w transie Karolina nie mogła wiedzieć.

Schody. Długie, kręte, nieprzypominające żadnych innych, wykute w dziwnej skale, kruchej i niezniszczalnej jednocześnie. Wsparła dłoń na poręczy bardziej przypominającej grzbiet morskiej fali niż kamienną rzeźbę i w nasyconej magią ciszy, wśród ciemności rozpraszanych jedynie bladą emanacją ścian ruszyła w dół.

Drzwi. Czarny kryształ, z którego były wykonane, pokrywały dziesiątki cudownych płaskorzeźb. Patrzyła z zapartym tchem na dziwne sceny, echa jakichś wydarzeń, odżywające

w kryształowym świecie. Niektóre coś jej przypominały, wydawały się dziwnie znajome, jak zapomniane sny, inne zdawały się wizją przyszłości.

Oderwała wzrok od tajemniczych obrazów, pchnęła wierzeje i ze zdławionym okrzykiem chwyciła się framugi otwartego na oścież okna.

Chwiała się na parapecie, patrząc z niedowierzaniem na stojącą tuż przed nią na wyciągnięcie ręki ciocię Marylkę. Nie. Nie ciocię Marylkę, ale Amarillę dell'Soll, bo tej wspaniałej, dumnie wyprostowanej, złotowłosej i złotoookiej kobiety „ciocią” nazwać nie śmiała. Tak: nieznajoma była czarodziejką z własnych opowieści.

Karolina omiotła niedowierzającym spojrzeniem pokój za plecami Amarilli. Krąg z kryształu i ognia, tłące się kadzidło: taki jaki przed chwilą opuściła. Nie! Jakby wciąż tam była! Od nagłej zmiany perspektywy zakreśliło jej się w głowie. Była w swoim pokoju, stała na parapecie, u jej stóp powinna rozciągać się pięciopiętrowa przepaść, ale zamiast czarnej studni podwórza miała przed sobą i za sobą pokój, w którym Amarilla czekała, aż minie pierwszy szok.

- Chodź, Anaelo - rzekła miękko, nazywając dziewczynę tajemnym imieniem. - Ferrin na ciebie czeka.

Karolina pokręciła głową. Cofnęła się, by znów o mało nie spaść z parapetu. Tym razem do środka. Zaciśnęła palce na framudze okna.

- Zawsze o nim marzyłaś. Chodź.

Tak, to prawda, zawsze marzyła. Powoli rozwarła zaciśniętą dłoń.

- Nikt ani nic cię tutaj nie trzyma. To Świat Szarej Śmierci - znów odezwała się tamta.

Karolina zamknęła oczy i chciała przekroczyć szmaragdowy próg, ale... w ostatnim momencie się cofnęła.

- Chodź, bo zostaniesz tu na zawsze. Nie będzie drugiej szansy. - Głos Amarilli stwardniał.

Oczy Karoliny rozwarły się z przerażenia. Zostać?! Tutaj?! Rozpadająca się kamienica w najpodlejszej dzielnicy; ciemne, cuchnące kocim moczem podwórko; szary, odpychający szpital; cyniczny ordynator sadysta; dzień podobny do dnia; bezsenne samotne noce; szpital; dzień podobny do dnia; noc po nocy; szpital.

Nie. Nic mnie tutaj nie trzyma. Rozwieram ramiona jak do lotu i robię ten jeden, jedyny krok.

Jednakże po drugiej stronie nie było już pokoju. Barwy i kształty zawirowały w obłądnym piruecie i umknęły do tyłu. Krzyknęła przerażona. Wyciągnęła przed siebie ręce, ale za późno. Spadała w głąb studni o ścianach utkanych z uciekających zdarzeń, światów, czasów i przestrzeni. W pewnej chwili zorientowała się, że to nie ona się porusza, tylko ten niesamowity tunel. Straciła poczucie czasu. Straciła poczucie rzeczywistości.

Podróż skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. Gwałtowne uderzenie odebrało Karolinie oddech i przytomność.

*

Jej pojawienie się w tym świecie było niczym kapnięcie kropli na nieskazitelnie gładkie jezioro magicznej równowagi. Miejsce otwarcia portalu opłynęła fala energii, która, oddalając się, zataczała coraz szersze kręgi...

Szept. Urwany szloch. Szamotanina, trzask rwącego się materiału i znowu jęk.

- Nie! Błagam cię! - Rozedrgany głos boleśnie rozdarł ciszę. - Nie! Nie przerywaj!

Przyspieszone oddechy spłotyły się w jeden rytm, jęknęły deski, zaszumiały wzburzone kotary.

- Oooch...

Jedna z postaci znieruchomiała, chociaż skrzypienie desek nie ustawało.

- Puść mnie! - Zdyszany szept i stęknięcie, jakby ktoś odrzucał wielki ciężar.

Złoty płomyk błysnął pośród czerni nocy. Zafurkotał języczkami ognia i podleciał pod sufit. Żyrandol roziskrzył się blaskiem świec, ciemności pierzchły po kątach.

- Nie patrz na mnie tak nieprzytomnie, Joysell. - Naga kobieta wysunęła się z łoża, sięgając po koronkowy peniuar. - Ktoś obcy teleportował się do Lasu Tysiąca - dodała, podchodząc do toaletki.

Przyjrzała się swemu odbiciu tak uważnie, jak gdyby badała, czy w czasie spędzonym z kochankiem przybyło jej zmarszczek. Odgarnęła siwe włosy, niepasujące do twarzy młodej dziewczyny. Bładobłękitne oczy spoglądające ze szklanej tafli były... martwe. Zupełnie jakby właścicielka przed chwilą wyzionęła ducha.

- Jedź tam - rzuciła przez ramię.

- Teraz?! - Mężczyzna spojrział na swą panią z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Natychmiast! - prychnęła rozeźlona. - Myślisz, że WeddSa'ard będzie czekał, aż skończymy?

Lord Ellis wstał, nie wstydząc się nagości, bo też i nie miał się czego wstydzić. Berenika de Sanctis - Władczyni Alderii, Najwyższa Kapłanka - głodnym spojrzeniem ogarnęła porażająco kształtne męskie ciało.

- Zbierz swoich ludzi i ruszaj, mój ty... - Przypadła doń na sekundę, ugryzła w szyję, aż syknął z bólu, a potem patrzyła, jak wciąga spodnie i niedbale zarzuca na ramiona śnieżnobiałą koszulę.

Już wychodził, gdy jego imię wypowiedziane chrapliwym szeptem zatrzymało go w progu:

- Joysell, wracaj szybko. Dokończymy.

Wielkie ogniska oświetlały czterech walczących ludzi. Grupki żołnierzy zebrały się, by podziwiać potyczkę pełną emocji i brutalności. Półnagi śniady mężczyzna bronił się przed trzema zaciekle atakującymi alderiańskimi jeńcami. Miecze migotały. Zataczały świetliste kręgi i półkola. Dźwięczały metalicznie, krzesały iskry.

Napastnicy jak wściekłe psy rzucali się, by dopaść i pokąsać ofiarę. By zdławić tę zuchwałość, zniszczyć hardość czającą się w każdym ruchu, każdym spojrzeniu samotnego wojownika. On zaś odpierał wszelkie ataki z uśmiechem i nonszalancją. Bawił się, widząc coraz większy strach w oczach przeciwników.

Zanurkował pod mieczami. Dwaj żołnierze cofnęli się zdezorientowani. Trzeci nie zdążył. Paskudne cięcie od lewej rozplątało klatkę piersiową nieszczęśnika. Siła uderzenia rzuciła nim do tyłu. Padł na plecy. Piach wokół niego zwilgotniał, szerniał. Rozwarte szeroko oczy wpatrzyły się w twarz kata.

Ten, nie zwracając uwagi na umierającego u jego stóp jeńca, zmrużył czarne oczy, jakby nasłuchiwał. Niecierpliwym ruchem dłoni, dłoni o czterech długich smukłych palcach zdradzających elfie pochodzenie, odgarnął sklezione potem włosy, które okalały śniadą twarz o rysach szlachetnych i doskonałych. Zbyt doskonałych. Zdobiający czoło diadem ferrińskich książąt błysnął w blasku ogniska, oznajmiając wszem wobec, iż mają przed sobą JEGO: zdrajcę, mieszańca, bękarta. Sellinarisa WeddSa'arda. Władcę Darrakii.

Jeden z jeńców rzucił się ku niemu. Nie dobiegł. Ostrze miecza samym końcem cięło go w twarz i padł na kolana, brocząc krwią. Drugi nawet nie próbował atakować. Nie miał też dokąd uciec - czekał.

Czekał i Sellinaris.

Coś osobliwego, niespotykanego, zbliżało się z przerażającą szybkością. Niosło ze sobą wizję dostępną tylko jemu.

- Vervain! - Głęboki, melodyjny baryton władcy przywrócił wszystkich do rzeczywistości.

Z mroku wyłonił się człowiek chorobliwie chudy i wysoki. Powłóczyste, bure szaty, cienka, długa szyja i głowa wysunięta do przodu upodabniały go do sepa, ale rysy twarzy... Było w nich coś niepokojąco znajomego. Ten, kto uważnie przyjrzałby się obliczu Arcymaga - a niewielu miało tę śmiałość czy chęć - zobaczyłby w nim karykaturę Sellinarisa WeddSa'arda. Za to porównanie groziła śmierć na palu, ale... byli niczym dwaj bliźniaczy bracia - jeden piękny, drugi odrażający. Jeden szlachetny, drugi podły. Jeden... lepiej nie porównywać. Odwrócić oczy. I Darrakijczycy się cofnęli, bo ich władca wzbudzał strach i szacunek, natomiast Vervain wzbudzał tylko strach. Teraz zatrzymał się dwa kroki przed swym panem i skłonił lekko. Nieruchome jak u rekina oczy wpatrywały się w WeddSa'arda, jakby usiłowały odgadnąć treść rozkazu, zanim cokolwiek zostanie powiedziane.

- Alderia ma gościa. - Sellinaris nie obdarzył sługi nawet przelotnym spojrzeniem. - W aurę Lasu Tysiąca, na wysokości Czterech Wodospadów, wbił się portal. Wyślij posłańców.

- Z Wilczym Zwiadem łączy nas tylko pięciu, szkoda byłoby tracić...

- Wyślij wszystkich.

Władca Darrakii zarzucił na ramiona kurtę munduru. Srebrny wilk naszyty na kołnierzyku błysnął kłami, jakby chciał ukąsić właściciela w szyję.

- Panie mój, co z jeńcem? - Pytanie sprawiło, że WeddSa'ard zatrzymał się i spojrzał przez ramię. Skrzywił usta w pogardliwym grymasie. Sztylet nie wiedzieć jak i kiedy pojawił się w jego dłoni, świsnął w powietrzu i wgrzyzł w krtań alderiańskiego żołnierza.

- Posprzątać mi tutaj.

Kostyczne palce chwyciły małego nietoperza. Zwierzątko obudzone dmuchnięciem w mordkę rozejrzało się dokoła półprzytomnym wzrokiem i szarpnęło, gdy człowiek mało delikatnie próbował zacisnąć tulejkę na cienkiej nóżce. Tulejka spadła na podłogę i potoczyła się pod stół. Vervain zgrzytnął zębami i jednym ruchem dłoni ukreślił zwierzęciu łebek. Cisnął martwy kadłubek o ścianę.

Następny posłaniec cierpliwiej znosił zabiegi.

Arcymag ruszył ku wyjściu. Przystanął przed namiotem i syknął ostrzegawczo:

- Tylko mnie nie zawieźdź.

Podrzucił rękę do góry, rozwarł palce. Nietoperz pisnął przeciągle, jakby rzucał przekleństwo, i odleciał w kierunku Lasu Tysiąca.

Jego lot skończył się tak szybko, jak się zaczął: gałąź meandrowca zrećnie strąciła zwierzę na ziemię. Tam mech wpełzł na stygnące ciało, rozszarpał je na strzępy i wchłonął resztki, spijając chciwie krzepnącą krew.

Pani Lasu przyglądała się niezwykle przybyszowi. Trzymała pieczę nad przejściem do wszystkich Wymiarów, liczyła sobie tyle tysięcy lat, ile miał ten świat, a jak dotąd nigdy nie spotkała istoty ludzkiej obdarzonej tak silną mocą. Pochyliła się nad nieruchomym ciałem. Dotknęła z zaciekawieniem włosów. Ujęła jedno pasmo, cmoknęła. Nawet w ciemnościach miało barwę miedzi, a to było piętno kyrieich. Czyżby pół-smok? Pani Lasu dotknęła ramienia nieprzytomnej: nie, skórę miała gładką. Ani śladu łusek. Driada pokręciła głową i cofnęła rękę, czując, że niezwykle gość powoli odzyskuje świadomość.

Wyszeptała pospiesznie rytualną formułę:

- Las Tysiąca oferuje w gościńcu dobrą radę: zamknij aurę!

Istota poruszyła się i jęknęła.

Poruszyła się i jęknęła.

Rany boskie... Bolało ją całe ciało! Każdy mięsień, każde ścięgno i każda kosteczka. Ale żyła. Jakimś cudem przeżyła upadek z piątego piętra.

Zimno. Przenikające na wskroś, przyprawiające o konwulsyjne drgawki zimno.

Otworzyła oczy, próbując przebić wzrokiem otaczającą czerń. Dłoń poraniona podczas upadku zapiekła, a potem zamrowiała. Poczowała setki języczków pracowicie zlizujących krew, wdzierających się w ranki i zadrapania. Wstrząsnęła się z obrzydzeniem i podniosła dłoń ku oczom. To tylko mech. Mech?! Jaki znowu mech?! A gdzie się podział beton podwórka?! Usiadła, biorąc głęboki wdech.

- Ferrin na ciebie czeka - rozbrzmiały echem słowa Amarilli.

Pomacała dookoła, z nadzieją, że trafi jednak na swojski beton. Ale... nic z tego. Mech.

Przeniosła się. Przeniosła się?! Tak! Przteleportowała! Tylko dokąd?

Siedziała wsparta plecami o grzejący rozkosznie pień drzewa. To, że pień był ciepły i lśnił w ciemnościach błękitem, przestało już Karolinę dziwić. Teraz wpatrywała się w świecący nad głową Krzyż Południa. Tak jasnych gwiazd nie widziała jeszcze nigdy. A więc Australia. Niesamowite! Mimo że była zła, przestraszona i obolała, jej twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech. Do tej pory największym osiągnięciem Karoliny było wejście w trans, ale to prędzej czy później potrafił każdy adept Szkoły Czarownic, do której swego czasu

potajemnie uczęszczała. Fizyczna teleportacja była natomiast prawdziwym osiągnięciem. To było coś!

Dla porządku zganiła się jednak:

- *Ene sente tui aresentes in alderienne!* - I... gwałtownie zatkała usta dłonią.

Powiedziała to w języku, którego nie znała!!! To znaczy władała nim biegle - tak biegle, że musiała przetłumaczyć to zdanie na polski: „No i masz swoją zabawę w czarodziejkę”. Nie wiedziała jednak, jak się nazywa ten język, gdzie nim mówią i skąd go zna. Ale miała go w swoim umyśle: myślała w nim tak, jak w Anglii myślała i mówiła po angielsku, a we Francji po francusku. Tutaj myślała i mówiła... no właśnie, po ichniemu!!! Może po aborygeńsku? Ho, ho, ho, Karolinko!

- Nie ciesz się - upomniała się na głos. - Musisz najpierw wyjść żywa z tego lasu.

To prawda. Jej wyczyn był co najmniej... lekkomyślny. Mogła wylądować w środku jakiegoś niezbadanego buszu. Od najbliższej osady ludzkiej mogły ją dzielić tygodnie drogi! Cholera, przecież tu wciąż żyją kanibale! I jadowite węże. No i pająki! Mniejsza o kanibali, ale te pająki!!!

- Gratuluję pozytywnego myślenia, moja droga, imaginuj sobie: dzikie zwierzęta, wilcze doły, niedowidzących i nerwowych myśliwych. Proszę, przeraż się na śmierć, a rano znajdzie cię skuloną pod drzewem jakiś grzybiarz. Grzybiarz? Prędeż pielęgniarka w psychiatryku - mruknęła i nagle się zaśmiała. Jeśli to szaleństwo, które skończy się bolesnym przebudzeniem, trzeba korzystać! - Tylko dlaczego nie trafiłam do zamku pełnego pięknych książąt, lecz do lasu, w którym na niebiesko świecą nie grzybki, a drzewa? A właściwie dlaczego nie? Miejsca nie wybierałaś. - Mówienie do siebie dodawało jej otuchy. Nie była wtedy sama: były we dwie. Wobec złowrogiej ciszy nawet dźwięk własnego drżącego głosu wydawał się ukojeniem. - I czego tu się bać? - wzruszyła ramionami. - To tylko las. Nikt normalny (oprócz ciebie, ale ty nie jesteś normalna) nie gania nocą po lesie. Wstawaj i ruszaj na poszukiwanie jakiejś leśniczówki... Albo szosy... Czegokolwiek.

Zacisnęła zęby, próbując zmusić poobijane i odrętwiałe ciało do współpracy. Podniosła się z trudem, wspierając na pniu lśniącym błękitem. Szeroko otwartymi oczami chłonęła przez chwilę obraz dłoni omywanej niebieską mgłą i wtedy... do nozdrzy napłynęła kusząca woń pieczonego mięsa, a między drzewami załśniło słabe echo płonącego gdzieś w pobliżu ogniska. Cywilizacja!!!

Karolina bez namysłu ruszyła w stronę poświaty. Mijała olbrzymie drzewa, a blask jaśniał i jaśniał coraz bardziej zachęcająco. Już nie szła: podkasała suknię i biegła.

Słyszała nawet przytłumioną rozmowę, chociaż nie mogła rozpoznać słów. Ludzie! Grzybiarze, myśliwi - wszystko jedno, byle podwieźli ją na jakiś dworzec. Zaczepiła o przygodną gałąź, szarpnęła niecierpliwie, rozerwała brzeg sukni. Potknęła się o jakiś korzeń i straciła równowagę. Byłaby upadła, gdyby nie... czyjaś ręka, która złapała ją w pół tuż nad ziemią. W następnej sekundzie poczuła smród spoconego, niemytego ciała. Zamachała w powietrzu nogami, szarpnęła się w silnym uścisku.

- Proszę mnie puścić! - wycharczała, ledwo łapiąc oddech.

Nim zdołała pomyśleć o czymkolwiek, szorstkie palce zacisnęły się na jej nadgarstku. Bolesne szarpnięcie wykręciło rękę. Przygięło ją do ziemi, wycisnęło z gardła jęk.

- Ani drgnij, bo cię zarżnę, wiedźmo - wyszeptał napastnik, dziwnie kalecząc tutejszy język. Zamarła, czując na szyi zimne ostrze noża. Gorący, mdlący fetor krwi, brudu i Bóg wie czego jeszcze sprawiał, że żołądek podszedł Karolinie do gardła.

- Idziemy. Tylko spokojnie! - Szarpnął ją mało delikatnie do góry. - I rączki w dół trzymaj, bo...

Nie musiał kończyć. Nie musiał straszyć. Ruszyła przed siebie, z rękami sztywno opuszczonymi wzdłuż ciała. Nóż kaleczył skórę na szyi. Cienkie gałązki chłostały bezlitośnie twarz. Gęste zarośla rwały sukienkę. Ale najgorszy był nieznośny odór tego mężczyzny. Z ulgą wypadła, pchnięta, na polanę. Siedzący przy ognisku poderwali się na ich widok.

- Spokój, to ja! - zawołał porywacz. - Patrzajcie, co żem znalazł.

- O! Dawaj ją bliżej ognia, obaczym co za jedna. Trzej mężczyźni, wysocy, potężnie zbudowani, czarnowłosi i czarnoocy, odziani w brudne, wymięte mundury, patrzyli na Karolinę i uśmiechali się. Bynajmniej nie przyjaźnie.

Jeden z oberwańców podszedł bliżej i przysunął swą brodatą twarz do twarzy dziewczyny.

- Zabierz nóż, Ripe. Niech się jej przyjrzę. Proszę, proszę... Leddi. Szlachetnie urodzona. Wiedźma prosto z Alderiany. - W jego oczach błysnęło czyste okrucieństwo. - Wiesz co, suko? Spadłaś nam jak z nieba. Przyda się trochę rozrywki.

Obliznął się obleśnie, wyciągnął rękę i chwycił ją pod brodę. Cofnęła się odruchowo. Stojący za nią bandyta mocniej wykręcił jej rękę. Karolina aż przyklekła z bólu. Zarechotali.

Nagle krzaki na skraju polanki zaszeleściły i wypłuły jeszcze jednego mężczyznę w czarnym mundurze.

- Wracaj na wartę! - warknął do niego brodac.

- A wy się tu będziecie zabawiać? Sam se wracaj!

- Wracaj do lasu, mówię!

- Patrzcie, dowódca się znalazł. Twoich podkomendnych Yordańczycy w pień wycięli. Ostałeś się, boś czmychnął w las jak zajac.

Brodaty zgrzytnął zębami, doskoczył do kompaniona i obiema rękami pchnął go w stronę krzaków. Ten poleciał w tył, usiadł ciężko, ale zaraz zerwał się i z uniesioną pięścią przypadł do brodacza.

- Do lasu, mówię! Może ich być więcej! - zakrzyczał brodacz.

- Zamknij mordę, psie! - Żołnierz chciał wyminąć brodatego, gdy ten wyszarpnął zza pasa długi nóż. Dwóch skoczyło, by ich rozdzielić, nim poleje się krew.

Karolina, trzymana tylko przez jednego, którego całą uwagę pochłaniała kotłowanina na drugim końcu polany, bez namysłu wyrwała się i skoczyła w krzaki.

- Ożeż ty! Stój, kurwo jedna! - usłyszała tylko.

Ani myślała stanąć. Z determinacją przedzierała się przez gęste zarośla, lecz zaplątała się we własną suknię. Upadła. Ledwie zdążyła się podnieść, gdy tamten chwycił ją za włosy i pociągnął w tył. Jęknęła. Żołdak jednym szarpnięciem postawił ją na nogi i wypchnął na polanę, gdzie szamotanina nagle się skończyła. Brodaty patrzył przez chwilę na zadźganego własnoręcznie towarzysza, po czym powoli przeniósł wzrok na dziewczynę. Zamarła pod tym spojrzeniem. Zabrakło jej tchu.

- Uciekasz od nas? - Podeszedł, wycierając zakrwawiony nóż o spodnie.

Teraz zabije i mnie!

Świat nagle zawirował. Pnie drzew zlały się w jedną czarno-ognistą masę. Panika plątała myśli, serce trzepotało jak szalone, oddech się rwał, ale już zewsząd nadciągała zbawcza ciemność. Prask! Siarczasty policzek przywrócił dziewczynie przytomność. Uniosła dłoń obronnym gestem. Brodacz zarechotał, chwycił za dekolt jej sukni i szarpnął. Materiał pękł z trzaskiem. Jedną ręką odruchowo przycisnęła do piersi resztki sukni, drugą trzasnęła go w twarz. Zarechotał powtórnie i oddał. Uderzenie wycisnęło łzy z oczu. Rzuciło na kolana. Skulona zaszlochała.

- Coś już nie taka harda pani czarodziejka. - Kopnął ją czubkiem buta, aż padła na wznak.

- Dawno widać chłopca porządnego w tym zasranym świecie nie uświadczyła. Zaraz ci pokazem, co chłop prawdziwy znaczy, i obaczmy, czy dalej będziesz taka do wojowania skora.

Karolina już zrozumiała, że to nie plan filmowy jakiegoś obłąkanego filmu fantasy, że to bandyci, a nie statyści, że za chwilę on ją... oni ją... Zamknęła oczy i zacisnęła szczęki, czując, jak czysta, paląca nienawiść rozlewa się po całym ciele, wypiera ból i strach, daje siłę. Przestała się bronić. Znieruchomiała, obserwując bandziorów spod przymkniętych powiek.

- *Nie! Nie rób tego!!!* - coś zakrzyczało w umyśle Karoliny, ale nie zważała na nic.

Brodacz skinął na dwóch pomagierów. Rozkrzyżowali dziewczynę na ziemi i zaczęli dopingować prowodyra niewymyślnymi słowami. Ten stanął w rozkroku i zaczął powoli rozpinąć spodnie, rozkoszując się każdą chwilą jej obłądnego przerażenia.

Na to właśnie czekała przyczołajona niczym żmija: z całych sił kopnęła brodatego w krocze. Ten zaskowyczał i zgiął się wpół. Opadł na kolana, wsparł się na rękę. Przez chwilę łąpał otwartymi ustami powietrze, a potem w jego oczach błysnęło szaleństwo, a w dłoni nóż. Jednym ruchem ciął krtań dziewczyny.

Próbowała zaczerpnąć powietrza, ale zachłysnęła się własną krwią. Szarpnęła głową. Źrenice rozszerzył śmiertelny strach. Błagam, powietrza! Choć jeden łyk!

Z krtani wydobył się jedynie ohydny dźwięk. Ni to bulgotanie, ni charczenie.

Pomo... pomocy! Duszę się!

Tamci coś krzyczeli. Wymyślali brodatemu. „Śmierć przyciąga śmierć!”. Jeden próbował powstrzymać krwotok brudnymi paluchami. Drugi szarpał na pasy chustkę.

Przez panikę wypełniającą umysł przedarły się słowa ciotki Maryli: „Anaela walczyła do końca, wierząc, że pomoc nadejdzie”. Ale pomoc nie nadchodziła.

Karolina dusiła się. Tonęła we własnej krwi. Z każdym uderzeniem serca wypływało z niej życie. Każda sekunda umierania, każda sekunda walki o oddech, zdawała się trwać bez końca.

*

Świat Bez Powrotu miał gości. Po raz kolejny w jego mrocznych lochach spotkały się dwie istoty: Zło i Zdrada.

- Twoi ludzie złamali Konwencję Wojenną. Tracisz punkt.

- Och, chłopcy chcieli się tylko zabawić... No dobrze. Co w zamian sobie życzysz?

- Wystawisz mi dwa oddziały. Zwiadowcze!

- Nie przesadzasz? Jeden.

- To było naruszenie Najwyższego Prawa. Dwa.

- Wystawię ci dwa oddziały, jeżeli... zgodzisz się zagrać o NIA. Co ty na to?

Uśmiech. Diaboliczny uśmiech. I ogień w oczach.

- Zgoda. Przesuwanie pionów po mapie stało się nudne.

W dłoni Zdrady zaślniła Moneta Losu. Gdy upadła na kamienną posadzkę, obie postaci pochyliły się nad nią z nieskrywaną ciekawością.

- Jest twoja.

Znów ten uśmiech.

- Ten hazard nas zgubi.

- Zgubi tylko jedno z nas.

*

Obudził ją własny krzyk. Rany boskie, co za sen! Złana potem, dygocząc na całym ciele, usiadła gwałtownie. Chwyciła się za gardło. Całe! Druga dłoń zacisnęła się na... O nie, pieprzony mech! Podnosząc ku niebu przerażone oczy, zobaczyła Krzyż Południa. A za drzewami poświatę. Szloch uwiązał Karolinie w gardle.

Wpatrując się w poblask płonącego gdzieś tam ogniska, zaczęła pełznąć do tyłu. Byle dalej od miejsca, w którym ono płonęło. Byle dalej od ludzi, którzy go rozpalili.

Bandzior chwycił ją od tyłu za włosy. Odchylił jej głowę. Przyłożył do szyi śmiertelnie zimne ostrze noża i wyszeptał:

- Ani drgnij, bo cię zarżnę, wiedźmo.

Ale ona nie myślała się bronić.

Szarpnął ją do góry i poprowadził przed sobą. Po chwili wypchnął na polanę, a siedzący przy ognisku - wśród nich ten najstraszniejszy: brodacz ze snu - ze snu?! - czy to na pewno był sen?! - poderwali się, sięgając po miecze.

- Spokój, to ja idę! Patrzajcie, co zem znalazł.

- O! Dawaj ją bliżej ognia, obaczym co za jedna. Rany boskie! Oszalała! Oni mówili dokładnie to, co w sennym koszmarze!

- Zabierz nóż, Ripe. Niech się jej przyjrzę. Proszę, proszę. Leddi. Szlachetnie urodzona. Wiedźma prosto z Alderiany. - W oczach brodatego błysnęła ta sama nienawiść. - Wiesz co, suko? Spadłaś nam jak z nieba. Przyda się trochę rozrywki. - Brodaty oblizał się obleśnie. Wyciągnął rękę i chwycił ją pod brodę. Powstrzymała się, by nie odchylić głowy i tylko w myślach zakrzyczała:

- *Niech mi ktoś pomoże! Błagam!*

Odpowiedź nadeszła natychmiast:

- *Wytrzymaj, pomoc jest blisko!* - Ale i tym razem wzięła to za wytwór ogarniętego paniką umysłu.

Na polanę wyszedł piąty bandyta, by po chwili paść z rozplatanym gardłem. Brodaty wytarł nóż o spodnie i zwrócił się ku dziewczynie. Ta stała nieruchomo, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w swego kata.

- No i co, pani czarodziejko? - Jednym ruchem rozdarł suknię. - Podobno żeście są nietykalne, a tu taka chętna się nam przytrafia: ani się nie broni, ani ucieka. Dawność chłopca nie uświadczyła, co, wiédźmo?

Pchnął ją na ziemię i począł rozpinać spodnie.

- *Błagam, nie!!!*

- *Wytrzymaj!*

Brodacz ukląkł między kolanami dziewczyny, wpił palce w jej biodra i...

- Widzę, że dobrze się bawicie - szorstki głos dobiegł zza jego pleców.

Rozdział II

AMRE

Przybysz jawił się ciemnym kształtem na tle płomieni. Stał nieruchomo. Za nim chylił łeb ku trawie gniady wierzchowiec. W pełnej napięcia ciszy słychać było tylko trzask ognia. Wreszcie obcy podszedł bliżej.

- Zwiadowca! Nasz! - Westchnął z ulgą jeden z żołdaków. - Aleście nam, panie, strachu napędzili, myślelim, że to jakiś tutejszy.

Zwiadowca! Ich! Poczwała, że nadszedł kres jej wytrzymałości. Chciała krzyknąć! Chciała drapać i gryźć, ale odwróciła tylko głowę, a wielka łza spłynęła jej po policzku.

Nowo przybyły patrzył na dziewczynę, ignorując stojących wokół niej oberwańców. Jego dłoń zaciskała się na rękojeści miecza tak silnie, aż pobiełały mu knykcie palców. Wreszcie przymknął na moment oczy i wolno przeniósł wzrok na brodatego, który w pośpiechu dopinał spodnie.

- Amre Shanon, porucznik z Wilczego Zwiadu. Swój, jak raczyliście zauważyć. A wy? Brodacz stanął niemal na baczność.

- Jestem Valdo, a to Aron, Ripe i Stan. Trzeci oddział herneńskiej piechoty. Roznieśli nas trzy dni temu pod Yord. Co za bitwa! Rzeź okrutna, panie oficerze. Piętnastu nas ino uszło...

- Uciekło z pola bitwy?

Brodaty zgrzytnął zębami.

- Uszło, powiadam, kiedy było już po bitwie. Piętnastu. My w lesie zgubili się, gdy po drewno na opał... Eee... - urwał, widząc ironiczny półuśmiech oficera.

Zwiadowca omiatał spojrzeniem okalające polanę zarośla. Sprawiał wprawdzie wrażenie zainteresowanego sprawozdaniem, ale w istocie poświęcał mu niewiele uwagi. I tak wiedział, co myśleć o tej czwórce darrakijskich żołnierzy - może i nie byli dezterterami, jednakże ucieczka z pola bitwy, nawet tak beznadziejnej jak pod Yord, nie przydawała powodów do szacunku. Zresztą... Mieli dużo poważniejsze przewinienie na sumieniu. Owo przewinienie, które skrzętnie usiłowali ukryć za plecami, właśnie próbowało się podnieść.

- A to kto? - Wskazał głową na Karolinę.

- Aaa... Ot, w lesie naszlim. Wiedźma, suka jedna. Czarami chciała nas... To myją...

- Wiedźma - mruknął zwiadowca. - A co ona nosi? Nie Znak Leczącej aby?

- A kto się tam wyzna na tych ich znakach, panie oficerze. - Brodacz wyszczerzył zepsute zęby w nerwowym uśmiechu. Doskonale wiedział, że wiedźma jest Nietykalną, i równie dobrze wiedział, czym grozi podniesienie na Nietykalną ręki. Oby tylko ręki. - My są prości żołnierze.

- Nie znacie, mówisz, Znaków? O Konwencji Wojennej też pewnie nie słyszeliście? Sąd przypomni wam i o Znakach, i o Konwencji, jeżeli ktokolwiek będzie się bawił w jego zwoływanie. Raczej powieszą was od razu, boście zwykli dezerterzy i bandyci.

Słowa zawisły w narastającej wrogością ciszy.

Valdo widział wściekłe spojrzenia kompanów. Ich zmrużone oczy, lekko wygięte usta i napięte mięśnie nie uszły też uwagi porucznika. Nikt nie miał wątpliwości, że skąpiana w świetle ogniska polana lada moment spłynie krwią.

Gdyby brodacz nie miał za plecami szlachetnie urodzonej, a przed sobą oficera najlepszej jednostki w całej armii, próbowałby z pewnością załagodzić sytuację. Nikt o zdrowych zmysłach nie sprawdzałby na własnej skórze, czy Wilczy Zwiadowcy są rzeczywiście tak dobrymi wojownikami, jak to się o nich powiada. Jednak tych dwoje: arystokratka i oficer, zamiast miarkować, doprowadzało brodacza do szału. Wziął się pod boki, splunął i hardo spojrzał zwiadowcy w oczy.

- Żarty na bok, oficerze. Sądem nas tu nie straszcie. Macie chęć użyć sobie z wiedźmą, to zapraszamy, a jak nie, to zejźcie nam z oczu póki czas.

Amre uśmiechnął się lekko.

- Racja. Nie traćmy czasu na żarty. Złóżcie broń.

Grymas zdumienia, który zagościł na brodatej twarzy przywódcy, został zmieciony przez nagły wybuch wesołości. Po chwili rechotali już we czworo. Amre przyglądał im się na pozór spokojnie, tylko zaciśnięcie szczęk zdradzało narastającą irytację. Śpiewnie zadźwięczała uwolniona klinga. Śmiech urwał się nagle.

- Skoro taka wasza wola... - syknął brodacz i skoczył na oficera. Zanim ostatni żołnierz wyszarpnął z pochwy miecz, brodacz padł na ziemię z twarzą rozerwaną potężnym pchnięciem. Pozostała trójka wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. Jeden cofnął się nieco, a dwóch zaczęło okrążyć Shanona.

Amre zamarł w bezruchu i opuścił broń, jakby zdziwiony manewrem przeciwników. To wystarczyło, by sprowokować do ataku żołdaka zachodzącego go z lewej strony. Shanon nawet nie próbował parować potężnego uderzenia, wyprowadzonego zza głowy trzymanym

oburącz mieczem - wystarczyło, że uchylił się nieco, a cios go minął, on sam zaś znalazł się za nacierającym i ciął go przez plecy, z dołu do góry. Darrakijczyk rozpostarł szeroko ramiona, wypuścił miecz i osunął się na kolana, a później runął twarzą wprost na zbrukaną krwią trawę.

Zostało jeszcze dwóch. Starszy i młodszy. Uderzyli jednocześnie, z zimną precyzją. Bez zaciekleści, którą przejawiali przed chwilą i która poprowadziłaby ich wprost w chłodne objęcia śmierci. Metodycznie dobierali rytm uderzeń i miejsca, w które starali się trafić. Teraz dopiero Amre mógł się przekonać, jak walczy doskonale wyszkolony darrakijski żołnierz. Gdyby nie to, że jako mieszaniec był dwa razy szybszy od człowieka... Ciosy spadały na głowę, tułów, nogi oficera. Część z nich parował, części unikał. Jedne były prawdziwymi, niosącymi śmierć atakami, inne stanowiły tylko zasłonę dla tych pierwszych. Unik, parada, uskok, unik, unik. O ataku nie mógł nawet marzyć, ledwie wystarczało mu sił i refleksu na skuteczną obronę.

Uchylił się przed szerokim cięciem. Nie dość szybko - poczuł smagnięcie metalu. Sparował płaskie cięcie kierowane na brzuch, uskoczył przed zdradzieckim pchnięciem i nadział się na kolejny sztych. Ostry ból rozpląnął się po lewym ramieniu. Amre zaczął się cofać.

Krew z rozciętego czoła zalewała mu oczy, ale nawet nie myślał o otarciu jej ramieniem. Każdy zbędny ruch mógł kosztować go życie.

Polana rozbrzmiewała jękiem stali, świstem ostrzy, pokrzykiwaniami i stęknieniami. Odbite w klingach światło ogniska rzucało upiorne refleksy na twarze walczących. Barwy mroku i ognia wraz z odgłosami walki nadawały polanie iście piekielny klimat.

Karolina czuła się właśnie tak: jakby trafiła do piekła, do jednego z najniższych kręgów królestwa szatana. Przed chwilą wyczołgała się spod zwłok żołdaka, który, brocząc krwią z rozplątanej twarzy, padł wprost na nią.

Teraz klęczała wstrząsana torsjami, szklistym wzrokiem wpatrując się w walczących mężczyzn. Niemożliwe, by to wszystko działo się naprawdę. Niemożliwe, by to ona była tu i teraz! Umysł nie zgadzał się na taką rzeczywistość. Szok zaczął powoli pogrążyć mózg dziewczyny w stanie bliskim obłądu. Zamknęła oczy...

„Nie ma mnie”. - Podświadomość podsunęła umysłowi zbawcze słowa. Wskazała drogę ucieczki. „Nie ma mnie”. - Świadomość podchwyciła. Dziewczyna powoli zaczęła chwiać się w przód i w tył. „Nie ma mnie”. W przód i w tył. „Nie ma mnie”, w przód i w tył...

- *Anaelo* - usłyszała nagle w swym umyśle łagodny, spokojny głos. - *Anaelo, nie odchodź...*

Ciało znieruchomiało. Otworzyła oczy. Ale rzeczywistość nie uległa zmianie. Na polanie wciąż trwał taniec śmierci.

- *Anaelo, wytrzymaj...*

Kolejny żołdak padł tuż obok niej. Zbryzgał twarz dziewczyny krwią. Nie. Nie mogła wytrzymać ani sekundy dłużej. Krew, strzępy mięsa, jęk konającego. I ona w tym wszystkim. Ani sekundy dłużej! Zbawcza ciemność zaniknęła się nad nią i pod nią, by unieść Karolinę w nieświadomość.

Ostry syk: - *Dosyć!* - był niczym chłaiściec batem po nagich plecach.

Dziewczyna ocknęła się gwałtownie.

- *Jeżeli ten oficer zginie, ty będziesz umierać jeszcze wielokrotnie. Pomóż mu! Weź nóż!* - Jak zahipnotyzowana sięgnęła po sztylet. - *Chwyć rękojeść.* - Ostrze z ohydny mlaśnięciem wysunęło się z piersi zabitego. - *Bardzo dobrze... czekaj.*

W tym momencie Amre zdobył się na kontratak. Skoczył do przodu, skracając dystans. Teraz walka na miecze stała się niemożliwa, doskonale za to sprawował się drugi sztylet, który nie wiedzieć skąd, znalazł się w lewej dłoni oficera. Wbił ostrze w bok starszego żołdaka i chciał odskoczyć. Tamten, osuwając się na ziemię, pociągnął go za sobą. Amre stracił równowagę i runął nań, upuszczając miecz. Ostatni z bandytów natychmiast wykorzystał przewagę. Ciął z rozmachem, celując w plecy zwiadowcy - ten rzucił się w bok. Ostrze miecza osunęło się po skórzanym pasie, po czym wbiło w ziemię. Amre przytrzymał dłoń żołnierza zaciśniętą na rękojeści, po czym zrobił wyskok, jednocześnie uderzając tamtego pięścią w skroń i poprawiając łokciem. Bandyta potrząsnął głową, zamroczony. To dało Shanonowi czas na podniesienie miecza. Natychmiast skoczyli ku sobie i minęli się, wymieniając ciosy. Żaden nie sięgnął celu.

Stali naprzeciw siebie, chciwie połykając powietrze. Shanon wiedział już, że przeciwnik mimo młodego wieku jest dobrym szermierzem. Wprawdzie nie tak dobrym jak on, ale rany i zmęczenie zmniejszyły przewagę. Krażyli wokół siebie, szykując się do kolejnego ataku.

- *Rzućcie miecz, oficerze, to gładko was zetnę. Ani poczujecie.* - Twarz bandyty wykrzywił paskudny uśmiech.

Amre, miast odpowiedzieć, ruszył na przeciwnika. Młody Darrakijczyk zaskoczony wściekłym atakiem z trudem parował miażdżące uderzenia, ale wciąż się uśmiechał. Widział,

że zwiadowca zadaje ciosy z całej siły. Lada chwila oficer, stosując tak nienaturalne tempo walki, ranny i zmęczony potyczką z czwórką żołnierzy, ostatecznie opadnie z sił.

W szaleństwie Amrego była jednak metoda: przeciwnik musiał szeroko parować silne ciosy, zanim jeszcze nabrały niebezpiecznego impetu. W ten sposób młody wojak odsłaniał się coraz bardziej i bardziej, udzielała mu się desperacja atakującego. I wtedy, gdy Darrakijczyk całkowicie skupił się na parowaniu kolejnych wściekłych cięć... w lewej ręce oficera błysnął krótki nóż. Młody żołnierz zauważył ostrze w ostatniej chwili, gdy już mknęło ku jego sercu. Zamarł w bezruchu, patrząc z niedowierzaniem, jak stał zagłębia się w jego piersi. Chwycił za rękojeść, ale życie uchodziło z niego zbyt szybko, by mógł je zatrzymać. Drgnął jeszcze w ostatnim spazmie, by po chwili znieruchomieć.

Amre wypuścił z ręki miecz. Drżąc na całym ciele, padł na kolana. Zamknął oczy i spróbował wyrównać oddech. W uszach huczała mu krew, a w piersiach wściekle łomotało serce. Pojawił się ból, którego nie czuł podczas walki. Jeszcze chwila i straci przytomność.

Polanę zaległa cisza zakłócana jedynie ciężkim oddechem porucznika skulonego pośród ciała. W tej ciszy dał się słyszeć jeszcze jeden dźwięk, z którego istnienia oficer nie zdawał sobie na początku sprawy: chrapliwy, urywany warkot. Przybrał na sile i dopiero wtedy zwiadowca się obejrzał. Nad nim, z uniesionym do ciosu mieczem, stało monstrum: brodacz, którego pozbawiona dolnej szczęki twarz zmieniła się w bezkształtny, ociekający posoką płat mięsa. Amremu przemknęło przez myśl, że nie zdąży podnieść swojego miecza, zanim spadnie cios.

Karolina prowadzona przez Głos z całej siły wbiła sztylet w kolano bandyty, aż ostrze chrupnęło o kość. Brodacz ryknął i z półobrotu trzasnął dziewczynę pięścią w twarz. Padła na wznak. Amre sięgnął po leżącą tuż obok broń, ale tamten był szybszy: przydepnął głównię. W oszalałych oczach błysnął triumf. Przyłożył ostrze miecza do szyi oficera, z perwersyjną przyjemnością przymierzając się do cięcia i...

...srebrzysta bestia runęła z nieba wprost na brodacza bez twarzy, wbiła kły w jego kark, uniosła ciało w górę, potrząsnęła i odrzuciła jak szmacianą kukłę. Wylądowała miękko na ziemi, przyglądając się przez chwilę drgającym zwłokom, po czym przeniosła lśniąco bursztynowo oczy na Amrego.

- Lwiana - zdążył wyszeptać, nim jednym ciosem potężnej łapy pozbawiła go przytomności.

Już miała wgryźć się w kark oficera, gdy:

- *Hatira, nie!* - Rozkazujące, nieznoszące sprzeciwu słowa osadziły bestię w miejscu.

Lwiana spojrzała za siebie, chlasnęła niezadowolona ogonem o boki, zawarczała i zwróciła się ku dziewczynie. Szturchnęła nieprzytomną nosem, przeciągnęła szorstkim jęzorem po jej policzku, po czym ułożyła się bok do boku i zaczęła mruczeć niczym wyrośnięty do wielkości kucyka domowy kot.

Z sennych koszmarów wyrwało Karolinę zimno. Leżała przez chwilę, wpatrując się bezmyślnie w rozgwieżdżone niebo, na którym w dalszym ciągu królował Krzyż Południa. W ustach czuła smak krwi. Rozcięta warga i obity policzek pulsowały trudnym do zniesienia bólem. Fala mdłości zmusiła dziewczynę do podźwignięcia się. Klęknęła, oddychając głęboko przez nos, a gdy słabość minęła, potoczyła dokoła spojrzeniem.

Dogasające ognisko, mroczny las, wilgoć nocy. Porażająca, martwa cisza i... rozwarte szeroko szkliste oczy. Krwawa skorupa pokrywająca rozrąbany ludzki czerep. I te oczy. Wpatrzone. W nią. Cofnęła się odruchowo.

Spomiędzy niskich zarośli wystawały buty. Dalej, ponad wysoką trawą sterczała szponiasto wygięta ręka. A za nią... Zatkęła usta dłonią, żeby nie krzyczeć. Rzuciła się ku ognisku. Wydało jej się, że z ciemności wlepiają się w nią setki dzikich oczu. Że jeszcze chwila i rzucą się na nią, wbiją kły, rozerwą pazurami. Odstraszyć je! Stęknęła z wysiłku, dźwigając leżący nieopodal konar i dorzuciła do ogniska. Płomień strzelił wysoko, posypały się iskry. Żarzące się w mroku ślepiea znikły.

Odwróciła się gwałtownie na odgłos gałęzi łamanych po drugiej stronie polany. Zdjęta paniką rzuciła się na kolana, wyjęła z dłoni trupa miecz i uniosła z wysiłkiem. Przełknęła ślinę. Przedmiot jej obaw wdarł się na polanę i zrobił krok w kierunku światła. Karolina osłabła z ulgi: to tylko koń! Gniada klacz zajrzała Karolinie w twarz wielkimi oczyma. Miękkimi chrapami dotknęła jej włosów. Dziewczyna wstała, objęła zwierzę za szyję, wtuliła twarz w splątaną grzywę i zapłakała z ulgi.

Cichy, pełen bólu jęk sprawił, że szloch uwiązał Karolinie w gardle.

Bandzior leżał twarzą w trawie, a jego dłoń zaciskała się na rękojeści miecza. Jęknął. Nachyliła się nad nim ostrożnie i pociągnęła ku sobie głownię. Palce mężczyzny rozwarły się, puściły oręż. Był bezbronny. Odwróciła go na plecy. Szeroko rozwarte oczy wbiły się w jej twarz. Dłoń schwyciła za suknię. Trzask dartego materiału i charkot rannego rozbrzmiały prawie jednocześnie. Odruchowo kopnęła go i odskoczyła do tyłu.

Kopnęłam! Kopnęłam leżącego! - zaskowyczała w duszy. Ręka żołnierza opadła bezwładnie, głowa przechyliła się na bok.

Rannych opatrywać, załkała. Co ze mnie za lekarz?!

Myśli galopowały w szaleńczym tempie. A niby dlaczego mam go ratować? To bydlę, podle bydlę! Chciał mnie... chciał...

I nagle... Pamięć usłużnie podsunęła obraz mężczyzny walczącego w obronie jej czci i życia. Rzuciła się na kolana. W jednym momencie z przerażonej, zagubionej w lesie dziewczyny stała się lekarzem pogotowia ratunkowego. Przyłożyła palce do tętnicy szyjnej. Tętno było ledwie wyczuwalne, ale było. Trzeba przemyć rany. Woda, skąd ja wezmę wodę?!

Przy ognisku poniewierały się plecaki bandziorów, do jednego z nich przytroczona była manierka. Dziewczyna odkręciła korek, pociągnęła spory łyk i aż przysiadła, usiłując złapać oddech.

- Jezu! Co oni tu piją?! - wychrypiąła, otarła nos rękawem i pokiwała z uznaniem głową. To lepsze od wody.

Zdjęła poszarpaną suknię i w samej halce, pomagając sobie zębami, poczęła drzeć materiał na pasy. Uzbrojona w prowizoryczne bandaże nasączone tym czymś, starła krew z czoła mężczyzny. Po chwili w pełgającym świetle ognia ujrzała chmurną, przystojną twarz. Na wpeł przymknięte powieki drgały lekko. Czarne rzęsy rzucały na policzki długie cienie. Pełne wargi poruszały się, jakby chciały coś powiedzieć. Kilkudniowy zarost dodawał obliczu męskości i... surowości? Karolina delikatnie ujęła jego głowę, zabandażowała sprawnie, by po chwili zająć się ramieniem.

Lewy rękaw przesiąknięty był lepka ciecżą. Rozdarła materiał, odsłaniając głęboką ranę. Pokręciła głową: Nieciekawie to wygląda. Jeśli nie powstrzyma krwawienia, człowiek umrze do rana. Czym by to zszyć? Przeszukała plecaki bandytów, ale zestawu chirurgicznego nie znalazła. Znała jeszcze jedną metodę... Karolina aż wstrząsnęła się na samą myśl, że musi ją zastosować.

- Albo weźmiesz się w garść, albo pacjent ci zemrze - rzekła do siebie, zdecydowanym ruchem oderwała kawałek sukni i przetała paskudnym samogonem ostrze sztyletu. Przyklęła przy ognisku. Zbierając się w sobie, czekała, aż stal rozzarzy się do czerwoności. Będzie bolało. I to bardzo!

Nie dam rady... Weź się w garść, kobieto, jesteś lekarzem! Podkasła halkę i siadła okrakiem na klatce piersiowej mężczyzny, unieruchamiając mu ręce. Powieki rannego zadrżały.

- Nie, nie - pokręciła głową - nie chciałbyś się teraz obudzić. - Wzięła głęboki oddech i przytknęła rozpalone ostrze do rany.

W następnej sekundzie to ona leżała rozciągnięta na ziemi, a on klęczał na niej. W półprzytomnych oczach miał żądzę mordy. Ranne ramię trzymał odwiedzione, jak ptak zwichnięte skrzydło, za to drugą, zdrową dłoń, zaciskał na krtani Karoliny.

- Ty wy włóko - wychrypiał rwącym się głosem - ja ci życie ratowałem, a ty tak się odwdzięczasz?

- Wy... wy... - Wbiła paznokcie w dłoń mężczyzny. - Wykrwawiłbyś się! - zdołała wykrztusić.

- Jesteś Leczącą! - krzyknął, potrząsając nią. - I rozpalonym żelazem mnie traktujesz?!

- Nie znalazłam nici...

- Po co Leczącej nici? Wystarczy przyłożyć dłoń!

Chwytał Karolinę za nadgarstek i zmusił, by rozprostowała palce, po czym, krzywiąc się z bólu, przytknął wnętrze dłoni do rany. Dziewczyna uniosła tylko brwi. Oficer czekał parę sekund, nie wiadomo na co.

- Użyj mocy! - nakazał.

- Jakiej mocy?! Nie jestem Lukę Skywalker!

- Jesteś Leczącą, nosisz Znak - powtórzył z uporem.

- Co ty bredzisz, człowieku?! Jaki znak?!

- Dwa czarne węże. Znak Leczącej.

- Gdzie? - Oczy dziewczyny zogniły.

- Na czole.

- Naprawdę? - Zrobiła zeza, próbując dojrzeć ów Znak, co było oczywiście niemożliwe.

Do Amrego dotarła nagle okrutna prawda: nie dość, że wiedźma straciła moc, to najwyraźniej i pamięć. Odrzucił ze złością jej drobną dłoń.

- Taka z ciebie Lecząca jak ze mnie kyrie - skrzywił się i zrezygnowany usiadł przy ognisku.

- Daj mi dobrą igłę i dexion 3/0, a założę taki szew, że nawet śladu nie będzie - wycodziła i potarła czoło ręką, z nadzieją, że tajemniczy Znak zniknie.

- Zostawcie, pani. - Przytrzymał ją za rękę. - Zapewnia wam nietykalność.

- Taaak. Już dwukrotnie miałam tego dowody. - Wymownie roztarła obolałe gardło. - Znak, nie znak, muszę przypalić ranę, wciąż krwawi. Proszę wypić. - Wcisnęła mu do ręki manierkę. Przyssał się chciwie, aż musiała ją wyrwać. - Ma się pan upić, a nie zabić.

- Nie mówcie do mnie „pan”, to nie uchodzi.

- To wy nie mówcie do mnie „wy”. Jestem Ka... - Własne imię utknęło jej w gardle. Temu mężczyźnie zapragnęła się przedstawić tym tajemnym: - Anaela. Jestem Anaela.

- Anaela? - Spojrzał na gwiazdę świecącą tuż nad ich głowami. Karolina nie zwróciła na to uwagi.

- Proszę się położyć - rzekła stanowczo.

Klnąc pod nosem, spełnił jej polecenie. Przyglądając się ponuro, jak rozgrzewa sztylet do czerwoności, sięgnął po miecz i podał go rękojęścią dziewczynie. Uniosła brwi.

- Ogłuszcie mnie chociaż.

Pokręciła głową.

- Nie dam rady. Przykro mi.

Rozejrzała się, podniosła pas jednego z bandytów i podetknęła oficerowi do ust: posłusznie zacisnął zęby na kawałku cuchnącej skóry.

Drżącą ręką ujęła sztylet i ponownie unieruchomiła oficera własnym ciałem. „Już?” - zapytała spojrzeniem. Kiwnął głową. Gdy przytknęła metal do jego ramienia, szarpnął się jak w agonii, by po chwili zwiotczeć. Karolina zaś z chirurgiczną dokładnością dokończyła dzieła, po czym odpełzła na bok i zwymiotowała. Woń przypalanego mięsa, a może świadomość, że zadaje mężczyźnie potworny ból, była nie do zniesienia. Dopiero po dwóch łykach żrącej cieczy z manierki zdobyła się na wysiłek, narąbała jeszcze trochę gałęzi, nie zważając na cichy protest:

- L-leddi, nie moim mieczem. To Cz-czarny Tytanian.

Czarny czy biały, wzruszyła ramionami, grunt, że ostry, i dorzuciła drew do ogniska. Niemal mdlejąc z wysiłku, przeciągnęła rannego na płaszcz, zdarty z leżącego najbliżej trupa, położyła się obok i okryła i jego, i siebie kocem znalezionym przy siodle. Wsłuchiwała się przez kilka chwil w chrapliwy, urywany oddech.

- Będziesz żył. Chyba... - To była jej ostatnia myśl.

Oddech, szybki i spazmatyczny, jak po zbyt długim zanurzeniu. Splątane myśli, urwane obrazy. I ból. Ból w każdej komórce ciała. Amre z trudem uchylił opuchnięte powieki. Przekręcił głowę na bok. Mrok przedświt zalegał polaną. Chciał wstać, ale odrętwiałe ze zmęczenia i wilgoci ciało nie usłuchało. Zacisnął zęby i dopiero wtedy poczuł, że prawą rękę przyciska coś ciężkiego. I ciepłego. Obrócił głowę.

Szczupłe ramię, nieosłonięte rozdartym rękawem, bieląło pośród morza ognistych, wijących się włosów. Drobną dłoń wplotła się w jego szorstkie palce.

- A ta tutaj - mruknął.

Dziewczyna jęknęła przez sen. Poruszyła się. Naderwana halka rozsunęła się, ukazując zagięcie kolana. Odwrócił wzrok, uwolnił ramię. Jęknęła cicho i przewróciła się na drugi bok, ku Amremu. W bladym świetle przedświtu mógł się jej bezkarnie przyjrzeć.

Włosy niespotykanego koloru, s m o c z e g o koloru, rozsypały się na mchu, odsłaniając drobną twarz. Prawdopodobnie ładną twarz, którą teraz „zdobił” wielki siniec i spuchnięta warga. Na szyi kruchej jak u pisklęcia miała ślady po palcach Amrego. No tak, próbował udusić bezbronną dziewczynę.

Hej, chłopie, mięknieś na starość - zachnął się w duszy. - To nie żadna dziewczyna, to wiedźma!

Pokręcił głową, odsunął się na bezpieczną odległość i pociągnął spory łyk z manierki. Jaka tam z niej wiedźma. Niby Lecząca, a nie obroniła się przed bandziorami. Potem trwała przy nim, swym śmiertelnym wrogu, chociaż każda inna na jej miejscu z przyjemnością poderznęłaby mu gardło i uciekła na skradzionym koniu. Głupia kobieta.

Pochylił się, przykrył ją płaszczem i wbrew sobie dotknął tych niesamowitych włosów. Co za pomysł, narzucać na siebie taka iluzję? Cofnął dłoń i napotkał czujne spojrzenie złotozielonych źrenic.

Zastanawiał się przez moment, czy ma zostać i zabawić nieznajomą konwersacją, czy też dosiąść Asty i zniknąć, nim nieznajoma poczęstuje go czerwoną błyskawicą, gdy pierwszy promień słońca padł na twarz dziewczyny. Przymknęła powieki, by nagle otworzyć oczy je w niebotycznym zdumieniu. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Patrzyła na słońce. Na wschodzące właśnie, czerwone słońce Boga Upadłych. I na drugie, podążające w ślad za czerwonym, poświęcone Bogini Primei.

- To nie jest Australia - wyszeptwała.

Wyraz jej twarzy i czający się na dniu oczu obłęd zmroziły oficera.

- Leddi! - Potrząsnął nią. Nie wydała z siebie głosu, ale całe ciało było jednym wielkim krzykiem. - Pani, co wam?!

Nie widziała go. Nie słyszała. Uderzył ją w twarz.

Spojrzała nań jak człowiek budzący się z koszmarne snu. Podniosła omdlewającą dłoń i przytknęła do piekącego policzka. W pociemniałych źrenicach malowały się teraz udręka i strach. I błaganie. Tak niepasujące do czarownicy. Dotknął wierzchem dłoni policzka Leczącej, ścierając łzę, i to - ten drobny ciepły gest - wyzwoliło w Karolinie wszystkie uczucia, odpychane siłą woli przez ostatnie godziny. Łkanie przeszło w rozpaczliwy, rozrywający piersi szloch...

Amre oniemiał. Nie pamiętał, by kiedykolwiek widział płaczącą kobietę, nie mówiąc już o dumnych i wyniosłych Alderiankach, które nawet w obliczu Wielkiego Mistrza zachowywały się z miażdżącą pogardą. Nie bardzo wiedząc, jak ma się w tej sytuacji zachować, przytulił dziewczynę jedną ręką do siebie, drugą zaczął niezgrabnie gładzić po głowie.

- No już dobrze, nie płaczcie, moja pani - mrucał, czując się coraz bardziej niezręcznie, ale ona łkała tak rozpaczliwie, jakby nie zamierzała nigdy przestać.

Gładził splątane włosy, głaskał i poklepywał drżące plecy tak, jakby głaskał i uspokajał spłoszoną klacz. A właśnie, Asta pasła się nieopodal. Nagła myśl sprawiła, że Amre uśmiechnął się do siebie: nic tak nie poprawia humoru kobiecie jak nowe odzienie. Na ciche polecenie zwierzę podeszło i położyło się. Sięgnął wolną ręką do juków, wyciągnął z sakwy zawiniątko i podetknął je Leczącej pod nos. Przyjęła odruchowo i wysmarkała się. Amre aż sapnął z oburzenia: jego oficerska kurta!

- Przepraszam - szepnęła ze skruchą i rozwinęła podarunek. Czarna koszula! Czysta, no, teraz prawie czysta, pachnąca lasem i dymem z ogniska. Z dwoma srebrnymi wilkami na kołnierzyku. Dziewczyna pogładziła z podziwem naszywki i uśmiechnęła się do Amrego nieśmiało, z wdzięcznością, a uśmiech rozświetlił ją od wewnątrz. Mimo że obdarta, brudna i posiniaczona, nagle wypiękniała.

- To nie jest Australia, prawda? - W jej głosie tliła się jeszcze absurdalna iskierka nadziei.

- Nie, pani, to nie jest... - Amre zmarszczył brwi. - Australia. To kurta Wilczego Zwiadu - dokończył z przekonaniem.

Iskra nadziei zgasła. Zgasł delikatny, dziewczęcy uśmiech. Przycisnęła do piersi podarunek i przygarbiona, jakby nagle przybyło jej lat, znikła w zaroślach. Amre patrzył za nią przez chwilę. Kręcąc głową, sięgnął ponownie do juków, szukając woreczka z ziołami. Znajomy zapach zakręcił go w nosie. Liść liniusa. Wsunął ziele do ust i zaczął żuć. W tym momencie Lecząca wróciła odziana w za dużą bluzę, sięgającą nagich, podrapanych kolan, a on musiał się uśmiechnąć.

- Wyglądam jak dziecko wojny, no nie? - Dziewczyna zdobyła się na żart, ale zamiast uśmiechu skrzywiła się, dotykając sinego policzka.

- Boli? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, podał Leczącej woreczek z liniusem.

- Co to? Trucizna?

- Zioła na zakażenie. A te tutaj są na gorączkę. - Wskazał niewielkie zawiniątko przytroczone do juków. - No, czas ruszać, nim mnie zmoże. Odwiozę was, pani, do najbliższej wsi.

Wsparł się na zdrowej ręce, przygryzł wargi z bólu. Podparła go i nagle westchnęła z zachwytem, patrząc gdzieś ponad głowę. Amrego: na skraju polany, nieruchomy niczym posąg wyciosany w czarnym kamieniu, stał potężny ogier i wpatrywał się w nich wielkimi, szafirowymi oczyma.

Oficer wyprostował się. Ogier patrzył teraz na niego, a Karolinie przemknęło przez myśl, że nigdy nie widziała takiej inteligencji w spojrzeniu zwierzęcia.

- Proszę, proszę, Saris - rzekł cicho Amre. Ogier kiwnął głową, jakby przytakiwał słowom mężczyzny. - Więc teraz, po zdradzie Wybranego, służysz - zawiesił głos - TEJ Leddi?

„TA Leddi” stanęła obok.

- Boże, co za cudo. W życiu nie widziałam tak wspaniałego konia - szepnęła, podchodząc bliżej.

- To nie koń. To Cień - sprostował Amre z niezrozumiałą dla Karoliny niechęcią.

- Mogę pogłaskać?

- Jego pytaj. - Oficer skrzywił się ironicznie. - Zabierasz ją, Saris, czy dajesz jedynie do zrozumienia, pod czyją jest opieką?

Ogier oczywiście nie odpowiedział. Zrobił krok w tył i rozplynął się w mroku lasu.

- Zrozumiałem - skwitował z przekąsem Amre.

- Co to było? - wyszeptwała dziewczyna, patrząc w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał ogier. - Duch konia?

- Cień Konia, jeśli już. - Amre nie był skory do wyjaśnień. Spotkanie z Sarisem nie dość, że nie wróżyło niczego dobrego, to przywołało niechciane wspomnienia. Gwizdnął na Astę.

- Tego konia? - dopytywała się dziewczyna, patrząc, jak gniada klacz podchodzi posłusznie.

- Nie. - Musiał się uśmiechnąć. - Asta to na szczęście zwykły koń. Ma zwykły cień.

Klacz na polecenie pana przyklęła, by łatwiej było rannemu jej dosiąść. Skinął na dziewczynę. Siadając przed nim, nieopatrznie wpiła oficerowi palce w lewe ramię. Zaciśnięte zęby, by nie zawyc z bólu. Tak, jest ranny, za parę godzin powróci gorączka. Musi się pospieszyć. Odstawić Leczącą do opłotków i uciec, póki może utrzymać się w siodle. W przeciwnym razie będzie miał szczęście, jeżeli Alderiańczycy powieszą go od razu bez wymyślnych tortur, przygotowanych specjalnie dla oficera znieawidzonej Darrakii.

Cmoknął. Asta ruszyła żwawym stępem po szerokiej leśnej drodze. Na zachód.

- Nie jesteście z Alderii, pani? - raczej stwierdził, niż zapytał.

Pokręciła głową, znów przygaszona.

- Nawet nie z tej... - chciała powiedzieć „planety”, ale nie mieli w tutejszym słowniku takiego wyrażenia. - Nawet nie z tego świata. Ale całkiem tutaj ładnie - dodała, patrząc w górę na niebosiężne korony tysiącletnich meandrowców. - I dwa słońca macie. - Obejrzała się zdumiona. Napotkała równie zdziwione spojrzenie oficera i spróbowała się uśmiechnąć. W tym momencie koń poderwał głowę i parsknął cicho.

Biały nietoperz bezszelestnie zatoczył koło nad ich głowami i przysiadł na szyi klaczy, wczepiając się pazurkami w grzywę. Podał łapkę, do której przytroczona była mosiężna tulejka. Karolina uniosła brwi.

- To posłaniec - wyjaśnił Amre, ujął ostrożnie tulejkę, wyjął karteczkę, przeczytał parę skreślonych słów i twarz mu stężała.

- Dobre wiadomości czy złe? - zapytała nieśmiało.

Oficer przeniósł spojrzenie z posłańca na niczego niepodejrzewającą dziewczynę. „Odnaleźć i doprowadzić”. To jej dotyczył rozkaz. „Czarny kod” - zaciążył w dłoni medalion z kodem pozwalającym bezkarnie zabijać każdego, kto stanie na drodze, czy swojego, czy wroga. „Z rozkazu Sellinarisa WeddSa’arda, Władcy Darrakii”.

- Dass’ratt! - zaklął i szarpnięciem za wodze zawrócił konia.

Dziewczyna spojrzała pytająco, ale nie zaprotestowała. I ten dowód zaufania sprawił Amremu fizyczny wręcz ból. Musi ją oddać, taką bezbronną i niczego nieświadomą, w ręce swego pana. Opatrzyła jego rany i została przy nim, zamiast uciekać. Widziała w nim przyjaciela, nie wroga - chyba nie zdawała sobie nawet sprawy, że są wrogami - i teraz on, Amre Shanon, oficer Wilczego Zwiadu, powiedzie ją prosto w objęcia śmierci. Niełatwej śmierci.

Poczuł się jak parszywy zdrajca. Wbił pięty w bok konia. Przestraszona klacz zerwała się do galopu. Karolina o mało nie spadła.

- Zwolnij! - krzyknęła, chwytając się łęku siodła. - Oszalałeś?!

Ale mężczyzna nie słuchał. Z zaciśniętymi zębami, blady jak śmierć ponaglał konia do szybszego biegu. Bandaże zaczęły przesiąkać krwią.

- Jesteś ranny, do cholery! Zatrzymaj się!!! - krzyknęła i... w ostatniej sekundzie pochyliła głowę... Zwisająca nisko gałąź zmiotła oficera z siodła. Spadł ciężko na ziemię.

Karolina sięgnęła do wodzy i szarpnęła ku sobie. Nim koń zatrzymał się na dobre, zsunęła się na ziemię i podbiegła do rannego. Odwróciła bezwładne ciało na wznak i chciała oficera zwymyślać, ale słowa uwięzły jej w gardle. Nie miejsce i pora na wymówki. Pieczołowicie opatrzone rany się otwarły, życie wybawcy ponownie stanęło pod znakiem

zapytania. Uniosła głowę mężczyzny, złożyła na kolanach i próbując powstrzymać łzy, zaczęła odwijać przesiąknięty krwią bandaż.

Pieprzony szaleńcze, nie pozwolę ci umrzeć w tym cholernym lesie! Nie zostanę sama!

Mężczyzna otworzył oczy i wpatrywał się przez chwilę w pochyloną nad nim twarz.

- Weź konia - szepnął. - Jedź na zachód.

Nadludzkim wysiłkiem, dzięki Aście, która zechciała się położyć, Karolina wciągnęła nieprzytomnego na koński grzbiet. Łapała oddech, oparta czołem o siodło, gdy koń parsknął ostrzegawczo.

Na ścieżce, tam gdzie jeszcze chwilę wcześniej nie było nic, a przynajmniej nic godnego uwagi, stał wysoki mężczyzna o niezwyklej, nieludzkiej wprost urodzie.

Rozdział III

REIKAN

Niesamowity był sposób, w jaki się pojawił - tak nagle i bezszelestnie - i w jaki potem wtopił się w ten świat, równie naturalnie jak otaczające go drzewa i krzewy... Spokój i godność emanowały z całej postaci nieznanego.

Jego długie, szare jak zmierzch włosy rozsypane były w nieładzie. Pojedyncze pasma wpadały za kołnierz, obejmowały szyję i spływały po ramionach. Diadem przytrzymujący je nad czołem połyskiwał w świetle wschodzących słońc: misternie splecione nici otaczały przejrzysty, ciemnozielony kamień w kształcie łzy. W szczupłej twarzy o regularnych, szlachetnych rysach dominowały oczy: wielkie, migdałokształtne, lśniące. Tęczówki przypominały szlachetne kamienie w oprawie ciemnych, aksamitnych rzęs. Ich kolor zdawał się zmieniać: zieleń roztopiała się w czerni, to znów rozbłyskiwała jaśniejszym refleksem. Smukła sylwetka odziana była w aksamitny zielony kaftan i o ton ciemniejsze spodnie. Płaszcz, spięty rzeźbioną klamrą, spoczywał trochę na bakier: miękka materia zakrywała jedno ramię, odsłaniając drugie. Całości dopełniały wysokie buty z cholewami, przerzucony przez plecy łuk, kołczan ze strzałami, których szare brzechwy wystawały znad ramienia, i przypasany do boku miecz.

Karolina napotkała zielone spojrzenie przybysza. Wrażenie było niesamowite - jakby przez dwa ogromne okna zajrzała w głąb innego świata. Po chwili kontakt urwał się, pozostawiając dziewczynę pozbawioną tchu, z jednym, jedynym słowem kołaczącym w umyśle: Elf! Czy to możliwe, by ujrzała właśnie elfa?!

Reikan dell'Soll, Wielki Książę Ferrinu, był - a rzadko to mu się zdarzało - zaskoczony, by nie rzec, skonsternowany.

Wysłano go po Wybraną. Gnał przez Las Tysiąca, prowadzony chybottliwym płomieniem jej aury, gotów na spotkanie niezwyklej istoty. Spodziewał się czarodziejki z innego Wymiaru, kobiety dumnej i wyniosłej, gotowej ponieść ofiarę i dopełnić przeznaczenia. Wiedział, że przybyła jest „dziwna” - tym słowem określił ją Saris. Miała prawo do

ekstrawagancji: była przecież Tą Jedyłą. Miała prawo narzucić sobie iluzję choćby nawet Najwyższej Kapłanki. Miała prawo wykorzystać jako przewodnika samego Saetina, nie mówiąc o darrakijskim zwiadowcy, ale, na bogów...! - Reikan z niedowierzaniem wpatrywał się w obitą, brudną, bosonogą istotę odzianą w coś, co na pewno nie było suknią szlachetnie urodzonej, i po raz pierwszy w życiu zwątpił w swego ojca. Czy aby na pewno miał przed sobą Pierwszą?! I skąd pomysł włosów takiego koloru? Przecież kyrie, półsmoki, były najbardziej pogardzanymi istotami w całym Świecie Światów!

Zafascynowany i zdumiony chciał dotknąć końcami palców kasztanowego kosmyka i przyjrzeć mu się z bliska, bo nie wyczuł ni śladu magii, ale nie śmiał. Zajrzał za to w szeroko otwarte oczy Leczącej. Źrenice miała okrągłe, nie pionowe jak gad. Reikanowi przemknęło przez myśl, że ktoś mocno się napracował nad wyglądem tej dziewczyny, próbując ukryć jej pochodzenie. Ale zaraz zaprzeczył sam sobie: nie było na tym świecie nikogo aż tak zdolnego. Już nie było. Otrząsnął się z zaskoczenia. Skłonił lekko.

- Masz dużo szczęścia, Leddi. Zdążyłem, nim ten darrakijski pies zdołał cię skrzywdzić. Chodźmy.

Karolina spodziewała się różnych słów na powitanie, ale nie takich! Gdy elf wyciągnął do niej dłoń, cofnęła się w popłochu.

- Amre! - zaszeptała gorączkowo, szarpiąc oficera za nogawkę. - Amre!!!

Na dźwięk tego imienia elf drgnął, spojrzał uważnie w obandażowaną twarz porucznika i dał znak dłonią. Zza drzew wyłoniło się pięć smukłych postaci z napiętymi łukami, wymierzonymi w oficera. Amre siłą woli wyprostował się w siodle. Jego wzrok spoczął na jasnowłosym elfie. Mierzyli się chwilę spojrzeniem, w którym nie było sympatii.

- Twemu panu zabrakło rozrywek, Shanon? - odezwał się elf. - A ty jemu owych dostarczasz?

Amre zsunął się na ziemię, niepomny na złowróźbny jęk napinanych cięciw, i zripostował:

- Od kiedy to Wielki Książę ugania się po lasach za kobietami? Dekret o czystości rasy już nie obowiązuje?

Jasnowłosy nie dał się sprowokować.

- Tobie daruję życie, Shanon, przez wzgląd na dawne czasy. Leddi uda się z nami.

Ponownie wyciągnął do Karoliny rękę, ale ona nie myślała udawać się dokądkolwiek. Schowała się za plecami oficera, a Amre rzekł dobitnie:

- Ona jedzie ze mną z własnej nieprzymuszonej woli.

Elf się zachnął:

- *Leddi, nelle sellin'e en'eallis' de WeddSa'ard?*

Karolina drgnęła. Pytanie, czy dobrowolnie jedzie do wedsaarda, było zrozumiałe, nie rozumiała tylko, co to jest ten wedsaard. O co nie omieszka zapytać:

- *All n'es' nella, enn wedsaard es't, elle sellin'a eneallis'* - ale jechała dobrowolnie, co też powiedziała. Prawdopodobnie w języku elfów. Skąd znała i to narzecze, pozostawało dla Karoliny zagadką.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była wręcz namacalna. Wszyscy, łącznie z Amrem i Astą, patrzyli na nią z niedowierzaniem. W całym Świecie Światów nie było nikogo, kto nie znałby imienia Władcy Darrakii, a tym bardziej dobrowolnie się do niego udawał. Nie było nikogo takiego. Aż do teraz.

Elf, tytułowany przez Amrego księciem, pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia. Skonstatował, iż po ciosie w twarz - siniec i rozcięta warga dobitnie świadczyły o tym, jak darrakijscy oficerowie przestrzegają Konwencji Wojennej - Leddi musiała stracić pamięć. Należało Shanonowi o Konwencji przypomnieć:

- Podniesienie ręki na Leczącą karane jest śmiercią.

Porucznik nie wahał się ani chwili:

- Stawaj! - warknął, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Oszalałeś?! Ledwo trzymasz się na nogach!!! - Karolina, chcąc go powstrzymać, wpiła palce w bark oficera.

Rana zapłonęła ogniem. Pociemniało mu w oczach i wsparł się na ramieniu dziewczyny, żeby nie upaść. Rzeczywiście ledwo trzymał się na nogach. Przygryzł wargi aż do krwi - tego jeszcze brakowało, by dał tamtemu pokaz słabości - i odepchnął Leczącą od siebie. Nie miał wprawdzie najmniejszych szans w walce z elfem, jednym, nie mówiąc już o szóstce, ale przynajmniej ocali honor. No i nie będzie musiał stawać przed swoim panem ani z branką, ani bez niej. Tak, ta walka to wcale niezłe rozwiązanie.

Książę obrzucił Shanona uważnym spojrzeniem.

Nigdy nie lekcewał przeciwnika - to była jedna z pierwszych zasad, które wpoił mu starszy brat. Ale ten przeciwnik był w wyjątkowo kiepskim stanie. Nie wypada męczyć rannego dłuższą potyczką. Należy go ściąć jednym ciosem. Zabijaj szybko i bezboleśnie - to była druga zasada. Czekał tylko, aż Darrakijczyk wykona pierwszy ruch. Ten uniósł zapraszająco klingę. I wtedy Lecząca wpadła między nich.

- O nie! Nie będziecie znowu się wyrzynać! Nie wytrzymam tego! - W jej głosie zabrzmiała histeria.

Była bardzo drobna, musiała zadzierać głowę, by spojrzeć im w oczy, a jednak Reikan nie śmiałby jej lekceważyć. Znał możliwości Leczących i wolał nie prowokować użycia mocy przez tu obecną.

- Leddi - zwrócił się do niej łagodnie - on wiozł cię na męki i śmierć. Wiedziałaś o tym, pani? Powiedziałaś jej o tym, oficerze?

Amre zacisnął usta.

- Taki dostałem rozkaz. Zaczynaj!

- Dobrze, nie traćmy czasu - odrzekł księżę.

Nie spuszczać wzroku z Darrakijczyka, zauważył kątem oka, jak Lecząca podnosi rękę. Zareagował odruchowo: pchnął energię wnętrzem dłoni prosto w jej splot słoneczny. Lecząca zachłysnęła się powietrzem, zgięła w pół i zaczęła osuwać się na ziemię. Amre pochwycił ją, nim upadła, posyłając Reikanowi nienawistne spojrzenie.

- To dla was, elfów, typowe: po trupach do celu. Nawet jeśli na drodze stanie chroniona konwencją Lecząca, która straciła moc. Bezbronna jak dziecko.

Pochylił się nad dziewczyną, spuszczać na moment przeciwnika z oczu... Swój błąd pojął dopiero wtedy, gdy jego skronie znalazły się w silnym uścisku elfich dłoni. Księżę, przełamując opór oficera, zmusił go do odwrócenia głowy w swoją stronę, a gdy ich oczy się spotkały...

Niesamowite spojrzenie wbiło się przez źrenice zwiadowcy wprost do mózgu. Wrażenie obecności obcego umysłu we własnym było porażające. Bardziej jednak przerażała całkowita niemoc przeciwstawienia się intruzowi. Przez ciało oficera przetoczyła się fala paniki: byłby niechybnie rzucił się do ucieczki - pal licha honor - gdyby nie to, że nie mógł kiwnąć palcem. Nie mógł nawet krzyżeć, choć chciał krzyżeć tak głośno, żeby popękały mu bębniaki w uszach, żeby zadający natarczywe pytania szeptały w jego głowie zamilkły. Nagle ucisk zelżał, obcy się wycofał. Panika dławiąca gardło zaczęła ustępować. Elf opuścił ręce.

Reikan ponownie miał kompletny zamęt w głowie.

Z Shanonem byli kwita: Ferrin zdradził Amrego, Amre przeszedł na stronę WeddSa'arda. Rozumiał, dlaczego ten dumny, honorowy porucznik, jego dawny druh, próbuje wprowadzić Nietykalaną; taki dostał rozkaz, a Reikan wiedział, co to rozkaz.

Dlaczego jednak sama Leddi upierała się, by stać u boku darrakijskiego oficera? Przybyła tutaj, by dopełnić Przepowiedni i nie było w tej Przepowiedni słowa o ratowaniu Darrakii!

Z pamięci zwiadowcy wyluskał każde wspomnienie o czarodziejce. Wszystkie zdarzenia od momentu spotkania tych dwojga na polanie. I mimo to nie wiedział na jej temat więcej niż

parę minut wcześniej. Oprócz potwierdzenia słów oficera, że czarodziejka postradała moc. Jak Lecząca może utracić magiczne zdolności?! Zachowanie zwiadowcy też było zupełnie niezrozumiałe: w obronie „alderiańskiej wiedźmy” wyciął czwórkę swoich! Co opętało tych dwoje?

A może to Las Tysiąca tak na nich wpływał? Na czarodziejkę z innego Wymiaru, na Darrakijczyka, który wyłuskał z siebie kilka ludzkich odruchów, na deztererów, którzy nigdy nie powinni byli podnieść ręki ani na oficera, ani na Nietykalną, wreszcie na niego - na Reikana, szlachetnego elfiego księcia, który przed chwilą miał szczerą chęć nie tyle walczyć, ile dokonać egzekucji na rannym przeciwniku. Podniósł głowę, ogarniając Las Tysiąca długim spojrzeniem. W tym spojrzeniu był respekt.

Tymczasem Amre, drząc niczym liść liniusa, rozglądał się jak człowiek wyłowiony z głębokiej studni. Zajął chwilę, zanim zdołał zogniskować wzrok na przeciwniku. Napotkawszy to samo przenikliwe spojrzenie, zadrzał, skulił się - on, Wilczy Zwiadowca - i schował głowę w ramionach.

Reikan nie zwracał już na niego uwagi, pochylony nad Leczącą. Znacznie delikatniej, niż zrobił to z Shanonem, wszedł w umysł czarodziejki, by po chwili cofnąć gwałtownie ręce: drzemiąca w trzewiach dziewczyny moc smagnęła intruza ogniem.

- Nie taka znowu bezbronna - mruknął do siebie, rozcierając poparzone dłonie.

Karolina wracała do świata rzeczywistego. Leniwie, by nie rzec - niechętnie. Przypomniała sobie senne majaki o okrutnych i pięknych jasnowłosych istotach. O, właśnie jedna z tych istot pochyła się nad nią. Karolina odruchowo zasłoniła twarz przedramieniem, oczekując następnego uderzenia. W tym świecie co chwila ktoś podnosił na nią rękę. Ku zaskoczeniu dziewczyny elf pomógł jej wstać.

- Wybacz mi, Leddi. Myślałem, że chcesz uderzyć mocą - usłyszała. Co oni z tą mocą?! - Jestem Reikan dell'Soll. Pragnę, byś udała się ze mną w gościnne i bezpieczne progi Ferrinu.

Ferrin! Karolina pokręciła z niedowierzaniem głową, jej twarz rozjaśnił niepewny uśmiech. A jednak. Czyżby przeniosła się tam, gdzie zawsze pragnęła się znaleźć?

„Ferrin na ciebie czeka”. Amarilla mówiła prawdę. Zaraz, zaraz: Amarilla dell'Soll i Reikan dell'Soll?

- Kim jest Amarilla dell'Soll?

- Była. Moją matką - odparł Reikan zaskoczony.

Moją również, przemknęło Karolinie przez myśl.

- Znałaś, pani, moją matkę?

Nie odpowiedziała, bo jej spojrzenie spoczęło właśnie na skulonym, wstrząsanym dreszczami oficerze. Otworzyła szeroko oczy, w których tym razem zagościł gniew.

- I to Amarilla uczyła pana torturować bezbronno jeńca?

Reikan obejrzał się przez ramię.

- Po elfich torturach wyglądałby znacznie gorzej - rzucił obojętnie. - Za chwilę dojdzie do siebie. Teraz, Leddi, musimy ruszać. - Ujął ją za ramię.

Karolina się szarpnęła.

- Nie ma mowy! Nie zostawię rannego!

- Leddi, nie możesz.

- Mogę! Proszę mnie puścić!

Elf zmrużył na moment zielone oczy, co nadało jego twarzy surowy wyraz. Podjął jednak cierpliwie:

- Nie możesz, pani, zostać sama w Lesie, ścigana przez jemu podobnych - wskazał na Amrego. - Pod wątpliwą opieką Darrakijczyka również cię nie zostawię. Shanon dostał rozkaz: odnaleźć i przywieźć. Żywą i nietkniętą. Gdyby nie ów rozkaz, pewnie przyłączyłby się do kompanów.

- Rozkaz? Jaki rozkaz? Ale... - zawahała się, przypominając sobie białego nietoperza i nagłą zmianę kierunku jazdy.

- Ale co? Dał ci jeść? Ubrał cię? Myślisz, że to z sympatii? To wróg, na bogów, twój śmiertelny wróg! Z przyjemnością powiodłby cię za koniem na postronku, gdyby nie wyraźne polecenie WeddSa'arda: „Dostarczyć żywą i nietkniętą”. Twój wybawiciel nie ma w sobie ludzkich uczuć.

Karolina spojrzała błagalnie na Amrego, lecz porucznik nie próbował zaprzeczać. Bądź co bądź przeklęty elf miał rację. No, może prócz tego przyłączenia się do kompanów i wleczenia za koniem na postronku. I braku ludzkich uczuć. Cóż zresztą o ludzkich uczuciach może wiedzieć nieczłowiek? Amre skrzywił się ironicznie, ale nie rzekł nic.

Pełną napięcia ciszę przerwał konny, zatrzymując się kilka kroków przed księciem:

- Wasza Wysokość, gończe psy Darrakii od północy, Alderiańczycy od wschodu - zameldował. - Czarnych prowadzi sam WeddSa'ard.

Na bogów, WeddSa'ard?! Co za Saetin go tu przywiódł?!

Reikan milczał długą chwilę.

- Próbowałbym przebić się przez Darrakijczyków i wyjść na południu, ale z Leczącą i jej złotą aurą, która płonie wśród błękitu Lasu jak pochodnia, nie mamy szans.

Skinął na jednego z towarzyszy.

- Sorell, przywiąż jeńca do drzewa! - rozkazał.

Ten pchnął Amrego w kierunku pnia i zaczął pętać wykręczone do tyłu ręce.

- Co pan robi?! - Karolina dopadła do Reikana. - Nie możemy zostawić tak tego człowieka! On umrze!

Książę podniósł dłoń, uciszając jej protesty.

- Leddi, nadjeżdżają Darrakijczycy. Już wiesz, że to gwałciciele i mordercy. Ten zaś, który ich prowadzi, Sellinaris WeddSa'ard, jest najgorszym z nich. Szczęściem będzie, jeśli uda nam się umknąć.

- Jako lekarz mam obowiązek.

- Jeszcze słowo - syknął Reikan - i pozbawię cię tego obowiązku.

- Jedź z nimi! - warknął Amre.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jesteś ranny, zostanę.

Reikan dobył broni w ułamku sekundy. Ciął płasko, celując w szyję oficera. Dziewczyna odruchowo wyciągnęła rękę, a ostrze miecza...

...odbiło się od niej.

Reikan ze świstem wypuścił powietrze. Amre wsparł się plecami o pień drzewa, bo byłby upadł. Karolina w szoku podniosła dłoń do oczu, szukając śladów krwi. Gdzie tam krwi - powinna stracić dłoń! - ale na skórze nie było nawet draśnięcia.

Podniosła pociemniałe ze zgrozy oczy na niedoszłego kata.

- Pojadę z panem, tylko proszę go nie zabijać.

Skinał powoli głowę.

Stała przed oficerem. Chciała coś powiedzieć. Podziękować? Przeprzić? Zabrakło słów. Wreszcie zdecydowanym gestem zerwała z szyi ukryty dotąd pod bluzą Amirin, wcisnęła klejnot Amremu w dłoń i szepnęła:

- Pamiętaj o mnie.

Amre zacisnął palce na medalionie. Pragnął zapewnić, że nigdy o niej nie zapomni. Chciał prosić, by została. Chciał wyjaśnić, dlaczego zostać nie powinna. Ale i on nie rzekł nic. Postarał się też, by twarz pozostała bez wyrazu. Gdy odchodziła, odprowadził spojrzeniem drobną postać.

Reikan już miał ruszyć za nią, ale zawahał się, po czym przyłożył dłoń opalizującą leczniczą energią do ramienia zwiadowcy.

- Żebyś mnie lepiej wspominał. - Dłoń zaślniła błękitem, ból zniknął.

- Wspominam cię, księżę - odparł Amre bez śladu wdzięczności w głosie. - Wspominam od chwili, gdy zostawiłeś mnie i resztę swoich ludzi na pastwę kyrieich.

- Ty wiesz, co znaczy rozkaz. - Reikan wskazał wzrokiem dziewczynę, odwrócił się i odszedł.

- Pojedziesz, pani, ze mną, jeśli nie masz nic przeciw temu. Będziemy mieli chwilę czasu na rozmowę.

Karolina prychnęła. Owszem, miała coś przeciwko temu, ale czyż dano jej wybór? Posłała elfowi spojrzenie pełne niechęci, co zniósł z niewzruszonym spokojem. Z gęstwy zarośli wyłonił się ciemny kształt. Srebrna gwiazdka zdobiąca czoło zwierzęcia zalśniła znajomo.

- Hej, Saris. - Dziewczyna uśmiechnęła się mimo wszystko, podeszła do ogiera i wyciągnęła dłoń. - Czy teraz mogę cię pogłaskać?

Ogier posłał Karolinie szafirowe spojrzenie i, niewiarygodne, ale prawdziwe, mrugnął do niej!

- *Na głaskanie przyjdzie pora. Teraz poobijasz sobie pupę o mój grzbiet. Ja to mam szczęście: służyć tak urodziwej, a przy tym niezbyt ciężkiej czarodziejce.*

Przyrzekła sobie niczemu się już nie dziwić, ale to przechodziło wszelkie pojęcie: koń z poczuciem humoru, telepatycznie prawiący komplementy!

- *Jestem Cieniem, nie koniem* - sprostowało zwierzę, mrużąc z dezaprobatą oczy. - *I nie zwierzęciem* - dodało.

- Czyim cieniem? - To intrygowało ją bardziej niż fakt, że ogier najwyraźniej czytał w myślach.

- Widzę, że Saris beztrąsko zdradza swoje tajemnice. - Reikan wszedł między nich. - Miejmy nadzieję, że Leddi zachowa je dla siebie. WeddSa'ard z przyjemnością przelałby krew swojego Cienia, gdyby wiedział, komu teraz służy. - Wbrew sobie wyciągnął dłoń i czule pogładził Sarisa po lśniącej sierści.

- To Saris jest cieniem... WeddSa'arda? - Nic już nie rozumiała. Czyżby tajemniczy WeddSa'ard był... koniem?

- Uparł się ciębie prowadzić, teraz jest więc twoim Cieniem.

- Prowadzić? - wyszeptwała zaskoczona. Bądź co bądź nie każdy ma t a k i cień, i wtedy zrozumiała. I przypomniała sobie ów Głos, który prowadził ją od pierwszych chwil na polanie: to był głos Sarisa.

Umilkła i pozwoliła posadzić się na grzbiecie wierzchowca. Reikan siadł za nią i otoczył ramieniem, a gdy trzymała się w miarę pewnie, Cień wstał.

Amre długie godziny trwał w letargu, czekając na przybycie żołnierzy Darrakii. Kilkakrotnie tracił przytomność. Fale gorączki raz po raz zalewały jego ciało, a rany zdawały się płonąć żywym ogniem. Pod wieczór potworne pragnienie zaczęło wypierać i gorączkę, i ból. On, oficer Wilczego Zwiadu, z jękiem zaczął modlić się o szybką śmierć.

I kiedy po raz kolejny tracił świadomość...

Uderzenie wierzchem dłoni, dłoni uzbrojonej w pierścień, skutecznie go ocuciło. Rąbnął potylicą o pień drzewa, czując piekący ból rozoranego sygnetem policzka. Odważył się podnieść wzrok dopiero wtedy, gdy jego pan szarpnął go za włosy.

- Miałeś ją w rękach i oddałeś bez walki elfom. - Głos był opanowany, mimo że jego właścicielem miotała zimna furia, jak zawsze gdy przegrywał. - Zawiodłeś mnie.

Władca wyciągnął wolno miecz, uniósł i uderzył.

Krzyk Karoliny postawił na nogi cały, odpoczywający po dniu galopady oddział.

- Leddi? - Reikan chwycił dziewczynę za ramiona i potrząsnął.

Odtrąciła go i skuliła się, szlochając rozpaczliwie.

- Zabił! Zabił Amrego!

- Kto?

- Nie wiem kto, nie widziałam twarzy! To ty go zabiłeś! - Rzuciła się na Reikana z pięściami. - Gdyby nie twoje pieprzone rozkazy... Morderca, cholerny morderca!

Elf chwycił dziewczynę za nadgarstki i przytrzymał.

- Shanona zgładził jego pan. Teraz już wiesz, przed kim uciekamy?

- Amre żyłby, gdybyś zabrał go ze sobą. Nie jesteś lepszy od tego całego WeddSa'arda - odparła z miażdżącą pogardą, odtrąciła księcia i odeszła, by opłakiwać oficera w samotności.

Do wieczora jechali w trudnym do zniesienia milczeniu. Karolina ze śladami łez na policzkach, Reikan z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Wreszcie dziewczyna, nękana milionem pytań, zdecydowała się przerwać ciszę:

- WeddSa'ard to miejscowy czarny charakter?

Księżę uśmiechnął się lekko - „miejscowy czarny charakter”? - łagodne określenie - i odpowiedział pytaniem:

- Czy odzyskujesz, Leddi, moc?

Karolina spojrzała nań zrezygnowana. Chyba moc popadania w kłopoty.

- Nie mam i nigdy nie miałam żadnej mocy. Czarowałam na niby. Takie tam transe i inne odloty. - Machnęła ręką.

Ku jej ogromnemu zaskoczeniu elf parsknął śmiechem.

- Moja pani, raczysz żartować. Jesteś obdarzona najsilniejszym potencjałem, jaki spotkałem u człowieka: nie każdy zatrzymałby głównię miecza gołą ręką. Skoro w twoim świecie taką mocą władają „czarujący na niby”, nie chciałbym mierzyć się z tym, kto używa magii świadomie.

- W moim świecie magia nie istnieje - odparła.

Reikan otworzył szeroko oczy. Saris przysłuchujący się rozmowie stanął jak wryty. Wszystkie ludy Świata Światów zostały przez Primeę obdarowane magią. Skąd, na bogów, ona pochodzi?! Książę zeskokczył na ziemię, ściągnął za sobą Karolinę i wparł plecami w bok Cienia.

- Skąd przybyłaś?! - Potrząsnął nią za ramiona. - Z jakiej krainy?! Z którego Wymiaru?!

Nieświadomie zaciskał palce coraz mocniej.

- Krainy? Wymiaru?!

- Krainy Świata Światów.

- Nie mam pojęcia! Jaka znów kraina?! Jakiego Świata Światów?! - podniosła głos. - Proszę mnie puścić!!!

- *Reikanie, sprawiasz Leddi ból* - zauważył Saris.

- Wybacz, pani - rzekł książę bez odrobiny skruchy i uwolnił ramiona dziewczyny, mierząc ją zimnym spojrzeniem. - Jestem twoim przyjacielem, nie wrogiem. Nie rozumiem, dlaczego ukrywasz przede mną swe pochodzenie.

- Miałam różnych przyjaciół, Wasza Wysokość - odparła, ostentacyjnie rozcierając miejsca, w które wpił palce - ale żaden z nich nie rzucał mną o koński bok i nie robił siniaków na ramionach. Nie próbował również ścinać głowy innym moim przyjaciołom. Nie zostawiał ich też na pewną śmierć. Od chwili gdy ciebie poznałam, uważniej dobieram przyjaciół.

Reikan zacisnął szczęki, ale po chwili opanował gniew. Bez słowa pomógł jej dosiąść Sarisa. Ruszyli.

- Pochodzę z Ziemi - Karolina przerwała milczenie, nim znów stało się nie do wytrzymania. - Z... - Chciała powiedzieć „trzeciej planety w Układzie Słonecznym”, ale i w elfim języku słów „planeta” ani „Układ” w znaczeniu, w jakim chciała ich użyć, nie znalazła. - Która to Ziemia znajduje się we wszechświecie.

Słuchający w skupieniu elf wciągnął powietrze, Saris zaś ponownie stanął i odwrócił głowę.

- We wszechświecie - powtórzył wolno Reikan tak szczególnym tonem, że Karolina zaczęła się naprawdę niepokoić. - Nie wierzę.

- Twoja sprawa, książę. - Wzruszyła ramionami. - Byłam tam, jestem tutaj. I też nie mogę w to uwierzyć.

Długą chwilę rozmyślał nad tym, co usłyszał.

- Leddi, Wszechświat to miejsce wygnania Bogów Banitów. Przejście między nim a Światem Światów zostało zamknięte przez Saetina tysiące lat temu. Jeżeli mówisz prawdę, jeżeli rzeczywiście stamtąd przybywasz... Niewiarygodne! - Umilkł, patrząc na Karolinę z nagłym szacunkiem. - Jak mam cię tytułować, pani? Musiałaś być kimś znamienitym, skoro przysłano cię aż tutaj.

- Byłam nikim - przerwała mu cicho. - Naprawdę nikim.

- Nie wierzę, Leddi - zaprzeczył łagodnie. - Otacza cię złota aura, dar Bogini Primei. Gdzieś wewnątrz ciebie drzemie potężna moc, nie zaprzeczaj, która, umiejętnie rozbudzona, dorówna mocy wielkich tego świata. Otworzyłaś portal między Wszechświatem, a to...

- To raczej dzieło twojej matki, Amarilli - przerwała te niezasłużone peany na swą cześć. - Na pewno nie moje.

Poczuła, jak ramię Reikana obejmujące ją w pasie sztywnieje. Czyżby znów powiedziała coś nie tak?

- Spotkałaś moją matkę? Tam, we Wszechświecie?

- Wychowywała mnie. Przez piętnaście lat była i dla mnie matką. - Wzruszenie na chwilę zdławiło głos. - A potem przeprowadziła tutaj...

Reikan patrzył na nią, ale poprzez nią.

- Wielka Władczyni Ferrinu nie odeszła więc, nie uciekła. Wyruszyła na poszukiwanie Pierwszej i dotarła aż do Wszechświata. Opowiedz! Wszystko, co wiesz o...

- *Reikanie, nadchodzą* - przerwał mu Saris.

- Anaelo - ciągnął elf, a ona poderwała głowę na dźwięk tego imienia. Jakim cudem Reikan zna jej sekretne imię? Przecież tylko ciocia Maryla... to jest Amarilla... Może gdy była nieprzytomna, przesondował jej pamięć, tak jak Amremu? Już miała wybuchnąć gniewem, gdy usłyszała spokojny głos Sarisa:

- *Twoje przybycie zostało przepowiedziane. Przybycie Leczącej, która nosi imię najjaśniejszej z gwiazd: Anaeli dell'Idarei.*

- Anaelo - powtórzył książkę, kładąc dłonie na ramionach dziewczyny - każdy w Świecie Światów będzie chciał poznać przyczynę, dla której się tu znalazłaś. Każdy będzie chciał poznać sposób, w jaki to uczyniłaś: każde słowo inkantacji, każdy symbol i każdy gest. Będą próbowali wydostać z ciebie te informacje po dobroci lub siłą. Będą próbowali za twoim pośrednictwem otworzyć portal powrotny. I ty, i twój świat jesteście zagrożeni.

- Oni, czyli kto? - Nagle poczuła chłód wędrujący wzdłuż kręgosłupa.

- Władcy Światów.

- Ale po co?

- Któż nie pragnąłby zawładnąć Wszechświatem...

- Zawładnąć wszechświatem? - powtórzyła za Reikanem jak echo. Elfy w Warszawie. Miecze i łuki versus karabiny maszynowe.

Katapulty kontra wyrzutnie raketowe. Magia przeciw łączności satelitarnej. I książkę, nic księciu nie ujmując, pojawiający się w Białym Domu jako ambasador Świata Elfów. Niee.

- Ty nie mówisz poważnie, Reikanie? - Zaśmiała się niepewnie.

- Nie mówię poważnie? - Po twarzy elfa nie przemknął nawet cień uśmiechu. - W twoim świecie nie umiecie używać magii ani się przed nią bronić, dobrze zrozumiałem? - Przytaknęła. - Co by się z nim stało, gdybym narzucił na siebie iluzję największego z waszych władców... a wierz mi, Leddi, że nie jest to trudne... i ot tak, dla czystej przyjemności, rozpętał wojnę?

Ktoś przebrany za prezydenta USA rozpętałby wojnę? Atomową? Dobra, książkę, wygrałeś.

- Po to mnie wypytyjesz! Żeby zapanować nad wszechświatem! - wybuchnęła. A ty mu wszystko wy ćwierkałaś, idiotko.

- Nigdy nie pragnąłem władzy, pani - odparł Reikan chłodnym, niemal odpychającym tonem. - Jest jak Szara Śmierć: zniewala i odziera z człowieczeństwa. Zresztą po co Wszechświat komuś, kto ma Ferrin? - Uśmiechnął się, by złagodzić brzmienie tamtych słów.

- Chciałbym przenieść cię do Feri'any, gdzie byłabyś bezpieczna - podjął po chwili - ale władczyni Alderii wysłała po ciebie zaufanego lorda wraz z eskortą.

- Przecież powiedziałaś, że to Ferrin mnie oczekuje!

- Jesteś poddana Bereniki de Sanctis, znajdujesz się na jej terytorium. Ona, i na razie tylko ona, ma do ciebie prawa.

- A ja? Nie mam żadnych praw?

To pytanie wyraźnie księcia zaskoczyło. Czy poddany ma jakiegokolwiek prawa?

- Zwrócimy się do Władczyni Alderii z oficjalną prośbą o nadanie, jeszcze dziś - zapewnił dziewczynę. - Teraz musisz być posłuszna rozkazom.

- A jeżeli nie będę posłuszna? - zapytała. Reikan wzruszył ramionami.

- Albo stanę do walki, albo oddam cię lordowi.

Karolina pokręciła głową, nie wierząc w to, co słyszy.

Oto szlachetny elfi książę: najpierw zostawia rannego na pastwę losu, potem oddaje tę, którą miał chronić... W tym momencie Reikan spojrzał na nią z takim jadem, aż wstrzymała oddech.

- Po pierwsze, Leddi - zaczął wolno - Shanon nie mógł i nie chciał jechać z nami. Dostał wraz z rozkazem Czarny Kod, a to jest jak uwarunkowanie: próbowałby zabijać albo by prowokował, żeby go zabić i zwolnić z przymusu. Po drugie, chronić cię będę nawet za cenę życia, bo przyrzekałem i śmierć mi niestraszna, ale nie mogę z twojego powodu wywoływać wojny z Alderią. Nie teraz. Przyjdzie czas, że Ferrin upomni się o ciebie, bo należysz do nas, jednak... - Umilkł, widząc oszołomione spojrzenie dziewczyny. - Anaelo?

- Nie powiedziałam tego na głos - wyszeptała. - Ja tylko pomyślałam, a ty odpowiadasz. Czytasz w myślach?

Znów to wzruszenie ramion, tak niepasujące do elfiego księcia:

- Masz otwartą aurę. Każdy, kto włada magią, może czytać w twoich myślach.

- A kto włada magią? - pytała dalej, czując się coraz bardziej nieswojo.

- W Alderii kobiety, w Ferrinie mężczyźni. Czasem mieszańcy.

- I oni wszyscy... będą wiedzieli, o czym myślę?

Przytaknął.

- Wystarczy zamknąć aurę - odpowiedział, mrugnawszy okiem.

- Jak?!

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- *Nie wiesz?!* - usłyszała zdziwiony głos Sarisa. - *Przecież ty wszystko wiesz! Reikanie, nawet blokady przelamujesz, a nie potrafisz wytłumaczyć tej tu Leddi, jak zamknąć aurę?*

- Saris, litości! - Książę posłał Cieniowi zmęczone spojrzenie. Widać stracił poczucie humoru. - Przecież zamykanie aury to odruch.

- *Więc naucz Anaelę tego odruchu.*

Karolina skwapliwie pokiwała głową, nie zauważywszy, że w głosie Sarisa zabrzmiała nuta złośliwości.

- Naprawdę tego chcesz, pani? - upewnił się Reikan.

Przytaknęła jeszcze skwapliwiej. Nie знаła nikogo ze Szkoły Czarownic, kto umiałby zamykać aurę. Książę westchnął z rezygnacją i nagle chwycił ją za głowę, przełamując odruchowy opór, zwrócił twarzą ku sobie i wbił swoje niesamowite oczy w jej rozszerzone źrenice, przenikając wprost do mózgu. Skuliła się mimowolnie. I poczuła, jak coś, co do tej pory miała otwarte na cały ten świat, zatrzaskuje się niczym niewidzialne, ale solidne drzwi.

Migoczący gdzieś w dali złoty płomień, który wiódł go do tej pory do celu jak po smyczy, zgasł nagle

- Szybko się uczysz - mruknął Sellinaris WeddSa'ard. - Co nie znaczy, że umkniesz.

- Teraz, gdy nie mogą nas już śledzić, spróbujemy uciec - oznajmiła zadowolona z siebie.

Reikan pokręcił głową, gasząc ten samozachwył.

- Są za blisko.

- Ale jeszcze nie tutaj.

- Tutaj, tutaj. - Spojrzał w górę, gdzie nad koronami drzew krążył mały ciemny punkt.

- I nic nie możesz zrobić? Zupełnie nic? Saris powiedział, że potrafisz wszystko. Może portal otworzysz?

- W Lesie Tysiąca? - Znów to zmęczenie w głosie księcia, jakby musiał wyjaśniać coś oczywistego wyjątkowo tępemu uczniowi. - To wbrew zasadom.

- „Wbrew zasadom”?! I z tego powodu oddasz mnie tamtym, nawet nie próbując... - Głos się jej załamał.

Reikan spojrział na nią tak jak przed chwilą, gdy zarzuciła mu zdradę. Z nienawiścią niemal.

- *Anaela nie zna zasad rządzących tym światem* - napomniał księcia Saris.

Ten odetchnął głęboko. Zdusił gniew. Zielone oczy pojaśniały.

- Pozna je w swoim czasie. A dopóki nie pozna, będzie się do nich stosowała, ufając przyjaciółom, prawda, moja pani?

- I taka ufająca dobrowolnie udam się w nieznane z jakimś lordem, który mnie po drodze... no jak tamci, na polanie?

- Anaelo, Joysell Ellis nie śmiałyby cię tknąć. Jesteś Leczącą. Nietykalną. - Uścisnął drobną dłoń dziewczyny.

- Ładna mi nietykalność. - Dotknęła sinego policzka.

Reikan niedbałym ruchem nabrał garść błękitu i przyłożył do twarzy dziewczyny. Ból ustąpił. Rozcięta warga zablizniła się w mgnieniu oka. Elf uśmiechnął się pobłaźliwie na widok miny Leczącej.

- Musisz nabyć tę i parę innych umiejętności, a gwarantuję, że b e d z i e s z nietykalna.

Wyprostował się nagle, całym sobą chłonąc sygnały płynące z otoczenia. W tym momencie zza drzew wypadł zwiadowca. W ułamku sekundy wymienił z księciem spojrzenia, a pewnie i myśli. Saris stanął. Po chwili pojawiły się elfy, otaczając Karolinę i Reikana ciasnym kręgiem. A potem...

Oddział konnych wypadł na nich w takim tempie, jakby chciał ich stratować, a nie ratować. Wielki gniady wierzchowiec wrył się kopytami w ziemię tuż przed Sarisem, co ten zniósł ze stoickim spokojem.

Dosiadający gniadosza jeździec, nie czekając, aż jego rumak się uspokoi, zeskoczył z siodła i skłonił się w pas, pobrzękując orężem i klamrami. Trwał przez chwilę w ukłonie, spoglądając na Karolinę spod opadających na czoło czarnych włosów roześmianymi, niebieskimi oczyma.

- Leddi, poznaj lorda Joysella Ellis. - Reikan dokonał prezentacji, a lord ujął dłoń dziewczyny i ucałował.

- Witaj, moja śliczna - rzekł.

Książę uniósł z dezaprobatą brew na taką poufałość, lecz lord nie zwrócił nań uwagi, mrugnął tylko porozumiewawczo do Karoliny i zwrócił się do podchodzącej właśnie z nieśmiałym uśmiechem młodej dziewczyny.

- Mirello! - Objął czarodziejkę wpół i złożył na jej ustach gorący pocałunek. - Jesteś niezrównana. Oto nasza zguba, której szukaliśmy przez wszystkie te dni.

Nieznajoma o imieniu Mirella pokraśniała z radości.

- Leddi, ja i moi towarzysze będziemy zaszczytzeni, asystując wam do Alderiany. - Lord wyciągnął ręce, by ściągnąć Karolinę z grzbietu Sarisa, ale Cień cofnął się o krok.

- Skąd ta pewność, Joysell - zaczął uprzejmym tonem Reikan - że Leddi jedzie do Alderiany? Na razie jest pod moją opieką.

Lord Ellis spojrział na księcia zaskoczony. Nie był jednak na tyle skonfundowany, by nie dać swoim ludziom dyskretnych sygnałów. Żołnierze sprawnie ustawili się wokół, obserwując dowódcę, a szczególnie jego ręce, przygotowani na dalsze rozkazy.

Reikan nie zwrócił na ich ruchy najmniejszej uwagi, zatapiając jadownicę teraz zielone oczy w twarzy lorda.

- A jeżeli Leddi nie zechce z tobą pojechać?
- Wezmę ją siłą. - Joysell posłał Karolinie łobuzerski uśmiech.
- To najpierw będziesz musiał wziąć siłą mnie - odparł Reikan.

Lord wybuchnął śmiechem, ale spoważniał, widząc, że elf nie żartuje.

- Nie będziesz chyba czynił przeszkód, Reikanie?

- Leddi udaje się ze mną do Ferrinu - odparł zapytany. - Tylko tam będzie bezpieczna.

WeddSa'ard goni naszym śladem. JEJ śladem.

- Dostałem rozkaz, książę - zaczął wolno Ellis. - Czy sprzeciwisz się woli Najwyższej? - zapytał oficjalnym tonem.

Na kolejne skinienie jego ludzie położyli dłonie na rękojeściach mieczy. Natomiast z Lasu wypadło jeszcze pięciu elfów uzbrojonych w łuki. Groty strzał skierowane były w lorda. Zapadła pełna konsternacji cisza. Oddział Joysella liczył około trzydziestu dobrze uzbrojonych ludzi, ale dla jedenastki elfów to żadna przewaga, o czym wszyscy, no, może z wyjątkiem Karoliny, doskonale wiedzieli.

- Sorell, insygnia - rzucił Reikan, na co jego przyboczny sięgnął do sakwy. Purpurowa szarfa spłynęła z końskiego grzbietu aż do ziemi. - Podniesiesz rękę na ambasadora?

- Ambasador zaryzykuje życie przyjaciela? Dostałem rozkaz, Reikanie, wiesz, co mnie czeka, gdy wrócę bez Leczącej. - Joysell zawiesił głos. Cisza stała się tak gęsta jak błękitna mgła spowijająca korony drzew.

- Leddi?. - Reikan spojrział nagle na Karolinę. Ta aż drgnęła. - Mam podjąć wyzwanie?

Wiedziała, że książę nawiązuje do ich rozmowy sprzed paru minut. Wystarczyło jedno jej słowo, a bez wahania sięgnie po miecz... Pokręciła głową.

- Być może będziemy zmuszeni walczyć ramię przy ramieniu - rzekł wreszcie książę. - Nie zaczniemy od walki przeciwko sobie.

Joysell odetchnął głęboko. Żołnierze rozluźnili napięte mięśnie.

- Wybacz, Reikanie - klepnął księcia serdecznie w ramię - nie mam nic przeciwko bitce, ale nie z tobą! Jesteś przecież sojusznikiem, nie wrogiem, no i, na bogów, rozniósłbyś moich ludzi w pył! - Roześmiał się z ulgą. - W drogę!

Nim Karolina zdążyła się ucieszyć z polubownego zakończenia sporu, chwycił ją wpół, ściągnął z Sarisa i niemal wrzucił na grzbiet swego wierzchowca. Sam wskoczył z miejsca, sadowiąc się za nią. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że straciła oddech.

- W drogę, przyjaciele! - zakrzyknął raz jeszcze i spiał wierzchowca do galopu.

Karolina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tak już pozostanie do końca jej życia: że wciąż będzie miotana po zaklętym Lesie Tysiąca, uwożona przez kogoś to w jedną, to w drugą stronę, porywana, odbijana i znów porywana. A w przerwach będą się o nią romantycznie wyrzynać.

Upływały godziny, a oni gnali przed siebie drogą wyglądającą na ubity trakt. Co jakiś czas mijali charakterystyczny obiekt - jeziorko, wąwóz, kurhan - i tylko to pozwalało jej stwierdzić, że nie krążą, że wciąż posuwają się do przodu. Ale kiedy zapadły ciemności, zupełnie straciła orientację. Miała tylko nadzieję, że jeźdźcy widzą drogę lepiej niż ona.

- Lordzie? - szepnęła. - W jaki sposób odnajdujecie drogę w tych ciemnościach?
- Nie mam pojęcia, jadę za Reikanem. Wtul się we mnie i śpij, moja pani.
- Nie mogę spać w tych warunkach. Kiedy zrobimy przerwę?
- Jak znam elfów, nie zrobimy żadnej. Rano powinniśmy wyjechać z lasu.
- Rano?! Przecież dopiero zaszło słońce! A nawet dwa!
- Tym bardziej spróbuj zasnąć, Leddi, przed nami cała noc jazdy.
- No dobrze. Ale jak konie mogą jechać tak po ciemku? Przecież one nic nie widzą.
- Nie wiem, spytaj...

Krzyk. Koszmarny, przeszywający, wdzierający się do umysłu niczym ostrze, zadający niemal fizyczny ból. Krzyk, który sprawia, że wszystkie myśli znikają, jakby zdmuchnął je powiew wiatru, a pozostaje jedynie uczucie chłodu i nieopanowanego lęku. Echo krzyku potoczyło się dookoła, po czym znikło wessane przez otaczającą ciemność.

Joysellowi najwyraźniej głos uwiązł w gardle. Karolina podniosła zaciśnięte powieki, pod którymi tańczyły jaśniejsze punkty, i ostrożnie zaczerpnęła powietrza.

Drugi wrzask, który rozległ się nagle w ciemnościach, odczuła niemal jak uderzenie. Konie zbiły się w ciasną gromadkę. W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko ich chrapliwe, niespokojne oddechy. Nikt się nie odzywał. Wszyscy nasłuchiwali, jednocześnie bojąc się ponownego zetknięcia z tym potwornym dźwiękiem i pragnąc, żeby już się pojawił, bo czekanie nań było jeszcze większą torturą.

Nagły szelest liści na ścieżce przed nimi zlał się w jedno ze szczękiem wyciąganych mieczy. Po chwili w ciemnościach błysnęły dwa srebrzyste punkty.

- Reikan! - Joysell westchnął z ulgą, po czym krzyknął ze wzburzeniem: - Na bogów, zamordowałeś kogoś w tym lesie?! Co to było?

- Wrzaskargi. - Głos elfa brzmiał w tej ciszy dziwnie pusto.

W następnym pytaniu Joysella nie było zwykłej pewności siebie:

- Ominą nas?

- Nie. Będą krążyły dookoła, ale może nie zbliżą się, jeżeli zachowamy spokój. Ruszajmy.

Reikan wyjechał na czoło grupy. Za przykładem Cienia wierzchowce nabrały odwagi. I wtedy...

Żalodne zawrodożenie, rozpoczynające się niską nutą, wznoszące się powoli na coraz wyższe rejestry, po czym opadające z powrotem w głąb melodii, nie przypominało niczego, co Karolina do tej pory słyszała. Po chwili do pierwszego głosu dołączyły następne, żalobna symfonia omywała całą grupę, akompaniując każdemu jej ruchowi. Tony przeplatały się, przycichały i wznosiły na przemian, lęklive, smętne, przejmujące. Wtem jeden głos wznosił się nad inne; istoty, czymkolwiek były, milkły jedna po drugiej, jakby przysłuchując się. Solowy artysta ciągnął swój płacz, szarpiąc nerwy zdanej na jego łaskę drużyny. Głos wznosił się wyżej, mijał kolejne oktawy, rozrastając się do przeraźliwego, wibrującego wizgu. Wkrótce dołączyły do niego inne, kakofonia krzyków, jęków i płaczu otoczyła ich zewsząd, jakby cała armia zarzynanych postanowiła towarzyszyć im w dalszej podróży.

Karolina nieświadomie wbiła palce w ramię przytrzymującego ją mężczyzny. Joysell natomiast, równie bezwiednie, przycisnął ją do siebie, pozbawiając tchu. I nagle wszystko ucichło. Cisza, jaka potem nastąpiła, uderzyła w nich niczym taran, wypełniając uszy nieznośnym dzwonieniem. Drużyna zatrzymała się w zdumieniu. Nikt nie śmiał się poruszyć.

Po długiej, zbyt długiej chwili przeciągły jęk rozległ się tak blisko, jakby jedna z tych istot jakimś cudem znalazła się pomiędzy nimi. To przekroczyło wytrzymałość dziewczyny: jej dziki krzyk przeorał nocne powietrze. Karolina umilkła przerażona barwą własnego głosu i w tej samej chwili dźwięki zaatakowały ich ze zdwojoną siłą, a ona nieświadomie dołączyła do chóru.

Nagle nad zamieć krzyków wznosił się mocny głos Reikana:

- *An'liv dellines'. Liv an' elleis'. Ellearis' allor alleseis' mor.* - „Nieżywi milczą. Żywi nie słyszą. Energia dźwięku rozjaśnia mrok”.

Poczuła silny ucisk w skroniach. Jęknęła. Ból, jakiego w życiu nie doświadczyła, pochwycił jej głowę niczym imadło. Chciała krzyknąć do utraty tchu, ale wydobyła z siebie tylko zduszony pisk. Dookoła rozlegały się jęki żołnierzy.

- *Wytrzymać!* - padł mentalny rozkaz. Ból narastał.

I nagle wszystko ucichło, jakby ktoś ciął skalpelem po szacie utkanej z dźwięku i obnażył samą istotę ciszy. Jednocześnie na drogę przed nimi spłynęła błękitna poświata.

- *Gdy tylko stąd odejdziemy, odzyskacie słuch* - usłyszała w myślach słowa Reikana.

- *Jezu, co to było?* - wyszeptowała parę chwil później.

- Wstydliva tajemnica elfów - prychnął Joysell. - Miejsce rzezi, którą wieki temu Ferrin zgotował Cieniom. Teraz gnieźdzą się tutaj wrzaskargi, martwe byty karmiące się złą aurą takich miejsc. Są niegroźne, powtarzają tylko to, co usłyszały, ale potrafią przyprawić o pomieszenie zmysłów. No i są pamiątką po tamtych dniach. Spróbuj zasnąć, moja pani. Już nas nie będą niepokoić.

Obejrzała się na Reikana i Sarisa. „Rzeź, którą Ferrin zgotował Cieniom”? Kiedy indziej się nad tym zastanowi, bo teraz wyczerpana spotkaniem z wrzaskargami, otepiała od ciągnącej się w nieskończoność monotonnej podróży postanowiła pójść za radą Joysella.

Sen nadszedł powoli, sącząc dziwne majaki między myśli, rozluźniając napięte mięśnie, odbierając wolę i świadomość. W końcu przyniósł ulgę i zapomnienie.

Pierwsze pomarańczowe plamki światła, którym udało się przedrzeć przez korony drzew, zatańczyły na powiekach Karoliny. Usiłowała je zignorować i spać dalej, ale sen odszedł bezpowrotnie.

Odeгнаły go przytłumione rozmowy, drgania końskiego grzbietu, wreszcie ból zmaltretowanego ciała.

- Jechaliśmy całą noc? - spytała, choć widząc cienie pod oczami lorda, nie miała co do tego wątpliwości.

- Proponuję, byś następnym razem wylądowała bliżej Alderiany. - Uśmiechnął się.

- A ja wolałabym, żeby nie było następnego razu - odpowiedziała z uśmiechem.

Jakieś pół godziny później Las zaczął rzednąć. Z każdą chwilą pole widzenia rosło, a powietrze stawało się lżejsze. Dobiała końca przytłaczająca dominacja drzew, każąca garbić plecy i chylić głowę pod ciężarem potęgi Lasu. Wreszcie można było odetchnąć pełną piersią, rozprostować ramiona i bez obawy podnieść oczy ku niebu.

Konie bez polecenia jeźdźców przeszły w cwał i runęły ku otwartej przestrzeni. Joysell pochylił się w siodle i mocniej przycisnął Karolinę do siebie. Nie tylko on czuł ulgę i radość, mijając ostatnie drzewa. Jeźdźcy skierowali wierzchowce w dół pagórka, którego krzywizna stopniowo się zwiększała. Po chwili konie gnały na łeb na szyję w dół zbocza, a Karolina poczuła żołądek podchodzący do gardła. Pęd powietrza wciskał oddech w płuca, szarpał włosy i ubranie. Gniady rumak niosący ich dwoje wyprzedził innych, przez chwilę biegł łeb w łeb z wierzchowcem Reikana, ale i jego pokonał w szaleńczym biegu.

Joysell niespodziewanie ryknął: „Naprzód!!!” tak głośno, że dziewczyna aż się skuliła. Odpowiedziały mu radosne okrzyki jego kompanów.

Wpadli na rozległą równinę porośniętą soczyście zieloną trawą. Wszelkie odcienie szmaragdu rozlewały się aż po horyzont, tam gdzie zbiegały się z niebem koloru morza, na którym błyszczały dwa słońca. Zieleń trawy kontrastowały poletka kwiatów o intensywnych barwach, wśród których dominowały błękit, czerwień i żółć.

- Joysell! Joysell! Stój!!! - Reikan dopędził ich, pozostawiając resztę grupy daleko w tyle.
- Wiem, że obejmowanie Leczącej sprawia ci przyjemność, ale pora kończyć tę eskapadę. Leddi jest zmęczona, podobnie jak my wszyscy.

Lord wstrzymał gnadosza, zwalniając do stępa. Karolina odetchnęła głęboko.

- Chcesz tu rozłożyć obóz? Przecież za jakieś dwie, trzy godziny dojedziemy do wsi, jutro będziemy w Ellisii. Tam odpoczniemy należycie. Jak myślisz, Leddi, dasz radę?

- A mam inne wyjście?

- Masz - Reikan uprzedził odpowiedź. - Otworzę portal. Możemy przejść stąd wprost do Alderiany. W jednej chwili byłabyś na miejscu.

Lord spojrzał mu twardo w oczy.

- Wybacz, Reikanie, ale odpowiadam głową za dostarczenie Leddi do Twierdzy. Nie chciałbym tej głowy stracić, gdybyście przez portal trafili do Ferrinu.

- Nie ufasz mi, Joysell? Chcesz, żebym składał ci przysięgi?

Lord zmieszał się, ale odparł oficjalnym tonem:

- Wybaczcie, Wasza Wysokość, ale Leddi przejdzie przez portal Ellisii wraz z odpowiednią dla jej urodzenia eskortą. - Czyli ze mną - dokończył w myślach.

- Przepraszam - Karolina postanowiła się wreszcie wtrącić - czy ja mam coś do powiedzenia?

- Nie! - odparli jednym głosem, a dziewczyna wbrew swej woli parsknęła śmiechem. Spoważniała jednak, widząc, że mężczyznom daleko do żartów.

- Panowie, chcę, żebyśmy wyjaśnili sobie jedno: jestem wolnym człowiekiem i sama o sobie decyduję. Jazdy konnej mam dosyć do końca życia i na końskim grzbiecie nie wytrzymam ani chwili dłużej. Od trzech dni marzę o ciepłym posiłku, gorącej kąpieli, może być bez piany, i długim śnie w czystej pościeli. Życzę sobie... ż y c z ę sobie - powtórzyła z naciskiem, patrząc Reikanowi w oczy - natychmiast znaleźć się w cywilizowanym świecie, a ponieważ do Ferrinu udać się nie mogę ze względu na zagrożenie utratą głowy tu obecnego - wskazała Joysella - proszę mnie przenieść gdziekolwiek, byle były tam owe trzy rzeczy: posiłek, kąpiel i łóżko. Wyraziłam się jasno? Lordzie? Książę?

- Wystarczająco jasno - mruknął Reikan, po czym zrobił krok do przodu, złożył dłonie na wysokości klatki piersiowej, szepnął coś i zakreślił w przestrzeni przed sobą prostokąt

wielkości drzwi. Ku zdumieniu dziewczyny prostokąt zaczął się wypełniać wirującą, błękitną mgiełką. Elf nie przestawał szeptać Zaklęcia Otwarcia, wpatrując się w błękit i przesuwał po nim dłońmi. Wreszcie z wiru wyłonił się obraz jakiejś komnaty, w której centrum siedział mężczyzna, z wyraźnym niepokojem patrząc na Reikana, Karolinę i stojącego parę kroków za nimi Ellisa.

- Proszę bardzo, droga Leddi: posiłek, kąpiel i łóżko. Poznajesz, Joysell? - zwrócił się do lorda. - To Komnata Przejścia w Alderianie.

Nie czekając na odpowiedź, ujął dłoń Karoliny i już miał wejść w portal, gdy nagle się zatrzymał, narzucił dziewczynie na głowę kaptur peleryny i rzekł z naciskiem:

- Nie odsłaniaj włosów.

- Już nigdy?!

Pokręcił tylko głową i pociągnął Leczącą za sobą wprost w błękit.

Rozdział IV

BERENIKA

Uderzyła w nią fala powietrza, odruchowo zamknęła oczy. Poczowała, jak ciało wbija się w elastyczną przeszkodę, a ciśnienie miażdży głowę. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu. Dłoń Reikana mocniej zacisnęła się na jej dłoni. Szarpnął. Przeszła. Ciało po raz drugi wbiło się w przeszkodę. Spocona dłoń zaczęła wyslizgiwać się z uścisku elfa. Panika. Ciśnienie znów wzrosło. Szarpnął. Przeszła. Huk. I nagła cisza. I ciemność. Poczowała, że pada na kolana. Reikan podtrzymał ją.

- O Jezu... - jęknęła tylko.

Tuż nad uchem niespodziewanie rozbrzmiał podniesiony, pełen gniewu głos:

- To niedopuszczalne!!! Księżę Ferrinu i Lecząca powinni mieć więcej rozumu!

Karolina otworzyła oczy i ujrzała mężczyznę, którego widziała przez portal. Jego czoło zdobił tatuaż: trzy kręgi, jeden w drugim. Nieznajomy posłał Reikanowi wściekle spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Jak mogliście przejść bez mojej zgody?! Ledwie zdążyłem zdjąć osłony, a i to nie wszystkie! A gdybyście się od nich odbili?!

- Przełamywałem blokady parę pokoleń przed twoim urodzeniem, Kluczniku. - Reikan roztarł dłonie zmęczone czarem. - Twoje słowa są nie na miejscu, nie tylko ze względu na moją godność, ale i na godność Leddi.

Klucznik spojrzał na Karolinę i uniół brew.

- Ciekawe, co Leddi zrobiłaby z godnością, gdyby utknęła w Międzywymiarze... Mogliście zginąć i kogoś przy okazji dzikiej teleportacji zabić - wybuchnął ponownie - a mnie narobić kłopotów! Ambasador Ferrinu. - Obdarzył księcia spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

Karolina przysłuchiwała się wymówkom jednym uchem. Po otrząśnięciu się z szoku, jakim było przejście przez portal, rozglądała się dookoła z ciekawością odkrywcy. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to kolisty kształt pomieszczenia i brak jakichkolwiek okien: światło emitowały ściany. Naprzeciw miała drewniane, okute metalem drzwi, a za plecami... Westchnęła z zachwytem: dwie kunsztownie rzeźbione kamienne kolumny i wsparty na nich

luk stanowiły obramowanie gładkiego bloku czarnego, połyskliwego kamienia. To właśnie ten kamień był okiem portalu. To z niego - przez niego? - wyszli. Wyciągnęła dłoń, by go dotknąć.

- Leddi? - głos Reikana wyrwał ją z zauroczenia. - Musimy stawić się przed Najwyższą.

- Powodzenia - parsknął Klucznik. - Jej Wysokość nie lubi być zaskakiwana w ten sposób.

Reikan skierował Karolinę w stronę drzwi. Zaraz za nimi zaczynały się strome, kręte schody, oświetlone czerwonożółtą drgającą poświatą. Dopiero po chwili Karolina zauważyła tuż pod sufitem ciągnące się wzdłuż ścian wąskie szczeliny wypełnione tańczącymi płomieniami.

Po kilku stopniach powróciło wspomnienie wędrówek w głąb własnej świadomości. Po schodach tak samo stromych, tak samo krętych. Dotknęła chłodnej, rzeźbionej poręczy. A może to sen? Może trans? Może poniosła ją wyobraźnia? Może jej ciało tak naprawdę leży na dywanie, w kręgu wypalonych świec, ona sama zaś błądzi po zakamarkach swojego umysłu? Może zagubiła się w marzeniach z dzieciństwa? Może ugrzęzła wśród wspomnień tysięcy ksiąg o magii i czarodziejkach?

Półmrok i cisza sprawiły, że Karolina poczuła się jak we śnie. Wszystko było takie nierealne: kamienne schody, płomienie w ścianie, elf (elf!) idący tuż za nią. To nie może być prawda. To nie jest rzeczywiste! Kiedyś, może za chwilę, może za parę dni, wybudzą ją z transu i znów trafi do świata Szarej Śmierci. Do szpitala...

Zatrzymała się w pół kroku. Przygryzła wierzch dłoni, by zdusić pełen bezradności szloch.

- Leddi? - Idący z tyłu Reikan widział zmianę w zachowaniu podopiecznej: zgarbiła się, jakby na jej ramionach złożono ogromny ciężar. Słyszac jego głos, obejrzała się przez ramię.

Ty nie jesteś prawdziwy - pomyślała ze smutkiem. Zaniepokojony dotknął jej policzka.

- Co się dzieje, Anaelo?

Milczała chwilę, pragnąc dotknąć i jego. Upewnić się, że nie jest li tylko wytworem jej wyobraźni.

- Chyba jestem zmęczona - odparła. - Bardzo zmęczona. - Głos jej się załamał.

- Wiem, moja pani. Spotkamy się z Bereniką, a później wypoczniesz jak należy. Już niedługo. Jesteś dzielną istotą, wytrzymasz, prawda? - On także marzył o chwili wytchnienia. Pozbawiona magicznych zdolności Anaela musiała być krańcowo wyczerpana...

- Wytrzymam - przytaknęła, a Reikan uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy tak ciepło i przyjaźnie, po czym pchnął drzwi i przepuścił dziewczynę przodem.

Z półmroku wyszli na korytarz skąpany światłem słońca. Karolina zmrużyła i osłoniła dłonią oczy. Gdy przywykła do światła wpuszczanego przez wielkie okna, rozejrzała się i oniemiała. Surowy wystrój komnaty z portalem sprawił, że spodziewała się takiego w całym zamku. Tymczasem korytarz, którym prowadził ją Reikan, wprost tonął w przepychu. Począwszy od grubego dywanu, po którym stąpali, poprzez obite tkaniną i przystrojone obrazami ściany, a na zdobionym stiukami suficie skończywszy. Mijali stojące w masywnych donicach egzotyczne rośliny. Mijali rzeźby i malowidła przedstawiające wielkie postacie i wydarzenia tego świata. Karolina ożywiła się, co chwila dostrzegając coś interesującego, ale nie mogła niczemu przyjrzeć się dokładniej - Reikan mocno trzymał jej dłoń i nie zwalniał kroku. Skręcili raz i drugi, wspięli się po kilku schodkach, znów skręcili, a korytarz ciągnął się i ciągnął bez końca. Jakaż ogromna musiała być Twierdza!

- Proszę, proszę - zaskrzeczał ktoś za ich plecami. - Książę Reikan dell'Soll.

Na dźwięk tego głosu książę drgnął i stanął, nie odwracając się jednak. Za to Karolina spojrzała za siebie i wstrząsnęła się odruchowo.

Nadchodzący był podobny do wielkiego sępa. Chudy, wysoki, w burej szacie, która wlokła się za nim po ziemi, zaciskał szponiaste palce na karminowej szarfie przewieszanej przez pierś. Gdy się zbliżył i Karolina ujrzała jego oczy, musiała sprostować własne porównanie: to był rekin, nie sęp. Sępy nie miały tak pustego i nieruchomego spojrzenia.

- Czego chcesz? - W głosie Reikana zabrzmiał lodowaty chłód.

Mężczyzna omiół Karolinę zde gustowanym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na brudnych, podrapanych kolanach, świecących spod zakurzonego płaszcza. Wciąż patrząc na dziewczynę, rzucił:

- Nie sądziłem, że cię tu spotkam, drogi książę. Czyżby Ferrin opowiedział się po stronie Bereniki?

- Ja również nie spodziewałem się ujrzeć w samym sercu Alderii sługusa WeddSa'arda.

- A właśnie, masz pozdrowienia od brata. - I tak już ohydny twarz oszpecił zjadliwy uśmiešek.

Karolina pohamowała się, by nie otworzyć ust ze zdziwienia. Zaraz, zaraz, o czym to... coś mówi? Czyżby legendarny WeddSa'ard był bratem Reikana? Na litość boską, w czyich rękach się właściwie znalazła?! Jej zaskoczenie nie uszło uwagi tamtego indywiduum:

- Widzę, że twoja... zdobycz nie zna tajemnic rodziny dell'Soll. - Wtem jego sępią twarz stężała na widok pasma kasztanowych włosów, które wysunęło się spod kaptura. Wyciągnął zaintrygowany rękę. Karolina chciała się cofnąć, lecz Reikan był szybszy: mała czerwona

błyskawica uderzyła w szponiastą dłoń. Tamten syknął, ale zaraz pogardliwy uśmiech wypełził z powrotem na sine usta.

- W jakiej głuszy się uchowałeś, smoczko włosów czarrodziejko, że ty nie słyszałeś o nas, a my o tobie?

Nim pomyślała, rzuciła odpowiedź podobnie obraźliwym tonem:

- W tej głuszy, dobry człowieku, uczono przynajmniej podstaw kultury: przedstaw się, szanuj rozmówcę, nie dotykaj eksponatów i takie tam. - Machnęła ręką. - Tutaj widać tolerującą na dworze zwykłych chamów. Żegnam oziębłe.

Chciała odejść, ale powstrzymało ją władcze:

- Jeszcze z tobą nie skończyłem!

- Gwoli ścisłości, jeszcze ze mną nie zacząłeś - wycedziła, patrząc wyzywająco prosto w martwe oczy.

Reikan chwycił dziewczynę za ramię i pociągnął za sobą. Tamten się zaśmiał.

- Ostrza sztuka, Reikanie, gratuluję. Najwyższy czas, żeby dolać odrobiny ognia do tych szczyń, które zwiecie elfią krrwią.

Karolina westchnęła ciężko: znów zaczną się wyrzynać, a ona nie ma sił nawet na to patrzeć, ale księżę uśmiechnął się tylko i rzucił przez ramię:

- Jesteś, Vervain, jak wściekły pies, któremu wybito zęby: nie możesz ugryźć, to chociaż obszczekasz. Jeszcze chwila i zaczniesz się ślinić. I nie przekazuj WeddSa'ardowi moich pozdrowień, nie istnieje dla mnie ani on, ani tym bardziej ty.

Skręcili za róg, znikając tamtemu z oczu. Reikan spowaźniał.

- Na przyszłość, Anaelo, staraj się nie zwracać na siebie uwagi Vervaina. Jest niebezpieczny.

- To mnie uprzedzaj, czyją uwagę mogę zwracać, a czyjej nie.

- Najlepiej niczyjej. We Wszechświecie wszyscy mają włosy tego koloru?

Skrzywiła się. Na punkcie włosów od dziecka miała kompleksy.

- Nie. Nie wszyscy - ucięła. - A tutaj?

- Tylko ty.

Odwróciła się ku niemu, myśląc, że żartuje, pragnąc, by żartował, ale księżę mówił poważnie. Potaknął jeszcze skinieniem głowy i poprowadził Karolinę dalej przez płataninę korytarzy, aż zatrzymali się przed ciężkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Serce dziewczyny zamarło, gdy zobaczyła stojących po obu stronach gwardzistów w czarnych uniformach, przypominających jako żywo darrakijskie mundury.

Czym prędzej odwróciła wzrok i podeszła do jednego z olbrzymich okien po przeciwnej stronie. Widok wprowadził ją w zdumienie: stojące w zenicie słońca oświetlały otoczony zanikowymi ścianami dziedziniec, który porastały grupki przyciętych w fantazyjne kształty drzew i krzewów. W ich cieniu siedzieli lub przechadzali się... ludzie!!! Całe mrowie kolorowo ubranych ludzi! Z wysokości Karolina nie widziała twarzy, a jedynie płonące szkarłatem i błękitem płaszcze, połyskujące srebrem zbroje oraz morze innych barw.

Reikan stanął tuż za Karoliną. Podniosła nań rozjaśnione uśmiechem oczy.

- No proszę, już się obawiałam, że cały ten świat walczy, że wszyscy ganiają po lesie i próbują się pozabijać. A tu, spójrz, Reikanie: tylu pokojowo nastawionych ludzi.

Elf milczał. Nie chciał psuć dobrego humoru Leczącej, jeszcze zdąży się rozczarować.

Ludzie...

Z zamyślenia wyrwały ich krzyki. Drzwi się uchyliły - to właśnie z Sali Map dobiegały podniesione głosy. Z narastającego gwaru nie sposób było wyłowić konkretnych zdań. Wreszcie nad wrzawę wybił się dudniący bas:

- ...w dupie! Róbta, co chceta, w góry i tak nie wejda!

Skrzydło drzwi odskoczyło i stanął w nich krępy człowieczek, sięgający niewysokiej przecież Karolinie zaledwie do ramienia. Czarne oczka miały błyskawice, fioletowa broda, spleciona w tysiące warkoczyków, falowała w rytm wzburzonego oddechu. Śliwkowej barwy kubrak opinał krągły brzuch, grożąc pęknięciem w szwach. Człowieczek ów pozdrowił księcia i Leczącą skinieniem głowy, po czym majestatycznie się oddalił, nie spoglądając za siebie. Drzwi na powrót zatrzaśnięto.

- Czy to był... - zaczęła dziewczyna szeptem, ale zabrakło słowa „krasnoludek” w tutejszym języku. Widać nie mieli tu również krasnoludków.

- Airen k'Hor - dokończył książę. - Góral.

- Góral?! Aha. Jest trochę niski.

- Za to zmieści się w każdej dziurze - odparł Reikan z niezwykłą u niego złośliwością.

Parsknęła śmiechem, aż opuszczający salę drugi „góral”, tym razem zielonobrody, łypnął na nią podejrzliwie.

- Hej, Ostrouchy - pozdrowił księcia bez odrobiny szacunku.

- Witaj, kurdup... Hordzie - Reikan odpowiedział tym samym tonem. - Czy narada długo potrwa?

- Narada? - prychnął Góral. - Narada?! Hej! To kpiny, a nie narada! Za pół godziny Najwyższa będzie mogła naradzać się sama ze sobą. Przed nami wyszło z sali dwóch lordów, inni też nie chcą poprzeć tej gównianej strategii, a raczej braku jakiegokolwiek strategii! Jeśli

Najwyższa nie zwoła Rady Alderii, nie będzie miała z kim rozmawiać... my po prostu zrobimy swoje!

- Waż słowa, Hord - ostrzegł wychodzący z Sali Map wysoki, czarnowłosy lord, odziany w pyszny granatowy kaftan z połyskliwego jedwabiu i jaśniejszą o kilka tonów aksamitną kamizelę. - Pamiętasz, co Najwyższa obiecała buntownikom?

Góral zgrzytnął zębami, odwrócił się do lorda i dźgnął palcem jego pierś.

- Zastanów się lepiej, lordzie - wycedził - co buntownicy zrobią ze zdrajcami.

Mężczyzna spurpurowiał.

- Grozisz mi? - wychrypiął z nadzieją, że Góral przytaknie. Zmitygował go jednak widok nieznajomej Leczącej i księcia. Pożegnał się pospiesznie i odszedł w przeciwnym kierunku niż jego rozmówca.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o pokojowo nastawionych ludzi - westchnęła Karolina, usadowiła się na parapecie, oparła o ścianę i zaplotła ręce wokół kolan. - Długo każą nam czekać? Czy ignorowanie należy do tutejszych sposobów okazywania szacunku ambasadorowi Ferrinu?

Reikan uśmiechnął się lekko.

- Przełamałem bez większego wysiłku wszystkie osłony Twierdzy. A jeżeli ja to zrobiłem, znaczy, że potrafi tego dokonać i WeddSa'ard. Najwyższa jest urażona do żywego.

- Na jej miejscu byłabym raczej zaniepokojona. A przede wszystkim wzmocniłabym osłony.

W tej chwili na dobre otwarto drzwi do sali. Wychodzący na korytarz ludzie formowali kilkusobowe grupki i dyskutowali żywo, niektórzy odchodzili i znikali w bocznych korytarzach.

Reikan wskazał dłonią drzwi.

- Ty przodem, Leddi.

Karolina się zawahała. Nagle zrozumiała, że wcale nie ma ochoty na rozmowę z kobietą tytułowaną przez wszystkich Najwyższą. Czuła, że to będzie gorsze niż wysłuchiwanie uwag ordynatora w szpitalu. W rozmowach z ordynatorem Karolina przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać.

Niczego dobrego, tak jak tu - westchnęła.

Na progu sali Reikan ściągnął z głowy Leczącej kaptur ukrywający do tej pory płomienne włosy.

- Pamiętaj, Leddi, że jesteś kimś. Kimś wyjątkowym - szepnął jej do ucha. - Podnieś głowę, wyprostuj plecy i... nie daj się zastraszyć.

Nie daj się zastraszyć. Jasne! Tylko jak to zrobić?

Ruszyła z drzeniem serca, czując na plecach dłoń elfa.

W tym momencie spłynął na nią znajomy spokój. Tak było, gdy wzywano ją do wypadku: strach dławiący gardło, zwijający żołądek w ciasny węzeł, a potem cudowny, błogosławiony spokój i jasny umysł skoncentrowany na walce o ludzkie życie. Tym razem na walce o swoje życie...

Powiodła wzrokiem wzdłuż ścian obwieszonych dziesiątkami barwnych map, zapatrzyła się w mapę nieba wymalowaną na sklepieniu, dając sobie jeszcze trochę czasu na mobilizację sił, wreszcie skupiła uwagę na trójce postaci siedzących przy końcu długiego stołu. Bez trudu rozpoznała kobietę zajmującą miejsce na podwyższeniu: To musiała być Najwyższa. Pochylała się w lewo, w stronę staruszka notującego coś w wielkiej księdze. Z prawej strony władczyni czarnowłosa czarodziejka wydawała się pochłonięta lekturą rozłożonych przed nią dokumentów. Żadna z tych osób nie zareagowała na wejście dziewczyny i elfa.

Nagle kobieta podniosła wzrok, a Karolina omal nie krzyknęła. Patrzyła w oczy, których jasnyniebieskie tęczówki poruszały się, jakby były zanurzone w cieczy. Gdy spojrzała ponownie, zobaczyła zwykłe ludzkie źrenice, ale wiedziała, że tamtego widoku nigdy nie zapomni.

- Coś ty zrobiła z włosami?! Zdejmij to! - To były pierwsze słowa, jakie usłyszała z ust Bereniki de Sanctis. Kobieta wyciągnęła dłoń, jakby zamierzała Karolinę oskalpować. Na takie powitanie dziewczyna nie była przygotowana. Cofnęła się w popłochu, wpadając na Reikana.

- To nie iluzja, Wasza Wysokość - pospieszył z wyjaśnieniem. - To naturalna barwa włosów Leddi dell'Idarei.

- Naturalna?! Sugerujesz, książę, że to smoczy pomiot?

- To tu są smoki? - Karolina spojrzała na Reikana z niedowierzaniem. - I mają włosy?!

On jednak zignorował ją, zwracając się do Najwyższej.

- Leddi przybyła z innego Wymiaru, pani. Zapewniam, że w jej żyłach płynie ludzka krew, bez domieszek.

- Skoro ekspert od czystości rasy tak twierdzi. - Najwyższa odeła usta. Przyglądała się jeszcze chwilę Karolinie, wyraźnie zdegustowana, po czym wróciła do roli doskonale opanowanej Władczyni Krainy Czarodziejek: - No cóż, witajcie w Alderianie, książę, Leddi. Co was do mnie sprowadza?

- Zbrojny oddział lorda Ellisa - odrzekł Reikan. - A lord przyznał, że to zaproszenie pochodzi od ciebie, pani.

- To akurat zaproszenie dotyczyło samej Leddi. I z pewnością nie było w nim mowy o teleportacji łamiącej alderiańskie blokady. Mimo to cieszę się, że i ty, książę, zdecydowałeś się mnie odwiedzić. Nabrałam obaw, iż ludzkie sąsiedztwo uwłacza Ferrinowi.

- Przeciwnie, Wasza Wysokość - odparł gładko Reikan. - Przybyłem zaproponować wsparcie w celu ochrony wspólnych granic.

- Dziękuję za dobre chęci, ale sama potrafię bronić swoich ziem - odcięła się Najwyższa i przeniosła wzrok na Karolinę. - A ty, Leddi? Skąd przybywasz i w jakim celu?

- Nie wiem. - Musiała odchrząknąć, bo głos jej uwiązł w gardle. - Trafiłam tu... przypadkiem.

- Przypadkiem? Bliżej nieznana mi Lecząca, a ja znam wszystkie moje Leczące, pojawia się przypadkiem zaraz po ataku darrakijskich wojsk, przypadkiem w pobliżu terytoriów przez te wojska zajętych i przypadkiem spotyka w Lesie Tysiąca ambasadora Ferrinu?

- Tak. Właśnie przypadkiem! - wybuchnęła Karolina. - Nie prosiłam się ani na ten świat, ani do tego zamku. To na pani rozkaz mnie tu przywleczono. Skoro jednak jestem niemile widziana, odejdę ze wspomnianym ambasadorem. Do Ferrinu.

- Leddi nie będzie tu bezpieczna - poparł ją Reikan. - WeddSa'ard osobiście ruszył za nią w pogoń. Ledwo umknęliśmy. Będzie próbował uprowadzić Leczącą i stąd.

- Teraz mnie obrażasz, książę. Sugerujesz, że nie będę w stanie obronić swojego gościa we własnej Twierdzy?!

- W Ferrinie byłaby gościem, tu jest...

- Tu jest i tu zostanie. - Berenika uciszyła go władcym skinieniem ręki, ale Reikan nie dał się zastraszyć.

- Oficjalnie występuję o nadanie Leddi Anaeli dell'Idarei Ferrinowi.

- Odmawiam - padło w odpowiedzi. Reikan spodziewał się tego, ale pozostałe osoby spojrzały na władczynię zdumione. Nie mogła odmówić przyjęcia kontraktu. Nie w taki sposób! To godziło w Konwencję Wojenną i w same Nietykalne, których sensem istnienia i gwarancją bezpieczeństwa było porozumienie zwane kontraktem. - Odmawiam - powtórzyła Berenika. - Ta Leddi nie została zaprzysiężona. - To był niezaprzeczalny fakt. - Książę, Następczyni poprowadzi cię do twego pokoju. Mam nadzieję, że odpoczniesz należycie w gościnnych progach Alderiany. Z tobą, moje dziecko - przeniosła wzrok na Karolinę - chcę zamienić parę słów na osobności.

Karolina cofnęła się o krok.

Reikanie, nie zostawiaj mnie na pastwę tej wiedźmy! - prosiła bez słów, ale ten skłonił się sztywno, wpatrzony w... Nie, to niemożliwe, tak piękne istoty nie istnieją! Karolina

poczuła ukłucie zazdrości na widok czarodziejki nazwanej Następczynią. Bo też było czego zazdrościć.

Agnessa de Sade była wysoka i smukła. Czarna suknia z aksamitu zdobionego bogatym srebrnym haftem krojem podkreślała kształty wręcz doskonałe. Krucze włosy z dwoma srebrnymi pasmami, dodającymi tylko uroku ślicznej twarzy, spinał diadem z niebieskawego metalu, inkrustowany brylantowymi kroplami. Oczy barwy fioletowej co rusz przysłaniała firana długich, gęstych, wywiniętych rzęs. Godło Alderii zawieszona na grubym złotym łańcuchu zdobiło głęboki dekolt, ledwie skrywający krągłe piersi. Całość była wprost zniewalająca i gdyby Karolina była mężczyzną, na pewno znalazłaby się pod urokiem tej istoty.

- Pozwól za mną, książę, komnata już czeka. Czy mogę usługiwać ci przy kąpieli? - Głos, niski i gardłowy, ociekał zmysłowością. Czarodziejka podeszła blisko, aby owionął Reikana zapach jej ciała... zapach chętnego, kobiecego ciała. Gestem pełnym leniwej gracji ujęła dłoń księcia. Ten skłonił się Berenice i jak zahipnotyzowany podążył za Agnessą.

Absurdalne poczucie zdrady zapiekło Karolinę. Nie spodziewała się, że ten, który zapewniał ją, jaka to jest dla Ferrinu ważna, tak łatwo o niej zapomni. Wystarczyło piękne ciało i Reikan zapominał o przysięgach.

Przynajmniej wiem, że jestem zdana na samą siebie, pomyślała z goryczą. Jak to było? „Wyprostuj plecy, unieś głowę i nie daj się zastraszyć”.

- Czy teraz zdradzisz, moje dziecko, skąd i po co zawitałaś w me niskie progi? - Ironiczny uśmiech na twarzy Najwyższej pasował do ironicznych słów. Nawet to „moje dziecko” brzmiało jak obelga.

Po pierwsze, ja nie zdradzam - odparła Karolina w duchu, by głośno rzec:

- Cierpię na zanik pamięci po nieudanej teleportacji, Wasza Wysokość.

- Nie wierzę ci - powiedziała Berenika bez emocji. - To oczywiste, że masz przeszłość, o której bez przerwy rozmyślasz.

Karolina spuściła wzrok. Nie umiała przekonująco kłamać.

- A nawet jeśli to prawda - odezwała się wreszcie - to przecież nie przestępstwo mieć wspomnienia.

- Chyba że we wspomnieniach ukrywasz przestępstwo - zripostowała Berenika.

Karolinę zatkało z oburzenia.

- Nie zrobiłam nic złego! Po prostu nie życzę sobie, żeby ktoś grzebał w mojej przeszłości!

- Jeszcze tego nie zrobiłam, choć z każdą chwilą przekonujesz mnie, że jednak powinnam. Doceń, że najpierw pytam po dobroci: po co przybyłaś do mojego świata?

- Po nic. Prawdę mówiąc, chcę się stąd jak najszybciej wynieść.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek! Na Ziemię, do Ferrinu... wszystko jedno.

- Gdzie? Na Ziemię?

Karolina zamilkła, przekławszy swój niewyparzony język.

- Na ziemi elfów - to było pierwsze, co przyszło jej do głowy.

- Kłamiesz! - syknęła Najwyższa. Zatoczyła nad głową krąg i nagle Karolina poczuła szarpnięcie ją w przód, ku wiedźmie, lasso z energii. Upadła na kolana. - Za kogo ty mnie bierzesz, bezczelna dziwko?! - Władczyni Alderii pochyliła się nad nią, wbijając paznokcie w nadgarstki Karoliny. - Jak śmiesz ze mną pogrywać?! Jeśli natychmiast nie wyjaśnisz mi, kim jesteś i czego szukasz w moim świecie, stracę cierpliwość i gruntownie zbadam twoją pamięć.

- Nie ma pani prawa! - zaprotestowała Karolina łamiącym się głosem.

- Ja tu ustanawiam prawa. Powiesz, czy...?

- Nic nie powiem! - Karolina szarpnęła się w tył. Bez skutku.

- Jak sobie życzysz, moja panno.

Berenika chwyciła głowę Karoliny w dłonie. W rozszerzone paniką źrenice wbiła oczy, których tęczęwki zbielewały i zaczęły pływać to w górę, to w dół. Dziewczyna szarpnęła się ponownie, spodziewając się czegoś przerażającego.

I miała rację. Poczuła, jak mózg przenikają fale porażającego zimna. Poczuła, jak w jej umysł wdziera się moc o wiele potężniejsza niż wszystko, czego doświadczyła do tej pory. Poczuła... Nic już więcej nie czuła.

Ocknęła się u stóp tronu, dygocząc w niepohamowanych drgawkach. Berenika z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy oglądała swe dłonie, na których czerwieniały ślady poparzeń.

- Cóż, droga Leddi, poczekam, aż sama nabierzesz ochoty do zwierzeń. Mamy czas - rzekła powoli. - Żebyś mi jednak nie uciekła... - Z lekkim wahaniem ujęła lewy nadgarstek Leczącej między kciuk i palec wskazujący, po czym wyszeptała: - *Analiva sen Almeria*. Nakładam na ciebie areszt.

Skóra na nadgarstku zapłonęła żywym ogniem. Karolina krzyknęła, wyrwała rękę i w panice rzuciła się do drzwi. Były zamknięte.

- Niech mnie pani natychmiast wypuści! - Uderzyła pięściami w odrzwia. - Wypuść mnie, ty wiedźmo!!!

Najwyższa machnęła niedbale ręką i płonący ogniem napis

Berenika de Sanctis

zgasł.

Karolina wypadła na zewnątrz. Skręciła w pierwszy lepszy korytarz. I w następny. Biegła otulona płaszczem Reikana, nie zważając na to, że bez przewodnika nie trafi nawet do ubikacji - jeżeli ci dzicy ludzie zdążyli wynaleźć coś takiego. Marzyła tylko o jednym: odnaleźć księcia i z jego pomocą uciekać jak najdalej od tej psychopatki.

Przecież nie może mnie zamknąć! Oczyma wyobraźni widziała zapleśniały, zimny, ponury loch. Nagle zrozumiała, że wiedźmowata Najwyższa jak najbardziej może i nikt nie przybędzie Karolinie na pomoc, możliwe, że nikt się nawet nie dowie!

Oglądając się co rusz za siebie, pomknęła ku ciemnemu korytarzowi, instynktownie unikając światła. Gdy poczuła chwytającą ją za ramię dłoń, pisnęła jak mysz, bo przez zaciśnięte gardło przeszedł tylko ten dźwięk.

- Anaelo, to ja - usłyszała głos księcia i osłabła z ulgi. Elf wynurzył się z ciemności. Oprócz zwykłej powagi i skupienia na jego twarzy malował się niepokój.

- Cała drżysz. Co się stało? - Dotknął dłonią policzka Karoliny.

- Zabierz mnie stąd! Chce mnie aresztować!

- Tak powiedziała?

Karolina skinęła głową, ledwie powstrzymując łzy.

- Co jeszcze mówiła? Wie już o wszechświecie?! - Reikan chwycił dziewczynę za ramiona i potrząsnął.

- Nie wiem! Zabierz mnie stąd, proszę. - Wyciągnęła ręce w błagalnym geście. Ujął je i uścisnął.

- Wybacz. Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie wolno mi.

Te słowa sprawiły Karolinie niemal fizyczny ból. Jeśli nie mogła liczyć na pomoc Reikana, to na czyją? Czy książę był zbyt słaby, by przeciwstawić swoją wolę Najwyższej, czy po prostu nie chciał pomóc? Wyszarpnęła swoją dłoń z rąk elfa i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale przywlec mnie tutaj wbrew mej woli było ci wolno?!

- Na ziemi Bereniki podlegam jej rozkazom - odparł sucho.

- Pieprzę twoje rozkazy! Amre też dostał rozkaz, a nie pozwoliłby podnieść na mnie ręki! Zabiłeś go, a teraz oddajesz mnie wiedźmie?!

- Jesteś jej poddaną.

- Ale nie własnością! Wracaj do kąpieli, ty podły zdrajco, śliczna Następczyni umyje ci plecki! Ja sobie poradzę.

Odepchnęła go i ruszyła w dół korytarza, w stronę światła. Wściekłość była silniejsza niż żal czy strach. Skoro nie mogła liczyć na nikogo innego, musiała liczyć na siebie. Nawet nie zwróciła uwagi, że z całej siły zaciska pięści. Zdrajca, podły zdrajca! I morderca!

Reikan stał przez chwilę ogłuszony siłą jej emocji. Nie musiał czytać w myślach, by wiedzieć, co się z nią dzieje. Była na skraju przepaści.

- Anaelo, naprawdę myślałaś, że piękna Agnessa zrobiła na mnie wrażenie? Wskazała mi tylko nasze pokoje. Nic więcej - powiedział pojednawczo. - Choć, odprowadzę cię...

- Zostaw mnie!

Reikan przyspieszył kroku, widząc czerwone żmijki niekontrolowanej energii, spływające z ramion dziewczyny.

- Anaelo, tutaj nietrudno zgubić drogę. Pozwól...

Dogonił dziewczynę i chwycił za ramię. Odwróciła się na pięcie i z całej siły trzasnęła go w twarz.

- Mówiłam ci: zostaw! - syknęła i pobięła przed siebie.

Berenika rozparła się wygodnie na tronie i przymknęła oczy. Dzięki niezliczonym widzącym kryształom, które zdobiły ściany Twierdzy, miała jak na dłoni uciekającą korytarzami Alderiany Leczącą.

Oho, jest i Reikan! Przez twarz władczyni przemknął cień uśmiechu. Może by tak pomieszać szyki Ferrinowi i sprzątnąć sprzed nosa smakowity kąsek? Tylko co z nią zrobić? Zabić? Za wcześnie. Przecież o nią toczy się gra. Ale mogła przybłędę nauczyć pokory. O tak. Dwadzieścia batów za użycie Zakazanej Mocy to niewielka kara. Nawet Reikan nie będzie mógł protestować.

Zaczęła przenikliwym szeptem:

- *Tartar haft, Tartar has 't, haste rret, haste rrat...*

Biegła przed siebie oślepiona łzami. Nienawidziła tego cholernego świata z dwoma cholernymi słońcami, gdzie każdy robi z nią, co chce, jakby była cholerną marionetką.

Nienawidziła Reikana: najpierw miała ją pięknymi słówkami, a potem bez żadnych oporów podrzuca Najwyższej Wiedźmie. Nienawidziła Bereniki - o, tej nienawidziła od pierwszego wejrzenia - przy byle okazji nakłada na nią areszt. Na nią, Bogu ducha winną Karolinę Łańską! Nienawidziła!!!

Usta same ułożyły się w pierwsze zgłoski zaklęcia:

- *Tartar har't, Tartar has't, haste rret, haste rrat...*

Przemknęło jej przez myśl: Co ty wyprawiasz, opanuj się!

Ale zdusiła głos rozsądku ze zgrzytnięciem zębami. Chciała nienawidzić! Właśnie teraz!

Przemierzała korytarze Twierdzy, zatracona w gniewie, nie zwracając uwagi na ludzi w panice umykających jej z drogi, tak jak nie widziała spływających po ciele purpurowych błyskawic.

- *Anaelo, złapano cię w pętlę nienawiści!*

O tak! Nienawiść pochłaniała jej uwagę. Nienawiść rozlewająca się po całym ciele. Dająca poczucie siły, mocy - nieznaną Karolinie, ale znaną za to Anaeli. Rosnąca z każdym krokiem, z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca. Umysł płonął. Ciało również. Nigdy nie zaznała tak potężnego uczucia. Zmrużyła oczy w uśmiechu pełnym satysfakcji.

Gdzieś głęboko w sobie ponownie usłyszała alarmujący głos Sarisa:

- *Anaelo, to pułapka!*

Na końcu korytarza dostrzegła uzbrojonych mężczyzn z gwardii zamkowej i ubrane w purpurę kobiety, najwyraźniej zamierzających zagrozić jej drogę. Nie zwalniając kroku, podniosła dłonie: lewą ku blokującym przejście, a prawą skierowaną ku górze.

- *Tartar har't, Tartar has't, haste rret, haste rrat.*

Każda głoska brzmiała jak uderzenie krzemienia o krzemień. Każde słowo krzesło iskry. Źrenice rozszerzyły się nienaturalnie. Do wnętrza dłoni zaczęła spływać czarna, zimna, zła energia.

Wśród gwardzistów podniosły się krzyki, czarodziejki cofnęły się przerażone. I nagle Reikan, jedyny przytomny, pchnął Karolinę od tyłu tak, że straciła równowagę. Zakazana Moc uderzyła w kolumnę podpierającą strop. Na głowy posypał się tynk i rozbite cegły. Dookoła spadały odłamki kolumny. Ludzie umykali w panice.

Karolina klęczała z pochyloną głową, zupełnie pokonana.

Wykorzystując to, Mistrzynie splotły jedno silne zaklęcie i uderzyły.

Rozdział V

ELEUZIS

Serce łomocze w rytm kroków. Zbliżają się. Zatrzymują po drugiej stronie okratowanych drzwi.

- Proszę po leki.

Narastający łomot, który dobiegał zza drzwi, przywrócił Karolinę do przytomności. Kilka par ciężkich, pancernych buciorów wybijało na korytarzu dudniący, miarowy rytm. Ze wzrastającą paniką wsłuchiwała się w odgłos kroków, któremu akompaniowało chrzęszczenie i poszczekiwanie zbroi. Hałas osiągnął apogeum, a potem zaczął się oddalać, aż wreszcie ucichł zupełnie. Powoli uniosła ociężałą głowę i... czyjaś dłoń zacisnęła się na jej ustach. Tylko stęknęła z przerażenia.

- Ciii, to ja - usłyszała szept Reikana. - Nie krzycz, to cię puszcze. Dobrze? Dobrze?! - zapytał nagłaco.

Pokiwała gorliwie głową. Cofnął dłoń. Nabrała powietrza, by krzyknąć co sił w płucach, ale zakneblował ją powtórnie.

- Jesteś w areszcie, spróbuję cię uwolnić, ale jeśli wolisz tu zostać...

Zaprzeczyła. Gdy zwolnił uścisk, wyrwała się i po omacku dopadła do ściany. Dotknięcie zimnych kamieni, w których woda ciekąca przez wieki wyrzeźbiła własny ornament, sprawiło, że cofnęła dłoń. Nogi ugrzęzły w cuchnących pleśnią resztkach barłogu. Spod stóp wyslizgnęło się jakieś zwierzę. Znieruchomiała. Zgroza odebrała jej głos i zjeżyła włosy na karku. Po plecach pociekł strumyczek zimnego potu. Odruchowo zrobiła krok do tyłu i wyciągnęła rękę w poszukiwaniu tego, który mógł ją stąd zabrać, ale Reikana w tym miejscu już nie było. Odwróciła się, czując mdłości na myśl, że znów zostawił ją samą.

Jednakże był tam: stał dwa kroki od niej - nieruchoma ciemna sylwetka na tle jaśniejszego prostokąta drzwi. Nagła ulga przywróciła Karolinie nadszarpniętą odwagę. Wzrok wreszcie poradził sobie z ciemnością, którą rozjaśniał słaby błękit emanujący ze ścian.

Ogarnęła spojrzeniem ciasną celę, która mogła posłużyć za dekorację horroru. Przypadła do pokrytych nalotem pleśni drzwi, szukając jakieś klamki, uchwytu. Nic.

Spokojnie, tylko spokojnie.

- Gdzie jesteśmy?! To lochy? Karcer? Ciemnica?

- Zwykła cela! - Wzruszył ramionami. - Nie doceniają ani ciebie, ani mnie. Nawet pieczęci nie nałożyła - dodał niezrozumiale, za to z pogardą. - A może to kolejna pułapka? - mruknął.

- Ciebie też zamknęli?

- Nie. Sam się wprosiłem. - Reikan uśmiechnął się, widząc minę dziewczyny. - Przyrzekłem, że będę przy tobie, więc jestem.

Karoliny to nie uspokoiło. Miotła się po „zwykłej celi”, próbując znaleźć inne wyjście.

- Chciałeś mnie uwalniać, więc uwalniaj!

- Za chwilę, Anaelo.

Reikan nawet na nią nie spojrział. Stał wyprostowany, z przymkniętymi oczami, wyraźnie nasłuchując czegoś. Wreszcie drgnął, jakby w końcu odebrał wyczekiwany sygnał, i zakreślił w powietrzu prostokąt. Karolina stanęła i patrzyła zafascynowana, jak przestrzeń pod dłońmi elfa wypełniała się niebieskawą poświatą.

- Cofnij się pod ścianę! - nakazał dziewczynie, a gdy ta nawet nie drgnęła, powtórzył głosem nieznoszącym sprzeciwu: - Cofnij się, natychmiast!

Już miała zaoponować, ale Reikan chwycił ją za ramię i po prostu odepchnął pod drzwi. W tym momencie portal rozbłysnął oślepiająco, a pomieszczeniem wstrząsnął huk przełamywanej blokady. Kolejny błysk i następujący po nim huk świadczyły, że i druga alderiańska osłona okazała się nieskuteczna. Książę uśmiechnął się z satysfakcją.

Berenika przeciągnęła się rozkosznie. Nie ma to jak dobry seks przed snem, a seks z Joysellem zaliczała do szczególnie udanych. Młody lord nie był może zbyt wyrafinowany w miłosnych zmaganiach, za to zawsze oddawał się im z pasją i zaangażowaniem. Ciekawe, czy myślał wtedy o niej, Berenice, czy też marzył o innej? Spojrzała spod półprzymkniętych powiek na kochanka. Wyciągnięty jak długi, z rękami pod głową, patrzył w zdobiony bogatymi stiukami sufit. Był bezwstydnie nagi, nie osłonił przyrodzenia nawet rąbkami prześcieradła. No tak. Ciało lorda miało zaledwie trzydzieści lat, a co najważniejsze, było jego własną powłoką. Jej natomiast... Cóż, nawet najdoskonalsza iluzja i najskuteczniejsze eliksiry nie radziły już sobie z odmładzaniem Bereniki tak, jak by sobie tego życzyła.

Niedługo będzie musiała posiąść ciało kolejnej Następczyni. Wzięła w dwa palce kosmyk rzadkich włosów.

Nagle poczuła przyływ nienawiści do młodego lorda. Ze złością szturchnęła go łokciem pod żebra.

- Wynoś się!

Przeniósł na nią modre, zamglone sennym rozmarzeniem oczy.

- No rusz się! - warknęła, zrywając się z miejsca.

Usiadł, wzruszył ramionami i potarł twarz dłońmi. Cóż, władczyni miewała różne kaprysy. Sięgnął w miejsce, gdzie powinny znajdować się jego spodnie. Nie. Berenika zdarła je z niego przy toalecie. Nie pozwoliła mu się nawet odświeżyć po pogoni za Leczącą. Wstał i podszedł do wpatrzonej w lustro kobiety. Pochylił się, by pocałować ją w kark, ale uchylła się, a jej twarz wykrzywił grymas niechęci. Chciała go odepchnąć, lecz nagle zastygła z uniesioną ręką. Nie usłyszała, ale wyczuła echo potężnej eksplozji. Magicznej eksplozji. Ktoś wdarł się przemocą do Alderiany, łamiąc chroniące Twierdzę blokady! Ponownie!

Wezwała mentalnie Agnesę, nakazując odnaleźć księcia Reikana, bo zapewne on maczał w tym palce. On albo...

Z portalu wyszedł wysoki, smukły mężczyzna odziany w szatę o barwie królewskiego błękitu, zdobioną lśniącym czarnym haftem. Szlachetne rysy twarzy i królewska postawa nie pozostawiały Karolinie wątpliwości, kogo ma przed sobą.

- Leddi, oto Eleuzis dell'Soll, Wielki Władca Ferrinu. - Reikan potwierdził te przypuszczenia.

- A oto nasza Anaela. - Eleuzis z uśmiechem położył dłonie na ramionach dziewczyny. Nie śmiała sprostować, że tak naprawdę ma na imię Karolina. Zresztą jej ziemskie imię wydało się tu wyjątkowo nie pasować. - Pierwsza z Przepowiedni. Pierwsza i najważniejsza.

- Z przepowiedni? - zdziwiła się słabo.

Władca Świata Elfów spojrzał na nią zagadkowo i zaczął:

Wzgardzona Świętość grę rozpoczyna.

Amirin w dłoni Tej-Która-Leczy.

Drugim zostanie Księżę Ferrinu

Czarny Tytanian niech będzie Trzeci.

*Gdy Słońce wróci, skąd nie ma dróg,
Gdy białe serce z czarnym się połączy
Przed wolą Leddi ugnie się wróg,
Jej mocą Ferrin przetrwa, gra się skończy.*

- Tak, Anaelo. - Dłonie zacisnęły się lekko na ramionach dziewczyny. - Lecząca z Przepowiedni to ty. Reikanie, czyż nie jest wspaniała? - Zwrócił się do syna. - Smocze włosy, elfia aura i ludzka krew.

- Zaraz, zaraz - przerwała te zachwyty. - Jaka przepowiednia?

- Reikan nie wspomniał, iż oczekiwaliśmy cię jako Wybraną? - Spojrzał z przyganą na syna. - Przybyłaś do Świata Światów sprowadzona przez Amirin zaginiony przed dwoma wiekami. Tym, który cię odnalazł, był Reikan, ferrinowski książę. Musisz odszukać Trzeciego, a potem, zgodnie ze słowami wyroczni, uratować Świat Elfów przed zagładą - rzekł Eleuzis tak lekkim tonem, jakby ratowanie Ferrinów było dla Karoliny chlebem powszednim.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale to jakiś obłąd! Skąd mogliście o mnie wiedzieć? W moim świecie...

- W twoim świecie zostałaś wybrana przez naszych bogów. Amirin sprowadził cię tutaj, byś dopełniła Przepowiedni, która również od nich pochodzi.

„To takie proste” - dokończyła za niego w duchu. To takie proste! To przecież tutejsi bogowie przeteleportowali ją, by zbawiła Ferrin! No banalne. Zwykła boska codzienność: wziąć ludzika z Ziemi i przenieść go do Alderii. Albo do Ferrinu. Albo do piekła! Nieee. Nie da się nabrać! To na pewno jej chory umysł tworzy takie, właściwie niczego sobie, omamy. Bardzo realistyczne omamy, trzeba przyznać. O coś ją właśnie pyta ten omam. O serce. Dziękuję, ma się dobrze. Nie, o Serce Ferrinu. Aha, o Serce Ferrinu. Potrząsnęła głową, usiłując skupić rozbiegane myśli. Klejnot. Amirin, który miała na szyi, gdy tu trafiła.

- Oddałam go Amremu.

Eleuzis osłupiał.

- N-na pamiątkę - zająknęła się.

- Oddałaś Serce Ferrinu Darrakijczykowi?! Słudze WeddSa'arda?!

Zdobyła się jedynie na skiniecie głową. Wspomnienie uderzyło w nią niczym taran. Obmierzłe łapy pijanych żołdaków na jej ciele, smród niemytych ciał, chłód noża tnącego krtań. Nie! To nie były omamy! To nie był sen! Ona naprawdę tu była! I ci dwaj - Reikan i jego ojciec - byli tu również. Dwaj mężczyźni z krwi i kości. I ten loch - podeszła na miękkich nogach do ściany, dotknęła wilgotnej, zimnej powierzchni - ten loch też nie był

wytworem przebogatej wyobraźni. Musiała weń uwierzyć, a uwierzyć w loch to znaczy uwierzyć w słowa tych tam, czekających w milczeniu. Uwierzyć w bogów. Uwierzyć w Przepowiednię. I w udział jej, Karoliny-Anaeli, w teraźniejszości i przyszłości tego świata.

Odwróciła się powoli do władcy i księcia. Jej twarz zdawała się starsza o dziesiątki lat, a oczy ukazywały ogrom cierpienia i wewnętrzne rozdarcie. Jeszcze nie chciała lub nie mogła pogodzić się z rzeczywistością.

- Mam się do nich pomodlić? - zapytała pełnym napięcia głosem. - Do waszych bogów? Żeby wrócić?

- Taką więc decyzję podjęłaś? - Eleuzis nie pokazał po sobie, jak bardzo go rozczarowała. - Czy nic dla ciebie nie znaczy los naszego świata, który składamy w twoich rękach?

- Mylicie się. To nie o mnie mówi wasza Przepowiednia. Nie jestem godna ratować jakiegokolwiek świata, bo z własnym nie potrafię sobie poradzić - odparła cicho. - Byłam nikim i nikim chcę pozostać. Chcę wrócić.

- Synu, otwórz portal. - Eleuzis skinął ręką.

Reikan wstrząśnięty słowami Leczącej stanął naprzeciw niej. On też nie mógł uwierzyć! Nie wierzył, że Wybrana ot tak odmówi wypełnienia swej misji! Że nie obejdzie jej los Ferrinu. Ukochanego Ferrinu! Jak ona śmie?! Gdyby mógł, związałby ją i uprowadził do Feri'any, zmuszając do dopełnienia Przepowiedni. Gdyby mógł. Pięści same zaciskają się w bezsilnym gniewie. Dostyc! Skoncentruj się, Reikanie. Taka jest wola i tej zdrajczyni, i twego ojca. Nie okaż, jak bardzo rani cię niewdzięczność przybłądy wyrwanej z rąk WeddSa'arda. Zrób to, czego oczekuje twój władca. Otwórz portal. Tylko tyle.

Karolina patrzyła tępym wzrokiem, jak prostokąt seledynowego światła staje się oknem do jej pokoju. Jak w owym oknie widzi wygasłe świece, tłące się kadzidło, kryształ i wizerunki jednorożców na ścianach. Książę ustąpił z drogi. Mogła wracać. Już miała przejść na drugą stronę, gdy rzucił pogardliwie:

- Wracaj do Świata Szarej Śmierci.

Wracaj do szpitala.

Drżała na całym ciele niezdolna wymówić słowa. Oczy zapiekły niewyplakany łzami. Gardło zaciśnięte spazmatycznie ledwie przepuszczało hausty powietrza.

Jest tak blisko. Na wyciągnięcie ręki. Twój świat. Wracaj, Karolinko. Mroczny pokój wabi obietnicą mglistego poranka, jednego z wielu, jakie czekają cię po tamtej stronie. Tak. Zawsze byłeś nikim i nikim pozostaniesz. Zdana na łaskę i niełaskę, jeżeli nie więdźmy z pływającymi oczyma, to nie mniej odrażającego ordynatora. Tego pragnęłaś, kiwając się pod stołem w domu dziecka? Do tego tak pragniesz wracać? No powiedz, moja droga?

A może właśnie tutaj jest twoje miejsce? Może to o tym świecie marzyłaś przez wszystkie nieprzespane z tęsknoty noce? Może tu, w Świecie Światów, odnajdziesz szacunek dla samej siebie? Czyż nie warto zaryzykować?

- Będę mogła wrócić w każdej chwili? - Spojrzała we wpatrzona w nią oczy Reikana. - Przyrzekniesz?

- Przyrzekam, Anaelo. W każdej chwili. - Podniósł bezwładną dłoń dziewczyny i ucałował.

- Co mam robić? - Podjąwszy decyzję, poczuła, jakby z jej ramion zdjęto ogromny ciężar.

- Udaj się z nami do Ferrinu. Świat Elfów przywita cię z radością. - Eleuzis uczynił ręką zapraszający gest w stronę magicznych wrót, w których teraz ukazała się Komnata Przejścia, pod pieczęcią płowowłosego Klucznika.

Karolina, nie namyślając się dłużej, zrobiła krok w lśniącą taflę i... ze skowytem chwyciła się za nadgarstek, na którym zapłonęła ognista bransoleta. Skóra paliła tak, jakby wetknęła rękę między rozżarzone węgle. Z oczu popłynęły łzy, z gardła wydostał się chrapliwy, przeciągły jęk.

- Dass' ratt! - Przez ścianę bólu usłyszała przekleństwo. - Uwarunkowała cię!

Poczuła, jak książę bierze palącą rękę w swe dłonie. Jak na rozżarzone ciało spływają fale chłodu. Ból zelżał po chwili.

- C-co to jest? - Z trudem łapała oddech.

- Uwarunkowanie. Proste, ale skuteczne - odparł Reikan, unosząc do oczu nadgarstek dziewczyny. - Rodzaj aresztu. Nie możesz - przechylił głowę, by odczytać zanikające znaki - opuścić Alderii.

- Nigdy?!

Nagle cały świat skurczył się do rozmiarów celi w Alderianie. Przecież już zdecydowała: chce do Ferrinu! Jak mogą obiecywać jej świat z marzeń, a potem nagle go odbierać?!

- Dopóki Berenika, lub jej śmierć, cię nie uwolni.

Czy Reikan naprawdę wypowiedział te słowa? Przecież przyrzekał, mówił, że w każdej chwili będzie mogła wrócić do domu! A może...? Spojrzała prosto w zielone oczy księcia.

Uwarunkowanie skutecznie rozwiązywało kwestię jej udziału w ratowaniu Ferrinu, nieprawdaż? Musiał się domyślić tego podejrzenia, bo rzucił z oburzeniem:

- Nie śmiałybym zatrzymać cię siłą!

- Nawet dla dobra Ferrinu?

- Nawet dla dobra Ferrinu.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Powiedziałeś, że mam tu pozostać, dopóki Berenika, lub jej śmierć, mnie nie uwolni? Muszę więc zabić tę podłą wiedźmę - syknęła przez zaciśnięte zęby, rozcierając piekącą skórę. Dopiero teraz, gdy otarła łzy, ujrzała widmową bransoletę, a właściwie widmowe litery układające się w zaklęcie.

- Nim targniesz się na życie Bereniki, moja droga, warto byłoby odszukać tego, komu oddałaś Amirin - wtrącił Eleuzis, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się słownym utarczkom tych dwojga.

- Amre nie żyje! Przez niego! - Wskazała oskarżycielskim gestem Reikana.

- Żyje - odparował chłodno ksiączę. - WeddSa'ard okazał mu łaskę.

- Czy nie mogłeś wcześniej mi tego powiedzieć?! - Dосkoczyła do elfa, mając ochotę strzelić go pięścią między oczy.

- Czy to by coś zmieniło?

- Owszem! Wróciłabym po niego! A tak do twojej wiadomości - dźgnęła go palcem w pierś - Amre miał Czarny Tytanian. Tak nazywał swój miecz.

Z satysfakcją przyglądała się, jak twarz księcia tężeje.

- Czy nie mogłaś wcześniej mi tego powiedzieć? - powtórzył słowa dziewczyny.

- Skąd mogłam wiedzieć, że to ważne? Tę całą Przepowiednię poznałam od was.

- Że też Amarilla ciebie nie wtajemniczyła... - westchnął Eleuzis.

Gdyby cioteczka mnie wtajemniczyła, gdyby choć jednym słowem napomknęła, co mnie tu czeka, wolałabym zgnieć pod stołem w sierocińcu, niż tutaj trafić, Wasza Przemądrzałość! - zakrzyczała w duchu. Gdyby uprzedziła mnie, że będę gwałcona, mordowana, porywana i przenoszona to tu, to tam, wyrwałabym sobie język, by nigdy nie wypowiedzieć słów inkantacji!

- No cóż. Amrego i Amirin odnajdziesz na ścieżkach przeznaczenia - rzekł sentencjonalnie Eleuzis. - Teraz należy cię inicjować.

- Seksualnie? Za późno - odparła ponuro.

- Magicznie, droga Leddi, magicznie! - W poważnych do tej pory oczach władcy błysnęło rozbawienie. Natomiast jego syn zaoponował gwałtownie:

- Ojczy, muszę się sprzeciwić! Nie powtórzysz błędu...

- Milcz, Reikanie! - W głosie władcy zabrzmiała stal. Ponownie zwrócił się do Karoliny.

- Twoja moc jest dzika. Nieuporządkowana. Nie panujesz nad nią i nie potrafisz z niej korzystać. W rytuale inicjacji otworzę kanał, którym popłynie spokojnym strumieniem, a potem przekażę ci wiedzę wszystkich pokoleń elfów od zarania dziejów, byś umiała z tej mocy korzystać.

Umilkł, czekając na jej decyzję. Reikan milczał również. Cisza przedłużała się. Wreszcie Karolina odetchnęła głęboko jak przed skokiem na głęboką wodę.

- Jestem gotowa - rzekła, starając się, by głos jej nie zadrżał.

Eleuzis uśmiechnął się zadowolony, po czym wziął głowę dziewczyny w dłoń.

- Zamknij oczy, Anaelo - poprosił.

A gdy to uczyniła...

Potężne uderzenie energii wtargnęło do jaźni dziewczyny, pragnąc zmieść wszelkie przeszkody stojące między nią a jaźnią elfa. Ciało ugięło się pod straszliwą siłą, a potem wyprostowało, od tej pory trzymane w pionie tylko siłami magii.

Moc, dotąd przyczajona gdzieś na dnie duszy, a może umysłu, stanęła do walki, broniąc się przed ujarzmieniem. Walczyła z niewidocznym przeciwnikiem na śmierć i życie, nie bacząc, że odbiera ostatni oddech swej żywicielce. Dopiero gdy do elfa przyłączyła się druga istota, moc dziewczyny ugięła się, niezdolna do dalszej potyczki. I wtedy zaczął się przekaz.

Miliony obrazów, słów, sekwencji, zdarzeń, ułamków rzeczywistości i nierzeczywistości przepływało w szaleńczym tempie przez mózg dziewczyny. Jej ciało dygotało od mikro-uderzeń energii. Wszystko przecież było energią: i myśli, i słowa, i rzeczywistość, i nierzeczywistość. Niezliczone ilości cząsteczek przepływały przez umysł pogrążony w transie, chłonący je wszystkie i zachowujący w pamięci.

Przekaz trwał długo. Nieskończenie długo.

Rozdział VI

JOYSELL

Wzrok Bereniki padł na ubierającego się ślamazarnie lorda.

- Uwiedziesz tę nową Leddi - rzuciła.

Joysell spojrział na odbijającą się w lustrze twarz Najwyższej. W jego oczach nie było już śladu senności czy rozmarzenia.

- Chcę znać jej każdy krok, każdą myśl i każde słowo. Lord nagle stracił zainteresowanie dalszą konwersacją.

Kapryśna władczyni znów wystawiała go na próbę... Obojętnie powrócił do sznurowania koszuli. Narzucił na ramiona strojną kurtę.

- Zleć to komu innemu.

Zapiął ostatnią sprzączkę i chciał wyjść.

- Zrobisz to albo osobiście skręcę kark tej twojej Mirelli. - Z zadowoleniem patrzyła, jak Joysell nieruchomieje, a w błękitnych oczach pojawia się strach. - Myślałeś, że o was nie wiem? Naiwny... Mało co umyka mojej uwadze na tym zamku, a już na pewno nie przeoczę romansu mojego kochanka z moją ulubioną służącą. Mirella zostanie przydzielona do posługi tej przybłędzie, a ty pomożesz ukochanej w śledzeniu dell'Idarei. Jak to mówią: w łóżku nie ma sekretów. Uwiedzisz Leczącą, a w nagrodę słodka Mirella będzie żyła. Zrobisz to, Ellis?

Ruszył do drzwi, aby nie widziała ogromu nienawiści, jaka w tej chwili zalała jego serce. Gdyby mógł zabić tę wiedźmę, która wystawiała go na pośmiewisko przed całą Alderią! Gdyby mógł ukrećić łeb tej, której służył niczym pies. Tak jej nienawidził, jak sobą gardził.

- Zrobię - rzucił przez zaciśnięte zęby i chciał wyjść bez pożegnania, gdy:

- Joysell! - zatrzymało go w progu. Odwrócił się, przywołując na twarz maskę obojętności. - Masz! - Odruchowo pochwycił to, co mu rzuciła. Otworzył dłoń, w której zalsniła sztuka złota. - Kup sobie coś ładnego.

Wyszedł i oparł się o drzwi, czując pod powiekami piekące łzy. Opanuj się, chłopie, nie będzie byle wiedźma robiła z ciebie mazgaja! Przyłożył wierzch dłoni do oczu. Odetchnął parę razy głęboko. Dopiero po chwili skonstatował, że wciąż zaciska palce na sztabce, którą

Berenika rzuciła mu niczym psu kość. Metal parzył go w palce. Bez namysłu cisnął złoto przez okno. Usłyszał, jak odbija się od bruku podwórza kilka pięter niżej. Wziął głęboki oddech i wolnym krokiem pokonanego powlókł się w kierunku wschodniego skrzydła. Kładł rękę na klamce swego pokoju, gdy ledwo słyszalne „Joysell”, proszące, wręcz błagalne, sprawiło, że opuścił dłoń.

Zza kolumny wychynął cień. Reikan, bo to on był, stanął przed lordem i powiedział po prostu:

- Pomóż mi.

- Oszałeliście obydwaj! - wykrzyknął Ellis ze złością. Księżę przytaknął ponuro. - Wzbudziliście w kobiecie, ludzkiej kobiecie, elfią magię?! Berenika ją zabije!

- Anaela jest zbyt cenna.

- Może dla ciebie, bo nie dla Najwyższej! Elfia magia... Na bogów! Przecież Eleuzis wie, czym to się kończy! Jedna nauczka mu nie wystarczyła?! Berenika to jego dzieło! Jego pierdolone dzieło!

- Anaela jest inna.

Lord wpatrywał się w nieruchomą twarz przyjaciela.

- Skąd ta pewność? Ty coś wiesz. Coś, czego nikt się nawet nie domyśla, tak, Reikanie? - Milczenie wystarczyło za odpowiedź. - Jeżeli nie podzielisz się ze mną tą tajemnicą, nie liczę na moją pomoc. Zaufanie za zaufanie.

- Dowiesz się wszystkiego, lecz teraz, proszę, pomóż mi wynieść z lochów mego ojca.

- Zapłacę głową, jeśli ktokolwiek się dowie, że przyłożyłem rękę do tego spisku.

- Nikt się nie dowie. Gwardziści jeszcze długo się nie zorientują, że tam, gdzie powinien być korytarz, jest ściana.

- Drogo będzie to Ferrin kosztowało, przyjacielu - mruknął lord, unosząc pod pachy Eleuzisa. - Mam u ciebie dług wdzięczności i nie omieszkam się o zapłatę upomnieć. - Odkopnął drzwi celi i razem z Reikanem wyniósł bezwładne ciało na korytarz. - Nie mogliście inicjować jej gdzie indziej? Choćby w krzakach pod murami, byle na zewnątrz?

- Eleuzis planował przeniesienie Anaeli do Feri'any. Nie przypuszczaliśmy, że Berenika ją uwarunkuje - wyjaśnił Reikan, choć słowa przychodziły mu z trudem. - Ja zaś nie przypuszczałem, że ojciec zechce Anaelę inicjować. Byłem temu przeciwny tak jak ty. A już zupełnie nie mogłem przewidzieć, że moc Leczącej okaże się tak silna i że jej ujarzmienie będzie tyle kosztowało i Eleuzisa, i mnie.

Joysell pokręcił głową.

- A sprawiała wrażenie tak niepozornej...

- Właśnie: sprawiała wrażenie.

Wyszli na niewielki więzienny dziedziniec, dźwigając we dwóch nieprzytomnego Władcę Ferrinu.

- Stąd dasz radę otworzyć portal?

- Dam. Wróc do Anaeli i wezwij pomoc. Ellis ruszył z powrotem do podziemi.

- Joysell! - krzyknął za nim Reikan. Lord spojrzał nań pytająco: prośba o następną przysługę? - Cieszę się, że cię oszczędziłem. Trzy dni temu. W Lesie Tysiąca. - Po twarzy księcia przemknął uśmiech. Lord zaś roześmiał się na głos.

Śniła.

Dwie postacie trzymały ją za ręce, każda ciągnęła w swoją stronę. Wokół toczyła się wojna, prawdziwa rzeź. Morze płomieni i krwi. Jedna z postaci krzyczała: „Tu chodzi o twoje życie, Anaelo!”, druga wrzeszczała: „Tu chodzi o moje życie, Anaelo!”. Pojawił się mężczyzna, nieludzko piękny, jasnowłosy, ubrany w niebieską szatę. „Wytrzymaj, Anaelo”, powiedział i znikł. Przez chwilę widziała bruneta o czarnych, złych oczach i bystrym spojrzeniu, ale on także znikł. Wyrwała się trzymającym ją postaciom i zbiegła na dół, do piwnic. Czowała moc bijącą z tamtego miejsca. Była w komnacie pełnej drzwi. Wpadła w pierwsze z brzegu i znalazła się w samym środku pola bitwy. Znowu morze krwi, rozrywane ciała i wrzaski mordowanych. Wśród walczących widziała znajome twarze. Nagle nad pole bitwy wleciała ogromna kula, która w locie spłaszczyła się, zawirowała i runęła, powodując wielką eksplozję. Żywi i martwi, ludzie i zwierzęta zostali z potężną siłą poderwani i rozrzućeni przez niewidzialną falę po całej okolicy. Usłyszała płacz... i śmiech - okrutny, skrzekliwy śmiech, szarpiący trzewia.

Pod czaszką czuła tępy, pulsujący ból. Gdy spróbowała się poruszyć, zapiekły ją mięśnie. Coś ty, na Boga, wyczyniała, żeś taka zmasakrowana? - zapytała samą siebie, ale umysł miała pusty. Nieznośny ból głowy nie pozwalał na wysiłanie pamięci. Zaraz, zaraz: Reikan... Eleuzis... A potem... Inicjacja!

Nie otwierając oczu, *rozejrzała się* po pomieszczeniu. Jak to rozejrzała się?! Przecież nie otworzyła oczu! A jednak oglądała *wewnętrznym wzrokiem* pomieszczenie, w którym się znajdowała! *Widziała* okno jaśniejące na tle ściany. Drzwi, spod których prześwitywało światło z korytarza. Toaletkę z lustrem...

W powietrzu niczym babie lato unosiły się pasma energii. Czerwonej, żółtej, białej. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i uchwycić którąś...

...z trzech tabletek: białą na smutek, żółtą, która przy szpili do ziemi jak barwnego motyla w gablotce kolekcjonera sadysty, i czerwoną, by nie uciekać już więcej w śmierć...

Przeniknięta dreszczem przerażenia usiadła na łóżku. Coś się zmieniło! Zamknęła oczy i usłyszała w pokoju obok znajomą czarodziejkę, przewracającą się z boku na bok w niespokojnym śnie. Niechcący dotknęła śniącego umysłu. Majaki tamtej były nie mniej mroczne niż jej własne. Wycofała się pospiesznie, czując się jak włamywacz.

Wstała, krzywiąc się z bólu, podeszła do okna, przyłożyła czoło do zimnej szyby i powiodła wzrokiem po pustym placu okolonym kilkoma różnej wielkości budynkami i wysokim murem, który musiał otaczać cały zamek. Wszystko to pokrywały głębokie cienie błękitu i szarości, a mrok czmychał przed wschodzącymi słońcami. Było tu tak spokojnie i tak bezpiecznie. Odwróciła się od zaparowanej przez oddech szyby i podeszła do ciężkiej, kunsztownie rzeźbionej szafy. Otworzyła ją. Mimowolnie uśmiechnęła się na widok szeregu sukien jednakowego kroju i koloru: biały aksamit lamowany był przy dekolcie i rękawach złoto-czarno-czerwonym haftem przedstawiającym dwa splecione węże - znak rozpoznawczy Leczących. Obok sukien wisiały purpurowe płaszcze, których brzeg obszyty był podobnym ornamentem. Wyciągnęła jeden z nich, zarzuciła na nagie ramiona i spojrzała w lustro na wewnętrznej stronie drzwi.

Nigdy nie uważała się za piękność. Do zwyczajowych kobiecych zastrzeżeń typu: jesteś za chuda, Karolinko, nogi mogłabyś mieć dłuższe, rysy twarzy regularniejsze, biodra krągłejsze, piersi pełniejsze, dochodziły kompleksy związane z niecodzienną urodą: tycjanowskimi włosami i drobnymi piegami, jakimi usiany miała nos, lekko zadarty na dodatek. Nikt nigdy Karolinie nie powiedział, że właśnie taka, jaka była, z tymi drobnymi niedoskonałościami, przyciągała spojrzenia mężczyzn. Nie uświadamiała sobie swego uroku: tego, iż kto raz na nią spojrzał, nigdy nie zapomniał widoku pięknych złotozielonych oczu, jaśniejących zwykłym ludzkim dobrem.

Dotknęła czoła, na którym widniał magiczny tatuaż: dwa splecione węże: Znak Leczącej. Zamyślona podeszła do okna. Pierwsze promienie obu słońc podświetliły zanikowy dziedziniec, czyniąc go tak pięknym, że niemal nierealnym.

- Trafiałś tam, gdzie chciałaś - wyszeptala. - Do świata pełnego wspaniałych mężczyzn, gadających koni i tresowanych nietoperzy. W szafie czekają suknie, w jakich zawsze chciałaś biegać, nie szkodzi, że same białe. Co chwila cię ktoś porywa. Wybijasz dziury w suficie jednym machnięciem ręki. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Skoro jednak już tu jesteś, musisz sprostać własnym marzeniom. Pozwól Karolinie odejść, nie poradzi sobie w tym świecie. Pozwól, by jej miejsce zajęła Anaela. - Podniosła głowę i wyprostowała się dumnie. - Leddi Anaela dell'Idarei.

Skrzypnięcie drzwi odwróciło uwagę Anaeli od własnego odbicia. Do sypialni weszła Mirella, która na widok Leczącej rozpromieniła się, jakby ujrzała ukochanego.

- Wstałaś, Leddi! Już myślałam, że nigdy nie ockniesz się z letargu!. Jak się czujesz? Czy masz ochotę na kąpiel? A na śniadanie? - Nie czekając na odpowiedź, zniknęła za kotarą i po chwili wróciła, dźwigając puste wiadro. - Wszyscy o ciebie pytają! Przyniosę gorącą wodę na kąpiel. - Dygnęła wdzięcznie i wyszła, zostawiając Anaelę z niemądrze rozdziawioną buzią.

Zapach jedzenia, które wniosła starsza, nieco przerażona kobieta ubrana w szarą suknię, sprawił, że Anaela zapomniała o wszystkim innym oprócz wilczego głodu skręcającego żołądek. Na początek wchłonęła rogaliki i w dalszym ciągu była głodna. Pozostała jej miska cieczy o opalizującej niebieskiej barwie. Nie zdecydowała się jednak spróbować tajemniczej potrawy. Wpatrzoną w miskę Anaelę zastała Mirella, która wróciła z kolejnym wiadrem pełnym parującej wody. Zajrzała Leczącej przez ramię i cmoknęła z uznaniem.

- No, no, błękitna nalewka. Jej Wysokość postanowiła szkolić ciebie, moja pani, w iście zawrotnym tempie. No, śmiało - zachęciła Anaelę - to nie trucizna. Wyostrza zmysły i poprawia koncentrację.

Anaela, niezbyt przekonana, podniosła łyżkę do ust. Nawet smaczne. Jak kisiel o smaku... hm... niebieskim. Z zapalem zabrała się do pałaszowania owej cudownej nalewki i niebawem zastukała łyżką o dno. Siedziała przez chwilę z zamkniętymi oczami, czekając nie wiadomo na co. Do pokoju znów weszła Mirella z wiadrem wody.

- Nie działa. Nic a nic. - Anaela pokręciła głową. - Ta magiczna nalewka to zwykły kisiel.

Mirella parsknęła śmiechem na to porównanie.

- Czyżby? Gdzie jest Saris? - zapytała nagle.

- Odpoczywa. Łąki. Słońca. Spokój, ale i czujność - odparła jednym tchem Anaela.

- A książkę Reikan?

- Las. Samotność. Rozdrażnienie. Ból.

Mirella pokiwała głową.

- Działa, działa, moja pani. Twój potencjał rośnie.

- Wyczuwam Sarisa i Reikana - odszepnęła zamyślona Anaela. - Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale...

- Łączy cię z nimi silna więź mentalna. Dopóki oni jej nie zerwą, będziesz tak właśnie z nimi związana. I z każdym innym. - Dziewczyna uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Z każdym? - zapytała ostrożnie Anaela.

- Z każdym, kto jest na ciebie otwarty.

- A z... zamkniętymi?

- Och, masz wystarczającą moc, by przełamać mentalne blokady, ale to bardzo niegrzeczne. Lepiej uprzejmie poprosić o audiencję. Znasz formułę.

Tak. Anaela po inicjacji znała wszystkie formuły, zwłaszcza te najczęściej używane:

- Sellinarisie WeddSa'ard, *elle mi'a*. Usłysz mnie.

- *Mi'elles*. Jestem, słyszę.

Stała na leśnej ścieżce. Rozejrzała się zdumiona. Przed chwilą była w swoim pokoju! Stała na leśnej ścieżce, którą nadjeżdżał oddział odzianych w czerń żołnierzy. Anaelę sparaliżowało przerażenie.

Ten, który prowadził Wilczych Zwiadowców, wstrzymał konia. Złożył ręce z wodzami na łęku siodła i wbijał w nią wzrok dotąd, aż odważyła się spojrzeć wprost na niego.

Stała twarzą w twarz z Sellinarisem WeddSa'ardem i nie miała co do tego wątpliwości.

- *Mi'elles* - powtórzył, unosząc kącik ust w kpiącym uśmiechu.

Cofnęła się w panice i zerwała kontakt.

Znów była w swoim pokoju. Siedziała za stołem, wczepiając palce w poręczę krzesła. Cała drżała, nie wiedząc, czy z szoku, czy ze strachu. Płytki, szybki oddech unosił pierś. Zimny pot zrosił czoło.

- To nie było zbyt rozsądne - mruknęła Mirella, podając jej puchar z lekkim winem. Anaela wypła jednym haustem. - To też nie. - Dziewczyna pokręciła głową i wyszła.

Anaela została sam na sam ze wspomnieniem twarzy Sellinarisa WeddSa'arda, a w szczególności wyrazu jego czarnych, przenikających na wskroś oczu. To spojrzenie... Otuliła ramiona dłońmi, czując wszechogarniający chłód. Mirella, która wróciła z następnym

wiadrem pełnym gorącej wody, podała jej koc i zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu. Anaela usłyszała odgłos wlewanej do wanny wody. Otrząsnęła się i stanęła za Mirella.

- Czy mogę spytać, skąd ty to nosisz?

- Z łaźni, moja pani, jeszcze kilka i kąpiel będzie gotowa. Proszę o chwilkę cierpliwości.

- Cierpliwość to ja mam. Tylko tobie siły się kończą. Gdzie znajduje się ta łaźnia?

- Łaźnie - poprawiła ją Mirella. - W suterrenach.

Anaela podeszła do okna i spojrzała w dół.

- Mirella droga, chcesz mi powiedzieć, że targasz te wiadra przez tyle pięter? - Dziewczyna potaknęła. - A czy nie uważasz, że prościej byłoby, gdybym to ja zeszła na dół?

- Och nie, moja pani, to nie uchodzi! Z łaźni korzysta tylko służba!

- Korona mi z głowy nie spadnie - odparła Anaela. Zdjęła ręcznik, który Mirella miała na szyi i...

- Pani Anaelo, ale ja już sześć przyniosłam! - jęknęła dziewczyna, wskazując ogromną balię, na której dnie było kilka centymetrów wody.

- Pójdźmy na kompromis: ja się wykapię w tych sześciu, a ty nie będziesz nosiła następnych. I nie próbuj usługiwać mi przy kąpeli! Sama potrafię się umyć...

Umyć, owszem, ale już wybór stroju okazał się trudny. Mirella otworzyła z rozmachem drzwi szafy i zapraszającym gestem wskazała wiszące w niej stroje. Wszystkie suknie, co do jednej, były białe. Wszystkie peleryny barwy krwi.

- Hm... - Anaela udała, że się zastanawia. - Może wezmę tę białą? - Zdjęła z wieszaka jedną z sukien i przyłożyła do siebie. - A może tę? Nieee... Chyba jednak tę. Białą.

Parsknęły śmiechem.

- Ktoś tu nie ma wyobraźni.

- To nie brak wyobraźni - odrzekła Mirella, gładząc śnieżny aksamit - to przywilej Leczących: biała suknia i purpurowa peleryna. I wierz mi, moja pani, że niejedna czarodziejka oddałaby pół życia za te barwy.

- To znaczy, że ciągle mam wyglądać jak śmierć na chorągwi? Żadnych błękitów? Czerni? Zieleni?

- Błękit noszą Pogodynki, czerń zwykle czarodziejki, a na zieleń musiałabyś otrzymać specjalne pozwolenie z Ferrinu.

- Naprawdę?!

- Naprawdę. Zieleń jest przywilejem elfów.

- Jeden moment. - Anaela przerwała Mirelli stanowczym gestem dłoni, po czym wykonała ruch, jakby sięgała do kieszeni. Kciukiem otworzyła klapkę wyimaginowanej komórki, wystukała numer i poczekała na połączenie.

- Cześć, Reikan, to ja, Anaela... Ja też się cieszę, że cię słyszę. Słuchaj, mam prośbę... Wiem, że ty dla mnie wszystko - . mrugnęła porozumiewawczo do oniemiałej Mirelli. - Chcę sobie sprawić zieloną kieckę, wiesz, zieleń pasuje mi do oczu, miałbyś coś przeciwko? Wiedziałam. Słodki jesteś. Ja też cię kocham. Pa! - Cmoknęła nieistniejącą klawiaturę i zamknęła „telefon”. - Załatwione!

- Naprawdę rozmawiałś z księciem? - wyszeptła Mirella, z nabożną czcią patrząc na pustą dłoń Anaeli. Ta zaczęła się śmiać i śmiała się dotąd, aż Mirella dołączyła do niej, poznawszy się wreszcie na dowcipie.

- Cieszę się z twego dobrego humoru. - Uwaga wypowiedziana bynajmniej nieprzyjaznym tonem sprawiła, że śmiech zamarł Anaeli na ustach, a Mirella spuściła oczy i gorliwie zajęła się wybieraniem sukien dla Leczącej, jakby rzeczywiście miała jakiś wybór.

Agnessa de Sade stała w drzwiach ze splecionymi na piersiach dłońmi i dezaprobatą wypisaną na pięknej twarzy. Fiołkowe spojrzenie omiotło Anaelę od nagich stóp do głów, ta owinęła się szczelniej purpurową peleryną, nagle zawstydzona.

- Najwyższa cię wzywa.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się, by opuścić pokój, na progu jednak rzuciła przez ramię:

- Nim wyjdiesz na korytarz, włóż suknię.

Anaela miała zamiar zripostować, ale Mirella gestem dłoni uciszyła swą panią.

- Następczyni lepiej nie wchodzić w drogę - szepnęła, gdy tamta wyszła.

- Następną do kolekcji - westchnęła Anaela i ruszyła na spotkanie z Najwyższą.

Nie lubiła tej sali, nie lubiła podwyższenia z tronem i nie lubiła spoczywającej na nim kobiety. Ze wzajemnością.

- Dziś wieczorem odbędzie się twoja inicjacja - oświadczyła Władczyni Alderii bez zbędnych ceregieli, mierząc Anaelę zimnym wzrokiem.

- Już zostałam zinicjowana - odrzekła spokojnie Lecząca, ale ten spokój się rozwiął, gdy ujrzała na policzkach władczyni rumieniec gniewu, a w bladych oczach narastającą furię.

Na skinienie Bereniki gwardzista dopadł do Leczącej, pchnął ją na kolana tuż u stóp tronu i natychmiast odskoczył, widząc spływające po ramionach Leddi czerwone błyskawice niekontrolowanego gniewu.

- Kto śmiał bez mego rozkazu uwolnić w tobie moc? - wyszczała Najwyższa, pochylając się ku dziewczynie.

- Eleuzis dell'Soll, Wielki Władca Ferrinu, ale on chyba nie podlega pani rozkazom - odparła Anaela.

Berenika z trudem przywdziała na twarz maskę obojętności, by przybłęda nie poznała uczuć, jakie teraz szalały w jej duszy. Więc to Eleuzis przybył tamtej nocy, aby wyzwolić w swej nowej ulubienicy elfi potencjał! Jak on śmiał?! Zakradać się do zamku i... Ciekawe, dlaczego Ferrin tak bardzo interesuje się Anaela dell'Idarei? Co knuje ten stary intrygant...

Po raz pierwszy dokładniej przyjrzała się Leczącej. W czym była wyjątkowa, co w niej było aż tak interesującego, że właśnie w tej dziewczynie, a nie w żadnej innej - piękniejszej, mądrzejszej, zdolniejszej - Władca Ferrinu zdecydował się wyzwolić magię miłości? Na kogo chce dell'Idarei poszczuć? Kogo chce przybłędą opętać? I nagle olśnienie: Reikana! Następce tronu!

Opadła na oparcie tronu, nagle czując lata, jakie miała na karku. Władza nad Ferrinem w rękach tej... tej smoczowłosej kurwy?! Po moim trupie!!! Spokojnie, Bereniko, musisz działać rozważnie. I bardzo ostrożnie. Właściwie to nie lada gratka mieć w rękach atutową kartę Eleuzisa.

Uśmiechnęła się, co wywołało konsternację wszystkich obecnych.

- Wstań, moje dziecko. Nie zostaniesz powtórnie ukarana, bo znów jakiś książę weźmie twą karę na siebie. Jest wojna i potrzebuję każdej Leczącej, nawet skalanej magią nieczłowieka. Rozpoczniesz szkolenie, a o twojej przyszłości porozmawiamy innym razem.

Anaela z westchnieniem ulgi wyszła na korytarz, gdzie czekała na nią, obracając w palcach kosmyk długich czarnych włosów, Mirella.

- Było aż tak źle? - zapytała ze współczuciem.

- A czy kiedykolwiek było dobrze? - odparła Anaela. - Czy ta cała Berenika miała kiedyś lepszy humor? Była bardziej ludzka? No sama powiedz, Mirello, ty ją znasz dłużej.

Mirella pokręciła tylko głową, nie ważąc się powiedzieć na głos tego, co myślała. Rzekała jedynie:

- Strzeż się takich słów, moja pani, tutaj karzą za bardziej błahe przewinienia.

- A tak. Najwyższa Wiedźma wspomniała coś o karze i księciu. Ej, ej, Mirello. - Chwyliła dziewczynę za rękę i obróciła ku sobie, widząc, jak tamta umknęła wzrokiem. Nagle poczuła narastający niepokój. - Gdzie się podział Reikan? - Po minie dziewczyny poznała, że trafiła w dziesiątkę.

- Wyjechał zaraz po chłóście - odparła niechętnie Mirella.
- Po czym?! - Anaela przerażona chwyciła dziewczyną za ręką.
- Użyłaś Zakazanej Mocy, a to bardzo poważne przestępstwo. Najwyższa skazała cię na karę chłosty, a książe wziął ją na siebie.

- Ile... razy? - słowa z trudem wydostawały się przez zaciśniętą krtani.
- Och, nie liczyłam. Nie mogłam na to patrzeć, choć musiałam przy tym być. Wszyscy musieli - westchnęła.

Anaela zacisnęła powieki. Reikan, dumny książe Ferrinu, chłostany na oczach całej Alderiany jak byle przestępca. Zrozpaczona i wściekła ruszyła za Mirella.

- Książe godnie zniósł karę - dodała dziewczyna. - Możesz być dumna, moja pani.

Anaela stanęła jak wryta. Dumna?! Z czego, na Boga, ma być dumna?! Że ktoś został skatowany zamiast niej?!

- Chodźmy. - Mirella pociągnęła ją za rękaw. - Mistrzynie Energii czeka.

Pomieszczenie urządzone było surowo. Jedynym sprzętem, nie licząc półek na ścianach zastawionych słojami z zawartością przyprawiającą o mdłości, był długi stół. Na nim wyłożone zostały narzędzia, których w żaden sposób nie mogła nazwać chirurgicznymi. Piły, młotki, noże, śruby. Leżały jedno obok drugiego i w połączeniu z mrokiem panującym w pokoju sprawiały makabryczne wrażenie.

Starsza kobieta odziana w purpury przywitała wchodzące chłodnym skinieniem głowy.

- To ciebie zwą Anaela dell'Idarei? I w ciągu tygodnia mam cię wyszkolić na Leczącą? - Anaela przytaknęła. - No to zabieramy się do nauki. Szkoda czasu. Podejdz tu. - Mistrzynie skinęła na Mirellę, a gdy ta z lekkim ociąganiem wykonała polecenie, podwinęła rękaw jej sukni, odsłaniając nadgarstek. - Najpierw nabierzemy odrobinę zielonej energii i przyłożymy do miejsca, które chcemy znieczulić. Uważasz, Leddi? Dobrze. Widzisz to pasmo energii? Chwytny je i przykładamy. A teraz - kobieta wzięła do ręki jeden z noży - ciach! - Przejechała nim po nadgarstku Mirelli. Z przeciętych żył trysnęła krew. Anaela jęknęła ze zgrozą. - Pamiętasz słowa zaklęcia? - upewniła się Mistrzynie. - Skoncentruj się więc, nabierz w dłoń błękitnej energii i przyłóż do rany, powtarzając zaklęcie na głos, jeśli musisz.

Anaela patrzyła na silnie krwawiący nadgarstek niezdolna do wykrztuszenia słowa.

- No, na co czekasz?! Przykładaj! - krzyknęła tamta. To otrzeźwiło Leczącą. Zacisnęła powieki, szukając *wzrokiem* pasma błękitu.

- Otwórz oczy! Nie będziesz chyba leczyć po omacku!

Anaela pochwyciła energię i zaczęła inkantację, którą znalazła gdzieś na dnie spanikowanego umysłu:

- *Sine'nen selis... Sinenen selis...*

Przyłożyła leczniczą energię do nadgarstka Mirelli i trzymała tak długo, aż - ku jej zdumieniu - rana się zasklepiła.

- No i co? Zadowolona? - Anaela rzuciła wściekle spojrzenie Mistrzynie, która bynajmniej na ukontentowaną nie wyglądała. Nie czekając na odpowiedź ani na pozwolenie odejścia, odwróciła się na pięcie i wyszła, trzasnąwszy z pasją drzwiami. Kolorowe szybki posypały się na ziemię.

- To jest chore! - wykrzyknęła, nie oglądając się na spieszącą za nią Mirellę. - Jak ona mogła podciąć ci żyły?!

- Musisz przecież ćwiczyć, moja pani. Wiedza, której nabyłaś podczas inicjacji, jest tylko teoretyczna, musisz wiedzieć, jak posługiwać się nią w praktyce.

- I w tym celu mam cię kaleczyć, gdy tylko zapragnę sprawdzić nabyte umiejętności?

- Po to mnie masz. - Mirella uśmiechnęła się niepewnie.

Anaela pokręciła wolno głową.

- Co za porąbany świat.

Gabinet Mistrzynie Iluzji sprawiał wrażenie składowiska rupieci. Sama Mistrzynie okazała się młodą, piękną kobietą, odzianą w szatę krojem i barwą przypominającą strój poprzedniczki, bez porównania jednak strojnieszszą. Materiał wydawał się w lepszym gatunku, a haft zdobiący mankiety i dekolot wymyślniejszy. Medalion błyszczał w świetle świec stojących na stole zagraconym do niemożliwości.

- Witamy na pierwszej lekcji iluzji - rzekła nagle czarodziejka, po czym... rozdzieliła się! Tam gdzie przed chwilą była jedna Mistrzynie, stały teraz dwie identyczne. Uśmiechnęły się w tym samym momencie zadowolone z wywołanego wrażenia. Po chwili, w efektownym rozbłysku magii Mistrzynie powróciła do swej pojedynczej osoby. - Teraz ty, Leddi.

- Co j-ja? - wyjąkała Anaela. - Mam się rozmnożyć?

- Może trochę później. - Mistrzynie parsknęła śmiechem. - Zacniemy od czegoś prostszego. Zamknij oczy. Zakłęcie Przywołania Materii pamiętasz? Dobrze. Wyobraź sobie teraz przedmiot, którego pożądasz najbardziej w świecie. Byle niewielki. Już? - Anaela skwapliwie przytaknęła. Od paru dni miała przed oczami coś, czego pragnęła ponad wszystko. - Dobrze. Oczyść umysł z wszelkich innych myślokształtów. Niech w oceanie czerni unosi się to, czego pragniesz... - ciągnęła czarodziejka niskim hipnotycznym głosem. -

Teraz, powtarzając w myśli zaklęcie, a jeśli musisz, to szeptem, zacznij tworzyć z cząstek materii to, co sobie wymarzyłaś.

Anaela oczyma wyobraźni ujrzała ją jak żywą: kolorową, o długiej, wdzięcznie wygiętej ręczce, włosiu tu krótszym, a tam dłuższym. To cudo obracało się wokół własnej osi niczym w reklamie telewizyjnej. O taaak. Bardzo jej pragnęła.

- Bardzo dobrze. Twórz, modeluj, komponuj z cząstek energii to... coś - w głosie Mistrzyni dało się wyczuć nutkę zakłopotania.

Mirella również patrzyła z rosnącym zdumieniem na przedmiot, który materializował się w dłoni Anaeli. Na małą, burą, koślawą... szczoteczkę.

- Czy to szczoteczka do brwi? - zapytała, pełna dobrej woli, gdy w końcu Lecząca otworzyła oczy.

- Nie - odparła Anaela. - Do zębów!

Podbiegając co chwila za idącą szybkim krokiem Mirella, Anaela obracała w dłoni, z wyrazem cielecego zachwyty na twarzy, swą szczoteczkę. Była pod wrażeniem własnych czarodziejskich umiejętności! No, no! Sama, osobiście, stworzyła z niczego taką piękną szczoteczkę do zębów!

Nie zauważyła, jak wyszły za drugi pierścień murów. Potykając się na kocich łbach szerokiego gościńca, wciąż oczarowana maleńkim przedmiotem, nie zwróciła uwagi na kobietę odzianą w męski strój do jazdy konnej, która przyłączyła się do nich. Zapewne wpadłaby na mur stajni, gdyby Mirella nie przytrzymała jej za ramię. Dopiero teraz Lecząca rozejrzała się półprzytomnie.

Z niejakim zdumieniem oddała ukłon towarzyszącej im kobiecie.

Ta zapytała grzecznie:

- Jak bardzo zaawansowana jesteś wjeździe konnej, pani?

- Jakoś sobie radzę. - Wspomniała z rozrzewnieniem szkółkę jeździecką, tam, na Ziemi. Obolałe pośladki, otarte uda... - Z pół godzinki w siodle wytrzymam, jeżeli wcześniej nie spadnę.

- Pół godzinki?! - jęknęła nauczycielka. - Jak ja mam z was, Leddi, amazonkę uczynić?

- Spokojnie, mamy całą wieczność.

- Mamy tydzień! - krzyknęła kobieta z nieudawaną rozpaczą, a Anaeli zrobiło się głupio.

- Żartowałam. Jeźdź od dziec... - i urwała. I zamarła z zachwyty. Bo też widok zapierał dech w piersiach: przed nimi po horyzont ciągnęły się alderiańskie łąki falujące lekko w powiewach wiatru, utkane niczym ozdobny kobierzec kwiatami wszystkich barw i kształtów.

Pały się na nich stada koni, a ostatnie promienie zachodzących słońc rzucały na ich śnieżnobiałą sierść złote i purpurowe refleksy. Zwierzęta poruszały się powoli i majestatycznie w oceanie soczyście zielonych traw, a ujrawszy trzy kobiety, podpłynęły ku barierze grodzącej padok niczym okręty przybijające do portu.

- Oto wierzchowce wyhodowane specjalnie dla Leczących - rzekła z emfazą nauczycielka. - Śnieżnobiałe, by wróg na ich widok powstrzymał oręż. Wytrzymałe i zwinne. Wierne i mądre. Wybieraj sercem, Leddi, bo zwierzę, na które padnie twój wybór, będzie przy tobie w doli i niedoli, dopóki śmierć was nie rozłączy.

Anaela stała pośród cisnących się doń aksamitnych pysków, ciekawych sarnich oczu, rozdygotanych podnieceniem chrap. Jak wybrać wśród stada jednakowych tego jedyne?

Z zaurczenia wyrwały ją dobiegające zza stajni krzyki, po czym na dziedziniec wypadł czarny jak sadza ogier. Przesadził bez wysiłku wysokie ogrodzenie, potrząsając głową, podbiegł do zaskoczonej Anaeli i szturchnął ją w ramię, niemal przewracając.

- Uważajcie! - usłyszała krzyk nadbiegających stajennych. - To elfi dzikus!

Ogier łypnął niebieskimi oczyma.

- *Dzikus?! - usłyszała jego głos w swym umyśle.*

- Saris! - wykrzyknęła, po czym, objawszy go za szyję, przytuliła twarz do miękkiej jak aksamit sierści.

- *We własnej czworonożnej osobie. - Czy jej się zdawało, czy też głos Sarisa załamał się lekko ze wzruszenia? - Ledwo zdążyłem. Zamienilabyś mnie na któregoś z tych wypłowiłych, albinotycznych, przerasowionych...*

- Saris - powtórzyła, głaszcząc go po lśniącej szyi.

- *Pragnę ci służyć, jeżeli oczywiście mnie na służbę przyjmiesz.*

- *O nie, za dużo gadasz!* - roześmiała się Anaela. - Ten będzie mój! - rzekła na głos.

- Leddi - zaniepokoił się stajenny - ten ogier jest niebezpieczny. Nikomu nie pozwolił się nawet dotknąć!

- *No też coś!* - parsknął Cień. - *Chciałoby się podotykać!* - skomentował kąśliwie, na co Anaela musiała się roześmiać.

- Ten będzie mój i żaden inny - powtórzyła.

Anaela szczotkowała Sarisa całkowicie oderwana od rzeczywistości. Długie, monotonne pociągnięcia szczotką wprawiały ją zawsze w rodzaj transu, w którym mogła rozpamiętywać wydarzenia ostatnich dni.

- Byłeś Cieniem WeddSa'arda, teraz jesteś moim - odezwała się nagle. Przysypiający pod kojącymi dotknięciami jej ręki Saris niechętnie otworzył oczy. - Jak to jest: służyć dwóm wrogom?

- *Nie jesteście moimi wrogami* - zauważył przytomnie.

- Oj, Saris, nie drocz się ze mną. Jesteśmy swoimi wrogami.

- *Wrogami, Anaelo?* - Odwrócił głowę i spojrzał prosto w złotozielone źrenice. - *Nie widziałas Sellinarisa na oczy i mimo to już darzysz go wrogością?*

Zmieszała się.

- Ale Reikan i wszyscy...

- *Wszyscy? Spodziewałem się, że ty, właśnie ty, nie będziesz pochopnie ferowała wyroków. Nie wydasz ich, dopóki nie wysłuchasz, co ma na swą obronę oskarżony.*

- Co więc w obronie WeddSa'arda powie jego Cień?

- *Po pierwsze, moja droga, nie byłem i nie jestem Cieniem WeddSa'arda, ale Sellinarisa dell'Soll. Po drugie, obowiązuje mnie tajemnica. Tak to jest w służbie dwóm wrogom: przed zdradą ratuje lojalność.*

Zawstydzila się.

- Zapytam więc Sellinarisa przy najbliższej okazji.

- *Pytaj* - prychnął.

Powróciła do hipnotyzującego szcztokowania i tak już lśniącej sierści ogiera. Dopiero znajomy głos sprawił, że podniosła oczy na przyglądającego się jej od dłuższej chwili mężczyznę.

- Masz dobrą rękę do koni.

Joysell opierał się niedbale o drzwi boksu, gryząc źdźbło trawy. W granatowej tunice, pasującej do jego intensywnie niebieskich oczu i podkreślającej wspaniale umięśnioną sylwetkę, nawet na niej, Anaeli, robił wrażenie. I był tego wrażenia całkowicie świadom. Strzepnął niewidoczny pyłek z krótkiej, o ton ciemniejszej peleryny, zdobionej złotym haftem.

- Przejdziemy się? Pokażę ci moje ulubione miejsca.

Rozejrzała się w poszukiwaniu ratunku. Nie żeby towarzystwo przystojnego lorda było Anaeli niemiłe, jednak nauczona doświadczeniem przyrzekła sobie nie zwracać niczyjej uwagi. Szczególnie faworyta Najwyższej.

- Gdzie Mirella?

- Boisz się zostać ze mną sam na sam? - Lord uniósł kpiąco brew.

Anaela dała się sprowokować. Nie namyślając się dłużej, wyprowadziła z boksu Sarisa i ruszyła za lordem.

Cienista polana, na którą Joysell Ellis powiódł swą zdobycz, była naprawdę malownicza. Okolona wiekowymi drzewami, porośnięta miękkim mchem, ze strumykiem szemrzącym na kamieniach byłaby doskonałą dekoracją każdego melodramatu.

Anaela, z brodą opartą na kolanach, kontemplowała otoczenie. Joysell natomiast leżał na boku i kontemplował Anaelę.

- Już o tobie głośno w całej Alderianie - przerwał milczenie. - Dziewczęta z Akademii usiłują farbować włosy na ten oszałamiający kolor. - Bawił się przez chwilę kasztanowym kosmykiem. - Co daje opłakane efekty. Czarodziejki zaś szukają odpowiedniej mikstury, by narzucić podobną iluzję.

Pokręciła za śmiechem głową.

- No i wszyscy zastanawiają się, z którego Wymiaru przybyłaś.

- Wymiaru?

- Nie znano u was pojęcia Wymiaru rzeczywistości? - Teraz on się z kolei zdumiał, po czym narysował na piasku coś na wzór drzewka prawdopodobieństwa. - Każde wydarzenie powoduje powstanie równoległych rzeczywistości o różnym przebiegu zdarzeń: równoległych Wymiarów, których liczba staje się nieskończona.

- Reikan nazwał mój świat Światem Szarej Śmierci - wyrwało się Anaeli.

- Pochodzisz z Tartaru?! - Oczy lorda zogniły ciekawością i niedowierzaniem.

- Co to jest Tartar? - odpowiedziała pytaniem.

Westchnął rozczarowany. Gdyby przybyła z Tartaru, wiedziałaby o tym miejscu więcej niż on sam.

- Świat Duszbójców - odparł z wahaniem.

Widać było, że ten temat nie należy do jego ulubionych.

- Brzmi ciekawie - podkuliła kolana i objęła je dłońmi, szykując się do wysłuchania interesującej historii. - Kontynuuj, drogi lordzie.

- Nikt ci nie opowiadał o Tartarze i Duszbójcach?

Zaprzeczyła.

- Kiedyś istniał świat zwany Edenem, Krainą Czystych Serc. Zamieszkiwały go Cienie i ich opiekunowie, Zaklinacze, wywodzący się z elfiej rasy, ale zbuntowani przeciwko Ferrinowi i wygnani bez prawa powrotu. Dwa wieki temu zaczęła się w Edenie rozprzestrzeniać zaraza. Cienie ginęły, Zaklinacze zatracali poczucie tożsamości i wybijali

siebie nawzajem. Zaraza opętała ich dusze i umysły, a z rozumnych i prawych istot pozostały tylko ciała będące siedliskiem nosicieli zwanych Duszobójcami. Wierz mi, Leddi, niczego się tak w Świecie Światów nie lękamy jak powrotu Szarej Śmierci.

Odetchnął. Przesypał piasek między palcami.

- No i co? I co było dalej? - zapytała z wypiekami na twarzy.

- Eden został zamknięty potężnym zaklęciem, a Eleuzis wysłał swego syna na czele wojska, by zgładził nosicieli.

- Reikana?

- Nie. Swego pierworodnego. Sellinarisa.

- WeddSa'arda - wyszeptła.

- Wtedy jeszcze Sellinarisa dell'Soll, bo WeddSa'ardem miał się dopiero stać - sprostował. - Żeby zaraza nie rozprzestrzeniła się poza blokadę, pozostawiono jeden jedyny portal łączący tę krainę z resztą Świata Światów. Władzę nad nim miał oczywiście głównodowodzący, Sellinaris, i tylko on wrócił z Edenu. Z piętnem Władcy Duszobójców, czarną gwiazdą na czole. Wrócił, jak powiadam, sam, pozostawiając wszystkich, nawet własną siostrę, uprowadzoną przez te ścierwa, na pastwę Szarej Śmierci. Eleuzis wpadł w szal. Wyklął WeddSa'arda i wygnał z Ferrinu. Nikt się za zdrajcą nie ujął, nawet jego rodzona matka, Berenika de Sanctis, za co teraz się na niej mści.

- To Berenika jest matką WeddSa'arda?!

- Historii Bereniki także nie znasz? Co wyście z Reikanem robili podczas tych trzech dni w Lesie?! Niech zgadnę: pewnie poematy ci recytował.

Parsknęła śmiechem.

- Eleuzis swego czasu wiele eksperymentował, między innymi z magią. Mówią, że kyrie to jego sprawka... wiesz, co to są kyrie, mam nadzieję. Nie? Zaraz, zaraz, po kolei. Któregoś pięknego ranka, mówię o Eleuzisie, zapragnął obdarzyć swą ulubioną niewolnicę Berenikę elfią magią. Wtedy jeszcze nie wiedział, że skrzyżowanie ludzkiego potencjału z elfim wyzwala moc rzucenia uroku miłosnego. Tak silnego, iż nikt nie jest w stanie się temu oprzeć ani go odwrócić. Nawet Eleuzis. Berenika wykorzystła tę moc, zniewalając swego pana. Owocem ich burzliwego związku był właśnie Sellinaris, którego... zaraz po zniknięciu Amarilli dell'Soll... Eleuzis uznał i ustanowił prawowitym następcą tronu.

- O Jezu - westchnęła tylko.

Zawsze wyobrażała sobie, iż elfy to istoty nieskazitelnie czyste i prawe. Uosobienie szlachetności. To, czego się przed chwilą dowiedziała, przypominało brazylijską telenowelę.

- Musisz być świadoma, Anaelo, że żaden mężczyzna nie oprze się ludzkiej kobiecie z elfim potencjałem, gdy ta zagnie nań parol. Mnie, po starej znajomości, oszczędź.

Roześmiała się.

- Powiedz jeszcze, co to są kyrie.

- Krzyżówka ludzi ze smokami.

Anaela wciągnęła głośno powietrze.

- Więc jednak są tu smoki.

- Na szczęście nie tutaj. W Kyrenii.

Joysell przysunął się bliżej, ujął dłoń Leczącej w swoją i począł rysować na piasku jej palcem wskazującym mapkę tego świata:

- Tu, moja śliczna, jest owa Kyrenia, na północny wschód od Alderii. Tu Darrakia. Tu Ferrin. A tu - ściszył głos - tu jest Tartar. - Pochylił się nad nią i wymruczał do ucha: - Bardzo, ale to bardzo niebezpieczne miejsce. - Odwrócił dłoń dziewczyny wnętrzem do góry i ucałował. Następny pocałunek złożył już w okolicy nadgarstka.

Anaela delikatnie, acz stanowczo uwolniła rękę. Palce trąciły medalion, który Joysell miał na szyi. Wizja poraziła ją w ułamku sekundy...

Obszerne łóżce ze skotłowaną pościelą. Toaletka jasno oświetlona przez tuziny świec. Siedząca przed lustrem podstarzała kobieta - Berenika. Stojący przy niej jasnowłosy mężczyzna - Joysell.

- Masz uwieść tę nową Leczącą. Zrobisz to?

- Zrobię.

Skamieniała, podczas gdy on pieścił ustami zagłębienie nad obojczykiem. Ożeż ty! Uwodzisz mnie na rozkaz Najwyższej Wiedźmy?!

W pierwszym odruchu zamierzała strzelić go w twarz i zmieszać z błotem we wszystkich znanych sobie językach, to znaczy trzech tutejszych i trzech ziemskich. W następnym zaś postanowiła odplacić pięknym za nadobne.

Zamruczała z rozkoszą wprost do ucha roznamiętnionego lorda i poczęła oddawać pocałunki z takim samym żarem. Kiedy sięgnęła do jego przyrodzenia, jęknął przeciągle...

Nie trzeba go było dłużej zachęcać. Drżącymi z podniecenia dłońmi rozpiął spodnie, pchnął dziewczynę na ziemię i już miał przystąpić do dzieła, gdy... Anaela ujęła twarz lorda w

dłonie i ze słowami: „Powiedz Najwyższej Wiedźmie, że rozkaz uwiedzenia został p r a w i e wykonany”, zepchnęła go z siebie.

Joysell uniósł brwi w bezbrzeżnym zdumieniu. I nagle zrozumiał. Ale dziewczyna już wstawiała, już strzepywała suknię, już podbiegała do Cienia.

- Anaelo! Poczekaj! Pozwól wytłumaczyć...

Z wysokości Sarisowego grzbietu posłała mu spojrzenie pełne pogardy.

- Zajmij się swoją wiedźmią kochanicą, a ode mnie trzymaj się z daleka!

Pędziła na złamanie karku w kierunku zamku.

- *O co wam poszło?* - dociekał Saris. - *Wydawało mi się, że jest ci całkiem przyjemnie.*

- Ty podglądaczu! Czy nie mam prawa do odrobiny intymności?! - krzyknęła zawstydzona i oburzona zarazem.

- *Nie masz. Więc?*

- Uroczy lord Ellis uwodził mnie na rozkaz nie mniej uroczej Berenisi - odparła. - Wredne bydlę.

Obejrzała się: gnał za nimi, popędzając gniadosza, ponury jak gradowa chmura.

- He, he, Sarisa nikt nie dogoni, ty głupku! - zaśmiała się z mściwą satysfakcją.

Joysell doszedł chyba do takiego samego wniosku, bo zwolnił i został w tyle.

- Masz rację, Saris. Zaczynam się gubić w tym, kto jest moim wrogiem, a kto przyjacielem.

Uderzenia kopyt niosły się echem ulicami dolnego zamku. Ludzie pierzchali z drogi szalonej Leddi dosiadającej nie mniej szalonej czarnej bestii. W końcu wpadli na główny dziedziniec. Anaela odgarnęła z oczu włosy, które podczas tej eskapady wymknęły się spod aksamitki.

- Ale było. - Poklepała wierzchowca gestem pełnym uznania.

Zaśmiał się bezgłośnie w odpowiedzi.

Mirella czekająca na nich pod ścianą stajni poderwała się.

- Odprowadzę Sarisa, moja pani.

Nim Anaela zdążyła odpowiedzieć, na spienionym koniu nadjechał Joysell. Lecząca bez słowa minęła czarodziejkę i ruszyła ku zachodniej wieży.

Chciał iść za nią, tłumaczyć, może nawet przeproszać - pamiętał ostrzeżenie władczyni: „Zrobisz to, a może twoja ukochana będzie żyła” - gdy wtem drogę zastąpił mu mężczyzna w zakurzonej, splamionej krwią i błotem pelerynie narzuconej na porysowaną zbroję.

- Samuel! Na bogów, co ty tutaj robisz?! - wykrzyknął.
- Przyszedłem prosić o pomoc - odparł cicho mężczyzna.
- Wiesz, że nie mogę nic zrobić.
- Cambria długo nie wytrzyma. Potrzebuję wsparcia regularnego wojska.

Joysell pokręcił głową.

- Znasz rozkazy Najwyższej.

- Poznałem je na własnej skórze! Pierdolona wiedźma wycofuje alderiańskie regimenty, by bronić złóż tytanianu! Zostawia pół kraju na pastwę WeddSa'arda! Padła Yordania, Tamil i Trezja, Cambria broni się ostatkiem sił, a ta kurwa przysyła mi dwa hufce konnicy! Mam posłać konie na mury?!

- Przykro mi, Samuelu, złamanie rozkazów to zdrada - zduszonym głosem odparł Joysell.

- Zdradą jest być im posłusznym! Myślisz, że ty i twoja Ellisia jesteście bezpieczni? Do czasu, drogi lordzie. Do czasu, aż obudzisz się ze sztyletem WeddSa'arda w sercu albo, co gorsza, z nożem Bereniki w plecach! - Umilkł nagle. Potarł zmęczoną, poszarzałą twarz. - Wybacz, Joysell. Wiem, że stanąłbyś u mego boku.

Młody mężczyzna spuścił wzrok. „Kup sobie coś ładnego”. Zacisnął pięści, zagryzł wargi do krwi.

Lord Cambr już chciał odejść, ale odwrócił się jeszcze z błaganiem w oczach.

- Wyproś u niej chociaż Leczącą. Luizę straciliśmy dziś rano. Nie godzi się zostawiać rannych bez opieki.

- Zrobię, co będę mógł. Obiecuję - odrzekł cicho Joysell i ruszył do górnego zamku, nie oglądając się za siebie. Obaj wiedzieli, że nie dotrzyma obietnicy.

Lord Cambr oparł się o mur stajni, przyciskając dłoń do oczu. On sam nie bał się śmierci. Od dziecka szkolono go na twardego wojownika - ani ojciec, ani nauczyciele nie szczędzili mu razów, poznał, co to ból, widział śmierć i zadawał ją - ale zamek pełen był uchodźców: starców, kobiet i dzieci, a Czarni nie oszczędzali nikogo!

- Lordzie, słyszałam, że potrzebujesz Leczącej - usłyszał nagle ciche słowa.

Poderwał głowę. Ktoś był świadkiem chwili jego słabości!

Otarł gniewnym ruchem załzawione oczy i zmierzył nieznaną czarodziejkę ostrym spojrzeniem.

- Poradzimy sobie.

- Sam mówiłeś: nie godzi się zostawiać rannych...

Minął ją bez słowa. Jeszcze tylko litości tej obcej wiédźmy mu trzeba!

- Lordzie, jestem gotowa...

- Nie, Leddi. Cambria padnie do rana. Szkoda twojej fatygi.

- Lordzie, zabierz mnie ze sobą, proszę!

Uklonił się chłodno i odszedł.

Noc otuliła Alderianę w ciemność i ciszę. Nie spali tylko ci, którzy musieli czuwać. Nie spała również Anaela. Zamyślona gładziła emblemat na kołnierzyku bluzy podarowanej przez pewnego zwiadowcę, a srebrny wilk zdawał się prężyć grzbiet pod tą pieszczotą.

Wspomnienie Amrego było jedynym, które dawało poczucie bezpieczeństwa w tym nieznanym tajemniczym świecie. Co wieczór więc, przed zaśnięciem, przywoływała obraz oficera: jak ją przytula - nieporadnie, z zażenowaniem, a jego surową twarz przelotnie rozjaśnia uśmiech... Gdzie jesteś, Amre? Czy jeszcze kiedyś się spotkamy?

Jednakże coraz częściej wspomnienie oficera przyćmiewał inny obraz. Obraz mężczyzny odzianego w taki sam mundur, z dwoma srebrnymi wilkami i szamerunkiem Wilczego Zwiadu na kołnierzyku: Sellinarisa WeddSa'arda. I zagadkowy wyraz jego oczu. Chciałaby wiedzieć, co płonęło na dnie czarnych źrenic...

Dźwięk kuranta wydzwaniającego północ wyrwał Anaelę z tych rozmyślań. Wstała, sprawdzając, czy Mirella, jak co noc, wymknęła się na schadzkę z ukochanym Joysellem, wskoczyła w białą suknię Leczącej i zarzuciła na ramiona pelerynę.

W pierwszym odruchu miała zbiec do stajni, by zabrać ze sobą Sarisa, ale porzuciła tę myśl. Cień, czuwający nad Anaela, jak kwoka nad kurczętami, na pewno nie pozwoliłby na tę eskapadę: w oblężonym zamku będzie zapewne bardzo gorąco. Pobiegnęła więc w kierunku Wieży Portalowej, którą niedawno tutaj trafiła. Bezszelestnie wślizgnęła się do Komnaty Wejścia. Klucznik drzemał, pochrapując beztrosko. Położyła dłoń na czole mężczyzny i nim się zdążył obudzić, pod wpływem zaklęcia zapadł w zdrowy, głęboki, żeby nie powiedzieć kamienny, sen.

Wyciągnęła przed siebie ramiona, wyszeptwała słowa inkantacji, czarny kamień portalu ożył, a po drugiej stronie Anaela ujrzała drugiego Klucznika.

- Czy to Cambria? - zapytała.

- Cambria, Cambria - przytaknął zaskoczony, więc, wstrzymując oddech, przeszła przez czarny kamienny próg dzielący dwa zamki.

I nagle znalazła się w piekle.

Rozdział VII

CAMBRIA

Komnatę Przejścia wypełniał tłum. Dwie czarodziejki, zdrętwiałymi ustami mamrocząc zaklęcie, trzymały otwarty portal, przez który podawano rannych. Kobiety z czepiającymi się ich sukien, płaczącymi dziećmi czekały mniej lub bardziej cierpliwie na swoją kolej, niektóre w akcie desperacji próbowały przemknąć chyłkiem na drugą stronę. Przekleństwa i krzyki krzyżowały się w powietrzu z jękiem i błaganiami.

Anaela stała przez moment nieruchomo, próbując dojść do siebie. Jeszcze przed chwilą leżała w ciepłym łóżku otulona błogą ciszą śpiącej Twierdzy. Teraz znajdowała się pośród łez, cierpienia i strachu. Panicznego strachu.

Uciekać! Uciekać! - krzyczały oczy każdego. Nie będzie litości!

- Leddi? - Ktoś pociągnął ją za rąbek peleryny. - Lecząca?

Przytaknęła machinalnie i ruszyła w kierunku schodów. Ci tutaj za chwilę otrzymają pomoc. Nie im była potrzebna. Wypadła na dziedziniec i z gardła wyrwał jej się jęk. Ogromną przestrzeń wypełniali złożeni wprost na bruku umierający mężczyźni. Między nimi kręciły się bez ładu i składu służące i czarodziejki. Z murów dochodziły mrozące krew w żyłach okrzyki. Odgłosy kanonady. Szczęk broni.

Przycisnęła dłonie do skroni. W pamięci zamajaczyła scena z poprzedniego wcielenia, gdy wysłano ją, jeszcze nieopierzoną studentką medycyny, do katastrofy kolejowej: skręcone tony stali spiętrzone nad głową, ludzie w szoku snujący się jak zjawy w duszącym dymie, makabryczne jęki i wołania o pomoc dochodzące gdzieś ze środka zmiażdżonych wagonów. Wtedy też poczuła wszechogarniającą niemoc. A potem przyплыw sił i wolę walki. Jak teraz.

Wzięła kilka głębokich oddechów, a potem krzyknęła tak, by było ją słychać w najdalszym zakątku dziedzińca:

- Uwaga, wszyscy!

Wprawdzie gdzieś nad jej głową wciąż toczyła się bitwa, ale tutaj nagle wszyscy znieruchomieli i ucichli. Z wielu gardeł na widok białej sukni wyrwało się westchnienie ulgi.

- Jestem Leddi Anaela dell'Idarei, przysłana tu z Alderiany (wybacz, droga Berenisiu, to małe kłamstwo). Ty i ty - wskazała dwie najbliższe stojące czarodziejki - będziecie selekcjonować: lżej rannymi zajmą się czarodziejki, przenosząc ich do wszystkich pomieszczeń na poziomie dziedzińca. - Kiwnięcia głowami upewniły Anaelę, że takie pomieszczenia w ogóle są. - Służącym wskażecie umierających, którzy razem z trupami mają się znaleźć tam, pod murem. Ja zajmę się ciężko rannymi. Dziedziniec ma być pusty! Jeszcze jedno: portalem w pierwszej kolejności wyjdą kobiety i dzieci. Nie one walczą w tej wojnie. Potem lżej ranni. My zostaniemy do końca.

Powiodła wzrokiem po swych pomocnicach: przygarbione plecy prostowały się, beznadzieja w oczach ustąpiła miejsca determinacji. Ze strony obrońców odpowiedział jej pomruk aprobaty.

Bez dalszych wywodów pochyliła się nad najbliższym leżącym mężczyzną, którego aura szarzała nieubłaganie.

Pracowała bez wytchnienia do świtu. Już dawno zaprzestała skrupulatnego łączenia poharatanych tkanek, ograniczając się do ratowania życia. Skoncentrowana do granic możliwości, precyzyjnie uderzała wiązkami energii, nawet nie dochodząc do rannego. Błękit skutecznie tamował rozliczne krwotoki - w powietrzu unosiła się tylko mdląca woń przypalanych tkanek. Biel wyprowadzała ze śmiertelnie niebezpiecznego szoku. Zieleń pomagała łagodnie umrzeć, uśmierzając ból...

Suknia już dawno straciła swój biały kolor, zbrukana krwią, błotem i ekskrementami. Romantyczne wyobrażenia Anaeli o średniowiecznych wojnach legły w gruzach. Wojna, nawet taka na miecze, włócznie, łuki i katapulty, to smród z rozdartych wnętrzności, rozdzierające jęki, grubiańskie przekleństwa, rozpaczliwe krzyki, ból, łzy i... krew. Bagno krwi. Brodziła po kostki w lepkiej, purpurowej mazi.

Traciła siły, a rannych nie ubywało. Wyprostowała się na moment, podparła obolałe od ciągłego schylania się plecy.

- Gdzie mi go niesiecie? Powiedziałam wyraźnie: trupy pod mur! - warknęła do dwóch kobiet dźwigających nosze z umierającym.

- To jej ojciec - odrzekła cicho starsza. - Może zdołacie go uratować, pani.

Pokręciła głową. Mogła tylko przyłożyć do śmiertelnej rany garść zieleni. Odprowadziła przygarbione kobiety wzrokiem, w którym gościła pustka. Zatrzymała spojrzenie na zwłokach odzianych w darrakijskie mundury... Zmrużyła oczy i podeszła bliżej, nie zważając na czepiających się jej sukni cierpiących mężczyzn. Wszyscy Darrakijczycy mieli... no niee... ależ tak! Podcięte gardła! Chwyciła za ramię przebiegającą służącą.

- Kto to zrobił? - Wskazała najbliższego trupa. Dziewczyna spojrzała na nią błędnym wzrokiem. - Kto ich zaszlachtował?

- Nasi, pani. Nie mamy czasu pilnować jeńców.

Puściła ramię dziewczyny i w tym momencie rozległ się krzyk na murach.

- Lord Cambr nie żyje!!!

Straszny lament przetoczył się przez dziedziniec. To koniec! Jeśli Cambria straciła dowódcę, to koniec!

- Lecząca! Dajcie tu Leczącą!

Przeskakując po dwa stopnie, wspięła się na mury. Przypadła do Samuela i odetchnęła z ulgą. Żył. Był ciężko ranny, ale żył. Potrzebowała czasu. Spojrzała z góry na dziedziniec pełen obrońców i krzających się między nimi kobiet, przeniosła wzrok na leżących pod murem zarżniętych jeńców, potem na nieprzytomnego lorda.

Potrzebowała czasu. Cambria potrzebowała czasu.

Zniszczona mapa zalegała stół. Pochylający się nad nią mężczyzna niby to uważnie badał każdy szczegół pergaminu, myślami jednak błędził gdzie indziej.

- Wasza Wysokość - skrzekliwy głos wyrwał go z zamyślenia - lord Cambr przysłał posła.

- Poddaje zamek?

- Nie.

- Odpraw albo zetnij... - WeddSa'ard wzruszył ramionami i powrócił do studiowania ryciny.

Vervain przygarbił się, wyciągnął głowę ku przodowi. Sylwetka wielkiego, drapieżnego sępa położyła się cieniem na ścianie namiotu.

- Mój Panie, to Leddi. TA Leddi.

Władca uniósł głowę i zaskoczony wpił wzrok w pooraną zmarszczkami twarz sługi. TA Leddi?! Mglisty obraz istoty z leśnej ścieżki powrócił jak we śnie.

O tak: śnił o niej. Noc w noc prześladował Wielkiego Mistrza wizerunek smoczowłosej czarodziejki. Od tamtego dnia, gdy wymknęła się z jego drapieżnych rąk, on, który nie miewał snów, śnił o nieznanym. I teraz Leddi z sennych majaków przysłała do niego. Zaraz, za moment spojrzysz jej w oczy i...

Nie! Nie chciał jej widzieć. Nie chciał rozczarować się sztuczną urodą kolejnej alderiańskiej wiedźmy. Już miał powtórzyć: „Odpraw”, ale nie zdążył.

Stała w progu. Filigranowa niczym laleczka z porcelany.

Stała na tle szarzejącego nieba, szczelnie owinięta w krwistoczerwony płaszcz, z kapturem zakrywającym twarz. Teraz zrobi krok do środka, wejdzie w krąg światła i...

Nie rób tego! Wynoś się! - zakrzyczał w myślach, ale właśnie dała ten krok. W tym samym momencie Vervain jednym ruchem zerwał jej kaptur z głowy i pchnął, aż padła na kolana.

Sellinaris wstrzymał oddech.

Podniosła na niego oczy. Piękne, lśniące oczy. Zatopił się w nich, utonął. Zajrzał przez nie w głąb siebie, swojej przeszłości. Tych szalonych, beztroskich dni, gdy wszystko było takie proste.

Czas zatoczył krąg.

Kwiaty zakwitły, ptaki ze śpiewem przelatywały z gałęzi na gałąź. Słońca złocistymi promieniami ogrzewały cudowny, radosny świat. Świat dzieciństwa.

Klingi lśniły grafitowo i srebrzyście. Reikan z wyzywającym śmiechem podskoczył wysoko. Miecz Sellinarisa świsnął pod nim. Błyskawicznie zatoczył krąg, uderzył z góry. Ześlizgnął się po klindze. Śmiech rozbrzmiał znowu.

Naraz drobna istotka wbiegła pomiędzy cięcia i sztychy. Ostrza zawisły tuż nad jej głową.

- Elanoro dell'Soll, nigdy więcej tego nie rób! - Reikan rzucił miecz i objął ją wpół.

Różowe usteczka rozchyliły się w uśmiechu, cmoknęły policzek. Księżniczka wyrwała się z objęć brata, zawirowała. Błękitna sukienka zafurkotała jak stado spłoszonych ptaków.

- Ciebie, Reikanie, ogłaszam zwycięzcą turnieju.

Przyzdobiła lśniący potem tors girlandą z blad różowych kwiatów argusa. Sellinaris poczuł ukłucie zazdrości o jej uśmiech. O dotknięcie smukłej dłoni. O przelotny pocałunek. Ale nim zdołał sobie tę zazdrość uświadomić i się jej zawstydzić, już zwracała się do niego.

- Ciebie zaś, Sellinarisie - kciuk księżniczki dotknął rozgorączkowanego czoła - mianuję Władcą Ferrinu.

Opadła na kolana i utkwiała w nim roziskrzona oczy. Oczy pełne uwielbienia, pełne miłości, nie do końca będącej miłością li tylko siostrzaną. Złote oczy... szmaragdowe oczy?

Półprzytomnie spojrzał na klęczącą przed nim dziewczynę. Tak podobną do tamtej i... tak inną. Opanował przemożną chęć dotknięcia jej. Sprawdzenia, czy jest materialna, czy też utkana z jego wyobraźni. Poczuł gniew. Na samego siebie, na nią, na cały świat.

- Vervain! Wynoś się! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Wpatrywała się w niego uważnie, obserwując każdy grymas zmysłowych ust, każdą ryś na szlachetnym czole. Wsparty obiema rękami o stół, lekko pochylony, z wbitym w nią spojrzeniem przypominał gotową do ataku czarną panterę. Piękną, gibką i śmiertelnie niebezpieczną. Przyglądała się

Wielkiemu Władcy właśnie tak, jakby podziwiała to wspaniałe zwierzę: z mieszaniną zachwytu, respektu i niepokoju.

- Czego chcesz? - zmroził ją warknięciem.

- Wasza Wysokość, przybyłam... przybyłam prosić o kilkugodzinny rozejm.

- Rozejm? - Zmrużone oczy przyszpiliły ją, przeraziły.

W sekundę przypomniała sobie wszystkie opowieści o jego okrucieństwie i z uczuć do tej pory nią miotających pozostał tylko niepokój. Przełknęła gorycz napływającą do ust. „Poznaj prawdę oskarżonego, nim wydasz wyrok”. Wytrzymała to spojrzenie.

- Po co?

- Ranni... - Uczyniła niesprecyzowany ruch ręką. - Chcę wyprowadzić waszych rannych.

- Ty chcesz? - Skuliła się mimowolnie. - A co na to lord Cambr?

- Trudno powiedzieć. Jest nieprzytomny.

Wstał powoli, wyszedł z za stołu i zatrzymał się tuż przed nią. Chłodna dłoń ujęła Leczącą pod brodę i uniosła jej twarz. Czarne oczy patrzyły na nią tak... dziwnie. Poczowała, jak palący rumieniec wykwitła na policzkach, a gorący skurcz ściska żołądek.

- Leddi - niski głos przywołał ją do porządku - przychodzisz do mnie i mówisz, że Cambria jest pozbawiona dowódcy, a ty chcesz otworzyć jej bramy? Czyżbyś była zdrajczynią?

Wraził jej to słowo w samo serce.

- Jak pan śmie! - krzyknęła i chciała się zerwać na nogi, ale przytrzymał jej ramię. Zmusił, by pozostała na kolanach. To ci się podoba, co? Ty bydlaku! Wściekłość w jednej chwili zdusiła wszystkie inne uczucia. - Jestem Leczącą! - rzekła dobitnie. - Odpowiadam za rannych. Także waszych. Muszę ich wyprowadzić z Cambrii, nim...

- Nim? - podchwycił.

- Nim Alderiańczycy wyrzną ich wszystkich. A przecież to ranni - dokończyła cicho.

Uniósł brew.

- W piersi alderiańskiej wiedźmy bije współczujące serduszko? - zakpił. - To doprawdy miła odmiana.

- Nie jestem alderiańską wiedźmą - odrzekła z naciskiem i próbowała wstać, ale ponownie jej to uniemożliwił.

Wsunął palce w kasztanowe włosy. Zacisnął tak mocno, że musiała odchylić głowę do tyłu. Drugą dłonią objął kruchą krtani. Przez chwilę napawał się strachem dziewczyny. Czuł pod opuszkami pulsowanie krwi tłoczony oszalałym sercem i... tak, o to mu chodziło. Spijał jej emocje i rozkoszował się ich smakiem.

- Gdzieś ty się uchowała? - wymruczał, po czym szarpnął ją do góry. Przyciągnął do siebie.

Całym ciałem poczuła jego ciało i nagle wściekłość i wstyd gdzieś odpłynęły, ustępując pola palącemu pragnieniu, jakiego nie czuła w całym swym życiu. On wiedział o tym. Skądś o tym wiedział! Czarne oczy zapłonęły dzikim blaskiem. Uśmiechnął się jakoś tak... Nie! Zdawało jej się. To przecież kawał sukiny! Zwyródniałego mordercy! Psychopaty! Nie mógłby... A jednak! Długie palce poczęły niespiesznie rozpinąć guziczki sukni. Serce znów poderwało się do galopu i omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nie! Nie! Nie! To drań! Najnikczemniejszy na świecie! Dlaczego więc zaczęła drżeć? Czemu zamarła w oczekiwaniu rozkoszy?

Kocham go! - uświadomiła sobie ze zgrozą. Kocham go tak, jak kocha się drugą, mroczną, połowę swej duszy. Jest moim dopełnieniem, a ja jestem dopełnieniem jego. Razem tworzymy całość. I wreszcie pojęła, co wyrażało jego spojrzenie, wtedy, na leśnej ścieżce: to była bezgraniczna tęsknota.

I głód. Na Boga, kobieto, co ty pieprzysz?! Przecież się boisz! Boisz się mężczyzn! Nie. Nie jego. Ależ właśnie jego! Nie. Dotknij mnie.

Włosy pachnące dymem z ogniska musnęły jej twarz. Na odsłoniętej szyi poczuła delikatne dotknięcie warg. Zacisnęła zęby. Ostatkiem sił powstrzymywała się, by nie jęknąć. Pocałunek, delikatny niczym muśnięcie motyli skrzydeł, pieścił jej kark. I jeszcze jeden. Poczuela, jak jej ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Jak nogi uginają się pod nią. Jak powoli, niczym we śnie, omdlewa pod dotykiem jego dłoni. Ciężkie powieki opadły. Rzęsy rzuciły cień na policzki. Odpływała. Zatracała się w nigdy nieposmakowanym uczuciu pożądania.

- Wiesz, co teraz zrobię? - Gorący oddech owionął jej ucho, poruszył meszek na skórze. Dłoń wślizgnęła się pod rozpięty stanik sukni, obnażyła ramię, powędrowała niżej. Jeszcze chwila i dotknie... Tak! Zrób to! zakrzyczało jej ciało. Zrób to natychmiast! Bo oszaleję! - Zatrzymam cię dla siebie i... dam rozkaz do ataku.

Sens tych słów nie dotarł do niej w pierwszej chwili. Już w następnej szarpnęła się w silnym uścisku. Próbowwała go odepchnąć, ale zaśmiał się tylko. Przez chwilę walczyła jak wściekła kocica złapana w sieci przez raka. Nagle uspokoiła się, obróciła mimo mocnego uścisku i opierając dłonie na piersi mężczyzny, rzekła cicho, lecz bez cienia wątpliwości:

- Nie zrobisz tego, panie.

- A kto mnie powstrzyma? Ty? - Pogardliwy grymas oszpecił piękną twarz.

Uśmiechnęła się do niego zielonymi oczami.

- Moja wiara w twój honor, Sellinarisie dell'Soll.

„Moja wiara. W twój honor. Sellinarisie. Dell'Soll”. Słowo po słowie, zgłoska po zgłosce wdarły się do jego duszy wszystkimi zapomnianymi uczuciami. Wgryzły się w mózg niczym kły ujarzmionej wydawałoby się bestii.

- Nigdy więcej tak mnie nie nazywaj! - syknął przez zaciśnięte zęby, a potem odepchnął ją, czując, jak ogarnia go niepohamowana furia.

O tak! Uderzyć ją z całej siły! A kiedy upadnie, kopać w brzuch, zmiążyć zebra, piersi! Wepchnąć jej te słowa z powrotem do gardła. Zaciśnąć palce na smukłej szyi. Zdławić oddech. Patrzeć, jak umiera, jak bezładnie drapie ziemię, jak drga w konwulsjach.

Oparł się o stół z mapą.

A potem scałowywać krew i łzy ze zmasakrowanej twarzy i wyc z bólu... Podniósł na nią oczy. Mroczne i złe.

- Masz dwie godziny. Wynoś się.

Patrzyła nań niezdolna wykonać najmniejszego ruchu. Wybuch jego nienawiści uderzył w nią niczym taran. Ogłuszył. Wciągnęła ze świstem powietrze dopiero wtedy, gdy poczuła, że się dusi.

Ukłoń się i wyjdź, nakazała swojemu ciału, ale nie usłuchało. Wyjdź! Zrobiła krok w tył.

- Jeszcze jedno, Leddi. - Znów wbił w nią nienawistny wzrok. Zadrżała, jakby zacisnął lodowate dłonie na jej szyi. - Następnym razem nie ujdiesz z moich rąk cało. Pamiętaj o tym i strzeż się.

Obrońcy byli tak zrezygnowani, że nie protestowali, gdy Anaela wydawała rozkaz otwarcia bramy. Godziny zamku były policzone i nic już nie zmieni wydanego nań wyroku. Decyzja Leddi mogła jedynie przyspieszyć upadek Cambrii i ocalić kilka istnień ludzkich. Ciężkie wrota tak długo opierające się atakom otworzyły się z głuchym skrzypieniem. Darrakijczycy rozstąpili się przed wyjeżdżającą na pysznym białym rumaku Leczącą. Za nią podążały wozy z rannymi. Po niedawnym bitewnym zgiełku zaległa kłująca uszy cisza. Tak

jakby zamek wstrzymał oddech. Bo też wstrzymywał. I obrońcy, i atakujący czekali w napięciu na to, co uczyni Sellinaris WeddSa'arda.

Wielki Mistrz dosiadający kruczoczarnego, ogromnego ogiera czekał na końcu szpaleru Darrakijczyków. U jego boku spowity w szarości Vervain utkwiał swój rekini wzrok w nadjeżdżającej Leddi, ale ona widziała tylko jego pana: Sellinarisa WeddSa'arda.

Zatrzymała się w odległości kilku kroków. Jeśli miał nadzieję, że po ostrzeżeniu, jakie rzucił w namiocie, TA Leddi zacznie się go bać, rozczarował się. Nie znajdował strachu ani w wyprostowanej sylwetce, ani w ręce trzymającej wodze, swobodnie opuszczonej na łęk siodła, ani w tych nieprawdopodobnych oczach. Patrzyła nań jak wtedy, niezachwianie pewna siebie. Nie, nie siebie, lecz jego.

Gdyby na twarzy Leczącej ujrzał choć cień triumfu, skinałby dłonią i w następnym momencie należałaby do niego wraz z całą chędożoną Cambrią, ale spowita w biel i purpurę Leddi nie stawiała się, by triumfować: Odbierzesz swoich rannych, a ja wrócę do zamku, tak jak obiecałeś - to i tylko to znalazł w zielonych źrenicach. Nie. Było w nich jeszcze coś.

Jakiś ruch za plecami Anaeli zmusił ją do odwrócenia głowy. Ku otwartej bramie przemykali darrakijscy żołnierze, by wślizgnąć się do wewnątrz.

Powróciła spojrzeniem do WeddSa'arda.

Nie zrobisz tego.

Co mnie powstrzyma?

Moja wiara w twój honor, Sellinarisie dell'Soll. Wielki Mistrz przymknął oczy, po czym pstryknął palcami. Vervain, który jeszcze przed momentem stał u jego boku, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Anaela obejrzała się ponownie - Darrakijczyki cofali się w popłochu przed broniącym dostępu... Vervainem?! Ale on stał przy WeddSa'ardzie! Znów spojrzała na Wielkiego Mistrza. No nie... Vervain stał przy WeddSa'ardzie!

Nieźla sztuczka - Anaela uniosła brew. Przez twarz WeddSa'arda przemknął cień uśmiechu.

Pora wracać, moja droga, nim Wielki Władca straci do ciebie cierpliwość.

Skłoniła się, wyszeptała „Dziękuję” i wbiła pięty w bok konia. Ten zawrócił w miejscu i skoczył ku bramie tak gwałtownie, że ledwo utrzymała się w siodle.

- Jej koń ma więcej rrozumu - wycedził Vervain.

WeddSa'ard patrzył za odjeżdżającą z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Wezwij Shanona.

Samuel Cambr był jeszcze bardzo słaby, wspierał się na wątłej Leddi całym ciężarem ciała, ale nie mógł pozwolić sobie na dłuższy odpoczynek. Cambria potrzebowała dowódcy. Potrzebowała aż do końca.

Gdy ucichły wiwaty, zapanowała złowróżbna cisza zwiastująca ostateczne natarcie. Mężczyźni przysiedli w cieniu murów, kryjąc się przed palącymi promieniami słońca. Jedni ostrzyli broń, drudzy rozmawiali cicho, siląc się czasem na żarty. Jeszcze inni modlili się do nieczułych Bogów o godną śmierć.

Anaela - mimo że lord nalegał, by zeszła na dół i nie kusiła licha bielą swej sukni - nie byłaby sobą, gdyby nie zaspokoila kobiecej ciekawości. Może to jedyna okazja, by przyjrzeć się bezkarnie Darrakijczykom gotowym do natarcia? Patrzyła z wysokości murów na karne szeregi czarno odzianych mężczyzn, ciągnące się hen, po horyzont. Konni co rusz przemykali tam i z powrotem, wioząc zapewne ostatnie rozkazy. Aż tu słychać było głosy dowódców zagrzewających swych podkomendnych do walki.

Czuła każdą komórką ciała, że Sellinaris WeddSa'ard jest gdzieś tam w dole i właśnie w tej chwili patrzy na nią. Na wspomnienie jego czarnych oczu - okrutnych, zdeterminowanych, złaknionych, a przez to tak bardzo ludzkich - dreszcz przebiegł jej wzdłuż krzyża.

Ty głupia kobieto! - zganiła się w myślach, pokręciła głową i skierowała ku schodom. Dobiegała końca druga godzina rozejmu.

Dzień chylił się ku końcowi i ku końcowi miała się bitwa o Cambrię. Samuel Cambr, zostawiony sam sobie w starciu z druzgoczącą potęgą czarnej armii, nie miał szans w tej potyczce. Walczył jedynie o honor i godną śmierć - oby nadeszła szybko i bezboleśnie.

Wróg wdarł się już na wewnętrzne mury, toczyła się tam rozpaczliwa walka wręcz. Zdobył także boczne furty i tam również wrzał zażarty bój o każdy kamień, każdą piędź ziemi. Główna brama jeszcze stała, ale jej minuty były policzone. Wspaniała Cambria o białych murach i strzelistych wieżach konała.

Anaela, skoncentrowana tylko i wyłącznie na ratowaniu życia, nie zważała na krzyki atakujących i atakowanych, na uderzenia tarana szturmującego główne wrota, na rosnące z minuty na minutę zamieszanie. Pracowała w milczeniu, nie pozwalając sobie na myślenie o czymkolwiek innym niż: błękit, biel, biel, błękit, zieleń - umieraj w pokoju - błękit, gdzie mi go tu niesiecie, pod mur z nim! - błękit, zieleń - taki młody, szkoda, błękit, błękit. Coraz częściej mogła jedynie pomóc umierającym zielenią kojącą ból. Coraz częściej nie mogła pomóc nawet w ten sposób. Krew, tyle krwi i śmierć, tyle śmierci. Nie przygotowano Anaeli

na taki ogrom nieszczęścia. Łzy żalu i wyczerpania spływały po policzkach, ale nie miała czasu ich ocierać.

W pierwszym momencie nie zauważyła, że coś się zmieniło.

Dopiero gdy poczuła czyjąś dłoń chwytającą ją za ramię i dotarł do niej histeryczny krzyk kobiet: „To koniec! Sforsowali bramę!”, drgnęła przestraszona. „Następnym razem nie ujdiesz cało. Strzeż się”. Wstrząsnęła się mimowolnie. Tym razem była pewna, iż wiara w honor Sellinarisa jej nie ochroni. Wiedziała, że skrzywdzi ją tylko po to, by udowodnić samemu sobie, jaki jest podły i zły. Opanowała narastającą panikę i pochyliła się z powrotem nad umierającym.

- Leddi, ruszaj! Lord rozkazał wyprowadzić cię portalem! - Na ramieniu Leczącej ponownie zacisnęła się dłoń żołnierza i szarpnęła ją w górę.

- Nie zostawię rannych! - Odtrąciła go.

Pochwyił ją wpół i opierającą się ze wszystkich sił zaczął ciągnąć w stronę schodów.

Panika ogarnęła cały zamek. Każdy, kto mógł chodzić, uciekał ku wieży i tylko Anaela ciągnęła w przeciwnym kierunku. Wreszcie żołnierz, tracąc cierpliwość, jednym ciosem pięści ogłuszył dziewczynę, przerzucił sobie przez ramię i pobiegł ku zbawczemu portalowi. Wepchnął weń nieprzytomną i powrócił do broniącego ostatniej drogi ucieczki lorda Samuela Cambra.

Kłęcząca na zimnych kamieniach posadzki, przyginana do ziemi ciężką ręką gwardzisty. Tuż obok kłęcząca nisko pochylona Mirella. No tak. Wymykając się do Cambrii, nie pomyślała o biednej Mirelli.

- Oczywiście nie mogłaś o tym wiedzieć... - Najwyższa Kapłanka rozkoszowała się każdą chwilą ponizenia krnąbrnej Leczącej. - Nie mogłaś wiedzieć, że na każdą eskapadę poza mury Alderiany winnaś uzyskać moją zgodę. Ty nie mogłaś tego wiedzieć, droga Leddi - do czego zmierza ta wiedźma?! - za to powinna być tego świadoma twoja służąca! Zbliź się. - Kiwnęła dłonią na zmartwiałą ze strachu Mirellę. Ta wstała i podeszła do podwyższenia, nawet nie myśląc o sprzeciwie. - Gdzie byłaś, gdy twoja pani w środku nocy opuszczała komnatę?

Siarzysty policzek odrzucił dziewczynę w tył. Byłaby się przewróciła, gdyby nie podtrzymał jej usłużny gwardzista. Anaela chciała się zerwać i zaprotestować, ale drugi gwardzista przygiął ją do ziemi.

- Podejdz, służko - wycodziła Berenika. - Gdzie byłaś, gdy twoja pani porzuciła gościnne mury Alderiany?

Kolejne uderzenie wycisnęło łzy z oczu i Mirelli, i Anaeli.

- Gdzie byłaś...?

- Przestań! Dosyć! - krzyknęła Anaela. - To moja wina! Odprawiłam ją!

- Kłamiesz, moje dziecko - odparła łagodnie Berenika. - Gdy ty ratowałaś życie moim poddanym, twoja służąca zgięła się w tym czasie ze swoim gachem, nieprawdaż, Mirello?

Pochyliła się nad łkającą cicho czarodziejką, chwyciła pełną garścią czarne, jedwabiste włosy, w drugiej dłoni błysnął sztylet.

Gwardzista przytknął sztych miecza do gardła Leczącej w niemym ostrzeżeniu.

- Nie zabijaj jej - wyszeptała błagalnie Anaela. - Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko jej nie zabijaj.

Najwyższa pokręciła głową i cięła włosy Mirelli tuż przy skórze. Nieszczęsna dziewczyna jęknęła i zemdląła.

- Tę czarodziejkę degraduję do roli służki. Odbieram jej moc, przywileje i nakładam uwarunkowanie - oznajmiła władczyni wszem wobec, wyciskając na nadgarstku Mirelli ogniste piętno. - Natomiast ciebie, Leddi - zwróciła się do Anaeli takim tonem, że serce dziewczyny zamarło w oczekiwaniu najgorszego - w podzięce za ofiarną służbę mianuję... Następczynią.

Jednym ruchem zdarła łańcuch z godłem Alderii z szyi nic nierozumiejącej Agnessy i nałożyła go Anaeli. Agnessa de Sade wydała zdławiony okrzyk. Gwardziści przyklękli i pochylili głowy. Anaela zaś poczuła... prawdę mówiąc, nic nie czuła. Nic oprócz śmiertelnego zmęczenia.

Nawet gwiazdy odwróciły swe oblicza od zasłanych trupami pól i lasów Cambrii. W bezgwiezdne nocne niebo wzbijał się dym z płonących stosów, stosów zwłok znaczących trasę przemarszu darrakijskiej armii. Szczególnie gęsto płonęły one na łąkach otaczających zamek Cambr. Niesiony wiatrem smród palonych ciał docierał aż do granic sąsiednich lordii. Stosy oświetlały namioty żołnierzy i drogę od obozu do południowej bramy zamku.

Sellinaris WeddSa'ard przekroczył wyłamana bramę, obojętnie mijając trupy jej obrońców. Szedł dumnie wyprostowany, z podniesioną głową, napawając się kolejnym zwycięstwem w tej wojnie. Zmierzał zwirową drogą w stronę głównego dziedzińca, podczas gdy jego żołnierze przeszukiwali zamkowe korytarze, dobijając resztki broniącej się ludności i gromadząc na zewnątrz tych, którzy zdecydowali się poddać.

Zebrani na dziedzińcu ludzie przywitani zwycięzcę milczeniem. Każdy z nich słyszał o potędze pana Darrakii i jego niewyobrażalnym wprost okrucieństwie. Łzy, ból i cierpienie znaczyły drogę przemarszu Wielkiego Mistrza. Każdy z nich dostrzegał w oczach innych

dławiący strach, odrazę i nienawiść, które towarzyszyły WeddSa'ardowi niczym kruki. Każdy z nich mógł mu teraz ofiarować swój własny strach i własną nienawiść...

- Zamek Cambr został ostatecznie zdobyty - zaczął Sellinaris. - Od dziś jest on, podobnie jak cała prowincja, traktowany jako terytorium Darrakii ze wszystkimi tego konsekwencjami. Zostanie odczytany dekret, do którego postanowień jesteście zobowiązani się stosować. Wszelkie nieposłuszeństwo będzie karane przez sąd wojenny, a nasze sądy wojenne stosują tylko jedną karę.

Ludzie słuchali w milczeniu. Nawet jeśli całą duszą chcieli zaprotestować, to widok barczystych, zakutych w czarną stal mężczyzn dzierżących topory i obnażone miecze skutecznie studził ich zapał.

Na podwyższenie wszedł Vervain, wyciągnął przed siebie zapisany papier i począł czytać, a jego skrzeczący głos docierał do najdalszego kąta zamkowego dziedzińca:

- Najwyższą i niczym nieskrępowaną władzę na terytoriach Darrakii sprawuje Wielki Mistrz Sellinarris WeddSa'arrd. W jego rękę spoczywa...

Absolutnie wszyscy chłonęli słowa dekretu w skupieniu. Niewielu je rozumiało, ale dla wszystkich jedno było jasne: nastąpiły zmiany. Usłyszeli, że są w stanie wojny z Alderią i jej sojusznikami, czyli właściwie z całym swoim światem. Usłyszeli, że jakiegokolwiek uchybienie woli nowego pana karane będzie śmiercią. Usłyszeli jeszcze wiele innych rzeczy, ale wydały się im one dość abstrakcyjne i odległe.

WeddSa'ard tymczasem w nie mniejszym skupieniu lustrował ludzi zebranych na dziedzińcu. Były ich co najmniej dwie setki, razem z dziećmi. Widział strach w ich oczach, ale był to strach jeszcze zbyt nikły, by zapewniał bezwarunkowe posłuszeństwo, należało ten strach odpowiednio podsycić. Gdy tylko Vervain odczytał ostatnie słowa dekretu, Sellinaris znów przemówił do tłumu:

- Zostaniecie teraz podzieleni na grupy. Mężczyźni staną pod wschodnią ścianą, kobiety pod zachodnią, a dzieci zostaną pod południową.

Na skinienie WeddSa'arda żołnierze weszli między ludzi, roztrącając tłum trzonkami toporów i płazami mieczy. Podniosły się słabe głosy protestu, szybko uciszone ciosami pancernych rękawic. W ogólnym zamieszaniu żołnierze wyrwali dzieci z rąk matek, odciągali żony od mężów, wszelki opór gasząc siłą. Gdy segregacja została zakończona, zbrojni wycofali się na środek dziedzińca.

- Niech wystąpią wszyscy członkowie rodu Cambr. Mniemam, iż żaden nie wstydy się swego nazwiska.

Pierwszy wystąpił lord Samuel Cambr. Przedwcześnie posiwiał, przygarbiony nie miał w sobie nic z dumnego lorda, którym był jeszcze parę dni temu. W brudnym, zbuczonym krwią kaftanie przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, ale WeddSa'ard zdawał się darzyć go pewną dozą szacunku. Bądź co bądź dawał odpór jego armii do końca, miast poddać zamek tak, jak to uczynił lord Tamil, którego zwłoki gniły zresztą do dziś na zamkowych murach.

Do Samuela Cambra przypadła kobieta z czepiającą się jej spódnicy dwójką dzieci. Za nią kroczył nachmurzony młodzieniec z obandażowanym ramieniem. Teraz Sellinaris, zgodnie z doniesieniami swoich szpiegów, miał przed sobą rodzinę Cambr w komplecie. Uśmiechnął się, widząc w ich oczach iskierkę nadziei. Iskierkę, którą zaraz zdmuchnie jednym słowem:

- Powiesić!

Lordessa zaniósła się szlochom, młodzieniec skoczył do przodu, by zaraz paść od uderzenia na śliski od krwi dziedziniec. Tylko lord ani drgnął. Nadzieja w jego oczach zgasła, a zastąpiła ją nienawiść i pogarda.

- Miałem cię za godnego przeciwnika, WeddSa'ardzie, ale ty jesteś zwykłym mordercą bez sumienia i honoru. - Splunął. - Zdradliwym bękartem.

Zmrużył odruchowo oczy, bo Vervain przyskoczył doń z uniesioną do ciosu pięścią, ale krótkie warknięcie: „Zostaw!” powstrzymało Szarą Bestię.

- Skoro lord nie docenił łaski szybkiej śmierci, szczerze na palu. Razem z rodziną. I resztą mężczyzn.

Wielki Mistrz uśmiechnął się, patrząc Samuelowi prosto w oczy, po czym się odwrócił, zgarniając szerokie poły płaszcza, i odszedł.

Studiował mapy do późna w noc, nie zwracając uwagi na pijackie śpiewy dobiegające z dziedzińca, jęki mordowanych jeńców i krzyki gwałconych kobiet. Żołnierze zasłużyli na odrobinę rozrywki i zapomnienia.

Dopiero cienki głosik dziewczynki błagającej o litość sprawił, że Wielki Mistrz warknął do drzemającego w kącie komnaty Vervaina:

- Zrób z tym bydlęciem porządek. Nie mogę się skupić.

Powrócił do planów. Następnym celem była Saskia. Warto było zboczyć nieco z głównej marszruty, by zdobyć tę bogatą prowincję. Przerwało mu pukanie do drzwi. Potarł piekące z niewyspania oczy i rzucił przez ramię:

- Czego?

- Panie, to ona.

Ona?! Absurdalna nadzieja ścisnęła go za gardło. Nadzieja i gniew, że mimo ostrzeżenia ośmieliła się wrócić.

- Wprowadź.

Na widok kruczowłosej czarodziejki nadzieja zmieniła się w rozczarowanie.

- Od kiedy to Agnessa de Sade, następczyni Najwyższej Kapłanki, zniża się do konszachtów z wrogiem Świata Światów? - w głosie Wielkiego Mistrza zabrzmiała ironia mająca zamaskować owo rozczarowanie. Właściwie nie miał do niego powodów, bo idąca ku niemu wiedźma była z pewnością najpiękniejszą kobietą, jaką dane mu było oglądać. Żeby jeszcze nie cuchnęła na kilometr iluzją.

- Wasza Wysokość, powiedzmy, że to dyplomatyczna wizyta. - Agnessa podeszła do mężczyzny tak blisko, że niemal oparła się o jego pierś. Sellinaris się nie cofnął. Przeciwnie: objął ją w pól i przyciągnął bliżej. Przyłgnęła doń bezwstydnie całym ciałem.

- Czego chcesz? - zapytał niskim, gardłowym tonem.

- Nawiązać hmm... stosunki. - Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Gwałtownie wpił się w jej usta. Wsunęła palce w jego włosy i całowała dotąd, aż obojgu zabrakło tchu. Jedną ręką sięgnął pod spódnicę, zaciskając palce na jej smukłym udzie, drugą począł rozpinąć guziczki strojnej sukni. Stracił jednak cierpliwość i szarpnął. Perły rozsypały się po posadzce. Równie niecierpliwie szarpnęła poły jego koszuli, przywarła ustami do piersi. Pochylił się nad jej głową, wdychając niesamowitą woń tej dziewczyny. Ona zaś zręcznymi ruchami dłoni rozpalala go coraz bardziej.

Gdyby teraz mógł spojrzeć wiedźmie w twarz, ujrzałby nie miłosne uniesienie, lecz triumf. Ale on odgiął głowę do tyłu, poddając się rozkoszy.

Pociągnęła go na łóżko. Otworzyła się na niego, a gdy był gotów, by w nią wtargnąć i dać upust szalejącemu pożądaniu, nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zamknęła uda, tak jak małża zamyka muszlę.

- Dass'ratt! - wyszczał i odwrócił się na plecy. - Więc jednak czegoś chcesz.

Położyła się na nim, przygryzła koniuszek jego ucha, aż wydał stłumiony jęk, i wyszeptała:

- Chcę Anaeli dell'Idarei.

WeddSa'ard poderwał się, jakby smagnęła go dosadnym zaklęciem. Spojrzał zimno w jej fiołkowe oczy i powiedział wolno, dobitnie:

- Dell'Idarei jest moja. Trzymaj się od niej z daleka, zmij, a może będziesz żyła.

- Sellinarisie - wymruczała jak pieszczona kotka - wiemy przecież, kto zwycięży w tej wojnie. W zamian za posłuszeństwo proszę tylko o jedno: daj mi tę małą podstępna sukę.

Uderzył ją na odlew tak nagle, że zaparło jej dech w piersiach. Z niedowierzaniem przytknęła dłoń do policzka. Nikt! Nikt nigdy nie śmiał...!

- Nie wiesz chyba, z kim masz przyjemność, wiedźmo. - Przybliżył twarz do jej twarzy, a ona odruchowo cofnęła głowę. - Jestem Sellinaris WeddSa'ard, Władca Szarej Śmierci. Namiestnik Saetina. W zamian za posłuszeństwo jestem gotów pozostawić cię przy życiu. Jeżeli jednak dell'Idarei spadnie choć włos z głowy, dopadnę cię na końcu świata i pokażę na twoim przykładzie, jak mści się Sellinaris WeddSa'ard. Ona jest moja. Zrozumiałaś?

Nie musiała odpowiadać. Nienawidziła go całym sercem, ale była mu posłuszna.

- A teraz dokończymy to, cośmy zaczęli. Straż!

Do komnaty wpadło czterech rosyłych gwardzistów, gotowych zasieć każdego, kto zagroziłby ich panu. Zatrzymali się przy drzwiach, czekając na dalsze rozkazy. WeddSa'ard zachęcającym gestem wskazał im skuloną pośrodku łoża dziewczynę:

- Pokażcie pani, kto tu rządzi. I nie oszczędzać wiedźmy: Agnessa de Sade lubi ostrą grę.

Myślał, że ją tym ukarze, ale nic bardziej błędnego. Odrzuciła kołdrę, kryjącą dotąd jej nagość, oblizwała lubieżnie karminowe usta i rozchylając bezwstydnie uda, rzuciła:

- Słyszeliście, chłopcy? Który pierwszy?

Nie spuszczała przy tym wzroku z WeddSa'arda. Ten skrzywił się z bezgraniczną pogardą: Jak goniącej się suce, de Sade było wszystko jedno, przed kim rozłoży nogi - przed wymuskany wielmożą czy niedomytym dragonem. Wszystko jedno, gdzie zlegnie: w stajni na sianie, w łożu z baldachimem czy na stole pośrodku tłumnej oberży. Z jednym, z dwoma, z pięcioma... Wszystko jedno, byle... Mocnooo!

Rozdział VIII

KASSANDRA

Długa kolumna wojska wyruszyła na wschód tuż przed brzaskiem. W gęstej mgle płaczącej się pod nogami jeźdźcy i piesi poruszali się jak senne zjawy. Mleczny całun tłumił odgłos kroków i chrzęst zbroi. Miarowe kołysanie hipnotyzowało. Konie człapały ze zwieszonymi głowami, ludzie drzemali w siodłach. Młodziutka Leddi Loysi, świeżo upieczona absolwentka Akademii, spała słodko w jadącym na tyłach powozie, ukołysana monotonnym turkotem kół.

Joysell Ellis, nie zważając na słabe protesty ordynansa, wysforował się na przód tego pochodu duchów i jechał samotnie. Ściągnięte w jedną kreskę brwi rzuciły na jego pogodną zazwyczaj twarz mroczny cień. O tak. Myśli lorda były bowiem chmurne niczym niebo nad płonąca Cambria.

Jeszcze parę tygodni temu mimo wojny pukającej do bram Alderii był niefrasobliwym, roześmianym zawadiaką, którego jedynym zajęciem stało się uwodzenie pięknych kobiet, a jedyną ambicją, by ktoś go w tym nie ubiegł. „Szybko kochać, szybko żyć - mało robić, dużo pić” - oto dewiza, którą kierowali się lord Ellis i jego kompania.

Jedynie romans z Berenika spędzał mu czasem sen z powiek, ale tron Alderii wart był przecież paru nieprzespanych nocy. Lord w cichości ducha liczył bowiem na to, iż Najwyższa uczyni go swym następcą, mimo że od wieków zaszczytu tego dostępowaly jedynie kobiety. Dla dobra sprawy puszczał nawet mimo uszu pikantne dowcipy na temat swój i swojej kochanki (w przeciwnym razie musiałyby się bezustannie pojedynkować; nie żeby miał coś przeciwko pojedynkom!). Żył beztrosko i wygodnie, aż do niedawna...

Kiedy to prysła ułuda lekkiego życia? Kto stanął na drodze Joysella, płacząc nieskomplikowane ścieżki jego losu? Westchnął. Naturalnie TA Leddi. To ona wtargnęła w uporządkowany świat Joysella, wywracając ten świat do góry nogami. Czy była fatum, które zesłali nań bogowie, gdy do cna im zbrzydło hulaszczcze życie młodego lorda? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, bo któż odgadnie boskie zamierzenia?

Tuż przed wymarszem, zupełnie nieoczekiwanie, Najwyższa ogłosiła Anaelę dell'Idarei Następczynią, co Joysell przyjął z głęboko skrywaną ulgą. Z ulgą skrywaną nawet przed samym sobą, bo oto rozwiały się marzenia o alderiańskim tronie (czyż jednak on, Joysell Ellis, był gotów na ten tron wstąpić?); bo oto Mirella miał jechać z nim na front, musiała zostać u boku swej pani (czyż jednak on, Joysell Ellis, był gotów związać się z jakąkolwiek kobietą na dłużej niż jedno mocniejsze uderzenie serca?); bo oto w końcu sama Anaela musiała zostać w Alderianie, miał teraz towarzyszyć mu w drodze do Saskii (czyż jednak nie miał poważniejszych problemów, niż pilnować postrzelonej Leddi i użerać się z nią na każdym kroku?).

Taak... Mimo że dla wszystkich nominacja dell'Idarei była nieprzyjemną niespodzianką, Joysell dziękował za tę niespodziankę zarówno Primei, jak i Saetinowi. Im dalej jest ta cholera od niego, tym lepiej.

Wyprostował się w siodle i zaczął pogwizdywać pewną sprośną piosenkę. Przypomniawszy sobie słowa refrenu i parsknął śmiechem. Nagłe zamieszanie na tyłach zdmuchnęło uśmiech z jego twarzy. Co znowu?! Ściągnął cugle. Wierzchowiec zatrzymał się, a jego pan odwrócił się w siodle i wyteżył wzrok: boki kolumny przemykało ku niemu dwóch konnych. Szerokie płaszcze z kapturami opadającymi na twarz nie pozwalały zgadywać, kim są, jednakże ich wierzchowce wyglądały znajomo. Straszne podejrzenie zmroziło Joysellowi krew w żyłach.

- Co ty tu robisz?! - wykrzyknął, gdy czarna bestia Leczącej wryła się kopytami tuż przed nim.

- Jadę z tobą - odparła Anaela, bo to rzeczywiście była ona.

- Nigdzie nie jedziesz! Jadę sam! Na wojnę! Jesteś Następczynią! Miałaś zostać w Twierdzy! Najwyższa wydała rozkazy!

- Mam w dupie rozkazy Najwyższej - przerwała mu. - Albo pozwolisz nam dołączyć do siebie, albo...

- Nie tylko nie pozwolę, ale pod strażą odprawię cię do Alderiany! - wrzasnął i już miał spełnić groźbę, gdy Anaela zerwała kaptur z głowy towarzyszki.

Widok zmasakrowanej twarzy Mirelli sprawił, że Joysell jęknął głucho, po czym spiął konia i pognął przed siebie. Ta upiorna Leddi na swoim upiornym wierzchowcu doznała go bez wysiłku.

- Nadal będziesz się upierał przy naszym powrocie? - zapytała bez złośliwości.

- Wiesz, co nas czeka za złamanie rozkazów? - odpowiedział pytaniem.

- Już mówiłam, gdzie je mam. Tobie nikt nie zabronił jechać ze mną na wojnę. To ja sprzeniewierzam się woli Berenisi. No i twoja ukochana - dodała gwoli ścisłości.

- Dobrze więc. - Oblicze lorda znów było chmurne jak niebo nad Cambria. - Klnę się na honor, że nie pozwolę skrzywdzić żadnej z was.

- Nareszcie gadasz jak mężczyzna! - ucieszyła się Anaela.

*

W Tartarze czas nie miał znaczenia. Podczas gdy w Świecie Światów mijały godziny, dni, miesiące, umierano i rodzono się w odwiecznym rytmie życia, tu nie działo się nic. Bo też i życie omijało przeklęty przez bogów i ludzi Świat Bez Nadziei. Mrok i martwa cisza panowały niepodzielnie nad tą krainą, a Szara Śmierć wycisnęła na niej niezatarte piętno. Spękana ziemia przypominała twarz za długo żyjącego człowieka. Nie była zdolna urodzić nawet źdźbła trawy. Zresztą źdźbło zmarniałoby natychmiast w miejscu ograbionym z ożywczego światła słońca. Wszystko, co miało kiedyś kształt, rozsypało się w pył, szary pył grzebiący nawet wspomnienie o prześwietnym wolnym Edenie.

Zdrada i Zło spotkały się ponownie.

- Czemu zawsze odnoszę wrażenie, że ktoś nas podsłuchuje? - Berenika zdjęła z głowy kaptur i rozejrzała się, rozcierając ramiona. Nie mogła przebić wzrokiem wszechogarniającego mroku. Ciemność rozjaśniana jedynie aurą jej i WeddSa'arda zazdrośnie strzegła swych tajemnic.

- To tylko Duszobójcy - odparł WeddSa'ard i z manifestacyjną wręcz nonszalancją zatoczył ręką krąg. Ciemność czmychnęła pod naporem jego dłoni i oczom władczyni ukazały się...

Krzyknęła i, cofając się, wpadła na Sellinarisa. Ten zaśmiał się wpatrzony tak jak i ona w istoty otaczające ich ciasną gromadą. Truchła elfów i ludzi poruszane wolą zasiedlających je pasożytów cisnęły się ku dwojgu żywym. Kołysząc się w hipnotycznym transie z boku na bok, nuciły martwymi ustami pieśń bez słów: wznoszący się i opadający, szarpiący nerwy swą monotonią dźwięk.

Berenice głos uwiązał w gardle. Poszarzała na twarzy i sama przypominała teraz Duszobójcę. Żadnemu władcy, nawet mającemu Przywilej Powrotu, nigdy nie przyszło do głowy udać się do Tartaru i poznać jego mieszkańców. Mimo iż żyła od czterystu lat, również nie miała na to ochoty, a teraz dookoła niej tłoczyła się setka ni żywych, ni martwych upiorów.

- Zrób coś z nimi! - jęknęła, tuląc się do Sellinarisa.

WeddSa'ard napawał się jeszcze przez chwilę jej przerażeniem, po czym potoczył wzrokiem po rozchwianych w upiornym tańcu kadłubach i warknął rozkazująco:

- Precz!

Duszobójcy znieruchomieli. Długą chwilę docierał do ich ograniczonych umysłów rozkaz Pana. Gdy dotarł, jeden po drugim poczęli sunąć w kierunku schodów. Postrzępione szaty wlokące się po ziemi skrywały ich kroki tak, że Berenice zdawało się, iż kadłuby unoszą się cał nad ziemią.

- Intrygujące kreatury. - Sellinaris cmoknął z udawanym podziwem. - Czy wiesz, że obywają się miesiącami bez wody, czekając cierpliwie, aż padnie pierwszy z nich? Wtedy wysysają jego soki i...

- Przestań! - krzyknęła.

- Od kiedyś taka wrażliwa? - Parsknął tym samym nieprzyjemnym śmiechem. - Przecież sama jesteś jedną z nich, nieprawdaż?

Zamachnęła się, by go spoliczkować. Chwycił ją za nadgarstek, jak wąż chwyta kark swej ofiary.

- Kradniesz ciała swoim Następczyniom. Jesteś nie lepsza niż Duszobójca - wysyczał z odrazą. - Budzą cię czasem jęki zniewolonej duszy? Słyszysz w bezsenne noce jej skargi?

- Śpię spokojniej niż ty, morderco własnej siostry - odparła tym samym tonem. - A skoro jesteśmy przy Następczyniach: Berenika Szóstą będzie, o ile cię to interesuje - dla efektu zwiesiła głos - nasza urocza Leddi dell'Idarei!

Liczyła na to, że przynajmniej będzie zaskoczony. Przeliczyła się.

- Czyżby? - Uniósł tylko brew. - Nominowałaś ją przed tym czy po tym, jak uciekła z Alderiany?

- Skąd wiesz?! - Ugryzła się w język i nagle roześmiała sztucznie. - Widzę, że masz lepszy wywiad, niżbym sobie życzyła. Wysłałam jej śladem Agnessę de Sade, nienawidzi przybłądy bardziej niż ja.

- Zamierzasz ją zgładzić? - zapytał od niechcenia. - Zdaje się, że to protegowana Ferrinu. Jesteś gotowa stanąć do konfrontacji z Eleuzisem?

- Eleuzis umiera.

- Umiera od dwustu lat. A Reikan? Nie będzie zachwycony, jeśli skrytobójczo zamordujesz jego przyszłą małżonkę.

Berenika nie zdołała ukryć zdumienia. Skąd wiedział?!

- Reikan... - Zmusiła się do lekceważącego machnięcia ręką. - Twój brat dwoi się i troi, by postawić elfi światek w stan gotowości, na co jego wierni poddani reagują żywszym brzdąkaniem na harfach, tudzież komponowaniem poematów o wojnie pszczołek z trzmielami. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Tak, tak, mój drogi, nuda, która toczy Ferrin od

środka niczym robak jabłko, jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem. A robaczywe jabłko wpada do ręki, kiedy tylko potrząsniesz jabłonią.

- Gdy już jesteśmy przy potrząsaniu: ja dotrzymuję umowy, potrząsam bezlitośnie niewygodnymi dla ciebie lordami. Kiedy ty włączysz się do gry?

Roześmiała się cicho:

- Śni ci się wspaniała Feri'ana, co, Sellinarisie? Feri'ana, z której ojciec wygnał cię, gdy go zdradziłeś...

- ...a ciebie, gdy ty go zdradziłaś? - wpadł jej w słowo. - Ja nie mam snów - rzekł z goryczą. - Nie przekroczymy granic Ferrinu, dopóki istnieje blokada...

- ...która zniknie po śmierci Eleuzisa. - Tym razem ona dokończyła.

- Masz zamiar czekać na jego śmierć?

- Wystarczy zwabić go do Alderiany. Potrzebna jest tylko przynęta...

- A ty ją oczywiście masz?

- A ja ją oczywiście mam.

Na dziedzińcu panowało niezwykle ożywienie. Cała służba wyległa witać swego suzerena i jego żołnierzy. Zewsząd dobiegały radosne okrzyki:

- Pan wrócił! Pan wrócił!

Jak się okazuje, lord Ellis był w swej prowincji bardzo popularny. Nawet bardziej, niż życzyłyby tego sobie Mirella. Szczególną estymą darzyły bowiem swego pana dziewczęta, rzucając się mu z piskiem na szyję i obcałowując bezceremonialnie. Lord odganiał się od nich jak od uprzykrzonych much, uśmiechając się z zażenowaniem, ale widać było, iż uwielbienie ślicznych Alderianek nie jest mu niemiłe.

Jeźdźcy, z ulgą malującą się na twarzach, zeskakiwali na kamienny bruk. Joysell gnał ich niemilosiernie: dzień, noc i jeszcze jeden dzień. Nikt nie śmiał prosić o postój, chociaż i konie, i jeźdźcy byli u kresu wytrzymałości. Zatrzymywali się jedynie przy strumieniach, by napić zwierzęta i przy okazji wyprostować plecy. Wszyscy wiedzieli, czemu dowódca narzucił tak zabójcze tempo: WeddSa'ard stał u granic Saskii. Lord Andreas Remm liczył na nich. Nie mogli zawieść. Dlatego żołnierze bez szemrania pozwolili przegonić się przez pół Ellisii, z nadzieją na dłuższy popas w zamku.

Nadzieja ta okazała się nieco płonna: wyruszyli nazajutrz. Przed świtem oczywiście.

Anaela zsunęła się z grzbietu Sarisa i wsparła o jego bok. Była ledwo żywa. Nie śmiała poskarżyć się ani słowem - Joysell tylko czekał, by ją odesłać do Alderiany.

Powoli wracała jej władza w nogach. Zerknęła ukradkiem, czy nie nabrały beczkowatego kształtu po kilkudziesięciu godzinach obejmowania Sarisowych krągłości. Cholera! Tak jak ona teraz musiała czuć się kobieta lekkich obyczajów po pracowitej nocy.

No dobra, Anaelciu, zaciskamy zęby i grzecznie ruszamy za pokojówką. Łatwo powiedzieć! Chyba na czworakach!

Przezwyjęła sztywność mięśni i niecierpliwie spojrzała na rozchichotaną dziewczynę, która nie spuszczała roziskrzonego wzroku z lorda i jego drużyny. Musiała czuć się bardzo rozczarowana, że przydzielono ją jakiejś Leddi, a nie któremuś z przystojnych wojaków.

- Może tak wskazałabyś mi drogę, co?! - Anaela, marząc o ciepłej kąpieli i wygodnym łóżku (prawdę mówiąc, byłaby wdzięczna nawet za wiązkę siana u boku Sarisa), straciła w końcu cierpliwość. - Na przytulanki zdążysz się załapać!

Złajana zarumieniła się po cebulki włosów i w głębokich ukłonach powiodła Anaelę zanikowym korytarzem ku wyższym piętrům, gdzie mieściły się pokoje gościnne. Lecząca, przygryzając wargę do krwi, przestępowała stopnie kolejnych schodów. Czyżby ulokowano ją na wieży? Za jakie grzechy?!

Gdy służąca szukała pasującego do drzwi klucza, Anaela miała czas przyjrzeć się z góry zamkowi i otaczającym go ogrodom.

Siedziba rodu Ellis, mimo że całkiem spora, nie dorównywała wielkością Alderianie, ale bez wątpienia przewyższała ją urodą. Zamek cechowała uwielbiana przez Anaelę klasyczna prostota. Smukłe wieże wznosiły się nad murami łososiowej barwy. Wysoko zwieńczone okna o białych okiennicach dodawały lekkości surowej bryle. Stanowczo ten, kto budował zamek Elle, miał dobry gust.

Klucz zgrzytnął nieprzyjemnie. Najwyższy czas! Anaela umyła się pobieżnie, przekąsiła to, co jej przyniesiono (biesiada powitalno-pożegnalna została przełożona na czas nieokreślony) i wreszcie, z westchnieniem bezgranicznej rozkoszy, padła na pachnącą czystością pościel.

Śniła.

Na grzbiecie wielkiego skrzydlatego kota, którego srebrzysta sierść pocięta była grafitowymi pręgami dłuższego futra, szybowiała nad jakimś budynkiem. Po odgłosach dochodzących z wewnątrz skonstatowała, że jest to karczma.

Kot zwinął skrzydła pokryte miękkim siwym puszkim i runął w dół. Wylądował miękko tuż przy otwartym oknie. Usiadła na parapecie, majtając nogami jak mała dziewczynka, bo też w tym śnie była dziewczynką.

Tuż przed nią nad miską zupy pochylał się młody chłopak odziany w nieco za duży nań mundur alderiańskiego zwiadowcy. Kopnęła go niechcący w ramię. Wylał na kolana gorący płyn. Zaklął.

- Kassandro, usiądź przy mnie. Za bardzo rzucasz się w oczy.

Powiedział to w złą godzinę. Ze wzrastającym niepokojem patrzyła, jak dwóch żołnierzy wstaje od stołu i chwiejnym krokiem zbliża się ku nim. Jeden z nich pochylił się i szepnął coś chłopakowi do ucha. Ten znieruchomiał z łyżką uniesioną do ust. Widziała, jak zaciska usta w wąską kreskę i blednie.

- Nie trza nam tu bękartów WeddSa'arda! - wykrzyknął żołnierz. Chłopak wstał, odsuwając gwałtownie krzesło.

- Dajcie nam spokój, jesteśmy poddanymi Alderii!

- Skoro tak, to winniście posłuszeństwo starszemu stopniem. - Żołnierz czknął oblesnie. - Potrza nam rozrywki. Mamy się zabawić z tobą czy z dziewczką?

- To jeszcze dziecko! - wykrzyknął chłopak.

- Do chędożenia się nada. - Pijany żołdak usiłował uchwycić ją za ramię i ściągnąć z okna. Wywinęła się i skoczyła na zewnątrz, chłopak tuż za nią.

- Do stajni! - krzyknął, ale wysypujący się z karczmy wojacy odcięli im drogę. Wepchnął ją w ciemny zaułek między oborą a chlewem, a sam odwrócił się i opuścił luźno ręce, gotów do walki.

- No, nareszcie! - Jeden z dręczycieli uśmiechnął się szeroko. - Może to mieszane ścierwo ma jaja?

Zamachnął się i uderzył chłopaka w twarz. Ten tylko się zachwiał.

- Następnym razem oddam - ostrzegł.

Drugi z żołnierzy stanął w lekkim rozkroku.

- Takiś bitny? Lubię jurnych chłopaczków, może ty nam wystarczysz. - Wyciągnął sztylet i przystawił ostrze młodzikowi do gardła. - Zdejmuj gacie.

Gdy patrzyła na chłopaka, lekko odchylonego, bo nóż wbijał mu się w szyję, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ma przed sobą znieruchomiałą przed atakiem kobrę. Widziała, jak pod czarną koszulą naprężają się mięśnie, jak zaciska szczęki w grymasie nienawiści.

Zaatakował błyskawicznie. Chwył za przedramię, dźwignia na staw łokciowy. Ostrze sztyletu zmieniło raptownie kierunek i wbiło się w szyję żołnierza. Ten zacharzał. Chlusnęła krew z rozciętej tętnicy.

Drugi żołdak rzucił przekleństwem i sięgnął do pasa, ale nim wyjął miecz, chłopak miał już w dłoniach swój i jednym płynnym cięciem skrócił przeciwnika o głowę.

Chciała zamknąć oczy. Uciekać. Nie patrzeć na ciąg dalszy. Ale nie mogła. Widziała rozgrywającą się scenę z bliska i daleka jednocześnie. Pierwsze dźwięki walki zwabiły przed oberżę resztę oddziału. Żołnierze zastygli na moment w pełnym zgrozy milczeniu.

- *Pomóż mi, Anaelo!* - Jej imię padło tak niespodziewanie, że aż... usiadła na łóżku, drżąc ze zgrozy. Trzęsącymi się rękami sprawdziła, czy aby na pewno jest w swoim łóżku, czy aby na pewno był to sen.

- *Pomóż mi, Anaelo!* - usłyszała nagłą głos Sarisa. - *Pospiesz się!*

Wyskoczyła z łóżka, gotowa wyruszyć natychmiast, tak jak stała, w nocnej koszuli.

Uderzenia kopyt o bruk dziedzińca i krzyk jeźdźca zmały ciszę śpiącego zamku.

- Lecząca! Macie tu Lecząca?!

- Zamknij się! - odwarknął któryś ze strażników. - Leddi śpi.

Otworzyła z rozmachem drzwi w momencie, gdy Mirella podnosiła dłoń, by zapukać. Dziewczyna krzyknęła przestraszona.

- Wiem, wiem, wyglądam jak upiór. - Anaela minęła ją i zbiegła na dół, gdzie czekał wyrwany przed chwilą ze snu dowódca straży.

- Le-eddi - zająknął się na widok negliżu Leczącej - posłaniec z oberży. Doszło do bójki.

- Wszystko wiem - przerwała mu. - Potrzebna mi jakaś broń.

Mężczyzna zaczął pospiesznie odpinać pas ze sztyletem. Saris przyklęknął. Dosiadła go bez namysłu, podkasawszy koszulę. Posłaniec zrobił wielkie oczy i zgorszona minę.

- Leddi, nie powinnaś jechać sama. Poczekaj na oddział straży!

- Oddział to dobry pomysł, kapitanie, niech mnie dogoni. I zejdz z drogi, bo przejedziemy po tobie. A ty, żołnierzu, jedziesz, czy będziesz się wgapił w moje kolana?

Oberżę trudno było przeoczyć mimo późnej pory. Dziedziniec oświetlały bowiem liczne pochodnie i wypełniał podekscytowany tłum. Saris skierował się na tyły karczmy. Zeskoczyła tuż pod ścianą obory, w miejscu, gdzie zbiegowisko było największe.

- *Uważaj na siebie.*

- Będę uważała, koniku.

- *Ta znowu z tym konikiem* - parsknął.

- Z drogi! - krzyknęła, klepnawszy najbliższego stojącego w ramię. Zamierzył się łokciem, ale kątem oka zdążył się zorientować, kim jest ta, co za nim stoi. Skłonił się, mamrocząc przeprosiny, i ustąpił. Wślizgnęła się między dwóch kolejnych, krzycząc:

- Z drogi!

Wielokrotnie musiała to powtarzać. Tak jak wielokrotnie uchylała się przed uderzeniem. Żołnierze byli opętani żądzą mordy. Wreszcie była u celu, do którego drogę zagrażał tylko jeden, z owym celem walczący. Przyłgnęła plecami do ściany, analizując sytuację. Miejsce do obrony było wyśmienite: ślepy zaułek między stodołą i chlewem, sądząc po nieznośnym smrodzie, służący za wychodek. Chłopak atakowany tylko przez jednego naraz, mógł się bronić dotąd, aż opadnie z sił.

Obserwowała przez chwilę walczącego. Jego ruchy były oszczędne: pracował nadgarstkiem, czasami przedramieniem. Jakby od niechcienia. Dopiero gdy przeciwnik odsłonił się, zmylony owymi leniwymi unikami, nastąpił błyskawiczny atak. Nieludzko szybki sztych w pierś. Anaela osłupiała. Chłopak był elfem?! Stał zgrzytnęła o sprzączkę. I to uratowało życie żołnierzowi.

Po chwili otrząsnęła się ze zdumienia. Elf nie elf, musi działać, i to szybko! W momencie gdy atakujący podniósł prawe ramię do ciosu, przemknęła pod nim, wpadła między walczących i uderzyła energią, odpychając żołnierza. Jednocześnie trzymanym w prawej ręce sztyletem zasłoniła się przed opadającym mieczem. Stał zaiskrzyła o stal. Ledwo zdołała wyhamować impet.

- Dosyć! - krzyknęła. - *Dosyć!!!* - smagnęła ich myślą, wzmacniając rozkaz. - Cofnąć się, wszyscy!!! - Ciżba ludzka zafalowała. Teraz walczących dzieliły jej rozprostowane ramiona. Spojrzała na chłopaka, którego oczy płonęły szaleństwem.

- *Rzuć miecz i ani drgnij!* - Pod jej wściekłym spojrzeniem opuścił klingę. - Gdzie twój dowódca? - zwróciła się do atakującego.

- Ubił go ten bękart. - Żołnierz splunął. - Rzucił się na naszych. Trzech, w tym sierżanta, zaszlachtował znieczeka, dwóch ranił, nim przybyłyście. Zajmij się, pani, rannymi, a jego zostaw nam.

- Ani myślę - odparła. - Tu w tym zaułku rzucił się sam przeciwko pięciu?

- Oszalał, saetiński pomiot.

- Krwi! Krwi! - zamruczał tłum.

- Krwi?! Jeszcze wam mało krwi?! - Anaela wraziła dłoń w poharatane ramię żołdaka. Rękaw nocnej koszuli zapłonął szkarłatem.

- Cała Alderia tonie we krwi!

- Pod sąd go!

- Powiesić bez sądu!

Tłum zaczął napierać. Gdzie ta straż, do cholery?!

- Zejdź nam z drogi, pani czarodziejko, bo i tobie się oberwie - zawarczał prowodyr, unosząc ostrzegawczo miecz.

Cizba zawyla i runęła do przodu. Anaela cofnęła się w panice. Gdzie ta straż, na bogów?! W oczach napierających mężczyzn płonęła czysta, niepohamowana chęć mordy. Mordy na kimkolwiek, nawet jeśli byłaby to Nietykalna. Cofnęła się, dotknęła plecami ściany i w tym momencie nadeszła nieoczekiwana pomoc.

Jak grom z jasnego nieba między napastników a Leczącą spadła srebrzysta bestia. Jednym uderzeniem uzbrojonej w pazury łapy rozorała twarz najbliższemu stojącemu. Kłapięciem potężnych szczęk zmiażdżyła kark następnemu, po czym pochyliła głowę i zasyczała wściekle. W bursztynowych oczach płonęło takie samo szaleństwo jak w oczach żołnierzy. Cofnęli się w popłochu.

Z tyłu zaatakował Saris. Bijąc na oślep kopytami, tratował każdego, kto stanął mu na drodze. Tłum zafalował. Stojący na przedzie usiłowali się wycofać, mając przed sobą ferrińską lwianę, ci z tyłu pierzchali spod kopyt oszalałego ogiera.

Anaela uniosła dłoń, by uderzyć czerwienią w najbardziej zaciętrzewionego. Lwiana przypadła do ziemi, gotowa do ataku. Chłopak uniósł miecz, również gotów.

Tłum już miał na nich ruszyć, gdy w pełnym cwale nadjechała straż zamkowa. Dowódca ryknął:

- Z drogi!!! - i wbił się klinem konnych w tłum.

Zakotłowało się. Gwardziści nie szczędzili razów szpicrutą ani płazów mieczem. Konie płoszyły się, czując zapach drapieznika. Żołnierze tratowali się nawzajem lub stawiali opór gwardii. Wreszcie rozpierzchli się po dziedzińcu, a straż dotarła do obleganych.

Lwiana zasyczała raz jeszcze, po czym - na oczach zdumionych żołnierzy - liznęła Leczącą w policzek, strzepnęła skrzydłami i wystrzeliła w górę, by po chwili zniknąć w mroku nocy.

- Jezu, co to było?! - Anaela otarła przedramieniem oślinioną twarz.

- Ferrińska lwiana, moja pani. Macie potężnych sprzymierzeńców. - Dowódca oddziału skłonił się z szacunkiem.

Nie miała czasu dopytać, co to takiego ta „lwiana”.

- Szukajmy dziewczynki.

- Tu jestem, pani Anaelo - usłyszała gdzieś z góry.

Mała zeskoczyła wprost w objęcia Leczącej, nim ta miała czas się zdziwić, skąd może znać jej imię. Była chuda, zabiedzona istotką o skołtunionych czarnych włosach i czteropalczystych dłoniach. Przetarta na łokciach sukienka z szarej przędzy nie chroniła przed zimnem - dziecko usiłowało powstrzymać się od szczekania zębami. W tym momencie Anaela przypomniała sobie o swojej cienkiej batystowej koszulinie. Dowódca gwardii podał im swój płaszcz i ruszył przodem, mierząc mijanych po drodze żołnierzy ponurym spojrzeniem. Rozstępowali się przed nim, klnąc pod nosem.

Anaela wypchnęła chłopaka przed siebie, by nie został „przez przypadek” ugodzony nożem w plecy, i przytulając dziewczynkę do siebie, podążyła za kapitanem. Dopiero gdy siedziały bezpiecznie na grzbiecie Cienia („Witaj, panie Sarisie” dziewczynki sprawiło, że Anaela mimowolnie parsknęła śmiechem), poczuła ogromną ulgę. Jeszcze nigdy się tak nie bała jak przed chwilą. Wyjechali na trakt prowadzący do zamku Elle.

- Gdzieś ty się podziewała?! - Joysell nadjeżdżający cwałem spadł na nią jak jastrząb na kuropatwę. - Jest wojna, a ta sobie schadzki urządza!!!

- Taa. Schadzki. Z kilkuletnią dziewczynką, nastolatkiem i całym oddziałem pijanych żołdaków - prychnęła i obrzuciła lorda takim samym zdegustowanym spojrzeniem, jakim on patrzył na nią. Prawdę mówiąc, w niedopiętej koszuli sam wyglądał, jakby przerwano mu upojną randkę, ale Anaela zachowała tę uwagę dla siebie. Ponagliła tylko Sarisa do biegu. Lord wraz z towarzyszącym mu oddziałem ruszyli za nią.

- Ledwo zdążyłem zmrużyć oczy, gdy wpada Mirella z krzykiem, że mordują naszą ukochaną Leddi.

- Przesadziła - mruknęła. - Ratowałam życie temu człowiekowi.

- Poradziłbym sobie! - oburzył się chłopak.

Joysell obrzucił go spojrzeniem.

- To mieszaniec, nie człowiek - sprostował z nieukrywaną pogardą, na co tamten poczerwieniał i sięgając po miecz, naparł koniem na jego wierzchowca.

Kpiące słowa Joysella: „Schowaj to, dziecko, bo się pokaleczysz!”, kazało Anaeli się odwrócić.

- No nie! Znów się będą tłuc! - krzyknęła ze złością. - Poszaleliście?! Chłopak jest jeszcze młody i głupi, ale ty, Joysell... Schowajcie te zabawki, bo przysięgam na waszych bogów, że sieknę błyskawicą po oczach.

Niechętnie, mierząc się nienawistnymi spojrzeniami, zrobili, co kazała. Wjechali na oświetlony dziedziniec zamku, gdzie czekała zaniepokojona służba, z Mirella na czele. Anaela zeskoczyła na ziemię i już miała wyciągnąć po małą rękę, gdy oniemiała na widok

oczu dziewczynki. Były... niesamowite. Takich oczu Anaela nie widziała jeszcze u nikogo, w żadnym ze światów: piękne i duże jak u sarny, w oprawie długich czarnych rzęs, ale nie to zdumiewało - ich tęczęwki miały barwę czerwonego wina. Anaela stałaby tak do końca świata, wpatrując się w rubinowe oczy dziecka, gdy wreszcie Saris, zniecierpliwiony, szturchnął ją w ramię.

- *To wieszczka. Tak naznaczają Widzących bogowie.*

No jasne! Wieszczka! Stąd znała moje imię - przemknęło Anaeli przez myśl. - I wiedziała, gdzie na mnie czekać. Wjechali na dziedziniec.

- Przydałaby się tym dwojgu kąpiel, Mirello, a potem coś do jedzenia. - Anaela podała dziewczynkę służącej. - Idę się przebrać.

Ujęła w dwa palce rąbek nocnej koszuli. Dass'ratt! Zupełnie jakby tarzała się w...

Gdy zesła z powrotem na dół, do jadalni, chłopak już czekał: wyprostowany jak struna, z arogancko wysuniętym podbródkiem; znów gotów do obrony, mimo że nikt go nie atakował. Przez chwilę przyglądała się uratowanemu tak uważnie jak on jej. Tak jak we śnie miał czarne włosy, po których - jeszcze mokrych po umyciu - spływała krew. Piękne ciemnoniebieskie oczy w kształcie migdałów wciąż błyszczały gorączką.

- Jak mam się do ciebie zwracać?

- Arliss, pani.

- Zdejmij koszulę.

Zmieszał się. W oczach błysnęły mu łzy upokorzenia.

- Wybaczcie, pani, chętnie wam wygodzę, ale... może kiedy indziej? Moja siostra zaraz tu będzie. - Usiłował uśmiechnąć się przeproszająco.

- Dzieciaku, chcę obejrzeć twoje rany! Wam tylko jedno w głowie. - Anaela prychnęła z politowaniem, a chłopak spłonął rumieńcem. - No już, bo krew zaczyna przesiąkać przez materiał.

Bez słowa uczynił to, co kazała. Jak na taką walkę był zadziwiająco mało pokaleczony. Nawet rozcięcie na głowie okazało się powierzchowne.

Kończyła łątać błękitem pocięte mięśnie, gdy pełne uznania: „Bardzo dobrze, pani Anaelo” sprawiło, że znów musiała się uśmiechnąć.

- Dziękuję, Kassandro, za dobre słowo. - Skłoniła się żartobliwie przed dziewczynką, a gdy podnosiła głowę, krzyknęła, zatykając usta dłonią. Na czole małej jaśniała błękitna gwiazdka. Znak Najwyższej Kapłanki, Władczynie Alderii.

Anaela zamrugnęła. Znak zniknął, ale dziecko uniosło domyślnie brwi.

- Też to widziałas, pani Anaelo?

Zdobyła się tylko na skinięcie głową. I nagle poczuła, jak bardzo, bardzo jest zmęczona. Przerastał ją ten świat. Przerastały wydarzenia, których była czynną uczestniczką. Na resztę życia miała dosyć wymachujących mieczami facetów, ciskających energią kobiet, gadających koni, wieszczących dziewczynek, a już nade wszystko nieobliczalnych władców, którym byle tatuaż - sama mogła sobie zrobić taką gwiazdkę! choćby na czole! - dawał prawo decydowania o czymś życiu lub śmierci. Bez odpowiedzialności za tę śmierć i bez wyrzutów sumienia. Potarła piekące z niewyspania oczy i ujęła drobną rączkę dziewczynki.

- Jeśli chcesz, Kassandro, będziesz dzisiaj spała ze mną. Ty, Arliss, idź do Mirelli, przydziel ci pokój z dala od kwater żołnierzy. - Cisnęła w niego koszulą. - I spróbuj dożyć do jutrzejszego ranka bez wdawania się w kolejną awanturę.

Pozostało im zaledwie cztery godziny snu, a Anaela nie mogła zasnąć, wpatrzona w buzię śpiącej dziewczynki. No dobrze, ma dziecko, ma wyjątkowe dziecko, i co dalej? Musi zapewnić małej bezpieczeństwo, tylko gdzie w tym wojującym świecie jest bezpiecznie? Jedyńą ostoją zdawała się Alderiana: stojącej na urwisku Twierdzy WeddSa'ard nigdy nie zdobędzie, ale to nie wystarczało. Musiała dać Kassandrze żelazny glejt, coś, czego nikt nie zakwestionuje. Coś, co uczyni dziewczynkę nietykalną. No oczywiście! Czując ogromną ulgę, osunęła się na poduszki i wreszcie pozwoliła sobie zasnąć.

O świecie zebrali się na dziedzińcu, by wyruszyć w dalszą drogę. Joysell, półprzytomny po nieprzespanej nocy, dopinał w ponurym milczeniu popręg, gdy podeszła doń Anaela, prowadząc za rękę dziewczynkę.

- Chcę mianować Kassandrę Następczynią. Pomożesz mi zdjąć ten łańcuch? - Wskazała insygnium, które nosiła na szyi. Nieraz próbowała się pozbyć niechcianego ciężaru, ale przy każdej próbie ściągnięcia łańcuch ważył więcej niż ona sama.

Joysell posłał jej nieprzyjazne spojrzenie.

- Roisz sobie, że ratując jedno nędzne istnienie, zmienisz przyszłość tego świata?

- Noo... - odrzekła Anaela, wymieniając z dziewczynką porozumiewawcze uśmiechy.

- To ją sobie mianuj. Będziemy świadkami. - Ellis wzruszył ramionami, sięgnął do szyi Leczącej, ściągnął jej łańcuch przez głowę i podał do ręki. Pokręciła tylko głową, - patrzcie, jakie to proste! - po czym z namaszczeniem udekorowała pierś dziewczynki cennym klejnotem, mówiąc:

- Kassandro, mianuję cię Następczynią Następczyni Wielkiej Władczyni Alderii Bereniki de Sanctis Piątej. - Z całych sił utrzymywała powagę; doprawdy cierpią tu na tytułomanię... - Czy przyjmujesz dobrowolnie i bez przymusu to brzemię?

Mała odrzekła:

- Przyjmuję.

Anaela skłoniła się nisko. Joysell prychnął kpiąco.

Kilka chwil później Cassandra, w białej sukni, która ciągnęła się za nią niczym śmiertelny całun, odprowadzała Leddi i brata aż do dolnej bramy.

- Będę na ciebie czekać w Alderianie, pani Anaelo - rzekła na pożegnanie. Jej głos brzmiał tą niezwykłą pewnością, jaką przejawiają tylko wieszczki. - Arliss, opiekuj się naszą Leddi - przykazała z powagą bratu.

Skwitował jej słowa uśmiechem.

Byli już daleko - sylwetki jeźdźców i koni znikwały w porannej mgle zaścielającej błonia - gdy Cassandra wyszeptała przez łyzy:

- Żegnaj, Arliss. Byłeś najlepszym bratem na świecie.

Joysell ściągnął cugle.

- Z koni! - krzyknął za siebie.

Jeźdźcom nie trzeba było powtarzać dwa razy. Monotonna podróż przez ziemie Ellisii wlokła się w nieskończoność. Teraz nareszcie coś się zaczęło dziać! Anaela z ciekawością obserwowała, jak Joysell staje przed mroczną, nieprzystępną ścianą Lasu Tysiąca, jak podchodzi do najbliższego drzewa i klęka przed nim z kornie pochyloną głową, a jego ludzie czynią to samo. Uklękła i ona, zerkając spod oka na ciąg dalszy.

Trwali tak, w kompletnej ciszy i bezruchu, gdy wtem przez Las przetoczyło się westchnienie. Anaela osłupiała, bo widok był niecodzienny: pień drzewa otworzył się i wychynął z niego świecący niebieskawo... duch!

- Co... kto to jest? - zaszepiała do Joysella.

- Pani Lasu. Skłoń się, byle nisko - mruknął. Driada nie patrzyła na niego, lecz na Anaelę, którą nie tak dawno powitała w progach Świata Światów. Dziewczyna łypnęła na nią z ciekawością. Pani Lasu uśmiechnęła się lekko, po czym zwróciła do Joysella:

- Witaj, lordzie Ellis. Czego żądasz?

- Przejścia.

- Za wolną drogę płaci się krwią. Jesteś gotów ponieść ofiarę?

- Jestem gotów.

Joysell wyciągnął sztylet i przeciągnął ostrzem po wewnętrznej stronie nadgarstka. Z ciętych żył popłynęła obficie ciemnoczerwona krew. Ściekła po zwróconej ku ziemi dłoni i, niesamowicie! - mech się poruszył, jakby zwietrzył trop, podpełzł ku rosnącej plamie krwi i począł ją chciwie spijać... wchłaniać... czy jak to tam nazwać. Anaeli zabrakło słów, by opisać to, co obserwowała oczyma wielkimi jak spodki. Nagle przypomniała sobie pierwsze uczucie, jakiego doznała w tym świecie. Liźnięcia setek języczków na poharatanych podczas teleportacji dłoniach. I tak jak wtedy wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

Krew płynęła, mech spijał ją łapczywie, Pani Lasu przyglądała się temu beznamiętnie, Joysell bladł, a żołnierze trwali w milczeniu.

Wykrwawi się zaraz! - zakrzyczała w myślach Anaela, ale nie śmiała nawet pisać. Do tego samego wniosku doszła widać i driada, bo przytknęła nagle dłoń do krwawiącej rany.

- Dosyć. Żądamy ofiary z krwi, a nie z życia.

Cofnęła rękę. Po ranie nie było nawet śladu.

- Co Las ofiaruje w gościńcu? - zapytał Joysell słabym cokolwiek głosem. Anaela domyśliła się, że i to pytanie należało do odwiecznego rytuału.

- Przestrozę: pilnuj Gwiazdy Ferrinu. Ogary Saetina już na nią czekają. - Pani Lasu wbiła szafirowe spojrzenie w Anaelę, aż tej zaparło dech w piersiach, i rozwiła się jak zły sen. Dziewczyna zamrugnęła, rozglądając się półprzytomnie dookoła. Joysell podniósł się z kolan.

- Sporo krwi wam utoczyła, panie - mruknął adiutant, podtrzymując go.

- Bo i nas jest sporo. - Joysell wzruszył nonszalancko ramionami, ale zachwiał się i wsparł o przybocznego.

- Możesz jechać? - Anaela przyjrzała się lordowi z niepokojem.

- Nie mogę, lecz muszę. Dajcie wina!

Wychylił podaną manierkę do dna i wyciągnął rękę po następną. Chwilę czekał, aż „zabieg” podziała, po czym - nieco chwiejnie - wdrapał się na grzbiet gniadosza i zakrzyknął ze swadą:

- W drogę, panowie! I panie.

Skłonił się z galanterią i wjechał w Las.

- Byłbym zapomniał. - Pochylił się ku Anaeli po przejechaniu kilku metrów. Mało nie spadła z Sarisa, pijana od samego Joysellowego oddechu. - Nie ruszasz się sama na krok. Nawet za potrzebą. Zrozumiałaś?

Joysell dotrzymał słowa. Mijał czwarty dzień wędrówki przez Las Tysiąca, a Anaela miała mniej swobody - co przyznawał bez wzruszenia sam lord Ellis - niż kyrieński niewolnik, bo nawet kyrie nie eskortowali swych poddanych w krzaki.

Na początku ją to krępowało. Nie zwykła załatwiać swych potrzeb w bezpośredniej obecności Mirelli, która, trzeba jej to przyznać, odwracała się przez delikatność plecami, i z rozstawionymi wokół przygodnego krzaczka wartownikami nadaremnie usiłującymi zachować powagę. Potem zaczęło ją to bawić. Miała bądź co bądź poczucie humoru, a sytuacja, gdy ciągną się za nią tabuny ludzi, gdziekolwiek się ruszyła, była rzeczywiście komiczna. Teraz jednak - kiedy wszystkim dała się we znaki przedłużająca się podróż przez tłamszący umysł i duszę Las Tysiąca - teraz była wściekła!

- Dobrze się bawisz?! - wrzasnęła do Joysella, powróciwszy z kolejnej wyprawy na stronę. - Może pójdziesz ze mną i potrzy masz mnie za głowę, co?!

Uśmiechnął się złośliwie.

- Jesteś już dużą dziewczynką.

Wzniósła oczy do nieba i zmówiła krótką modlitwę do tutejszych bogów o zmianę towarzystwa. Gdyby wiedziała, jak szybko spełnią to życzenie, zastanowiłaby się przed jego wypowiedzeniem.

Obudziło ją mentalne wezwanie:

- *Anaelo dell'Idarei! Usłysz mnie!*

Usiadła gwałtownie, przytomniejąc w sekundę. Przed nią majaczyła widmowa postać.

- *Amre!* - Z trudem pohamowała się, by nie wykrzyknąć jego imienia na głos.

- *Jestem i czekam na ciebie.*

Chciała natychmiast wstać i biec w kierunku głosu, ale się zmytowała. Nie tak zaraz, Anaelciu! Najpierw trzeba inteligentnie zmylić straż. I Mirellę. I Sarisa. Bo Cień już uniósł głowę, już podejrzliwie zerkał na swą niesubordynowaną podopieczną.

„W celu zmylenia przeciwnika” Anaela strząsnęła z płaszcza służącego za posłanie wyimaginowaną szyszkę. Zamarudziła przez chwilę nad manierką z wodą, po czym, szepnąwszy: „Śpij słodko, koniku”, i usłyszawszy w odpowiedzi nieśmiertelne: *Na bogów, nie jestem konikiem!* - owinęła się w miękki, pachnący leśną ściółką aksamit, udając, że zasypia.

Gdyby pamiętała przestrożę Pani Lasu, może tak pochopnie nie zdecydowałaby się na podążanie za głosem serca.

I j e g o głosem.

Była jednak zbyt podekscytowana perspektywą spotkania z przyjacielem, żeby wahać się choć przez moment.

Gdy Saris zasnął, *obejrzała* wewnętrznym okiem rozstawienie wart, po czym ostrożnie zaczęła przemieszczać się ku otaczającym rozległą polanę zaroślom. Bez większych przeszkód dotarła do pierwszego pierścienia straży okrążającej obozowisko. Tu wstała, nie kryjąc się dłużej, i ruszyła pewnym krokiem w las.

- Dokąd to, Leddi? - Zwiadowca wyrósł przed nią jak spod ziemi. Mimo że była na to przygotowana, omal nie dostała zawału. Wyrównała oddech, przymknęła oczy i delikatnie wtargnęła do jego umysłu.

- *Eskortuję Leddi na stronę* - narzuciła mu swą myśl. Kurczę, jakie to głupie! Mogła oczywiście uspić go zaklęciem, ale na razie był jej potrzebny. Ramię w ramię podążyli w głąb Lasu. Gdy po chwili zostali zatrzymani przez kolejnego wartownika, ten pierwszy rzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu:

- Eskortuję Leddi na stronę!

Bez zbędnych pytań przepuszczono ich. W ten sposób przedostała się przez kordon chroniący obóz i dopiero wtedy pozbyła się swojego anioła stróża, rzucając nań zaklęcie usypiające.

Idąc za przyzywającym ją głosem, wciągnęła głęboko chłodne nocne powietrze. Była wolna! Znow była wolna! Przyspieszyła kroku.

Gdzieś tam czekał Amre! Szybciej, Anaelo, szybciej! Jak ją odnajdzie w tych ciemnościach? - martwiła się przez moment. Jednakże odnalazł.

Usłyszała swe imię wypowiedane szeptem i już w następnej chwili tonęła w jego ramionach.

W słabym świetle gwiazd widziała jego twarz taką, jaką ją zapamiętała jeszcze wtedy - na polanie. Surowe męskie rysy, silnie zaznaczona szczeka, wysokie kości policzkowe, cień zarostu.

Bez słowa zagarnął ją ramieniem, wsunął palce we włosy dziewczyny, unieruchamiając głowę, i nie bacząc na nieśmiałe protesty, zaczął całować. Namiętnie. Aż do utraty tchu.

- Amre, nie... - Usiłowała się uwolnić, ale on nie przestawał.

Objął jedną dłonią złączone za plecami nadgarstki dziewczyny, musnął ustami płatek ucha, a głos wiedźmy powiedział:

- Wystarczy, Vervain.

„Wystarczy, Vervain”, wdarło się do umysłu Anaeli z niejakim opóźnieniem. W pierwszej chwili nie zrozumiała. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała pytająco w twarz przyjaciela, którą teraz wykrzywił paskudny uśmiech. Paskudny uśmiech?! Zszokowana tą nagłą zmianą obejrzała się, na - uśmiechniętą równie paskudnie - Agnieszę de Sade. I ten właśnie obraz - pięknej twarzy czarodziejki, oszpeconej wrednym uśmiechem - zabrała Anaela ze sobą w nieświadomość, gdy uderzona w potylicę ręką miecza, osuwała się w ramiona Amrego-Vervaina.

Świt osrebrzył Las kroplami rosy. Pierwsze słońce wspinało się po konarach wiekowych meandrowców.

Rany boskie, Anaelo, jak ty już w coś wdepniesz... - to była jej pierwsza myśl.

Chciała zbadać *wzrokiem* otoczenie, ale magia nie zadziałała, za to zadziałała pętająca nadgarstki linka z tytanianu. Lecząca jęknęła przeciągle, czując płomienie palące skórę. Ból zelżał po chwili, jednakże nauczkę, iż nie należy używać magii w pobliżu tytanianu, zapamiętała na dobre. Otworzyła oczy i spojrzała w górę.

Vervain wciąż miał narzuconą iluzję Amrego - widać umyślił sobie, że tak bardziej brankę udreńczy. I miał rację. Anaela siedziała przed nim w siodle, dygocząc z pasji i odrazy. Patrzyła na ramię Amrego, podtrzymujące ją w pół. Na dłonie Amrego, dzierzące wodze. Czowała zapach Amrego, ową miłą sercu mieszankę woni Lasu i dymu z ogniska, i dusiła się z wściekłości!

Jak mogła nie poznać atrapy? Dlaczego, dysponując ponoć tak potężną mocą, nie wykryła podstępny? Gdzie była Anaelowa intuicja? Na spacer poszła czy co?! Przypomniała sobie namiętny pocałunek i miała chęć wyszorować sobie usta mydłem. I pluć! Wypluć nawet wspomnienie dotyku obmierzłych warg. Zemdlilo ją.

Vervain przyciskał Leczącą do siebie, czerpiąc z miotających nią uczuć perwersyjną przyjemność. W pewnym momencie, przełożywszy wodze do jednej ręki, wziął twarz Leczącej pod brodę i uniósł, chcąc pocałować kuszące usteczka.

Anaela tylko na to czekała: nie zdążył cofnąć dłoni, gdy wgryzła się w nią aż do krwi. Wstrzymał oddech, stłumił jęk i wychrypiął:

- Puść, kurwo, bo skrucę ci kark.

Splunęła jego krwią i zapytała kpiąco:

- Chcesz jeszcze buziaczka?

Koń ze stęknieniem przeskoczył zagradzający drogę pień powalonego drzewa. Zwierzę, mimo ostróg raniących boki, zaczęło zwalniać. Anaela też słabła z każdą minutą. Pęta z tytanianu i niedawne przeżycia sprawiły, że czuła się bezsilna jak dziecko. Nie dość, że nie mogła czarować, to w ogóle niewiele mogła. Pięknie, Anaelciu. Joysell żywcem obedrze cię ze skóry! I, na tutejszych bogów! - zasłużyłaś na to!

Postój zrobili dopiero wtedy, gdy konie odmówiły posłuszeństwa. Chwiały się na szeroko rozstawionych nogach, boki rozorane ostrogami spływały krwią, a piana płatami skapywała z rozwartych jak do krzyku pysków. Ze zwieszonymi głowami cierpliwie czekały na śmierć, o ileż litościwszą od jeźdźców.

- Ruszaj! - Vervain pchnął Leczącą. - Niedaleko czekają świeże konie.

Anaela po całym dniu i całej nocy jazdy nie była w stanie utrzymać się na nogach. Pokręciła więc tylko głową i osunęła się na ziemię. Poobcierane nadgarstki paliły żywym ogniem, a ból wykręconych stawów był jeszcze dotkliwszą torturą. Wiedźma dopadła do niej i szarpnęła powtórnie w górę. Anaeli pociemniało w oczach, z gardła wyrwał się ni to krzyk, ni skowyt. De Sade trzasnęła ją w twarz, aż Leczącą rzuciło o ziemię.

- Albo będziesz posłuszna, albo własnoręcznie poderżnę ci gardło, pal licha rozkazy, rozumiesz?! - wrzasnęła.

Patrzyła przez chwilę z góry na klęczącą Leddi, mrużąc oczy, na których dnie szalał karmazynowy ogień, po czym - w ataku nienawiści - z całej siły kopnęła ją w brzuch.

Anaela zachłysnęła się własnym oddechem. Spojrzenie zmąciła czarna mgła; ziemia łagodnie podpłynęła do chylącej się ku niej głowy.

Czarna mgła zamknęła się nad dziewczyną jak wodna toń nad tonącym.

Czarny demon jednym susem znalazł się na środku polany i przednimi kopytami uderzył raz, a celnie: Vervain padł z roztrzaskaną czaszką. W tej samej sekundzie dosiadający Cienia jeździec skoczył na wiedźmę, zbijając ją z nóg. Ta wywinęła się jak piskorz, poderwała na nogi i odskoczyła w bok, prawą dłonią wyszarpując zza pasa krótki miecz, a lewą sztylet.

Gdy zaatakowała szybko i precyzyjnie, pojął, że trafił na godnego siebie przeciwnika. Ta piękność nie była li tylko ozdobą salonów. Była zabójczynią. Zimną, bezwzględną i bardzo szybką - ledwo sparował sztych wymierzony w splot słoneczny, a już wyprowadzała kolejny.

Nie zdążył się uchylić przed sztyletem, który ciął prawe ramię. Syknął. Odskoczył, by zyskać na czasie. Przełożył miecz do lewej ręki, prawą chwycił długi nóż. Uchylił się przed cięciem z góry i odskoczył przed pchnięciem z lewej. Ostrze minęło go o milimetry.

Czując, że z upływem czasu jego szanse maleją, ruszył do kontrataku. Sparował kilka następujących po sobie pchnięć mieczem i sztyletem, po czym zawirował w piruecie i ciął z

góry. Metal zazgrzytał o metal. Ostrze sztyletu pękło tuż przy rękojeści i rykoszetowało wiedźmie w twarz. Krzyknęła i chwyciła się odruchowo za rozcięty policzek. To był uśmiech losu do napastnika - tym razem nie zmarnował szansy: silnym ciosem miecza wytrącił jej sztylet z ręki i, rozbrojonej, przyłożył czubek klingi do krtani. Odrzuciła miecz.

- Wygrałeś, żołnierzyku - mruknęła, ocierając krew z policzka. - Jestem twoja. - Spojrzała nań spod firany gęstych czarnych rzęs i uśmiechnęła się słodko.

Zrobiła krok, potem drugi i nagle znalazła się tuż przed nim, jedną dłoń kładąc na piersi żołnierza, drugą sięgając w dół. Gdy dotknęła jego przyrodzenia, przez rozgrzane walką ciało przeszedł dreszcz pożądania. Czy to możliwe, by taka piękność chciała... Chciała jego? Właśnie jego? Podniecenie powoli wypierało rozum.

- Weź mnie - zagruchała. - Prawem zwycięzcy.

Skubnęła zębami płatek ucha, aż jęknął mimowolnie i stracił resztkę rozsądku. Drżącymi dłońmi zaczął rozpinać guziki jej sukni, ale sapnęła niecierpliwie, podkasała spódnicę i pociągnęła go na siebie. Z przeciągłym ni to westchnieniem, ni szlochem wtargnął w nią brutalnie. Znieruchomiał z obawy, iż sprawił kobiecie ból, ale wychrypiała:

- Mocniej! Oooh. Mooooocniej!

Pchnął parę razy, zatracając się w tym oblędzie, i nagle eksplodował, jęcząc głośno. Opadł bez sił na chłodną trawę.

De Sade uniosła się na łokciu i zajrzała ciekawie w zlaną potem twarz.

- Jak cię zwał?

- Arliss, pani.

- Bardzoś wyposzczony, chłopaczku. A może to był twój pierwszy raz?

Pokiwał głową, zamykając z zażenowania oczy. To, nie wiedzieć czemu, rozbawiło wiedźmę. Odchyliła głowę do tyłu i wybuchła perlistym śmiechem. Patrzył nań skonsternowany. Czym tak rozbawił tę zachwycającą istotę? Naśmiewa się z jego... nieporadności? Już on jej pokaże! Znów poczuł pożądanie rozlewające się gorącą falą w trzewiach. Przyciągnął czarodziejkę do siebie. Uśmiechnęła się z wyższością, fiołkowe oczy rozbłysły tajemniczym blaskiem, w smukłej, białej dłoni błysnął krótki nóż, oczy chłopaka zogromniały od niedowierzania i... potężne uderzenie odrzuciło wiedźmę w bok.

Arliss oprzytomniał gwałtownie. Łkając ze wstydu i żalu, zapiął w pośpiechu spodnie i - nie patrząc Joysellowi w oczy, bo to właśnie jego pięść miotnęła wiedźmą o ziemię - pochylił się nad drobną sylwetką Leczącej.

Jęknęła cicho. Ból otartych do żywego mięsa nadgarstków był nie do zniesienia. Z trudem zogniskowała wzrok na pochylającym się nad nią mężczyźnie. Osłabła z ulgi: to nie

był Amre-Vervain, to był Arliss. Dzięki wam, bogowie, gdziekolwiek jesteście! Podtrzymywana troskliwie przez chłopaka usiadła, jej spojrzenie padło na leżącego nieruchomo twarzą do ziemi Vervaina. Odarty z iluzji znów przypominał wielkiego sępa. Martwego sępa. Nieopodal spoczywało równie nieruchome ciało wiedźmy. A zaraz przy nim zaczynały się... buty, które kończyły się Joysellem Ellis, poblądłym z furii.

- Jesteś rąbnięta! Mam dosyć pilnowania jaśnie pani! Albo cię zwiążę, albo zostawię. Wybieraj!

- Masz sumienie, to wiąż. - Podetknęła mężczyźnie pod oczy poharatane linką nadgarstki.

- Ty głupia kobieto! - zżymał się, jadąc obok niej. - Saskia oczekuje mojej pomocy. Gnam ludzi przez ten parszywy Las, by zdążyć przed WeddSa'ardem, a ty...! Dass'ratt! Ostatni raz cię ratuję!

- Tak Bogiem a prawdą, uratował mnie Arliss - zauważyła.

Lord zacisnął szczęki, aż chrupnęło, ale nie zdążył popełnić morderstwa w afekcie, bo na spienionym koniu nadjechał zwiadowca.

- Melduj!

- Od północy nadciąga WeddSa'ard z całą armią. Wyjedziemy wprost na jej forpocztę.

- Ha! - wykrzyknął Joysell nagle uradowany. - To się dobrze składa! Napsujemy Czarnym trochę krwi! Chłopcy! - zawołał gromko, unosząc się w strzemionach. - Mamy okazję powojować! Kto na ochotnika?

Jak można się było tego spodziewać, zgłosili się wszyscy. Dla młodych zawadiaków taka potyczka po nudzie wielodniowej wędrówki była darem niebios.

Joysell, nagle przypominając sobie o powierzonych jego pieczy kobietach, zwrócił się do Anaeli nieco niepewnym tonem:

- Skierujesz się razem z Mirella i Loysi do Saskii, to już niedaleko, my dołączymy do was, gdy tylko bitka nam się znudzi.

- To trochę, hmm... lekkomyślne porywać się z garstką żołnierzy na całą darrakijską armię, nie uważasz? Nie żebym miała coś przeciwko - zastrzegła szybko Anaela, widząc jego minę.

- Twój obrońca będzie wam towarzyszył. - Posłał Arlissowi znaczące spojrzenie.

- Panie, pozwól mi dołączyć do was! - zaoponował chłopak. - Ja chcę się bić, a nie pilnować kobiet!

- Lepiej wychodzi ci pilnowanie kobiet - rzucił złośliwie Joysell i ruszył ku przygodzie. Po paru krokach wyprostował się w siodle, głęboko wdychając zapach świeżo skoszonych

łak. - To będzie dobry dzień - powiedział do adiutanta. - Ta krnąbrna Leddi po raz pierwszy mnie posłuchała.

Zerknął przez ramię. Anaela stała pośrodku drogi, unosząc na pożegnanie dłoń. Gdyby usłyszał jej: „Wypchaj się, Joysell”, nie byłby taki zadowolony z siebie.

Lecząca poczekała, aż ostatni z żołnierzy zniknie w chmurze pyłu.

- No, Arliss, ruszaj. Przecież widzę, jak ci spieszno za nimi - uśmiechnęła się niewinnie.

Chłopak rozpromienił się, zasalutował żartobliwie i pognął na złamanie karku za Joysellem.

- Nie wiem jak wy, ale ja chcę popatrzeć - oznajmiła towarzyszącym jej dziewczynom. Podeszła do wysokiego urwiska wznoszącego się nad traktem i zadarła głowę.

- Moja pani, lord Ellis nakazał jechać do Saskii - sprzeciwiła się Mirella.

- *Właż z powrotem i jedziemy!* - poparł ją Saris, ale Anaela ani myślała tracić tak pasjonującego spektaklu. Już chwyciła wystający korzeń, już szukała oparcia dla nóg.

- Pani Anaelo, to niebezpieczne! - odważyła się sprzeciwić Loysi.

- Tak, tak, to bardzo niebezpieczne - zgodziła się Anaela. - Czym prędzej jedźcie do Saskii. No, już was tu nie ma. Zaraz do was dołączę, tylko popatrzę z góry.

- Anaelo! - jęknęła Mirella. - Błagam, jedź z nami!

- Za chwilę spadnę ze zdenerwowania! Jedźcie w cholerę! - odrzyknęła, będąc już parę metrów nad nimi.

- Poczekamy - mruknęła Mirella, a zadowolona Anaela mogła się skupić na wspinaczce.

Saris, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, nagle znieruchomiał. Po hebanowych bokach przebiegł dreszcz. Zbliżało się niebezpieczeństwo. Przyszłość chronił węzeł, ale Cień wyraźnie czuł narastające zagrożenie.

- *Hatira! Usłysz mnie!* - wezwał lwianę, mając nadzieję, że ta krąży gdzieś nad ich głowami. Nie zawiódł się.

- *Co?* - odparła, jak zwykle lakonicznie.

- *Wyczuwam niebezpieczeństwo. A ty?*

- *Jest wojna* - zauważyła w odpowiedzi.

- *Niebezpieczeństwo zagrażające naszej pani!*

- *Sprawdzę* - odpowiedziała i umilkła na dobre. Nadciągający chłód zwiastujący kłopoty zjeżył Sarisowi sierść na szyi. Musiał wezwać pomoc! Natychmiast!

Tymczasem nieświadoma niczego Anaela dotarła prawie do szczytu urwiska.

- *Anaelo, musimy uciekać!* - usłyszała naraz nagłą głos Cienia.

- Saris! Nie mów do mnie, bo spadną! - odkrzyknęła i w tym momencie... spadła. Kamień, na którym oparła stopę, wyslizgnął się spod trzewika. Druga noga straciła oparcie i Lecząca poleciała w dół.

W ostatniej chwili uchwyciła się wystającego korzenia i zawisła na nim uczepona kurczowo jedną ręką. O rany! Zlana potem usiłowała uspokoić oddech. Wisząc plecami do ściany, miała przed sobą panoramę całej okolicy, a także przyszłego pola bitwy. Widziała jak na dłoni maszerujące na Saskie mrowie żołnierzy w czarnych mundurach i wyjeżdżającą im naprzeciw kawalerię Joysella.

Anaela zapra gnęła wisieć, jak wisi, i patrzeć, ale powoli traciła siły. Próbowwała wymacać nogami oparcie. Bezskutecznie.

- *Co ty tam robisz, na bogów?!* - niepokoił się Cień. - *Złaż!*

- Nie mów do mnie! - odwarknęła. - Muszę się skupić. Kurde, jak to było... *A'les ente des aeria...* - zaczęła mruzczyć słowa zaklęcia.

Gdyby skierowała moc lewitacji na głowę, pociągnięta magią w górę, wylądowałaby miękko na trawie porastającej szczyt wzgórza. Anaela jednak, w swej niewiedzy, skierowała zaklęcie na nogi. Najpierw poczuła, bardzo zdziwiona, jak zaczynają się unosić w górę, podczas gdy ciało pozostaje na swoim miejscu. Po chwili lewitowała głową w dół, wciąż kurczowo ściskając korzeń. W tym momencie spódnica opadła Anaeli na głowę i Lecząca zaświeciła gołą pupą.

- Total, jak Boga kocham total - mruknęła, słysząc w umyśle nieco histeryczny chichot Sarisa. Nie zważając na to, unosiła się, by po chwili spaść na murawę. Była ocalona!

Wstała, wygładziła suknię i spojrzała przed siebie. Pierwsi jeźdźcy Ellisii wgrzyźli się właśnie w pierwsze szeregi Darrakijczyków. Błękitno-biała chorągiew utonęła w morzu czerni. Anaela patrzyła na rozgrywający się w dali bój z zapartym tchem, gdy nagle jej spojrzenie przyciągnął pędzący ku wzgórzu niewielki, może dziesięcioosobowy oddział, na którego czele gnała wpatrzona w biel jej sukni... Agnessa de Sade.

Pora się ewakuować, Anaelciu! Nie namyślając się dłużej, zamknęła przezornie oczy i skoczyła w dół urwiska, szepcząc jak nakręcona magiczne *A'les ente des aeria...*

Wylądowała bezpiecznie tuż obok Sarisa i wskoczyła na jego grzbiet. Nie musiała go ponaglać do biegu. Wyciągnął się w cwał. Trupio blade ze strachu Mirella i Loysi pognały za nimi.

Goniący byli w tyle o strzał z łuku.

- Zastrzelić pod nią konia! - padł rozkaz.

Serce Anaeli zamarło w pół uderzenia. Jeżeli przez swój wybryk straci Sarisa... Skupiła się do granic możliwości, co w tych warunkach było nie lada wyczynem, i rozciągnęła nad sobą i Sarisem ochronną aurę. Marna to była ochrona, ale była.

- *Hatira! Bierz tę na przedzie!* - krzyknął Cień.

Skrzydlaty kot nie kazał sobie drugi raz powtarzać. Zapikował ze wściekłym sykiem, dopadł wiedźmy i porwał ją w powietrze. De Sade wrzasnęła dziko, tracąc grunt pod nogami, i niewiele myśląc, odcięła trzymające ją lwie łapy. Kot zakrzyczał z bólu niemal ludzkim głosem i śmignął w górę. Wiedźma, spadając z wysokości kilkunastu metrów, usiłowała użyć zaklęcia lewitacji, ale zaklęcie nie zadziałało. Agnessa de Sade roztrzaskała się, a kopyta cwałujących koni wbiły zewłok w ziemię. Nie zatrzymało to pogoni. Znow świsnęły strzały. Anaela, oglądając się przez ramię raz po raz, poczuła przyływ paniki. Jeszcze chwila i ich dopadną!

- Zjedź na bok! - krzyknęła do Mirelli. - Gonią za mną!

Dziewczyna kiwnęła głową, skręcając w prawo. Koń Loysi poszedł w jej ślady, a pościg gnał za Anaela. Aura ochronna słabła.

Pocisk otarł się o udo Cienia. Saris potknął się - omal nie spadła - ale nie zwolnił. Naddał ciałem, by utrzymała się w pionie. W tym momencie bełt wbił się w bark Leczącej.

Krzyknęła. Puściła grzywę.

- *Trzymaj się!* - głos Sarisa otrzeźwił ją.

Przylgnęła płasko do Cienia. Zagryzła wargi aż do krwi, by nie zemdleć. Ból był nie do zniesienia.

- *Znieczul ranę zielenią!*

Płacząc, usiłowała ściągnąć choć odrobinę zielonej energii. Goniący byli coraz pewniejsi zdobycy. Oglądając się, widziała przez łzy okrutne uśmiechy na brodatych twarzach.

Zaczęła tracić nadzieję - i przytomność - gdy między nich a Anaelę wpadł jeździec na gniadej klaczy. Ściągnął gwałtownie wodze. Klacz wryła się kopytami w ziemię, położyła uszy po sobie i wyszczerzyła zęby, a jeździec uniósł nad głowę miecz z czarną klingą. Darrakijczycy spadli nań jak smok na swą ofiarę. Pierwszego skrócił o głowę, nim ten zdążył się uchylić przed ciosem. Trzech następnych, zaskoczonych i wściekłych, zaatakowało ze zdwojoną zjadłością, a reszta ominęła walczących i ruszyła za Leczącą.

Oślepiający błysk błękitu na drodze do zdobycy sprawił, że konie stanęły dęba, a jeźdźcy musieli zasłonić oczy przedramieniem. Z portalu wybiegł książę Reikan i ruszył na Darrakijczyków.

Rozdział IX

SASKIA

- Reikan? - zdziwiła się półprzytomnie. - Co ty tu robisz? - Pamiętała jak przez mgłę ostatnie minuty pogoni. Pamiętała straszliwy ból, szarpiący bark, odbierający zmysły. Pamiętała słowa Sarisa: *Trzymaj się! Trzymaj!* Pamiętała także, jak przestała się trzymać i spadła, już na dziedzińcu zaniku, wprost w ramiona nadbiegających ludzi. Za cholere jednak nie mogła sobie przypomnieć, jak znalazła się w tym pokoju i co tu, na bogów, robił Reikan?!

Książę przysiadł na skraju łóżka i nie pytając o zgodę, rozciął rękaw sukni lepki od krwi, obnażając bark Leczącej ze sterczącym z niego bełtem strzały. Przyłożył obie opalizujące zielenią dłonie. Odczekał chwilę.

- Trochę zaboli - uprzedził i... pociągnął.

Trochę?! - chciała krzyknąć, ale nie mogła złapać oddechu. To było trochę?! Tym razem ręka Reikana pojaśniała błękitem. Ból zelżał.

- Zemsta za chłostę? - raczej stwierdziła, niż zapytała.

- Dopiero za pierwsze smagnięcie batogiem.

Anaela podniosła nań złotozielone oczy i uśmiechnęła się. Reikan odwrócił wzrok, zmieszany.

- Nie patrz tak na mnie - mruknął.

- A jak mam patrzeć? - zdziwiła się.

- W ogóle nie patrz!

- Dobrze. Nie będę. Już nigdy? - Znów się uśmiechnęła, dziwiąc się w duszy jego wzburzeniu. Ręka, którą przykładał do zamykającej się rany, zadrzała ledwo zauważalnie.

- Czy wiesz już, na czym polega twa moc? W czym jesteś wyjątkowa? - Pokręciła głową.

- Elfia magia, magia miłości, wyzwolona w ludzkiej kobiecie sprawia, iż nikt nie może się jej oprzeć. Możesz mieć każdego mężczyznę, każdej rasy, którego tylko zapragniesz.

- To dobrze czy źle? - zapytała ostrożnie.

- Zależy od intencji. Wiedz, że ten, którego zniewolisz, nigdy nie będzie twój. Jesteś skazana na wieczną samotność.

- Dzięki - odparła z przekąsem.

- Uważaj więc, na kogo kierujesz spojrzenie złotozielonych oczu, Leddi. I proszę, nie próbuj praktykować na mnie.

- Ty możesz się nie obawiać, jesteś dla mnie jak brat. - Poklepała go po ręce. Cofnął dłoń.

- Ale, ale, co właściwie tu robisz? - Pod tym pytaniem ukryła własne zmieszanie.

- To co zwykle: ratuję cię przed WeddSa'ardem. Ledwie zdążyłem. Tym razem nie myślał o pojmaniu, chciał cię zabić.

- Sellinaris?! Niemożliwe! Twój brat jest honorowy, dotrzymuje słowa, Reikanie, cokolwiek byś sądził na jego temat. W Cambrii...

- Wiem. Słyszałem - uciał. - To był wielkopański kaprys, nic więcej. Nie dopatruj się szlachetności w Sellinarisie, Anaelo. Jest na wskroś przeżarty nienawiścią i pragnieniem zemsty. Na wskroś przeżarty złem.

- Nie wierzę w czyste zło! - zaprzeczyła gorąco.

- Ta niewiara cię zgubi. Ciebie i tych, którzy pójdą za Pierwszą z Przepowiedni.

Pod dotknięciem jego dłoni rana zasklepiła się i świeciła świeżą blizną. Naciągnął z powrotem rękaw sukni i wstał. Anaela poruszyła ramieniem i czując na skórze lekkie mrowienie ustępującej magii, podniosła się również.

- Opuszczę cię teraz, Leddi. Saris mnie wzywa. I Hatira.

Reikan skierował się ku drzwiom. Już kładł dłoń na klamce, gdy zatrzymał się i rzucił przez ramię:

- W pokoju obok umiera ktoś, kto walczył w twojej obronie. Bądź przy nim. - Skinął jej głową i wyszedł.

Strach przeniknął serce Anaeli. Kto?! Wybiegła za Reikanem. Pchnęła drzwi i wpadła do małego, ciemnego pomieszczenia.

Mężczyzna odchodził - Anaela poznała to po szarej aurze, w którą spowite było jego ciało. Pierś unosiła się w szybkim, płytkim oddechu. Twarz zwróconą do ściany zasłaniały zlepione potem i krwią włosy. Mimo to wiedziała, wiedziała od pierwszej chwili, kim był.

- Amre! - zabrzmiało jak jęk. Przypadła do oficera, zwróciła jego twarz ku sobie. - Amre! Nie! - Uniosła rąbek koca i jęknęła powtórnie. Miecz ciął głęboko. Wbił się w lewy bok zwiadowcy, tnąc wszystko, co napotkał po drodze. Aura rozwiewała się, zanikała.

Zacisnęła zęby, zacisnęła pięści.

Nie oddam go! Słyszycie, przekłęci bogowie?! Nie oddam wam jedyne go przyjaciela!

Nikt nie uczył Anaeli, jak oddać życie za życie, bo też nikt do tej pory nie wymagał od Leczącej najwyższej ofiary. Musiała słuchać podszeptów intuicji.

- *Wróć do mnie!* - wysłała myśl, ale on już myśli nie odbierał. Wniknęła więc łagodnie do jego jaźni: tylko tak mogła zawrócić odchodzącą duszę.

Jego oczami ujrzała drogę prowadzącą do ciepłego, przyjaznego Światła. Szedł/szła w jego stronę wabiony/wabiona nadzieją kojącego spokoju. I cichutkim dźwiękiem dzwoneczków.

Anaela przejęła kontrolę nad jego jaźnią i przewyciężając własną niechęć do zawrócenia z tej wędrówki, próbowała skierować siebie/jego z powrotem do majaczącego pod nimi umęczonego ciała. I bólu... Bólu, którego echo docierało nawet tutaj, na drugą stronę istnienia. Ale jaźń mężczyzny walczyła o prawo do śmierci. Broniła się przed walczącą o prawo do życia Anaela.

I nie tylko ona pragnęła, by nie wrócił...

- Jego życie należy już do mnie. - Anaela usłyszała głos dobiegający zza Jasności. W jedno uderzenie serca znalazła się przed obliczem spoczywającej na wysokim, czarnym tronie postaci.

Istota miała twarz zasłoniętą białym całunem spływającym aż do ziemi. Stopy pętał wąż o rubinowych oczach, w którego czaszkę wbity był miecz o klindze z czarnego metalu. Postać w jednej ręce dzierżyła wagę, w drugiej miriady świetlistych nici, z których utkana była droga do Światła - do niej.

- Czy jesteś śmiercią? - zapytała Anaela, nie otwierając ust. Tu nie istniały dźwięki, kolory, obrazy, kształty. Wszystko było myślą.

- Tak też o mnie mówią. Jestem Prządką. Nic życia tego mężczyzny pęka. Odejdź i zostaw go mnie.

- Wybacz, Jasności, ale nie mogę. Przybyłam po niego i z nim odejdę.

- Uratujesz jeszcze wielu. Zbyt wielu. Tego zostaw mnie.

- Wybacz - powtórzyła Anaela. - On musi żyć.

- Nie próbuj sprzeciwiać się memu wyrokowi! - W słowach Prządky zabrzmiała groźba. Śmiertelna groźba.

- Muszę to zrobić.

Anaela wycofała się z umysłu umierającego i wyszła z głębokiego transu. Przez chwilę trwała oszołomiona, po czym odzyskała jasność myślenia. Stała u węzłowia Amrego, ujęła jego głowę w dłonie i skierowała strumień życiodajnej, złotej energii ze swego ciała do niego...

Powoli, powoli wyciekał z Leczącej strumień światła. Patrzyła, jak złocisty blask wypełnia ciało mężczyzny od czubka głowy, poprzez klatkę piersiową i ręce, brzuch, podbrzusze, nogi, aż do stóp. Wreszcie złota energia zatoczyła krąg. Ciało mężczyzny świeciło delikatnie jak zamknięte w złotej chmurze. Anaela spojrzała na swoje dłonie, teraz dziwnie przezroczyste, i... osunęła się w czerń.

- Jak śmiałaś?! - krzyknęła Prządka bezgłośnie. Całun zsunął się z jej twarzy i Anaela ujrzała ogromne czarne oczy bez dna. - Zapłacisz za to krwią i cierpieniem!

Zgięta wpół Anaela klęczała u stóp tronu. Ofiarowała swe życie za życie Amrego i była gotowa umrzeć. Nie marzyła nawet, że ujdzie jej to bezkarnie. Jednakże nic życia Anaeli spoczywała w rękach kogoś potężniejszego i Prządka musiała się ugiąć przed tą wolą.

- Zapłacisz krwią i cierpieniem - powtórzyła wolno i dobitnie. - A jego - tu machnęła dłonią w kierunku Amrego - jego sama oddasz w moje ręce. Niech to będzie twa pokuta.

Obrazy z przeszłości pojawiały się i odpływały niczym senne majaki. Umysł powracający z tamtej strony łagodnie dziwił się im, jakby przeszłość należała do kogo innego. Jakby była obca, a przez to ciekawa...

„Pojmać i doprowadzić Leddi Anaelę dell’Idarei. Z rozkazu Sellinarisa WeddSa’arda: Czarny Kod”.

- Masz mój znak. - Błysk chwyconego w locie medalionu.

- Wasza Wysokość, zlećcie to komu innemu, nie chciałbym ponownie zawieść.

- Zawieść? Mnie? - Uniesienie brwi i zimny błysk w antracytowych oczach. - Oto co czeka tych, którzy zawiedli... - Nieludzki wrzask człowieka obdzieranego żywcem ze skóry: szczypcy chwytające nacięte ciało, szarpnięcie, skóra na plecach torturowanego drze się w długi, ociekający posoką pas rozedrganego mięsa, i ten wrzask, i potworny smród ekskrementów. Żołądek podchodzący do gardła. - Oto co czeka ciebie, Shanon, gdy nie wykonasz rozkazu.

A potem wędrowka przez Las za alderiańskim oddziałem. Strzęp białej sukni na krzaku. Ślady kopyt na leśnym dukcie i szaleńcza pogoń za uwożoną przed dwoje saetińskich sług. I nagle Anaela na szczycie wzgórza, tak piękna, tak niezwykle piękna z błyszczącymi podnieceniem oczami, rozwianym włosom, targaną wiatrem suknią. Nagły przestrasch na twarzy Leczącej. I nadciągająca czarna śmierć.

- Nie! Nie możecie uczynić jej krzywdy! - Dłonie unoszące kuszę i mierzące w tę, którą on, Amre Shanon, pokochał całym... Pokochał?! On nie umie kochać! I jedyna możliwość sprzeciwienia się woli władcy: walka z czarną śmiercią grożącą ukochanej.

Co wtedy myślał, stając na drodze towarzyszom broni? Czy czuł ulgę, że już nigdy więcej nie będzie prowadził Anaeli, niczym owcy na rzeź, do WeddSa'arda? Spokój, że oto nadszedł kres wędrówki w ciemnościach? Że może odejść, poznawszy smak miłości?

Oto pogodzony ze śmiercią opuszcza miecz i wystawia się pod cios. A potem łagodne zapadanie się w nieistnienie. I jej głos - czy to możliwe, by martwy słyszał głos ukochanej? - Wróc do mnie. - I ona walcząca z nim samym o niego. I śmierć przyciągająca oboje. Nie! Anaela musi żyć! Odejdź! Ratuj się!

Anaela wygrywająca z nim, ze sobą, ze śmiercią. I jednocześnie przegrywająca.

Otworzył oczy. Otaczał go mrok łaskawie skrywający łzy. Z trudem zduśił szloch rwący krtani. Czyjaś dłoń musnęła czoło. Przyłożyła chłodny kompres do rozpalonej głowy. Jej dłoń? - Anaela? - wyszeptał spękanymi wargami.

Ząb szczęknął o ząb. Całym ciałem wstrząsały dreszcze. Gorączka rosła z minuty na minutę. Lada chwila płomień ogarnie umysł, a tak bardzo pragnął poczuć jej dotknięcie, usłyszeć jej głos, zobaczyć jej oczy, nim odpłynie w rozpaloną nieświadomość.

Chłodne dłonie Reikana ujęły pękającą z bólu głowę, szmaragdowe spojrzenie wbiło się w mgłę zasnuwającą oczy chorego, z ust księcia spłynęły śpiewne, elfie zaklęcia...

Gdy tylko Anaela wróciła do świata rzeczywistego, spojrzała tam, gdzie powinien leżeć Amre. Łóżko było puste. Z jękiem przerażenia poderwała się, by zaraz opaść na poduszkę, słaba jak dziecko, i jak dziecko zanieść się płaczem.

- Leddi! - Mirella przyskoczyła do Anaeli. - Leddi, co się stało?!

- Mój ranny, on żyje, prawda? - Zielone oczy błagały, by służąca potwierdziła.

- Och, żyje, moja pani, żyje! Przeniosłyśmy go do innej sali. Nie godzi się, by...

Anaela poczuła, że słabnie ponownie. Z ulgi tak obezwładniającej i szczęścia tak wielkiego, jak tylko ulga i szczęście mogą być.

- Żyje. Amre żyje - powtórzyła, smakując te słowa.

Zebrała się w sobie i znów próbowała wstać, ale siły ją odeszły. Mirella otuliła swoją panią koldrą, kręcąc głową.

- Szkoda na takich życiodajnej energii, Leddi. Szkoda twojego zdrowia, twoich sił. Mogłaś sama umrzeć, a jesteś tak bardzo potrzebna. - Anaela odepchnęła służącą łagodnie, znów próbując wstać. - Przyprawdzą Darrakijczyka do ciebie, pani, tylko leż spokojnie, proszę.

Anaela skinęła głową i zamknęła oczy, zapadając w letarg. Gdy otworzyła je ponownie, Amre stał przy łóżku. Patrzył przed siebie, siląc się na obojętny wyraz twarzy. Po błądoci

skóry, kropelkach potu na czole i zaciśniętych ustach widziała, jak bardzo jest jeszcze słaby, ale trzymał się prosto. Mirella mierzyła go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Zostaw nas samych, Mirello - poprosiła Anaela.

Służąca zawahała się, ale wykonała polecenie.

Anaela patrzyła na nieruchomą twarz oficera. Powinna była... Powinna była grać Leddi, chłodną i wyniosłą. Powinna była zapytać, jak przygodnego pacjenta, o samopoczucie, zacząć normalną w tych okolicznościach rozmowę, ale nie mogła wydobyć głosu. Miała go na wyciągnięcie ręki, a tak dalekiego jak przez wszystkie te dni, kiedy mogła o nim tylko marzyć. Kiedy żył tylko w jej wspomnieniach. Chciała, by znów objął ją ramionami i głaskał po głowie, poklepywał po plecach, niezręcznie, jakby uspokajał spłoszoną klacz.

Nie! Nie będzie Leddi! Tym razem będzie sobą!

Chwyliła jego dłoń, pociągnęła do siebie i... Zrozumiała nagle, że to nie o objęciach Amrego marzy. Nie o jego czułym dotyku.

- *Anaelo, usłysz mnie!*

Drgnęła jak obudzona ze snu. Popatrzyła z niedowierzaniem na trzymaną w rękach dłoń mężczyzny. Przeniosła wzrok na klęczącego przy łóżku oficera i ujrzała w jego oczach to, czego nie chciała widzieć w oczach przyjaciela.

Rozwarła palce. Dłoń opadła bezwładnie.

- *Anaelo dell'Idarei, usłysz mnie!*

- Muszę iść. Saris mnie wzywa. - Jezu. Zabrzmiało to tak, jakby odprawiała służącego!

I tak to zrozumiał. Wstał. Jego spojrzenie było dalekie i chłodne. Anaela, chociaż czuła żal za utraconą magiczną chwilą, odetchnęła: w szarych oczach nie było już tej rozpaczliwej miłości. Pozostała jedynie rozpacz.

Saris leżał w boksie wyścielonym miękkim sianem.

- *Hatira nie żyje.* - To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział na widok Anaeli. - *Lwiana. Twoja lwiana miała na imię Hatira. Reikan przed chwilą musiał ją dobić.* - W niebieskich oczach Cienia płonął gniew. - *Zginęła przez twoją głupotę. Nie pierwszy raz ryzykowałeś życie swoje i tych, którzy cię chronią.* - Każde słowo Sarisa sprawiało Anaeli fizyczny wręcz ból. - *Moje. Reikana. Amrego... Lwiana... symbol Ferrinu... nie żyje. A to wszystko dlatego, że nasza Leddi chciała popatrzeć.*

- Saris, proszę - wyszeptała przez zaciśnięte gardło. - Proszę cię. - Chciała krzyknąć tak głośno i tak długo, aż umilkłoby sumienie oskarżające ją teraz głosem Cienia, a zdobyła się jedynie na błagalny szept: - Proszę cię.

- *Masz jej krew na rękach* - dobił ją bezlitośnie. Ogromniejącymi oczyma spojrzała na swe dłonie.

...dłonie lepkie od krwi. Pełne garście purpurowej, przyjemnie ciepłej cieczy, spływającej z przeciętych żył...

Kłęczała przed nim zupełnie załamana. Saris miał rację: była bezmyślną, głupią egoistką, buntującą się przeciw rozkazom dla samego buntu. Za twoją arogancję zapłacono krwią.

Och! Brak na ciebie słów pogardy i potępienia, pieprzona Anaelo!

Przypomniała sobie skurczoną z bólu, obitą twarz Mirelli; wyobraziła sobie, jak musiał cierpieć Reikan, dumny książę, chłostany da nieprzytomności niczym byle zbrodniarz. Dla niej i przez nią.

Kiedy dotrze do ciebie, kretynko, że to nie RPG: zrobią ci fatality, a ty klikasz i masz drugie życie. Nie! Jesteś w innym świecie i musisz stosować się do reguł i praw nim rządzących. Musisz stać się w końcu odpowiedzialna za to, co robisz, i sama ponosić konsekwencje swoich czynów. To nie zabawa, Anaelo. To walka na śmierć i życie. Tu się cierpi i umiera naprawdę.

Cień patrzył na Leczącą taką, jaką teraz była: na małą zrozpaczoną dziewczynkę przygiętą do ziemi straszliwym brzemieniem. Czyż mógł jej nienawidzić? Przecież nie było w niej pychy wielkich władców beztrąsko posyłających tysiące poddanych na zatracenie. Nie było w Anaeli pogardy dla wszystkiego, co żyje, pozwalającej spać spokojnie, podczas gdy maluczcy umierali z jej imieniem na ustach. Była jak dziecko ciekawa świata, głodna emocji, rzucająca się w toń życia na oślep, z entuzjazmem i radością, jak dziecko niepokorna i niewinna zarazem.

Szafirowe spojrzenie złagodniało.

- *Hatira z dumą służyła tobie, Anaelo, i z dumą odeszła* - rzekł i dodał po chwili: - *Sam pragnąłbym takiej śmierci.*

- Pokpiłeś sprawę, Vervain. - Głos WeddSa'arda zmusił sługę do otwarcia oczu. Ściągnął brwi i z wysiłkiem zogniskował wzrok na sylwetce Wielkiego Mistrza, która to się oddalała, to przybliżała niczym morskie fale. Czaszkę rozsadzał ból odbierający resztki instynktu samozachowawczego.

- Pierdol się, matkojebco! - wychrypiął. - Kiedy ją dorwę, ubiję jak psa! Jak parszywą sukę!

Sellinaris roześmiał się, a ten śmiech zjeżył włos na głowie stojącego pod ścianą gwardzisty.

- Obawiam się, Vervain, że nie dostaniesz mego przyzwolenia. - Dał znak gwardziście, który szarpnął Vervaina za wygięte do tyłu ręce. Temu oczy wyszły na wierzch z bólu. Rzucił ordynarnym przekleństwem.

- Zabawcie się tym ścierwem po swojemu. - WeddSa'ard machnął ręką i pochylił się jak gdyby nigdy nic nad mapą. - Tylko tak, żeby pożałował, iż jest p r a w i e nieśmiertelny.

W tym momencie do namiotu wszedł goniec, zasalutował i rzekł:

- Panie mój, pojмалиśmy lorda Joysella Ellis.

Dwóch Wilczych Zwiadowców z osobistej gwardii WeddSa'arda przyciągnęło lorda do namiotu i cisnęło do stóp Wielkiego Mistrza. Joysell szarpnął się, strząsając z ramion ich dłonie, po czym rzekł hardo:

- I co teraz? Nadziejiesz mnie na pal, powieszisz, a może - jego spojrzenie zatrzymało się na zwiniętym w kącie namiotu Vervainie - będziesz torturować przed śmiercią jak tego tu nieszczęśnika?

Sellinaris przyglądał się lordowi z ciekawością badacza, który najpierw wyrywa musze skrzydełka, a potem sprawdza, czy będzie latać.

- Widzisz, lordzie - zaczął - ten nieszczęśnik na mój rozkaz miał uprowadzić twoją Leczącą, niejaką Leddi dell'Idarei, i niestety, nie powiodło mu się. Więcej: dla osobistej zemsty usiłował ją, wraz z Agnessa de Sade... co, nie wiedziałeś, że była Następczyni Bereniki jest w zмовie z moim sługą?... więc wraz z tamtą usiłowali Leczącą, Nietykalną! zgładzić. Zdradzili i mnie, i was. Zewłok wiedźmy wdeptały w błoto kopyta koni. Jaką karę wymyślimy dla Vervaina?

- Dla zdrajców jest tylko jedna kara. - Joysell splunął z pogardą.

- Mam pomysł! - wykrzyknął Sellinaris z udawanym entuzjazmem. - Vervain podpowie, jak ukarać ciebie, ty wymyślisz karę dla niego, a ja zastosuję się do waszych życzeń. Jak wam się to podoba, panowie?

- Mam lepszy pomysł - zaczął powoli Vervain. - Tę całą dell'Idarei wystarczy wywabić z zamku, a co będzie lepszą przynętą niż młody, przystojny lord Ellis?

Zapadła noc. Wiatr smagał wieżyce Saskii. Deszcz siekł mury obronne. Chmury kłębiły się na niebie, przysłaniając gwiazdy i księżyc, pogłębiając mrok. Żołnierze kulili się w

rozbitych dookoła zamku namiotach. Ci stacjonujący wewnątrz dziękowali Bogom za suche kwatery. Nikt nie zmrużył oka. Zbyt wiele upiorów krążyło dookoła, żeby spać spokojnie.

Towarzysze Joysella czuwali w ponurym milczeniu, trapieni niepokojem o swego dowódcę. Mirella, zapłakana i drżąca, włożyła się po korytarzach zamku, modląc się zbieleńszymi ustami o szczęśliwy powrót ukochanego.

Na parapecie okna usiadł biały nietoperz. Strzepnął skrzydełkami i pisnął cicho, chcąc zwrócić na siebie uwagę postaci siedzącej przy stole. Mirella z nadzieją wyciągnęła rękę. Magiczny posłaniec wczepił się pazurkami w rękaw sukni i podał łapkę z tulejką. Wiadomość była krótka: „Leddi dell’Idarei za lorda Ellis”.

Ogier, czarny jak ścieląca się dookoła noc, wyraźnie boczył się na dosiadającą go amazonkę. Podrzucając głową, drobiąc w miejscu i skacząc znieacka w bok demonstrował swe niezadowolenie. Patrzącemu z boku mogłoby się wydawać, że jeździec i koń prowadzą ze sobą gwałtowny dialog. Że jedno chce zawrócić do bezpiecznego zamku, drugie jechać naprzód, w kierunku darrakijskich wojsk rozbitych obozem pod ścianą Lasu. Serce dziewczyny łomotało ze strachu. Wierzchowiec wyczuł widać jej niepokój i niezdecydowanie, bo zwolnił. Wyprostowała się, jakby nagle podjęła decyzję, i uderzyła piętami w końskie boki. Łypnął na nią szafirowymi oczyma, przez chwilę tkwił nieruchomo, po czym - zupełnie jakby i on się namyślił - wyprysnął niczym strzała ku pozycjom wroga.

Otuliła się szczerzej peleryną skrywającą białą suknię Leczącej, nasunęła kaptur na oczy i przylgnęła do szyi zwierzęcia.

Trzy ciemne sylwetki majaczyły na tle płonących ognisk. Czekali na nią! Na przedzie - niedbale oparty o łęk siodła - Sellinaris WeddSa’arda, za nim - Vervain, a obok Szarej Bestii... to on! Osłabła z ulgi, że widzi lorda żywego.

Joysell trzymał się prosto tylko dzięki sile woli. Całe ciało posiniaczone miał od razów zadanych przez żołnierzy WeddSa’arda. Wprawdzie Wielki Mistrz obiecał oddać lorda za Leczącą, nie sprecyzował jednak, w jakim stanie go odda. Pozwolił przeto swoim wojakom na odrobinę rozrywki, która z pewnością podniosła morale przed czekającymi ich zmaganiem o Saskie. Nie jest zwyczajną sprawą to, że dowódca wpada w ręce wroga jeszcze przed rozpoczęciem bitwy.

Na twarzy Joysella nie było już śladu dawnej buty i dumy: za moment miała się dokonać hańbiąca wymiana. Jego głupota - bo ataku na armię WeddSa’arda nie można było nazwać

nawet brawurą - miała zgubić Leczącą, oddaną mu pod opiekę przez samą Primeę, a raczej Saetina. Widział zbliżającego się Sarisa i dosiadającą go smukłą sylwetkę Leddi i kłął najgorszymi słowy siebie, WeddSa'arda i nawet Anaelę, że przystała na tę wymianę.

Leddi szepnęła coś. Saris zatrzymał się posłusznie.

WeddSa'ard długą chwilę przewiercał spojrzeniem nieruchomą postać Leczącej. Podjechał wolno i ściągnął kaptur zakrywający jej twarz. Vervain sapnął, Joysell stłumił jęk.

- Leddi Anaela dell'Idarei? - zapytał grzecznie Wielki Mistrz, jakby chciał się upewnić.

Dziewczyna zdobyła się jedynie na skinięcie głową. Zogromniałe z przerażenia oczy błyszczały w bladej jak śmierć twarzyczce.

- Pozwól, pani, ze mną. - WeddSa'ard uprzejmie wskazał drogę.

- Nie! Nie zgadzam się! Weźcie mnie, a jej pozwólcie odejść! - zakrzyczał Joysell równie blady jak ona.

Mirella, w sukni i pelerynie Anaeli, przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

Ratuj mnie! - błagała ukochanego.

- Nie zgadzam się! - powtórzył Joysell.

- Drogi lordzie - Sellinaris skrzywił się z niesmakiem - nalegałeś na tę wymianę, by teraz się wycofać? Gdzie twój honor? Leddi oddaje się za ciebie dobrowolnie, czyż nie? - zwrócił się do Mirelli.

Dziewczyna nie zdążyła przytaknąć.

- To nie jest... - zaczął Ellis, ale Vervain, przejrząwszy grę swego pana, smagnął lorda czerwoną błyskawicą, ujął wodze Joysellowego rumaka i pociągnął za sobą, w kierunku Saskii.

- Pozwól za mną, droga Leddi - powtórzył WeddSa'ard i chciał to samo uczynić z wierzchowcem Mirelli, ale Sarisowi tego było za wiele. Wspiął się na tylne nogi, niemal zrzucając Mirellę na ziemię, i skoczył w przód, taranując ogiera WeddSa'arda. Zwierzę kwiknęło i spłoszone ruszyło przed siebie. Nie ujechało za daleko, powstrzymane żelazną dłonią swego pana. Saris również nie uciekał zbyt długo: gwardziści natychmiast sięgnęli po kusze i Cień, widząc wymierzone w siebie groty, musiał stanąć.

WeddSa'ard podszedł doń i pieszczotliwym gestem pogładził aksamitną sierść. Tak zapewne czyniła to ona - Anaela. Przeczesał palcami jedwabistą grzywę. Czy to Anaela szcztokowała ją co dzień, że tak lśniła? Cofnął dłoń, zde gustowany własnym zachowaniem. Nie wolno mu było okazywać ciepłych uczuć. On, Sellinaris WeddSa'ard, musiał być twardy, zimny i okrutny.

Zapewne ogier doszedł do tego samego wniosku, bo szarpnął głową i błysnął wściekle szafirowymi oczyma. I ten błysk go zdradził. WeddSa'ard chwycił ogiera za grzywę i przyciągnął jego głowę do siebie.

- No, no - zaczął wolno - Saris we własnej osobie. Mój Cień, jedyny, który zdradził Wybranego, opuścił bezpieczne progi Feri'any, by towarzyszyć naszej małej czarownicy. I co ja mam z tobą zrobić, przyjacielu? Puścić wolno czy może ukarać przykładowo? Tak, żeby twoja nowa pani poczuła, jak to jest stracić Cienia? - Przyłożył sztylet do miejsca, pod którym pulsowała tętnica szyjna, płytkie cięcie splamiło krwią lśniąca sierść.

- *Nigdy cię nie zdradziłem i tego właśnie nie możesz znieść* - odparł Saris. - *Tego, że nie możesz mnie znienawidzić i zabić.*

Mierzyli się długą chwilę spojrzeniem.

- *Zawróć* - w głosie Cienia zabrzmiało błaganie. - *Wiesz, że czekam na Sellinarisa dell'Soll, Brata-W-Mocy.*

WeddSa'ard pokręcił głową.

- Sellinaris dell'Soll umarł w dniu, w którym ty go opuściłeś. Nie ma dlań powrotu.

- *Sellinaris dell'Soll...*

- Dostyc! - uciął.

Ostatni raz pogładził Sarisa po szyi, tak jak robił to tysiące razy w innym życiu. Ostatni raz wsunął palce w miękką niczym jedwab grzywę.

- Wracaj do Anaeli i przekaz jej pozdrowienia ode mnie. Niedługo spotkamy się ponownie.

Patrzył za znikającym w ciemnościach Cieniem. Saris oglądał się raz po raz. *Zawróć* - prosił spojrzeniem.

To byłoby takie proste: jeden krok, drugi, następny, a potem cwał przed siebie, aż po kres świata. I wolność do końca swych dni. I spokojny sen dla tych, którzy za swe zbrodnie winni ponieść karę. Nie, Bracie-W-Mocy, jeżeli na tym świecie nie ma sprawiedliwości, pozostaje prawo do zemsty.

Sellinaris zacisnął szczęki, potarł dłońmi twarz, po czym wrócił do namiotu, gdzie czekała nań półprzytomna z przerażenia Mirella.

WeddSa'ard powoli obchodził dziewczynę jak szykująca się do ataku lwiana. Uważnie badał twarz branki w poszukiwaniu... sposobu. Tak! Sposobu dobrania się przez służącą do jej

pani. Mirella objęła się ramionami, jakby nagle ogarnął ją chłód. Drżała na całym ciele, przypominając małe dziecko przyłapanie na jakimś straszliwym przewinieniu. Bo też popełniła niewybaczalną zbrodnię: zwiódła Władcę Darrakii. Oszukała go!

Przymknął oczy. Jeszcze niedawno w tym samym miejscu stała tamta - Anaela. Dumnie wyprostowana rzucała mu w twarz wyzwanie. Właściwie cała była jednym wielkim wyzwaniem. Teraz miał jej służącą.

Stanął za plecami dziewczyny, objął ją ramionami i wymruczał do ucha:

- Jak mam cię ukarać, moja mała?

Mirella wyrwała się i odskoczyła w róg namiotu.

- Jeśli mnie tkniecie, zabiję się! - krzyknęła.

Uśmiechnął się leniwie.

- Wiedz, dziecko, iż nigdy nie wzięłem kobiety wbrew jej woli. Możesz się więc nie obawiać gwałtu z mojej strony. Co nie znaczy, że w ogóle możesz się nie obawiać gwałtu. - Chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. - Vervain, oto twoja Leddi. - Pchnął dziewczynę tak silnie, że padła na kolana pośrodku namiotu. Przez chwilę klęczała wsparta na rękach, nie śmiąc podnieść oczu, a gdy to uczyniła... Fala mdłości podeszła nieszczęsnej do gardła. Cofnęła się na czworakach, byle dalej od kreatury wpatrującej się w nią bladymi nieruchomymi oczyma. - Masz czas do świtu, Vervain. Potem zajmę się wami obojgiem.

Vervain?! Nie! Tylko nie on!

Przypadła do kolan WeddSa'arda. Bała się go straszliwie, ale przynajmniej nie budził fizycznej odrazy jak to monstrum z roztrzaskaną, a potem posklejaną magią czaszką.

- Błagam - zaskomlała, tuląc się do kolan Czarnego Lorda - nie odsyłajcie mnie, Wasza Wysokość! Błagam.

Ten tylko spojrzął znacząco na Vervaina. Sługa odciągnął Mirellę siłą, a ona zakryła twarz dłońmi, szlochając ze strachu i bezradności.

- Miejże litość, panie! - spróbowała raz jeszcze.

Sellinaris, który właśnie wychodził, zatrzymał się.

- Litość? Czyżbyś nie wiedziała, dziewczko, że Sellinaris WeddSa'ard nie zna tego uczucia? - rzucił przez ramię.

- Weź mnie, panie! - przerwała mu, czepiając się nikłej nadziei. - Będę posłuszna i chętna, tylko nie zostawiaj mnie tutaj!

- Wezwiesz swoją panią? - zapytał.

Zmartwiała.

- Wezwiesz Anaelę?

Wolno pokręciła głową. Tego się właśnie spodziewał. Odepchnął ją od siebie.

- Vervain, jest twoja. Do świtu.

Śniła.

Rozkrzyżowane na ziemi drobne dziewczęce ciało. Nagie, posiniaczone, porane krwistymi pręgami piersi. Brązowe oczy, w których obłądne przerażenie walczy o prymat z nienawiścią. Usta miażdżone przez blade, oślinione wargi. Ręce szarpiące więzy. Obmierzłe cielsko drgające groteskowo, taranujące delikatną pleć. I krzyk. Przeciągły krzyk. A potem straszliwy skowyt umierającej.

Wypadła na korytarz i po chwili łomotała do drzwi kwatery Joysella. Otworzył jej, podtrzymywany przez adiutanta, tak pijany, że nie ustałby na własnych nogach.

- Mirella! - Anaela wyrzuciła z siebie. - Jest u ciebie?

- Pierdol się! - wychrypiał i zatoczył się do tyłu.

- Co z nią zrobiłeś?! - wrzasnęła, tracąc niemal zmysły ze strachu o dziewczynę. - Gdzie ona jest?!

- U WeddSa'arda. A co? Chcesz do nich dołączyć? - Tym razem zatoczył się na nią.

- Co ona robi u WeddSa'arda?!

- Poszła za mnie. Na wymianę.

Anaela zamrugnęła, nic nie rozumiejąc.

- WeddSa'ard pojmał lorda i chciał go wymienić - wyjaśnił Arliss, towarzyszący Leczącej.

- Na Mirellę?!

- Na was, pani. Mirella przebrała się za was i pojechała.

- Prawdę gada, choć to mieszaniec. - Joysell wydał z siebie dźwięk, który mógł być i śmiechem, i szlochem.

- Ty skurwielu! Twoją ukochaną gwałcą, a ty chlasz?! Idę po nią!

Odwróciła się i nie zrobiła nawet kroku. Joysell uderzył mocno i celnie - nagle trzeźwy - w podstawę czaszki.

Arliss chciał rzucić mu się do gardła, ale lord powstrzymał go cichymi słowami:

- Jeżeli dobrze życzysz swojej pani, dzieciaku, osobiście dopilnujesz, by nie opuszczała swej komnaty.

Reikanie, pomóż mi! - Anaela łkała bezgłośnie. Najpierw Iwiana, teraz Mirella. Kochana, dobra, niewinna Mirella. *Saris, pomóż mi! Proszę!*

Nic, żadnej odpowiedzi.

- Arliss, jeżeli przyrzeknę, że nie użyję magii, rozwiążesz mnie? - Spojrzała błagalnie zapuchniętymi od płaczu oczami na zwiniętego przy łóżku chłopaka. - Jeżeli przyrzeknę, że nie opuszczę pokoju. Arliss, miej litość, na bogów!

Wahał się długo. Chęć służenia Anaeli walczyła z chęcią chronienia Leddi przed nią samą.

- Przyrzeknijcie, pani - odparł wreszcie. Zawsze była jeszcze straż stojąca pod drzwiami w takiej sile, by Anaela nie poradziła sobie ze wszystkimi naraz mimo użycia magii.

Mając wolne ręce - i moc - opadła z powrotem na łóżko. Chłopak poruszył się niespokojnie, ale jej równy oddech powoli uciszył jego obawy.

WeddSa'ard kładł się właśnie na twardej, żołnierskiej pryczy, żeby ukraść przed świtem trochę snu.

- *Sellinarisie dell'Soll, usłysz mnie!* - Wezwanie sprawiło, iż oprzytomniał raptownie. Uniósł się na łokciu i spojrzał wyczekująco na majaczącą pośrodku namiotu postać Anaeli.

- Prosiłem, byś mnie tak nie nazywała, pani - przypomniał głosem ociekającym fałszywą uprzejmością. Już miał dodać coś równie zjadliwego, gdy nagle zamilkł. Zapamiętał oczy Leddi jako błyszczące siłą i pogodą ducha. Teraz zgasła je rozpacz.

- Masz moją służącą. Mirella jest mi bliska jak siostra. Uwolnij ją, a w zamian zrobię... zrobię to, co... - Umilkła.

Wstał. Widmo Leczącej było tak blisko i tak realne, że Sellinaris miał ochotę wyciągnąć dłoń, by poczuć ciepło jej ciała.

- Zgoda - rzekł nagle. Postać przed nim zajrzała mu w oczy z niedowierzaniem. - Mniemam, iż jesteś strzeżona i nie możesz przybyć po służkę osobiście. - Przytaknęła. - Ale wiesz coś, co mnie bardzo intryguje. Skąd i po co przybyłaś do Świata Światów?

Postać trwała w milczeniu długą chwilę.

- Sprowadzono mnie tu ze wszechświata. Moim zadaniem jest ciebie zabić.

Słowa zawisły w martwej ciszy. Przerwał ją Sellinaris.

- Dziękuję za szczerość, Leddi. - Ukłonił się teatralnie.

- A Mirella?! Obiecałeś!

- Zawsze dotrzymuję słowa. Twoja służąca jest wolna. - Patrzył, jak oczy Leczącej rozpala nadzieja i radość, i z satysfakcją zgasił jedno i drugie. - Odeślę zwłoki.

Eleuzis dell'Soll stał w oknie Feri'any zapatrzony na pierwsze ślady nadchodzącego świtu. Reikan wszedł bez pukania i nie bawiąc się w uprzejmości, rzekł od progu:

- Ojczy, proszę o pozwolenie na wyjazd. Muszę chronić Pierwszą z Przepowiedni.

- Musisz czy chcesz, Reikanie? - zapytał władca, nie odwracając się.

- Pozostał jej tylko Saris.

- I Saris jej wystarczy. Ty jesteś potrzebny tutaj. Ferrin musi być gotów do obrony, gdy WeddSa'ard, zdobywszy Alderię, wyciągnie po niego rękę. Anaele zaś chroni łaska bogów.

- Nie pozostawię jej ani na łasce bogów, ani niczyjej innej!

- Mówisz jak zakochany sztubak, a nie następca tronu.

- Ja nie bywam zakochany - odparł Reikan z goryczą. - Pragnę tylko...

- Wiem, czego pragniesz, mój synu - Eleuzis uciął stanowczym tonem - mimo to odmawiam.

- Pozostawiliśmy Anaele samą sobie! Ja, tę najważniejszą. Jeżeli nie zgadzasz się, bym udał się do Alderii, sprowadź Leddi do Ferrinu. Tobie Berenika nie odmówi...

- Anaela zostanie w Alderii. - Twardy błysk w oczach władcy zaskoczył księcia.

I nagle Reikan wszystko zrozumiał. Prawda na sekundę odebrała mu oddech.

- Wystawiasz ją WeddSa'ardowi! - wykrzyknął ze zgrozą, gdy odzyskał głos. - Celowo wyzwoliłeś w niej elfią magię, by uwiodła mego brata!

- „Gdy czarne serce z białym się połączy”, tak mówi przepowiednia - odparł Eleuzis i potarł oczy zmęczonym gestem. Nagle wydał się bardzo stary i tak bliski śmierci, jak rzeczywiście był. Reikan nie zważał jednak na to.

- Więc stręczysz Anaele Sellinarisowi?! Podajesz ją na tacy niczym danie główne?! Kto będzie przystawką?! Ja?!

Władca od dawna nie widział swego syna tak wzburzonego. Spojrzał nań uważnie, a potem przeniósł wzrok na stojący nieopodal stół do gry w szachy.

- Anaela jest niczym innym jak pionkiem w Wielkiej Grze. W grze, w której liczy się tylko Ferrin. I którą my mamy szczęście rozgrywać.

- Tylko że ona w przeciwieństwie do ciebie nie zna reguł tej gry - wycodził Reikan. - Nie uprzedziłeś Wybranej, że będą ją ścigać wszystkie ciemne moce Saetina. Że WeddSa'ard nie spocznie, dopóki jej nie dopadnie. Że Berenika będzie jej śmiertelnym wrogiem. Że do ostatecznej rozgrywki stanie sama jedna, nie będzie żadnych Drugich i Trzecich, bo przecież zataiłeś przed Anaela prawdziwą treść Przepowiedni.

- Martwi mnie twój idealizm, książę - odparł chłodno Eleuzis. - Sellinaris nie miałby takich skrupułów.

Reikan pokręcił głową. Nagle ujrzał ojca takiego, jakim musiał być przez te kilkaset lat. Zobaczył przed sobą zimnego, wyrachowanego, cynicznego gracza.

- Może więc jemu oddasz Ferrin?

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Bitwa o najpiękniejszą prowincję Alderii rozpoczęła się o świcie. Pierwsze promienie pierwszego słońca padły na maszerującą w zwartych szeregach darrakijską armię i idące jej naprzeciw połączone siły Ellisii i Saskii. Sojuszników było dwukrotnie mniej niż najeźdźców, ale wtedy nikt się tym jeszcze specjalnie nie przejmował: w drodze były przecież zaciężne regimenty Alderiany zawrócone z południa, gdzie strzegły przez nikogo niezagrożonych tytanianowych kopalni. Obrońcy ruszali w bój z wiarą i nadzieją. Daleko niósł się marszowy krok tysięcy stóp. Wsluchana weń Saskia wstrzymała oddech jak przed skokiem na głęboką wodę.

Na czele wojsk saskijskich, odzianych w purpurę i złoto, jechał lord Andreas Remm: barczysty, postawny mężczyzna o twarzy poranej zmarszczkami. Miast ujmować urody, dodawały one obliczu lorda szlachetności i powagi. Cieszył się doświadczeniem bitewnym i zaufaniem poddanych. Jego ludzie poszliby za nim w ogień saetińskich czeluści.

Wojska Ellisii, których barwami były błękit i biel, prowadził, jak się można było tego spodziewać, lord Joysell Ellis. Mimo przepicia i niewyspania trzymał się prosto. Ruszał w pole z nadzieją na godną śmierć.

Konie powoli nabierały rozpędu. Uderzenia kopyt o ziemię brzmiały niczym uderzenia serca: coraz szybsze, coraz mocniejsze. Zasyczały strzały uwolnione z łuków i kusz. Rozległy się pierwsze krzyki rannych. Zaśpiewały miecze gotowe zakosztować krwi. Złoto-purpurowe i niebiesko-białe szeregi wgrzyły się w czerń.

Samotny jeździec stał na szczycie urwiska. Wiatr szarpał poły czarnego płaszcza, rozwiewał spięte diademem ferrińskich książąt krucze włosy, chłostał smagłą twarz. Jego wzrok nieodparcie przyciągała Saskia, której smukła wieża swą wysokością rzucała wyzwanie samym bogom. To tam, za murami zamku, kryła się istota, której on - Wielki Władca - tak bardzo pożądał i której nie mógł pochwycić. Nie mógł? A może nie chciał? Jak to z tobą jest, Sellinarisie? Cóż ci da pojmanie Anaeli dell'Idarei? Przemocą posiadasz jej ciało i...? Nie! On pragnął, by przyszła doń z własnej woli. By wtuliła się w jego ramiona i szeptała do ucha zakłęcia, jakie zwykle szepczą zakochani.

Sellinarisie, na wszystkie demony Saetina! - co też ci się roi?! Ciebie nie można kochać! Ciebie można tylko nienawidzić! I jeszcze można tobą gardzić. Pluć ci w twarz i nazywać Wielkim Zdrajcą. Jesteś Władcą Duszobójców! Odrzucił cię własny ojciec, odwrócił się od ciebie brat, zamordowałaś ukochaną siostrę i wszystkich, którzy ci zaufali! Ty miałbyś być godzien miłości?! Jej miłości?!

Potarł zmęczonym gestem twarz. Opętała go, to pewne! Ta mała wiedźma rzuciła urok na niego, mistrza czarnej magii! On zaś nie spocznie, dopóki nie dopadnie dell'Idarei, a wtedy... Co wtedy, Sellinarisie?

Zmordowani całodniową potyczką posilali się w milczeniu, gdy przez otwarte okno jadalni wleciał posłaniec i okrążył siedzących przy stole. Oczy wszystkich śledziły jego lot z nadzieją i niepokojem. Jakie wieści przyniósł? Jak długo muszą czekać na posiłki? Jak długo samotnie będą odpierać szturm Darrakijczyków?

- Chyba nie każą nam znów atakować? - mruknął Remm.

Walka w otwartym polu była kolejnym pomysłem Bereniki. Niezbyt udanym i obliczonym chyba tylko na wykrwawienie i tak już nielicznych oddziałów Saskijczyków.

Nietoperz utkany z białej mgły minął lorda Andreasa, zniżył lot nad Joysellem, wczepił się pazurkami w rękaw niebieskiej kurty i zajrzał w twarz jej właściciela niewidzącymi ślepkami, jakby sprawdzał tożsamość. Joysell rozwinął karteluszek i przysunął świecę, by móc odczytać treść. Za pierwszym razem nie zrozumiał. Przeczytał raz jeszcze, po czym zbladł, warknął:

- Kurrwa! - Cisnął wiadomość na stół i wyszedł z sali.

Lord Andreas Remm sięgnął po zwitek, pilnując, by dłoń mu nie zdrząła. Po reakcji Joysella domyślał się treści, chciał się tylko upewnić. Alderiańskie regimenty zatrzymano w stolicy. Lord Ellis, wraz ze swymi wojskami, ma zawrócić bezzwłocznie do Alderiany w celu wzmocnienia jej obrony...

- Zbieraj się. Za godzinę wymarsz.

Anaela przygotowująca ze służącymi salę dla rannych zmarszczyła brwi.

- Jaki wymarsz? Znów będzie bitwa? W nocy?

- Dostałem rozkaz wycofania moich oddziałów. Wracamy do Alderiany.

- Ale przecież niedawno z niej wyjechaliśmy!

- Zmiana planów.

- Dalesz lordowi nadzieję, a teraz, w przededniu oblężenia, zostawisz go z garstką żołnierzy?!

- Taka jest wola Najwyższej - przerwał jej ze złością. - Wyruszamy za godzinę.

- To wyruszajcie. Wiesz, gdzie mam jej rozkazy, szczególnie tak absurdalne jak ten. - Wzruszyła ramionami.

- Będziesz potrzebna w Alderianie - próbował jeszcze perswadować.

- Będę potrzebna tutaj. Nie opuszczę przyjaciół. Nie zostawię rannych.

- Szczególnie jednego z nich, co?! - ryknął. - Łazisz za parszywym Czarnym jak byle dziwka!

- Wolę być dziwką niż parszywym zdrajcą! Najpierw wydałeś Mirellę na pastwę WeddSa'arda, teraz opuszczasz tych, którzy na ciebie liczą. Pieprz się, Joysell! Sam!

Zamachnął się, by trzasnąć ją w twarz, ale w tym momencie Arliss chwycił go za przegub i wykręcił do tyłu. Joysell łokciem grzmotnął chłopaka w podbródek. Odskoczyli od siebie, chwytając za miecze. Zamroczeni nienawiścią czekali na pierwszy ruch przeciwnika.

Anaela wpadła między nich. W jej dłoniach zamigotała czerwień, a po ciele spływały purpurowe błyskawice. Chlasnęła na odlew, aż obydwu odrzuciło na przeciwległe ściany korytarza. Gdy niemrawo, jeszcze ogłuszeni, podnieśli się, zmierzyła wzrokiem jednego, zmierzyła drugiego, po czym rzekła wolno i dobitnie:

- Lordzie Joysellu Ellis, ja tu zostaję.

Rozdział X

SELLINARIS

Bezszelestnie wsunęła się do opustoszałej sali. Przy stole został tylko lord Remm. Siedział nieruchomo, z głową wspartą na rękach, wpatrzony w dno pucharu. Położyła dłoń na jego ramieniu i rzekła cicho:

- Lordzie, nie wszyscy cię opuścili.

Nie odpowiedział. Usiadła więc obok i podsunęła pustą czarękę. Podniósł na Anaelę oczy zgaszone beznadzieją, po czym wypełnił naczynie alderiańskim samogonem. Leddi upiła łyk i zaczęła się krztusić ogniem palącym gardło. Uśmiechnął się mimowolnie. Otarła załzawione oczy i dzielnie wypięła jeszcze trochę.

- Po coś została? - W głosie Andreasa brzmiała złość. I rozpacz. - Trupom niepotrzebna Lecząca.

Anaela wzruszyła ramionami.

- Jesteś najdzielniejszą istotą, jaką dane mi było spotkać.

Ujął jej dłoń, podniósł do ust i ucałował. Wyswobodziła się zażenowana.

- Pozory, lordzie, boję się jak każdy. Tylko nam dwojgu nie wolno tego strachu okazać. Jutro się zacznie? - Głos jej się załamał, ręce zdrząły leciutko.

Przytaknął.

- Pijmy.

Mało nie upuściła czarki, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Joysell, ponury jak kohorty Saetina, usiadł ciężko naprzeciw nich, bez słowa odebrał czarękę Anaeli, nalał sobie do pełna i wypił jednym haustem.

Cisza i czerń spowięły Saskie. Tej nocy nikt nie zmrużył oka w oczekiwaniu na świt. Nie spała także Anaela. Klęcząc przy łóżku, modliła się bezgłośnie. I do swojego Boga, i do bogów Świata Światów. Strach podpełzał do gardła, modlitwa zamierała. Kroki straży na korytarzu uspokajały, że jeszcze ktoś żyje, że jeszcze ktoś będzie walczył.

Drzwi skrzypnęły cicho. Poderwała się, z nadzieją, że to Amre... Mężczyzna zasunął zasuwkę i ruszył ku Anaeli. Ta zamarła w pół kroku.

- Joysell! Co ty tu robisz?!

Dopadł do niej. Zamknął w ramionach. Przywarł głodnymi wargami do jej ust.

- Puść mnie! Oszalałeś?! - Szarpnęła się w tył, ale nie zwolnił uścisku, całując jej twarz, szyję, nagie ramię. Był kompletnie pijany.

- Puszczaj, bo cię sieknę! - zagroziła.

- Niedobrze taką noc, ostatnią, spędzać samotnie - szeptał, szarpiąc się z tasiemką jej koszulki.

Wyswobodziła dłoń, zaczerpnęła odrobinę czerwieni i siekła.

Amre, przewracając się z boku na bok na niewygodnej żołnierskiej pryczy - Alderiańczycy nie rozpieszczali jeńców - uciekał myślą do tych krótkich chwil, gdy trzymał Anaelę w ramionach, wtedy, w Lesie Tysiąca, gdy jeszcze była bezbronną, zagubioną dziewczyną z całą ufnością składającą w jego dłoniach życie. Wtedy gdy jeszcze należała do niego - Amrego. Chociaż... Czy Anaela kiedykolwiek należała do kogokolwiek?

Widywał ją codziennie. Często - zbyt często - zaglądała do strzeżonej sali, gdzie złożeni zostali ranni Darrakijczycy. Z czułym - zbyt czułym - uśmiechem pochylała się nad oficerem, poprawiała poduszkę, delikatnie kładła chłodną dłoń na gojącej się ranie. I nic sobie nie robiła ani ze złych spojrzeń żołnierzy WeddSa'arda, ani z uśmieszków Alderiańczyków.

- Jest moim przyjacielem - ucinała wszelkie komentarze, jakby słowo „przyjaciel” miało tłumaczyć owo zachowanie. W mniemaniu Anaeli zapewne tłumaczyło.

Czasem miał ochotę wykrzyknąć, że nie chce być li tylko przyjacielem! Że rozpaczliwie pragnie czegoś więcej! Że kochają, jak nigdy nikogo nie kochał! Że nie wystarczy mu zdawkowy dotyk chłodnej dłoni! Ale milczał, bo wiedział, że straci i to, co otrzymywał.

Naciągnął na głowę koc, odwrócił się do ściany.

Nie dostanie od losu już nic więcej. Po raz pierwszy odważył się pokochać jakąś istotę - to uczucie było niemile widziane, szczególnie przez jego pana, który szczyił się tym, że sam nigdy nikogo nie kochał - ale nie będzie mu dane cieszyć się wzajemnością. Pewien był, że nie będzie jutra. Że to ostatnia noc ich życia. On stanie przed WeddSa'ardem oskarżony o zdradę i zostanie przykładnie ukarany. A ona... Wolał nie myśleć, co Wielki Mistrz zrobi z Anaela.

I nagle on, Amre Shanon, który w nic nie wierzył, zaczął się modlić. Nie, nie o siebie.

Do sali wsunął się skulony cień i skierował ku owiniętemu kocem aż po czubek głowy oficerowi.

Arliss był bardzo wyrozumiały. Nie przeszkadzało mu, że pani Anaela darzy uczuciem mieszańca, a do tego oficera wrogiej armii. W oczach chłopaka Shanon, ocaliwszy życie Leddi, odkupił obie te przewiny. Lecząca zaś była Leczącą i wiedziała, co czyni. Tak, Arliss ze zrozumieniem zniósłby romantyczną schadznię Leddi i Darrakijczyka w tę ostatnią noc. Właściwie ten cały Shanon to równy gość. Ale jednego Arliss nie mógł znieść: nie mógł patrzeć spokojnie, jak pijany w sztok lord Ellis wtargnął właśnie do sypialni ukochanej Leddi i być może pozostanie tam aż do świtu.

Teraz więc pochylał się nad Shanonem udającym sen.

- Oficerze! - Dotknął ramienia mężczyzny. - Myślę, że pani Anaela cię potrzebuje.

Przemknęli korytarzami Saskii bez większych przygód. Arliss był żelaznym gładem Shanona, bo wszyscy znali „pieska” Leczącej, jak pogardliwie zwano Arlissa, wszyscy wiedzieli również o słabości Leddi do przystojnego oficera wrogiej armii.

Byli u celu, gdy drzwi otwarły się gwałtownie i na korytarz wytoczył się... Joysell. Na widok Amrego jego oczy zwęziły się w wąskie szparki, a twarz wykrzywił grymas wściekłości. Cisnął oficerowi pod nogi miecz i warknął:

- Stawaj!

Amre zmierzył go długim spojrzeniem:

- Nie tu i nie teraz - odparł.

Lord skinął głową.

- O świcie, przy stajniach.

- O świcie.

Anaela klęczała przy łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Całym jej ciałem wstrząsało łkanie.

- Moja pani, skrzywdził cię?! - wykrzyknął ze zgrozą Amre, przypadając do dziewczyny.

- Zabiję! - Poderwał się na równe nogi, gotów roznieść lorda nie przy stajniach o świcie, ale tu i teraz.

Pokręciła głową i wstała, chwytając Amrego za poły munduru.

- Boję się. Tak strasznie się boję. Jutro będzie koniec?

Pragnął zaprzeczyć, ale nie mógł.

- Tak. Myślę, że tak.

Wtuliła się weń niczym samotne, przerażone dziecko.

- Musisz mi coś przyrzec. - Oparła dłonie na piersiach mężczyzny, zaglądając mu w twarz. - Jeszcze tej nocy pozwolisz wyprowadzić się za mury. Przed końcem Alderiańczycy zabiją jeńców. Nie mogę umierać ze strachu i o ciebie. Lord Remm pokazał mi tajemne wyjście, wyprowadzę cię nim.

Kiwnął głową, by tylko uspokoić dziewczynę, ale to Anaeli nie wystarczyło.

- Daj słowo - zażądała.

- Tylko jeśli pójdziesz ze mną. Saskia ma przecież drugą Leczącą. Chodź ze mną, Anaelo! Wojna niedługo się skończy. Zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz bezpieczna. Przeczekaasz. - Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie. Ukrył twarz w jej włosach. - A potem zaszyjemy się gdzieś, gdzie ON nas nie znajdzie.

- Nie mogę. - Pokręciła głową, w jej oczach znów błysnęły łzy. - Nawet gdybym chciała, nie mogę uciec. Muszę zmierzyć się z Sellinarisem. Kaprysem twoich bogów zostałam Pierwszą z ferrińskiej Przepowiedni. Razem z Drugim i Trzecim mam zgładzić WeddSa...

Zatkał jej usta dłonią tak gwałtownie, że aż straciła oddech.

- Ani słowa więcej! - ostrzegł. - Ja nie zdradzę twych słów nikomu, ale... - Jego wzrok padł na medalion z czarnym kodem, który nosił przy sobie, od kiedy otrzymał go z rąk Wielkiego Mistrza.

- *Shanon, ty zdrajco, zapłacisz mi za to* - wysyczał WeddSa'ard..

- Amre... - Dotknęła opuszkami palców jego policzka. Poglądziła ciemne włosy. - Godziny Saskii są policzone. Moje również. Przed końcem Alderiańczycy przyjdą po ciebie. Proszę cię, zaklinam na wszystko, co jest ci drogie, na wszystko, co kochasz.

Ujął twarz dziewczyny w dłonie.

Naprawdę nie wiesz, co jest mi drogie i kogo kocham? - pytały szare oczy.

- Przyrzeknij, że wyjdiesz przed świtem - dokończyła szeptem, patrząc nań wyczekująco.

- Przyrzekam.

Odetchnęła z ulgą, wtulając się w mężczyznę. Jego bliskość dawała poczucie bezpieczeństwa jak wtedy, w Lesie Tysiąca, chociaż w przededniu upadku zamku było to tak bardzo złudne. Objął ją mocno, z całych sił, scałowując łzy z jej policzków, wdychając zapach włosów, pieszcząc delikatnie kark, ramiona, szyję... Nie śmiał sięgnąć po nic więcej, ale ona nie wahała się już. Podniosła nań oczy, dotknęła pytająco palcem jego ust. W

odpowiedzi chwycił mocno i zdecydowanie jej twarz w obie dłonie i zaczął całować gwałtownie, z żarem, bliski utraty zmysłów z rozkoszy i pożądania. Odrywał się na chwilę, by zaczerpnąć oddechu, i powracał, przelewając w ten pocałunek całe swoje oczekiwanie i pragnienie tłumione od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał - wieki temu - na polanie. Jęknęła, gdy do krwi przygryzł jej wargę.

Amre, na bogów, co ty robisz?! Jeszcze chwila i weźmiesz ją gwałtem!

Przywołując całą siłę woli, oderwał się od niej.

- Odejdę, póki potrafię się jeszcze powstrzymać - wydusił, dygocząc na całym ciele.

- Nie chcę, żebyś się powstrzymywał. - Przyciągnęła go z powrotem. - Nie dzisiaj.

Palce wpiły się w kark, zaplątały we włosy. Drugą ręką przycisnął ją do siebie z taką determinacją, że zabrakło jej tchu. Uniósł ukochaną niczym piórko i rzucił na posłanie. Wstrzymując oddech, patrzyła nań, jakby ujrzała go po raz pierwszy w życiu.

Bo też takiego Amrego Shanona widziała po raz pierwszy. Zdarł z siebie bluzę. Wspaniałe ciało uwolnione z okowów materii poruszało się z kocią gracją. Osunął się na nią i niecierpliwie szarpnął jej muślinową koszulkę. W tym momencie Anaela krzyknęła i zeszywniała.

- Musisz wiedzieć - zaszepiała, kryjąc twarz w jego ramieniu - że w piętnaste urodziny przez „braci” z sierocińca zostałam... zostałam... - Nawet po dziesięciu latach to straszne słowo nie chciało jej przejść przez usta. Ale Amre zrozumiał. Zacisnął szczęki w bezsilnej wściekłości i opuścił głowę. Odetchnęła głęboko. Skurcz dławiący gardło minął. - Bądź delikatny.

Tulił ją przez chwilę w milczeniu. Powoli, pod pieszczotą czułych dłoni, otwierała się na mężczyznę. Wreszcie przyłgnęła doń całym ciałem, które zakrzyczało z palącego pożądania. Zakwiliła jak umierający ptak, gdy wsunął gorącą dłoń między jej uda. On wstrzymał oddech, gdy jego męskość znalazła drogę do jej wnętrza.

Jęknęła cicho. Znieruchomiał, bojąc się, że sprawia jej ból, ale przyciągnęła go obiema rękami, ponagłając. Szybciej!

Szybciej! O świcie nadejdzie śmierć, nie mamy czasu! W rozpaczliwej próbie zapomnienia trzymali się kurczowo za ręce, jakby w lęku, że mogą zostać rozdzieleni. Zapadali się coraz głębiej w nieświadomość, przetaczali nad krawędzią świadomości, by wracać do siebie znowu i nawzajem nagradzać. Wreszcie dotarli do jądra rozkoszy, które eksplodowało w jednym wspólnym rozbłysku.

Omdlewając w spazmie obezwładniającej błogości, krzyknęła:

- Kocham cię, Sellinarisie!

- Kocham cię, Sellinarisie!

Dłonie przyciskające do czoła medalion, bliźniaczy z tym, który nosił Amre, opadły bezwładnie.

W następnej chwili WeddSa'ard cisnął Znak w kąt namiotu, wpił palce we włosy i trwał tak, z pochyloną głową, po raz drugi w swym życiu pokonany przez kobietę.

- Kocham cię, Sellinarisie.

Potań oczy, wstał i podszedł do miski. Nabrał pełne dłonie wody i chlusnął sobie w twarz.

- Kocham cię...

- To dobrze, droga Leddi, to bardzo dobrze. - Uniósł głowę, spojrzał w lustro, a w jego oczach pojawił się zły błysk.

Amre wstał i zaczął się ubierać. Jakikolwiek słowa były zbędne. Anaela z twarzą ukrytą w pachnącej miłością pościeli czuła, że za chwilę zrobi coś strasznego. Że zabije jego albo siebie, albo ich oboje. Ale nie uczyniła nic. Słyszała szcęk zapinanych sprzączek, kroki do drzwi, ustępującą pod naporem dłoni klamkę.

- Amre! - krzyknęła. Stał w progu, nie odwracając się. - Przrzekałeś!

Drżąc pod niedającą ciepła purpurową peleryną, wiodła oficera ku podziemiom Saskii. Arliss chciał podążać za nimi, ale odprawiła chłopaka ostro. Nie pragnęła świadków tego, co zaraz uczyni.

Zeszli do lochów i długo kluczyli krętymi korytarzami, oznaczonymi tylko dla tych, którzy wiedzieli, jakich znaków wypatrywać. Furta ukryta była w załomie ściany.

Drżącymi rękami ujęła podarowany przez lorda Andreasa klucz. Zazgrzytał w przedziewiałym zamku. Zwróciła się ku Amremu. Patrzył na Leczącą bez słowa, a w szarych oczach miał taki ból, jakby zadała mu śmiertelną ranę. Usiłowała znaleźć jakieś słowa na pożegnanie, ale Amre pokręcił głową. Sięgnął do kieszonki na piersi, wyjął z niej Amirin i zawiesił Leczącą na szyi. Uniósł do ust bezwładną dłoń.

- Zawsze będę cię kochał. I przeklinał.

Pociągnął do siebie furkę. Zgrzytnęła przeraźliwie. Nie oglądając się, zniknął w przejściu.

Nie zdążyła zamknąć furty. Odkopnięte drzwi odskoczyły. Wypadł z nich zgięty wpół Amre, a zaraz za nim... WeddSa'ard, przykładając ostrze miecza do grdyki oficera.

- Cóż... Saskia właśnie została zdobyta - oznajmił Sellinaris i... uśmiechnął się.

Darrakijscy żołnierze otwierali główną bramę. Rzeka przerwała tamy i Sellinaris nie był im już potrzebny. Z wyrzynaniem w pień wszystkiego, co ucieka, radzili sobie całkiem nieźle. On mógł się zająć swoją małą podłą czarownicą. Wepchnął nieopierającą się Anaełę do pierwszego lepszego pokoju.

Chwilę patrzyła w czarne oczy trzymającego ją w silnym uścisku mężczyzny i nagle rzekła mocnym głosem:

- Proszę mnie puścić!

Badał przez moment jej twarz, ale nie znalazł w niej tego, czego szukał: strachu będącego zapowiedzią uległości. Nie bała się go! J e s z c z e się go nie bała. Zwolnił uścisk.

Wyrwała się gwałtownie, peleryna została mu w rękę, a Lecząca skuliła się odruchowo, usiłując dłońmi osłonić swą nagość. Podszedł do szafy i wyciągnął pierwszą z brzegu suknię - szary uniform służącej. Cisnął suknią w Anaełę.

- Wkładaj. Na egzekucję kochanka winnaś być ubrana nieco przyzwoiciej.

- Proszę się odwrócić! - rzuciła gniewnie.

- Popatrzę... prawem zdobywcy - zakpił.

Anaela zatrzęsała wściekłość. Wyprostowała się. Odrzuciła do tyłu wspaniałe włosy. Miał ją teraz przed sobą w całej okazałości: nagą i zachwycająco piękną. Bliską - dzieliły ich zaledwie dwa kroki - i jednocześnie niedostępną. Wstrzymał mimowolnie oddech i odwrócił wzrok.

Z wystudiowaną gracją wsunęła suknię przez głowę i zapytała uprzejmie:

- Czy Wasza Wysokość będzie tak łaskaw i zasznurowe gorset?

- Ależ oczywiście, moja pani! - Chwyił tasiemki i szarpnął tak silnie, że przyprawił Leczącą o bezdech. Nie wydała jednak z siebie najmniejszego głosu skargi.

- Czy Wasza Wysokość zechce zapiąć guziczki stanika? - zapytała nie mniej uprzejmie niż poprzednio.

Podniósł dłoń, by uczynić to, o co „prosiła”, ale... Powoli opuścił rękę. Prowokowała go! Ta mała wiedźma prowokowała jego, Sellinarisa WeddSa'arda, by stracił samokontrolę i dał się ponieść targającym nim uczuciom! By wpadł w jej nadstawione dłonie, na zawsze poddając się urokowi Leczącej. Zrób to! - zakrzyczała część jego jaźni. Weź ją! Pociągnij na dywan i weź ją nawet gwałtem! Nawet siłą zaczerpnij tej rozkoszy, którą obiecywała ci w snach. Weź ją! I strać raz na zawsze.

Ręka opadła bezwładnie. Musiał użyć całej siły woli, by odwrócić się i podejść do okna. Oparł czoło o chłodną szybę.

Na dziedzińcu toczyła się bezładna walka. Grupy ludzi uganiały się to tam, to tu, i nikt już nie panował nad ogólnym chaosem.

W szybce odbijała się maleńka figurka Leczącej, która - zapinając guziczki - wpatrywała się w sztylet leżący u jej stóp. Pogładził opuszką palca odbicie. A potem rozbił szybkę uderzeniem pięści.

Anaela krzyknęła i chwyciła broń.

- Świetnie! Wbij mi go w plecy! - rzekł, nie odwracając się. - Uwolnisz w końcu świat od przeklętego WeddSa'arda. Nie będę się bronił - dokończył cicho. Czy to możliwe, by w jego głosie usłyszała ból? Zwykły ludzki ból?

Przez chwilę ważyła nóż w dłoni, a jego słowa w umyśle, po czym podała mężczyźnie broń rękojeścią w jego stronę.

- W naszym duecie ty zabijasz, ja leczę.

Wszystko, co się potem stało, zapamiętała jak puszczony w zwolnionym tempie film. Z nią i Sellinarisem w rolach głównych.

On robi krok w jej kierunku, potem drugi. Jest już tak blisko, że nóż jednym końcem opiera się o jego pierś, drugim o jej. Ujmuje dłoń zaciśniętą na rękojeści, odsuwa ostrze i przyciąga Anaelę do siebie, coraz bliżej i bliżej, aż w końcu zamyka dziewczynę w ramionach, trzymając jedną ręką jej złączone za plecami nadgarstki, w razie gdyby próbowała się bronić. Ale ona nie próbuje, bo właśnie nogi uginają się pod nią i gdyby nie jego ramię przyciskające ją tak silnie, że ledwo łapie oddech, byłaby się osunęła na zachęcająco miękkim dywan.

- Kochasz mnie, Anaelo - on szepcze, a jego gorący oddech muska jej szyję, pieści obnażone ramię. Ona kręci głowę, zaciskając powieki. Jego gorące wargi wyciskają na szyi dziewczyny nie mniej gorące pocałunki. Ona siłą powstrzymuje jęk rozkoszy. - Jeszcze nie teraz, jeszcze jesteś zbyt dzika, ale kiedyś będziesz moja i tylko moja.

Odpycha ją lekko i z ciekawością obserwuje, jak dziewczyna łapie oddech, jak opiera się o kolumnkę łóżka, jak rozczarowanie przerwana pieszczotą zamienia się w zdumienie, a potem w furję. Bierze zamach, by uderzyć Sellinarisa w twarz, ale tamten bez wysiłku chwytając ją za nadgarstek.

- Nigdy! Nigdy nie będziesz mnie miał! - krzyczy Anaela i wrywa rękę. Przypada do drzwi i szarpie za klamkę, ale ta ani drgnie. - Wypuść mnie!

- „Nigdy” jest słowem, którego należy używać z umiarem i tylko po zastanowieniu - odpowiada spokojnie, i jeden Saetin wie, ile ten spokój go kosztuje.

- Puść mnie, ty... ty...

- No? - WeddSa'ard uśmiecha się drwiąco. - Jakimi słowy mnie zelzysz?

- Jesteś mordercą, bezdusznym mordercą - syczy jak rozszardzona żmija.

Jego twarz jest nieruchoma, gdy odpiera ten zarzut:

- Mordercą? A ty nigdy nikogo nie zabiłaś?

- Ja?! Jak śmiesz?! - I na wspomnienie głosu Sarisa: „Hatira zginęła przez twoją głupotę. Masz jej krew na rękach” - milknie, ale po chwili znów atakuje: - Jesteś zdrajcą! Podłym zdrajcą!

- A co ty możesz wiedzieć o mojej zdradzie? - W głosie mężczyzny znów pobrzmiwają tamten ból, ale oczy pozostają zimne.

- Moi przyjaciele opowiedzieli mi wystarczająco wiele!

- Twoi przyjaciele? - On uśmiecha się z goryczą. - Twoi przyjaciele byli niegdyś moimi. Zdradzili mnie, zdradzą i ciebie.

- To TY ich zdradziłeś! - krzyczy.

- Znasz tylko ich wersję wydarzeń, nikt nigdy nie zapytał o moją.

- Miałeś uratować Eden przed Duszbójcami, a wróciłeś jako WeddSa'Ard, Władca Szarej Śmierci!

- Nie miałem wyboru - on odpowiada cicho. I tym razem cień sięga czarnych oczu.

- To tłumaczenie tchórza! Zawsze jest jakiś wybór! - Czy to rzeczywiście ona wrzeszczy na Wielkiego Władcę, jakby był byle pachółkiem?!

Ale on nie jest pachółkiem. Chwyta Anaelę za ramiona, zaciska palce tak, by zadać jej ból, taki ból, jaki teraz szarpie jego duszę, i mówi rwącym się głosem:

- Owszem, miałem wybór. I obyś nigdy przed takim nie stanęła.

I odpycha ją od siebie, aż Lecząca wpada na ścianę.

Pierwsze promienie żółtego słońca oświetliły twarze stłoczonych na podwórku ludzi, wydobywając z nich wszystkie miotające tłumem uczucia: nienawiść - o tak! - przede wszystkim nienawiść do tego, który właśnie schodził na dziedziniec w towarzystwie - no czymż innym - TEJ Leddi. Tej, która otworzyła Darrakijczykom bramy uspiętego zaniku. Anaela czuła, jak nienawiść skierowana ku WeddSa'ardowi bierze także ją w swe lepkie ramiona.

Kolejnym uczuciem był strach. Nie będzie litości dla pokonanych! Za porażkę zapłacą krwią. Wszyscy: mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci.

Śmierć szybowała nad Saskią, wypatrując pierwszych ofiar...

Sellinaris szedł między szpalerem ludzi i sycił się tymi emocjami. Bezceremonialnie popychając przed sobą Leczącą, prowadził ją ku centralnemu punktowi podwórza. Tam gdzie czekał na nich blady, ale spokojny lord Remm, otoczony darrakijskimi gwardzistami.

WeddSa'ard nie zaszczycił mężczyzny ni połową spojrzenia - przechodząc obok, od niechcienia machnął mieczem: głowa Andreasa potoczyła się po bruku. Tłum wydał z siebie okrzyk grozy. Anaela rzuciła się do padającego ciała, ale idący za nią Vervain chwycił ją za ramię i, szarpnąwszy w górę, pchnął za swoim panem. Ruszyła, potykając się, jak lunaticzka. Lord Remm! Dumny, szlachetny Andreas Remm! Ścięty ot tak, bez mrugnięcia okiem! Czyż nie zasłużył na godniejszą śmierć?! Powtórnie pchnięta Anaela wpadła na podwyższenie. WeddSa'ard podtrzymał ją z udawaną troskliwością. Stanęli ramię w ramię na drewnianym podeście: on potężny, wyniosły, budzący grozę i zwątpienie, ona drobna, przygięta do ziemi straszliwym bólem, budząca jedynie litość w nielicznych sercach.

- Czas rozpocząć przedstawienie - szepnął.

Nie zareagowała ogłuszona cierpieniem.

- Nie miejcie żalu do naszej Leddi - zaczął, opierając dłoń na ramieniu Anaeli - że stoję tu przed wami nieco wcześniej, niż powinienem. Nasza Leddi nie mogła wiedzieć. Nie mogła wiedzieć - powtórzył ze smutnym uśmiechem - że za furta, którą wypuszcza swego kochanka, zrzędzeniem losu mojego oficera, cóż, miłość nie wybiera, czeka cała darrakijska armia. I ja.

Anaela spuściła głowę. Tłum milczał.

WeddSa'ard uważnie lustrował cizbę ludzką, usiłując wyłuskać z niej tych, których śmierć całkiem złamie wolę Leczącej. Zatrzymał wzrok na czarnowłosym mężczyźnie, którego niebieskie oczy wpatrywały się weń z nienawiścią. WeddSa'ard skinął mu przyjaźnie głową:

- Lordzie Ellis, miło widzieć cię w dobrym zdrowiu. Mam nadzieję, że któraś z tych pięknych pań zdołała cię pocieszyć po śmierci ukochanej. Może nawet sama Leddi dell'Idarei?

Joysell zacisnął pięści i zrobił krok do przodu, ale jeden z Darrakijczyków przyłożył mu sztych do grdyki i pokręcił ostrzegawczo głową.

WeddSa'ard uśmiechnął się złośliwie, po czym zwrócił do Anaeli:

- A teraz powiesz mi, droga Leddi, kim jest Drugi i Trzeci z najnowszej ferrińskiej Przepowiedni. Bo rękę, z której zginę, już znam.

Uniósł bezwładną dłoń dziewczyny do ust. Podniosła nań pociemniałe z gniewu oczy.

- Ja nie zdradzam przyjaciół tak ja ty!

- Czy aby na pewno? Nawet za cenę życia? - indagował. - Stajesz się podobna do mnie, moja śliczna - powiedział cicho, po czym huknął tak, że usłyszeli go wszyscy: - Twój opór spowoduje śmierć wszystkich tu obecnych! Będą umierać jeden po drugim, bez wyjątku, dziecko, kobieta czy mężczyzna. Na koniec zginie... twój kochanek. - Zajrzał ciekawie w pociemniałe z przerażenia oczy Leczącej. Ta utkwiła zrozpaczone spojrzenie w Amrem, który, ledwo trzymając się na nogach, zwisał niemalże między dwoma roslymi gwardzistami. Z głową opuszczoną na piersi, z posiniaczoną od razów twarzą sprawiał wrażenie skazańca, któremu tylko na chwilę odroczone wyrok.

- Wskaż pierwszą ofiarę.

Pokręciła głową, gryząc wargi do krwi.

- Albo ja to zrobię.

Na jego znak Vervain doskoczył do stojącej w pierwszym szeregu Leddi Loysi. Ta wygięła się do tyłu, uchylając przed ostrzem noża przyłożonego do szyi.

- Nie musisz się popisywać. - Głos Anaeli drżał ze złości i strachu. - Wszyscy wiedzą, że jesteś podły i okrutny!

- Popisywać?! - Parsknął śmiechem. - A czym tu się popisywać? - Zeskoczył z podestu, chwycił nadgarstek sługi trzymającego nóż i pchnął. Ostrze weszło gładko w krtań nieszczęsnej.

Ludzie stłoczeni na dziedzińcu zamarli ze zgrozy, a potem rzucili się na uzbrojonych oprawców z gołymi rękami. Pandemonium, jakie wybuchło po zamordowaniu Nietykanej, zostało jednak szybko i sprawnie zduszone przez bezlitosnych żołdaków WeddSa'arda pięścią i mieczem. Po chwili bruk dziedzińca spłynął krwią Alderiańczyków. Wielki lament przetoczył się przez podwórze, odbił od niewzruszonych murów i zamilkł. Śmierć syciła głód świeżymi trupami...

WeddSa'ard obrzucił cizbę pogardliwym spojrzeniem, nie przywiązując wagi do zajścia. Zaprawieni w tłumieniu rebelii żołnierze świetnie radzili sobie z tym drobnym incydentem. On mógł skupić się na swej ulubienicy, którą Vervain cucił uderzeniami w twarz.

Anaela odzyskiwała świadomość z nadzieją, iż to wszystko było koszmarnym snem, ale... Tuż przed nią, w kałuży krwi leżała mała Loysi. Obok tkwił jej oprawca. To nie był sen.

Tłum znów stał cichy i potulny. Można było kontynuować przedstawienie.

- Drugi i Trzeci z ferrińskiej Przepowiedni. Kim oni są? - powtórzył pytanie WeddSa'ard. Anaela milczała.

- Mów, na bogów, bo zaszlachtuje nas wszystkich! - krzyknął ktoś łamiącym się głosem.

- Wskaż następną ofiarę twego uporu, Leddi.

Anaela zbladła jeszcze bardziej, jeżeli w ogóle było to możliwe. W całkowitej ciszy osunęła się przed WeddSa'ardem na kolana i dotknęła czołem ziemi tuż u jego stóp.

- Weź moje życie. Beze mnie Przepowiednia i tak się nie dopełni.

- Nie chcę twego życia - odparł łagodnie.

- Więc weź mnie samą. Pójdę z tobą dobrowolnie i będę ci służyć niczym niewolnica, bez słowa skargi. Weź mnie, a im pozwól odejść.

- Moja droga - wycedził, ująwszy w palce kosmyk jej włosów. Bawił się nim przez chwilę, patrząc w oczy Amremu. Na twarzy oficera nie drgnął żaden mięsień, lecz oczy, teraz tak czarne jak oczy WeddSa'arda, zdradzały, czym jest dlań ta tortura. - Jeszcze nie tak dawno zarzekałaś się, że nigdy, nigdy! nie będziesz moja. A tu oddajesz mi się tak łatwo. Twoje poświęcenie jest godne podziwu. - Każde słowo Wielkiego Mistrza wprost kipiało ironią. - Zasłużyłaś na romantyczny pojedynek o swą cześć. Darrakię reprezentował będzie...
- Teatralnie zawiesił głos. Anaela zacisnęła powieki. - Shanon. A ciebie?

- Ja! - Joysell bez namysłu wystąpił z tłumu.

Żołnierze rozpędzali ludzi, robiąc miejsce pośrodku dziedzińca. Amre, wypchnięty na przód, zrobił chwiejnie kilka kroków i wsparł się na mieczu, bo byłby upadł.

- On jest ranny! - sprzeciwiła się Anaela.

- Już wyrównujemy szanse - pospieszył z odpowiedzią WeddSa'ard i... ciał Joysella w ramię. - Teraz lepiej? - Zmrużył oczy, patrząc z satysfakcją, jak rękaw błękitnej kurty nasiąka krwią. Lord skrzywił się tylko i sięgnął po ciśnięty mu pod nogi miecz.

- Nie będę na to patrzeć! - krzyknęła z rozpaczą.

- Owszem, będziesz. - Sellinaris chwycił ją za ramiona i postawił przed sobą. - Panowie, Leddi będzie tego, który wygra.

Joysell okrążał przeciwnika, mierząc go uważnym spojrzeniem. Nie zwykł atakować na ślepo, a WeddSa'ard na pewno nie wystawił przeciwko niemu byle kogo.

Oficer stał wsparty na wbitym w ziemię mieczu i wyglądał, jakby zaraz miał paść twarzą w piach. Jedną rękę trzymał przyciśniętą do boku - miał najprawdopodobniej złamane żebro, bo oddychał płytko i z wyraźnym bólem, po wierzchu dłoni drugiej spływała cienkim strumyczkiem krew. Mimo to Joysell nie śmiał lekceważyć przeciwnika.

I tak stajemy do walki o świcie - przemknęło lordowi przez myśl, po czym zaatakował.

Shanon wyszarpnął z ziemi miecz i sparował uderzenie. Srebrne ostrze Joysella wgrzyło się w grafitową klingę Czarnego Tytanianu. Sypnęło iskrami. Amre skrzywił się, gdy ostry ból rozorał mu bok. Na chwilę zaparło mu dech w piersi, ale znów musiał się bronić. Lord nie zamierzał go oszczędzać. Cudem uskoczył przed sztychem w pierś. Sparował silne, wprowadzone zza głowy uderzenie. Miecze jęknęły głucho.

Joysell, na początku spięty, po paru minutach zaczął się bawić tą potyczką, pewien jej wyniku.

Anaela przerażonymi oczami patrzyła, jak Trzeci - nadzieja Świata Światów - słabnie i zaczyna popełniać błędy. Joysell atakował raz po raz, Amremu nie pozostało nic innego, jak bronić się coraz rozpaczliwiej. WeddSa'ard spochmurniał, widząc, że jego faworyt przegrywa.

- Rozerwę cię na strzępy - wysyczał Mistrz i w tym momencie Amre padł na kolana pod potężnym uderzeniem. Joysell chwycił miecz oburącz i uniósł do decydującego cięcia.

- Nie! - straszny krzyk przeciął martwą ciszę. Oczy wszystkich zwróciły się na Anaelę. Ręka z mieczem znieruchomiała. - Oszczędź go, błagam!

Joysell wolno opuszcza broń, wpatrzony w Leczącą.

W tym momencie sztylet ciśnięty przez WeddSa'arda wbija się w pierś lorda. Ten odruchowo łapie za rękojeść. Patrzy ze zdziwieniem na plamę krwi rosnącą z każdym uderzeniem serca, po czym wolno osuwa się na kolana i pada u stóp Amrego - swej niedoszłej ofiary.

- Wygrałem - kwituje to WeddSa'ard. - Shanona biczować, aż sześcinnie. Leddi może go trzymać za rękę - mówi i odchodzi niespiesznie.

Anaela stała pośrodku dziedzińca. Dookoła niej żołnierze WeddSa'arda sprawiali Alderiańczykom rzeź, po tym jak ci ponownie rzucili się na zakutych w stal żołnierzy. Czarni nie używali już pięści i płazów mieczy: siekli wszystko, co wpadło pod ostrze, nie bacząc, czy to krzyczące ze strachu dziecko, czy wyjąca z rozpacz kobiety.

Ona zaś, przyczyna tego wszystkiego, mogła tylko stać między dwoma gwardzistami i patrzeć. Dwa kroki od niej klęczał Amre. Jedną ręką wspierając się na lepkiem od krwi bruku, drugą przyciskając do boku. Z pochyloną głową i obnażonym karkiem czekał na cios łaski. I ten widok wyszarpnął Anaelę z szoku. To ostatnie, co mogła zrobić: doskoczyła do Amrego,

otworzyła za nim portal i wepchnęła weń oficera. W następnej sekundzie uderzenie w twarz cisnęło nią o ziemię.

Wstała, otarła krew z rozciętej wargi i... uśmiechnęła się.

WeddSa'ard uderzył ponownie, wierzchem dłoni. Sygnet rozorał policzek Leczącej.

- Dokąd go wysłałaś?!

- Nigdy ci tego nie powiem! - Przyskoczyła doń, zaciskając pięści. W jej oczach płonęło takie samo szaleństwo jak w jego.

- Sprowadź go z powrotem! - ryknął, chwytając ją za ramiona i potrząsając, jakby chciał wydusić z niej resztki tchu.

- Nigdy!!!

Podniósł rękę, by trzasnąć ją raz jeszcze, ale opanował się wysiłkiem woli. Nie będzie wyklócał się z byle dziwką na oczach swoich żołnierzy.

- Jest ktoś, kto nienawidzi cię bardziej niż ja. Wzgardziłaś mną, dostaniesz jego. Jak Mirella.

Vervain brutalnie spętał nadgarstki Leczącej linką z tytanianu, przerzucił sznur przez uchwyt i szarpnął. Jęknęła poderwana za wyciągnięte ramiona. Przez chwilę balansowała na czubkach palców, usiłując złapać równowagę, a przede wszystkim zmniejszyć ból w stawach.

Strach był obezwładniający. Ukryła głowę w cieniu pręgierza, by nikt nie dojrzał paniki rozszerzającej źrenice, zamieniającej twarz w teatralnie wykrzywioną maskę. Bała się nieznanego. Nie wiedziała, jaki ból i jak długo będzie musiała znieść.

To tylko ból - uświadomiła sobie nagle. - Dopóki są zajęci mną, nikt nie zginie.

Nikt więcej nie umrze przez nią. Przez jej głupotę.

Vervain ujął w dłoń medalion, który miała na szyi. Poczowała delikatne pulsowanie magii.

Chroń mnie, Serce Ferrinu! - zakrzyczała w myśli, ale sługa zerwał klejnot i cisnął jej pod nogi jak byle błyskotkę. Potem z uśmiechem odgarnął włosy Leczącej i jednym szarpnięciem rozdarł suknię, obnażając plecy.

Sellinaris stanął dwa kroki przed pręgierzem i utkwił spojrzenie w twarzy Anaeli. Podniosła nań oczy, w których nie było już ani nienawiści, ani strachu.

Vervain uniósł batog. Rzemień świsnął w powietrzu.

Nie była przygotowana na taki ból. Krzyknęła tak głośno, że białe nietoperze na wieży zatrzepotały w klatkach. Ból wycisnął łzy z oczu, smagnął płomieniem całe ciało, skręcił wnętrzości i wyparł dumę. Wsparła czoło o drewniany słup i zacisnęła powieki, widząc, że oprawca podnosi bat do kolejnego uderzenia. Rzemień wgryzł się w skórę na plecach, a

dziewczyna krzyknęła ponownie. Krzyk przeszedł w szloch, suchy, rwący gardło szloch. Vervain znów wziął szeroki zamach. Bat zrosił kroplami krwi słup, piasek i tych, co stali najbliżej. I kolejne uderzenie. Któraś z kobiet zemdląca.

Anaela podniosła nieprzytomne z przerażenia oczy na WeddSa'arda. Ten trwał niewzruszony, ale złośliwy uśmiezek powoli zniknął z jego twarzy. Świst bata. Tym razem Lecząca powstrzymała krzyk, lecz nie była w stanie powstrzymać jęku i łez.

- *Eleuzisie dell'Soll, usłysz mnie!* - natarczywe wołanie cięło eter. Saris krążył po stajni, wzywając Władcę Ferrinu raz po raz. - *Eleuzisie, WeddSa'ard torturuje Anaelę!*

Żadnej odpowiedzi. To niemożliwe! W Ferrinie muszą go słyszeć!

- *Eleuzisie!* - Na bogów, gdzie on się podziewa?! Z całej siły kopnął w drzwi boksu. - *Reikanie!* - Spleciona z tytanianu linka wzięła się w skórę na szyi ogiera. Zrozpaczony i bezradny kopnął ponownie. I jeszcze raz.

Martwą ciszę przerywał świst bata i odgłos kopyt uderzających wściekle w drzwi stajni. Jęk Leczącej zamierał. Anaela odpływała w błogą nieświadomość, gdzie nie było bólu, strachu i WeddSa'arda.

Ocucili ją wiadrem lodowatej wody. Wsparła głowę o chropowate drewno, zwisając na wyciągniętych rękach. Plecy płonęły żywym ogniem. Teraz dołączyła tortura wyrrywanych ze stawów ramion. Podniosła udręczone oczy na WeddSa'arda.

Pokrwawione wargi z trudem układały się w słowa.

Sellinaris chwycił pełną garścią ociekającą wodą włosy Leczącej i odchylił jej głowę. Wpatrywała się weń szeroko otwartymi, mętными, szalonymi oczyma, usiłując wydać z siebie jakiś dźwięk. Chciał rzucić kąśliwą uwagę, ale głos uwiązał mu w gardle.

Długą chwilę tylko nań patrzyła. Wreszcie wyszeptała trzy słowa. Tylko trzy.

- „Bądź wierna. Idź”.

Odepchnął głowę dziewczyny tak brutalnie, aż grzmotnęła o drewniany słup. Mokra włosy zakryły twarz będącą jednym wielkim wyrzutem sumienia. Oto, jaki jesteś, Sellinarisie WeddSa'ard! Oto ty: bezwzględny, okrutny sadysta, bez wahania skazujący na cierpienie i śmierć tę, którą... Tak! Właśnie tak! Zabić ją! Niech odejdzie raz na zawsze i przestanie oskarżać tymi zielonymi ślepiami! Zabić! Wymazać z pamięci i ze... snów.

Vervain podniósł bat, oblizując lubieżnie usta. Och, jak lubił zadawać mękę temu, kto wpadł w jego szpony. Jak lubił smak krwi i zapach potu tych, którzy dostąpili zaszczytu bycia jego ofiarami. Jak lubił słuchać jęków, krzyków i błagań katowanych.

- Dosyć!

Jak to dosyć?! Rekinie oczy Szarej Bestii patrzą z niedowierzaniem w twarz Wielkiego Mistrza. Ależ panie, wiedźma zniesie jeszcze parę batów! A potem się ją ocuci i znów będzie gotowa.

- Powiedziałem: dosyć!

Ręka z batem opada. Na sępiej twarzy sługi maluje się rozczarowanie i... wzgarda dla Sellinarisa, że on - wielki pan, wspaniały i groźny - wykazał się taką słabością. To błąd, Wasza Wysokość! Błąd przerywać teraz przedstawienie! Motłoch musi zakosztować twej twardej ręki! Żelaznej pięści niewzruszonego Władcy Darrakii!

WeddSa'ard jednym skokiem jest przy niepokornym słudze. Jego dłoń już zaciska się na krtani Vervaina, wyduszając zeń resztki powietrza.

- Powiedziałem: dosyć! - powtarza Sellinaris, a wściekłość w jego głosie każe natychmiast dać posłuch tym słowom. Odrzuca sługę jak szmatę unurzaną w ekskrementach. - Dokończymy jutro. - WeddSa'ard zwraca się do Anaeli, ale ta nie reaguje, żeglując gdzieś na granicy świadomości i nieświadomości, więc mówi do Vervaina: - Odstaw to bydło pod Las Tysiąca, driady się nim zajmą. Naszych żołnierzy wyślij do obozu. Nie będą mi pod oknami gwałcili dziewczynkę. W ciągu godziny zamek ma być pusty.

Po ostatnich słowach WeddSa'arda tłum runął do bram. Ludzie, nie dowierzając jeszcze swojemu szczęściu, usiłowali jak najszybciej zbiec z oczu rozsierdzonym żołdakom.

Arliss unoszony przez ciżbę ludzką z trudem przecisnął się pod ścianę. Nie zważając na pokrzykiwania Darrakijczyków pędzących motłoch na zewnątrz, jak cień przemykał pod murami, dążąc w odwrotnym kierunku: ku wieży. Tam gdzie w klatkach magiczni doręczyciele czekali, by zanieść wiadomość.

Czujne oczy obserwowały poczynania chłopaka. Przez twarz przemknął cień aprobaty.

Arliss wpadł do małego pomieszczenia, od podłogi do sufitu zastawionego klatkami. Białe nietoperze zatrzepotały błoniastymi skrzydłami. Niewidzące ślepka skierowały się ku niemu. Ciche popiskiwanie było jedynym dźwiękiem, jaki zakłócał ciszę tego magicznego miejsca.

Drżącą dłonią chłopak wskrobał na karteluszkę kilka słów. Niezdarnie zwinął papier w rulonik i klnąc, począł wpychać go w tulejkę.

Wtem drzwi skrzypaneły cicho. Tulejka wypadła chłopakowi z rąk i potoczyła się po podłodze.

Dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce wyciąga się nagłym gestem. Poblady Arliss schyla się i podnosi zwitek. W całkowitej ciszy kładzie go na owej dłoni.

„WeddSa’ard torturuje Anaeł”, brzmi wiadomość.

Sellinaris po długim wahaniu oddaje kartkę chłopakowi. Ten patrzy z niedowierzaniem w czarne oczy, po czym - nagle pojawiwszy - przywiązuje tulejkę do łapki posłańca i wypuszcza go przez okno.

Sellinaris podaje sztylet. Arliss ujmując pięknie zdobioną rękojeść i - szybko, bez wahania - wbija ostrze prosto w swe serce.

Posłaniec pisnął nagle. Berenika niespiesznie rozwinęła wiadomość.

- Torturuje? No i co z tego?! - prychnęła pogardliwie. - Przynajmniej nauczy tę sukę pokory.

Wzrok władczyni zatrzymał się na białym stworzonku. W jego zaciągniętych bielmem oczach ujrzała wyrzut. Smagnęła posłańca czerwoną błyskawicą, paląc na popiół i jego, i wiadomość, jaką przyniósł.

Noc skąpała martwy zamek w rozchybotanych cieniach. Księżyc, wielki i groźny, zaglądał w okna puste niczym oczodoły trupa.

Duchy zmarłych błąkały się po dziedzińcu, nie mogąc lub nie chcąc znaleźć drogi do Jasności. Przysiadły na żerdziach koniowiązu, myszkowały po opuszczonych pokojach, snuły się po cichych korytarzach. Niektóre podplęły do tkwiącego pośrodku podwyższenia pręgierza i zaglądały przywiązanej doń postaci w twarz, ciekawe niczym małe dzieci.

Mirella, Arliss, Joysell, Hatira...

Anaela uśmiechała się do nich samymi oczyma, bo usta dawno przestały jej słuchać. Duchy przymilnie łasiły się do nóg, plątały suknię, głaskały włosy, dotykały mokrych od łez policzków.

Chodź z nami - szeptały bez słów. - Tu gdzie jesteśmy, nie ma ani strachu, ani cierpienia. Zaopiekujemy się tobą, Leddi. Chodź z nami.

I Anaela szła, nie idąc, po skąpanym we krwi i promieniach księżycy kamiennym bruku.

Ból wyszarpnął ją z przyjaznych objęć. Smagnął po zakrwawionych plecach, liznął opuchniętą od razów twarz, wżarł się w wykręcone ręce. Zakwilila jak uśmiercane szczenię.

Boli. Tak bardzo boli. Przyjaciele, gdzie jesteście, gdy mnie tak boli? Dlaczego tkwię tu sama, otoczona przez duchy i spowita w cierpienie? Przyjaciele, nie zostawiajcie mnie z nim sam na sam, boję się. Boję się tego bólu.

WeddSa'ard rzucał się na łóżku w niespokojnym majaczeniu. Jak co noc śniła mu się Ona. Zwykle nieuchwytna, dziś jednak była blisko, dużo bliżej. Na wyciągnięcie ręki. Dotknął utkanego ze snu ciała. Przygarnął do siebie rozpaczliwym gestem. Nie pozwolę ci zemknąć, moja śliczna, nie tym razem. Zostaniesz ze mną? Zostanę, Sellinarisie.

Miękki dotyk gorących warg, błędzących po ciele w poszukiwaniu źródeł rozkoszy... Delikatne muśnięcia palców budzą uśpione demony, których dawno się wyrzekł: Pożądanie. Miłość. Czulość. Demony biorą go w posiadanie, tak jak Ona go bierze. Przygarnia Sellinarisa jednym ruchem białego ramienia. Zaprasza do uczty. Do smakowania dawno zapomnianych doznań. Błogość. Wnika w nią i są na kilka powolnych uderzeń serca jednością. Ona i on. Falują w rytmie swoich oddechów, doskonale zgrani, jedno niekończące się pasmo rozkoszy. A gdy namiętność osiąga szczyt, Ona unosi się hen, pod rozkołysane niebiosa, a Jej wyznanie spływa na niego niczym błogosławieństwo:

- Kocham cię, Sellinarisie.

Potem opada z jękiem. Przeciąglým jękiem spełnienia i bólu. Bólu?!

Usiadł gwałtownie, zaciskając palce na skotłowanej pościeli. Czoło perlił mu pot, serce waliło, jakby za chwilę miało wyrwać się z piersi i uciec - uciec do niej?

Wyrównał oddech. Poderwał się i wciągnął spodnie. Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł na dół, tam gdzie ona trwała w niekończącej się katordze. Ty głupcze! Skazałeś na cierpienie jedyną istotę, która nie odwróciła się od ciebie jak od zapowietrzonego. Która była gotowa wysłuchać cię i zrozumieć. Jedyną, której umysłu i dobrej woli nie pętały uprzedzenia ciągnące się za tobą niczym śmiertelny całun.

Odciał pęta, osuwającą się pochwycił na ręce. Po raz pierwszy miał ją tak bezbronną, tak uległą... Aura Leczącej zszarzała nagle.

- Anaelo, nie! - Przytulił ją mocno, tak mocno, by usłyszała bicie jego serca.

Otworzyła oczy, piękne oczy zranionej łani, teraz ani zielone, ani złote - lśniące odbitym światłem gwiazd - i uśmiechnęła się doń. Pochylając się nad nią twarz była twarzą...

- Łukasz? - zdziwiła się łagodnie, uśmiechnęła się raz jeszcze, teraz już spokojna i bezpieczna. Oczy zasnęła mgła, powieki zadrżały, ciało Leddi zwiśło bezwładnie w ramionach Sellinarisa.

Ruszył środkiem podwórca w stronę schodów, przyciskając Anaelę do piersi jak bezcenny skarb.

- Gdzie są teraz twoi przyjaciele? - mówił z goryczą, wiedząc, że go nie słyszy. - Dlaczego pozwalają, byś cierpiała? Czujesz smak zdrady tych, których kochałaś? Bo ja czuję do dziś.

Napotkał wzrokiem jej spojrzenie - było całkiem przytomne.

Stał, trzymając Leddi na rękach, naprzeciw czarnego kamienia w Komnacie Przejścia. Już za chwilę otworzy portal do Alderiany i odda swój najcenniejszy skarb w równie okrutne jak jego, a może okrutniejsze ręce Bereniki.

Wahał się.

Tym razem także ma wybór: może zatrzymać Anaelę i tym samym wyrzec się tego, czego pragnął ponad życie i swoje, i jej: Ferrinu. Za słabość do kobiety ponownie zapłaci najwyższą cenę - prawo powrotu do domu. Czy Leddi jest tego warta?

Przez resztę życia musiałby oswajać tę małą dziką wiedźmę, a i tak nie wiadomo, czy kiedykolwiek zapomniaby o nienawiści, czy pozwoliłaby się kochać, czy zaufałaby, mając w pamięci wszystkie krzywdy, które uczynił jej i tym, których kochała.

Jednocześnie gra - JEGO gra - dobiegłaby końca. Berenika i Eleuzis musieliby ją rozegrać już bez udziału karty atutowej: Sellinarisa WeddSa'arda. Wreszcie wolny od narzuconego dwa wieki temu jarzma zszedłby z Szachownicy Życia, unosząc tę skromną nagrodę, którą teraz trzyma w objęciach.

Wybieraj więc, Sellinarisie: Anaela czy Ferrin? Wolność czy władza? Miłość czy zemsta?

Wahał się jeszcze przez moment, po czym otworzył portal i z pełnymi goryczy słowami:

- Już dawno wybrano za mnie - przerzucił Leczącą na drugą stronę.

Błękit zgasł. Nie było odwrotu.

- Ojczy, udaję się natychmiast do Alderii! - Reikan wpadł do sypialni Eleuzisa. - Straciłem kontakt mentalny z Anaela, muszę ją odnaleźć!

Władca Ferrinu wstał.

- Anaela była torturowana.

- Torturowana?! Przez kogo?! - Eleuzis nie musiał odpowiadać. Reikan sam odgadł. - Dlaczego Saris nie wezwał pomocy?!

- Wezwał.

Reikan krążący do tej pory po pokoju zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na ojca pytająco.

- Uznałem, iż Pierwsza musi godnie znieść tę próbę, bo czeka ją ból po stokroć większy.

Książę ze zmrużonymi wściekłością oczyma podszedł do władcy tak blisko, że ten musiał się cofnąć o krok.

- Wiedziałaś, iż jest męczona, i przystałaś na to? Nie wierzę. - Pokręcił głową. - Nie wierzę, że mój ojciec, mój własny ojciec może być tak bezwzględny. Że dla kaprysu skaże tę, która mu zaufała, na niepotrzebne cierpienie.

- Reikanie... - Władca Ferrinu podniósł ręce w pojednawczym geście.

- Dorównujesz okrucieństwem memu bratu.

- Reikanie, zapominasz się! - rzekł z całą surowością Eleuzis.

I nagle... syn, jego syn! - spoliczkował go! „Spoliczkował” to za mało powiedziane: z całej siły trzasnął Wielkiego Władcę w twarz!

- ...i jesteś zdrajcą. Tak jak on - dokończył książę i wyszedł.

Rozdział XI

TARTAR

Gniew Reikana dell'Soll współgrał z gniewem niebios. Do tej pory pogodne, zasnuły się naraz chmurami. Te, skłębione niczym owcze runo, połknęły księżyc i gwiazdy. Nieruchome powietrze raz po raz przecinały błękitno-purpurowe błyskawice. A potem lunął deszcz. Tak gwałtowny, jakby chciał zatopić raz na zawsze ten świat.

Książę szedł korytarzami Feri'any, a po jego ciele spływały niebiesko-czerwone wyładowania niekontrolowanej magii. Bliźniacze do tych, które ze wściekłym rykiem przecinały nieboskłon.

Zatrzymał się dopiero w Komnacie Przejścia. Po drugiej stronie portalu alderiański Klucznik poderwał się i widząc go, zamachał rękami:

- Książę, Najwyższa nie zezwoliła...

Reikan nie słuchał go. Uderzył w mężczyznę potężną energią tak, że mimo dzielącej ich odległości tamtych rzuciło o ścianę. A potem po prostu przekroczył próg dwóch krain. Czarny kamień zwieńczony portykiem pękł z hukiem za jego plecami. Reikan ruszył ku zachodniej wieży, gdzie pozostawiona sama sobie konała Anaela.

Czuł całym swym jestestwem jej cierpienie. Każdą komórką ciała czuł jej ból. I wiedział, że Anaela nie umiera od ran.

Drzwi ustąpiły po jednym machnięciu ręki. Wszedł do środka. Uderzyła go surowość tego pomieszczenia: przypominało więzienną celę, a nie komnaty Leddi. Nawet służącym przysługiwały wygodniejsze kwatery! Zgrzytnął zębami: za to Berenika też odpowie!

U wezłowania poruszyła się drobna istotka. Dziewczynka z ciężkim złotym łańcuchem na piersi. Nim książę zrobił krok w jej kierunku, puściła rękę Anaeli i umknęła pod łóżko. W tym samym momencie o niej zapomniał, pochylając się nad Leczącą.

- Anaelo?

Nie zareagowała. Ze szklistym, niewidzącym spojrzeniem utkwionym w prostokącie okna, za którym szalała burza, sprawiała wrażenie martwej.

Reikan stanął u wezglowia łóżka, ujął głowę kobiety w dłonie i - tak jak ona kiedyś wniknęła w jaźń umierającego Amrego - tak teraz księżę wniknął w jej jaźń.

Szła/szedł w stronę otwartego na zewnątrz okna. Pokój, do którego prowadziło, skąpany był w rozdygotanym mroku. Wnętrze oświetlała tylko jedna świeca stojąca pośrodku przerwane go kregu.

Wracala/wracał do domu.

- Zostań, proszę.

- Nie zatrzymuj mnie. Dałeś słowo, że pozwolisz mi wrócić.

- Nie poddawaj się. Nie teraz. Koniec jest tak blisko.

- Czyj koniec? Kto jeszcze zginie z mojej ręki, byście nasycili się krwią? Czyją śmierć będę musiała znieść, byście uznali, że przeszłam próby? Jaki ból będę musiała jeszcze wycierpieć, byście powiedzieli: „dosyć!”? Dałeś słowo, że wypuścisz mnie na wolność. Dotrzymaj go.

Sylwetka Leczącej znikala w mroku tamtego Świata. Kto \ ją zatrzyma?! Kogo kocha tak mocno, by zrezygnować ze swojej śmierci w zamian za życie tutaj?

Amre!

Szła/szedł dalej. Droga do domu była długa. Saris!

Zawahała/zawahał się.

Jeśli mnie kochasz, Saris, tak jak ja ciebie, pozwolisz mi odejść.

Cień pochyla głowę i godzi się, by pozostać jedynie w serdecznej pamięci umierającej.

Okno wabi. Tam będziesz bezpieczna. Tam nie ma bólu. Jest tylko pustka szarych dni i samotnych nocy.

On ostatkiem woli wyrywa się Mocy silniejszej niż jego własna moc. Ona podąża dalej. Sama. Nikt nie może jej zatrzymać.

Nie. Jest jeszcze ktoś. Przybywa niewzywany.

- Wróć do mnie. - Jego głos zatrzymuje ją w pół kroku. Odwraca się ku niemu.

Sellinaris dell'Soll uśmiecha się łagodnie i czule. Twarzy młodszej o dwieście lat nie oszpeca piętno Duszebójcy. Wyciąga dłoń, jakby chciał oswoić zaszczute przezeń dzikie zwierzę, i szepcze:

- Wróć do mnie.

Ona trwa długo, długo w bezruchu, chociaż tam, gdzie znaleźli się wszyscy troje, ruch nie ma znaczenia. Ogląda się na wrota do swego Świata. Tak wiele obiecują, tak wiele odbierają.

- Wróć do mnie i zaufaj. Ten jeden raz, ostatni.

Oczy Sellinarisa, w których - jak nigdy dotąd - widać jasną, czystą duszę, błagają. Nie, nie o jej powrót...

- Pomóż mi. Ten jeden raz, ostatni.

Okno niknie powoli. Ona odwraca się raz po raz, jeszcze niepewna. Niknie rozdygotany mrok. Wraca chłód. I ból.

Zmasakrowane plecy drgnęły w długo hamowanym szlochu.

Płakała tak strasznie, jakby chciała wypłakać całą przeszłość. Cały ból, cały strach, całą samotność. Jakby chciała opłakać wszystkich tych, których straciła w ciągu jednego dnia. Płakała, a Reikan płakał razem z nią.

Duchy przysiadły dokoła i nie mogąc ronić łez, kiwały się do przodu i do tyłu, nieme z rozpaczy. Głaskały poranione plecy, pocieszały pieszczotą utkanych z mgły dłoni. Mirella, Joysell, Arliss. Hatira skuliła się u wezglowia i lizała swą panią widmowym językiem po rękę zbroczonej zaschniętą krwią.

Rany pod wpływem kojącego dotyku elfich rąk poczęły się zasklepiać. I tylko serce Leczącej miało nie zagoić się już nigdy.

- Dlaczego mnie nie wezwałeś? - szepnął z wyrzutem, przykładając dłoń do opuchniętego policzka Leczącej.

- Bo bałam się, że przyjdiesz - odparła również szeptem.

W milczeniu dokończył leczniczy zabieg. Przykrył Anaelę kołdrą.

- Teraz spróbuj zasnąć. Jesteś bezpieczna.

Jak na ironię, w tym momencie rozległo się łomotanie w drzwi. W następnej chwili gwardziści wpadli do środka. Za nimi wkroczyła sama władczyni. Jej zimny wzrok omiótł skuloną pośrodku łóżka Anaelę, po czym przeniósł się na stojącego obok księcia.

- No taaak... - zaczęła wolno - księżę Reikan dell'Soll, przybywający jak zwykle bez zaproszenia. Siejący zniszczenie i popłoch na mojej ziemi. On i jego nieznośna protegowana: Leddi Anaela dell'Idarei.

Reikan skłonił się sztywno, nie spuszczać wzroku z Bereniki, a szczególnie z jej rąk. Wiedziała o tym i trzymała je swobodnie opuszczone wzdłuż ciała. Mogła się spodziewać, że na najmniejszy gest sugerujący atak odpowie natychmiastowym kontratakiem, którego skutki będą nieprzewidywalne. Wystarczyło rzucić okiem na niebo. I na spływające po ciele księcia błyskawice.

- Opuścisz Alderię po dobroci, Reikanie, czy zmusisz mnie do użycia siły? - zapytała.

- Jeżeli mam opuścić twe gościnne progi, pani, to tylko razem z Anaela - odparł i przesunął się nieznacznie, tak by zasłonić Leddi swoim ciałem.

Berenika pokręciła głową.

- Drogi książę, już raz ci odmówiłam, dlaczego uparłeś się na tę Leczącą? Żądaj każdej innej oprócz mojej ulubienicy.

Twarz Reikana pozostała nieruchoma, mimo że krew mu się wzburzyła na tę jawną kpinę.

- Tak się składa, pani, iż twoja ulubienica jest także moją ulubienicą i nie zamierzam się nią dzielić.

Najwyższa westchnęła teatralnie i rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Cóż, mój panie, nie pozostawiłeś mi wyboru. Brać ich! - warknęła już zupełnie innym tonem.

Gwardziści zrobili niepewny krok ku bezbronnemu, jak się wydawało, elfowi i równie bezbronnej Leczącej. W tym samym momencie w prawej dłoni Reikana pojawił się długi miecz o znaczonych runami klindze, a w lewej błysnął sztylet. Anaela zaś wstała i zaczerpnęła obiema dłońmi czerwonej energii.

- No dalej, tchórze! - krzyknęła zniecierpliwiona władczyni.

Gwardziści unieśli miecze.

- Pani Bereniko! - Cienki głosik kazał wszystkim zwrócić uwagę na dziewczynkę wypelzającą spod łóżka. Cassandra, nie bacząc na wściekłe spojrzenia ciskane przez władczynię, wstała, otrzepała czarną sukienkę i poprawiła łańcuch z godłem Alderii, który zwisał z szyjki chudziutkiej niczym u kurczęcia.

- Co ty tu robisz?! - warknęła Najwyższa. - Miałś nie opuszczać kuchni!

- Pani Bereniko - przerwała jej spokojnie Cassandra - ma pani gościa. Właśnie przekroczył próg portalu.

Eleuzis, na którego twarzy wciąż czerwieniał ślad po uderzeniu, przechodząc obok Władczyni Alderii, położył dłoń na jej ramieniu i uściśnął lekko. Gwardziści pochyłili głowy z szacunkiem. Minął ich i stanął przed swym synem.

- Reikanie, proszę, byś wrócił do Feri'any. Ja zostanę z Leddi dell'Idarei.

Książę obrzucił ojca chmurnym spojrzeniem. Dlaczego mam ci wierzyć? - pytały zielone oczy.

- *Reikanie, synu mój, przyrzekam.* - Te słowa przeznaczone były tylko dla księcia.

Po długim milczeniu Reikan opuścił wreszcie miecz.

- *Trzymam cię za słowo, jeśli jeszcze jest czegoś warte, Eleuzisie dell'Soll.*

Amre długie godziny leżał nieruchomo, wpatrując się niewidzącymi oczyma w alderiańskie niebo. Nie liczył upływającego czasu, nie wiedział, gdzie się znajduje, i prawdę powiedziawszy, nie obchodziło go to. Gdzieś tam ludzie i nieludzie toczyli swe wojny, ktoś umierał, by ktoś mógł się narodzić, a on leżał na wznak, zupełnie zubożniały na sprawy tego świata. Dopiero pierwsze gromy magicznej burzy sprawiły, że skupiony na niemyśleniu mózg nagle postanowił się przebudzić.

Pierwszą przytomną myślą była ta skierowana do ukochanej: Gdzie jesteś? Co się z tobą stało? Co on z tobą zrobił?

Strach o Anaelę zjeżył mu włosy na głowie, zmusił do powstania. Amre wsparł się na dłoniach i trwał tak chwilę, czekając, aż ustąpią zawroty głowy i miną mdłości. Aż siłą woli z powrotem zapanuje nad bólem pokaleczonego ciała i złamanych żeber. Gdy zdecydował się wreszcie unieść głowę, jego wzrok przyciągnęła strzelista wieża, wabiąca swą bielą purpurowe i błękitne błyskawice. Wieża Saskii.

Wstał i ruszył w kierunku zamku.

Dotarł na miejsce następnego dnia. Saskia stała cicha i pusta. Porzucili ją zarówno mieszkańcy - zbyt wiele zbłąkanych dusz włączyło się po korytarzach, by ktokolwiek odważył się wrócić - jak i najeźdźcy.

Tkwiał samotnie pośrodku rozległego dziedzińca i szukał wzrokiem śladów Anaeli - bo z jej i tylko z jej powodu tu przybył.

- *Amre!*

Czy mu się zdawało, czy ktoś go wołał?

- *Amre!*

Wołanie powtórzyło się. Idąc za tajemniczym głosem, wszedł do stajni. Była pusta. Nie! Niezupełnie! W najdalszym boksie na wpół spalonego budynku stał ze zwieszonym łbem ostatni z Cieni. Linka spleciona z rzemieni i tytanianu wpięła się w skórę na szyi, raniąc ją do krwi.

- *Saris.*

Amre zawahał się, bądź co bądź nie przepadali za sobą, po czym wyciągnął dłoń i pogładził ogiera po zmierzwionej sierści. Ten spojrzał nań smutno szafirowymi, na wpół obłąkanymi oczyma.

- *Czekałem na ciebie.*

Amre bez słowa odciął linkę. Cień szarpnął łbem, wyrывая mężczyźnie koniec sznura z ręki, pobiegł ku wyjściu i obejrzał się, ponagłając Amrego wzrokiem.

Wyszli na skąpany w purpurze zachodzących słońce dziedziniec. Saris zatrzymał się przy słupie wbitym pośrodku placu, patrząc na oficera wyczekująco. Amre podszedł, marszcząc brwi, i... błysk klejnotu przyciągnął jego wzrok. Medalion Anaeli zaciążył Amremu w dłoni. Powiódł wzrokiem dookoła, szukając śladów jej obecności. Krople krwi na słupie, przyklejone do drewna kasztanowe pasmo włosów... Pytanie zamarło mu na ustach.

- *Vervain skatował naszą panią niemal na śmierć.*

Pod Amrem ugięły się nogi, aż musiał wesprzeć się o pal.

- Ale żyje?! - krzyknął, biorąc głowę Cienia w dłonie. - Powiedz tylko, że żyje?!

- *Jest w Alderianie.*

- Bezpieczna?

- *Leddi nigdzie nie jest bezpieczna. Potrzebuje twojej ochrony i... twojej miłości.*

Gdybyś wiedział, kogo twoja pani naprawdę kocha - pomyślał z goryczą oficer, zapominając, że Cień potrafi czytać w myślach.

- *Wiem, Amre. I współczują jej serdecznie. Nie jest łatwo kochać kogoś, kto zasługuje li tylko na nienawiść.*

Saris przykleknął. Amre schował bezcenny klejnot do kieszonki na piersi.

„Pamiętaj o mnie”, słowa, które przebrzmiały już dawno, nabrały nowej mocy.

Berenika siedziała przed toaletką, uważnie przyglądając się swej twarzy. Niecierpliwym gestem odpędziła służącą, która szcztokowała długimi posunięciami rzadniejące włosy swej pani. Tak, tak. Kradzione ciało szybko odmawiało posłuszeństwa złodziejce, starzejąc się w nienaturalnym tempie. Konieczne były coraz częstsze wymiany zużytej powłoki na nową, a to zaczynało wzbudzać podejrzenia i plotki.

Najwyższa coraz częściej spoglądała łakomie na Anaelę, smakując w myślach nowo powstały plan. To, że ta głupia dziwka oddała przywilej dziedziczenia jakiemuś dzieciakowi, w planie tym nie miało znaczenia. Dzieci często umierają z nieznanych przyczyn.

Za parę chwil przystąpią obie - ona, Berenika, i otumaniona narkotykiem dell'Idarei - do rytuału transmorfozy, odrażającego spektaklu, którego nauczono Berenikę w samej Wieży Bogów. Podczas niego Najwyższa przeleje swoją jaźń do ciała wybranki, spychając umysł i wolę dell'Idarei na samo dno jej jestestwa, tam skąd nie ma powrotu. Skąd znenawidzona Leddi będzie mogła bezsilnie patrzeć, co stara dobra Berenika Pierwsza - ta sama od wieków mimo zmieniających się powłok - czyni za pośrednictwem jej ciała. Oto zemsta godna Najwyższej Kapłanki!

Wklepała w obwisłe policzki nieco różu, na poznaczone zmarszczkami usta nałożyła barwiczkę, pociągnęła oczy czarną kredką. Pstryknęła nad głową palcami. Magiczny pył osypał się na nią, ujmując lat, dodając urody. Teraz należało tylko kontrolować iluzję. Czy zdoła utrzymać czar i olśnić - nie, nie zebranych na Wielkiej Radzie - lecz... jego?

Spojrzała przelotnie na klepsydrę. To już. Za moment przybędzie ten, którego pragnęła ponad wszystko w życiu i którego nigdy nie miała osiąść do końca.

Tajemny portal ukryty w alkwie Bereniki rozbłysnął błękitem. Po jego drugiej stronie stał z dawna oczekiwany. Władczyni skinęła zachęcająco ręką. Mężczyźnie nie trzeba było dwa razy powtarzać: zrobił krok i już był w samym sercu Alderii.

Nareszcie! Nareszcie miała go u siebie! Przybył na wezwanie, by na jej warunkach dokończyć Wielką Grę!

Przypadła doń, zarzucając mu ręce na szyję. Przyłgnąwszy całym, skąpo odzianym ciałem do ciała kochanka, niecierpliwymi dłońmi poczęła szarpać tasiemki czarnej kurty. Nie oponował, stojąc bez ruchu pośrodku pokoju. Patrzył na Ignącą do niego kobietę z bezgraniczną pogardą w czarnych, złych oczach. Ona zdawała się tego nie zauważać ogarnięta odbierającym zmysły pożądaniem. Dopiero gdy wsunął palce w jej włosy i zacisnął dłonie, mówiąc:

- Do rzeczy! - Oprzytomniała. Oblizła wargi i skinęła głową.

- Gdy skończymy dzisiejsze... hm... negocjacje, dell'Idarei zostanie Najwyższą Kapłanką. Nie protestuj! - Uniosła dłoń, mimo że ani jeden mięsień na twarzy mężczyzny nawet nie drgnął. - To dla dobra gry. Gdy już będę w jej zdrowym, młodym ciele, razem, ramię przy ramieniu, zawładniemy resztą Świata Światów. - Dreszcz rozkoszy wstrząsnął Berenika. Nie mogąc dłużej czekać, sięgnęła do sprzączek jego kurty. - Wejdziemy do Sali Rady, gdy wszyscy się zbiorą- ciągnęła, mocując się z pasem, do którego przytroczony był miecz. - Przedstawię cię, to znaczy ona cię przedstawi, dell'Idarei, Berenika Szósta, jako księcia małżonka, od tej chwili prawowitego władcę Alderii. - Szarpnęła za koszulę i zerwała z jego śniadych ramion czarną materię. Przyłgnęła ustami do sprężystej skóry pachnącej lasem, ziołami i... NIM. Nie mogła się powstrzymać, by nie ukąsić boleśnie skóry na szyi. Nawet nie drgnął. Tylko czarne oczy zwięzły się w szparki. - Wtedy ty zajmiesz się tym, po którego tu przybyłeś. Ona zaś, czyli ja, pozbędzie się reszty buntowników. - Sunęła ustami w dół brzucha mężczyzny, mruczając rozkosznie. Sięgnęła do guzików spodni. Nie powstrzymał jej, stojąc wyprostowany i obojętny. - Ambasadorowie będą zbyt zaskoczeni i przerażeni, by

stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. - Napotkała dłonią jego męskość i uchwyciła ją z jękiem. Tym razem złapał Berenikę za nadgarstek i ścisnął.

- Najpierw omówimy resztę warunków. - Zmusił ją, by uklękła. - Kontynuuj... matko.

Eleuzis, który do tej pory przemierzał komnatkę Anaeli miarowymi krokami, nad czymś głęboko zamyślony, zatrzymał się nagle, jakby podjął decyzję.

- Pragnę prosić cię o rękę - rzekł.

Anaela podniosła na Eleuzisa zaskoczony wzrok.

- Chcecie się ze mną ożenić, Wasza Wysokość? - zapytała ostrożnie.

- Nie dla mnie, dla mego syna - sprostował.

Mimowolnie odetchnęła.

- To jedyny sposób, by zmusić Berenikę do zdjęcia uwarunkowania. Nie ośmieli się więzić książęcej małżonki. - Uniosła tylko brwi. - Nie dziwię się twemu zaskoczeniu, Anaelo. Nie zdarzyło się w całej historii Ferrinu, by na tronie zasiadła ludzka kobieta. Ty będziesz pierwsza. To niewyobrażalny zaszczyt - dodał urażony jej brakiem entuzjazmu. - Berenika nie odmówi mej prośbie i będziesz wolna. Wreszcie zobaczysz Ferrin, Anaelo, Ferrin!

- A jeżeli... chcę pozostać niezamężna?

- Nie wolno przedkładać własnych chęci ponad dobro Ferrinu - odparł stanowczo.

To prawda - przytaknęła Eleuzisowi w duszy, mimo że nie była zachwycona... beztroską?... bezwzględnością?... z jaką Władca Świata Elfów dysponuje jej skromną osobą.

- Co na to Reikan? - zapytała, by odwlec moment udzielenia odpowiedzi.

- Anaelo... Droga Anaelo... - Eleuzis uśmiechnął się z politowaniem. - Nie po to wyzwoliłem w tobie magię miłości, byśmy teraz mieli pytać o zdanie mego syna. Jest przecież mężczyzną, wystarczy, że wyciągniesz po niego swą smukłą białą dłoń, a...

Anaelę zamurowało.

- Miałabym uwieść Reikana za pomocą magii?! To... to podłe!

- Jeśli miałoby ci to spędzać sen z powiek, zapytam o zgodę także Reikana. Znam jednak odpowiedź. - Ruszył ku drzwiom.

I nagle Anaelę olśniło. I aż zadygotała z oburzenia.

- Od początku taki miałeś plan: połączyć Pierwszą z Drugim. Co, Eleuzisie? Od początku przeznaczyłeś mnie Reikanowi!

Już stał w progu komnaty, gdy ostatnie słowa Anaeli kazały mu się odwrócić.

- Mylisz się, moja droga. - Łagodne do tej pory oczy Eleuzisa błysnęły jadowitą zielenią.

- Nie jemu.

- Nie mów tak do mnie! - warknęła Berenika.

- Przecież jesteś moją matką. - WeddSa'ard uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

- To ciało ciebie nie rodziło! - zauważyła wzburzona.

- Och, ciało, to czy tamto, grunt, że wkład pozostał ten sam. Podstępny, okrutny i podły wkład z Najwyższej Duszebójczyni - zniżył głos do jadowitego szeptu.

Rzuciła się nań z pięściami. Chwycił ją za nadgarstki i roześmiał się okrutnie. To, wbrew oczekiwaniom, tylko roznieciło jej żądze.

- Och, taaak - jęknęła przeciągle. - Weź mnie siłą, Sellinarisie!

Przylgnęła doń, drząc z pożądania. Rozorała mu paznokciami skórę na plecach. Wgryzła się w szyję. Szarpnęła za włosy. Wpiła w usta. Gdy nie zareagował, osunęła się na kolana i ponownie sięgnęła po jego męskość. Powstrzymał odruch obrzydzenia.

- A jak już Eleuzis... i wszyscy nasi wrogowie... będą martwi - zaczęła, całując go co słowo - razem sięgniemy... po Ferrin.

- Wiesz co? - mruknął, wsuwając dłonie w jej siwe rzadkie włosy. Podniosła nań z ogromniastą od chorego podniecenia oczy. - Nie układam się ze zdrajcami - dokończył, po czym jednym ruchem skrzył Berenice kark.

Martwą ciszę przerwało pukanie do drzwi.

- Otwarte - odkrzyknął, wiedząc, kto stoi po tamtej stronie. Eleuzis i Anaela weszli i... zamarli w progu.

Władca Ferrinu na widok martwej Bereniki nie rzekł słowa. Leddi zatkała usta dłonią i przeniósłszy spojrzenie ze zwłok na WeddSa'arda, cofnęła się o krok. Ten zmrużył oczy, na których dnie płonął czarny ogień. Nie patrzył jednak na Leczącą: jego źrenice rozszerzone chorą nienawiścią wbite były we Władcę Ferrinu.

- Czyja teraz kolej? - Głos Eleuzisa brzmiał spokojnie, ale na dnie ciemnozielonych oczu płonął taki sam płomień jak w oczach WeddSa'arda. - Kogo zamordujesz, bestio, w następnej kolejności? Mnie? Leddi? Po ilu trupach zstąpisz do czeluści Saetina?

Sellinaris przez chwilę smakował słowa Eleuzisa, po czym ułożył usta w wymuszony uśmiech.

- Eleuzisie dell'Soll, ojczy drogi - zaczął miękko, niemal pieszczotliwie - to ty powinienesz mi powiedzieć, ile trupów dzieli mnie od wygodnego łóża w Saetińskich kazamatach. Zjawisz się tam przede mną.

- Jak śmiesz?! - Elf zrobił krok do przodu, ale Sellinaris cmoknęła i pokręciła ostrzegawczo głową, po czym uniósł dłoń, do której wnętrza już zaczęła napływać czarna energia. Eleuzis zawahał się, podniósł ręce i cofnął się o krok.

- Synu, wzywać Zakazaną Moc jest wysoce nierozsądne, porozmawiajmy... - zaczął, ale WeddSa'ard ponownie przerwał mu cmoknięciem.

Anaeli patrzącej to na jednego, to na drugiego wydało się, że Władca Ferrinu zmalował nagle. Oczy zgasty i zapadły się w pobladłej twarzy, plecy przygarbił багаż setek lat samotnych zmagania z Losem.

- Czekałem dwieście lat, by spotkać się z tobą twarzą w twarz. - WeddSa'ard zapatrzył się na połyskującą w jego dłoni kulę złej energii. - Dwieście lat czekałem, byś mnie wysłuchał...

- Jestem gotów cię wysłuchać - zaczął Eleuzis, ale tamten mu przerwał.

- Za późno. Dziś stanę się tym, czym mnie uczyniłeś - powiedział i... uderzył.

Eleuzis może zdążyłby rzucić kontrzakęcie, może zdążyłby odbić błyskawicę splecioną z czystej nienawiści. Zdążyłby, gdyby między niego a WeddSa'arda nie skoczyła... Anaela.

Huk walących się ścian wstrząsnął Alderianą. Czerń w oka mgnieniu załapała Eleuzisa i Leczącą, zawirowała wokół nich jak oszalały tajfun, po czym uniosła oboje niczym dwie marionetki i cisnęła w nicość.

*

Połamane paznokcie wbiły się w ziemię. Jęknęła i uniosła głowę, krztusząc się pyłem, który zdławił gardło. Wzrok powoli przyzwyczajał się do panujących wokół ciemności. Tuż obok niej leżał zgięty wpół Eleuzis. Był nieprzytomny, ale złota gwiazdka - Znak Władców - rozjaśniała mrok.

Anaela podpełzła doń.

- Eleuzisie - szepnęła łamiącym się głosem. - Eleuzisie, nie umieraj.

Czuła się jak ślepiec w wiecznych mrokach nieznanego kontynentu. Odarta nagłym ciosem Złej Mocy z magii, pozbawiona leczniczych zdolności mogła patrzeć bezsilnie, jak jedyna żywa istota, Władca Elfów, odchodzi powoli. Jak ciemność i chłód tej krainy wysysają resztki jego żywotnej siły. Ułożyła głowę elfa na kolanach i siedziała tak długie minuty, a może godziny - czas zatracił tu swe znaczenie i swoją moc - kołysząc się w przód i w tył tak jak Duszobójcy, którzy nadciągali w ciszy, bardziej nieuchronni niż śmierć.

Eleuzis ocknął się nagle. Przez chwilę rozglądał się półprzytomnie, usiłując poskładać w całość ostatnie sekundy przed utratą świadomości, i nagle wiedział wszystko.

Na wspomnienie Sellinarisa i martwej Bereniki zacisnął szczęki.

Byli oboje tak blisko celu... Dlaczego ta wiedźma spotkała się z WeddSa'ardem sam na sam?! Dlaczego nie wezwała jego - Eleuzisa? Gdzie był, na bogów, Raskār?!

A teraz on umiera w Tartarze. On, Wielki Władca Ferrinu, szczególnie w Międzywymiarze, w Świecie Bez Powrotu. Zacisnął powieki, by klęcząca obok Leddi nie dojrzała zimnej furii, jaka targała duszą Eleuzisa. Lecząca... Leddi Anaela dell'Idarei... Miała tutaj trafić, owszem, ale nie w towarzystwie Eleuzisa, lecz WeddSa'arda! To oni mieli być zesłani do Tartaru! To Sellinaris miał oddać Anaeli przywilej władzy, dobrowolnie lub pod przymusem. Po to przecież Eleuzis wyzwolił w Leczącej magię elfów, by zmusiła WeddSa'arda do uległości.

Wszystkie plany wzięły w łeb. Przez tę przekłętą po tysiącokroć smoczowłosą dziwkę! - Eleuzis zacisnął szczęki, by nie wybuchnąć stekiem wyzwisk. Po raz pierwszy w swym długim życiu nie panował nad sobą. Przez tę kurwę WeddSa'ard pozostanie na wolności, miast gnść resztę swego życia w ciemnościach i pustce Tartaru, bo on, Eleuzis, nie zwiąże już zaklęcia. Berenika nie żyje. Człowiek-Smok zdradził. Przywilej władzy nad Ferrinem przypadnie najstarszemu, chyba że... Uśmiechnął się w duchu. Może jego życie dobiega kresu, ale gra, Wielka Gra, nie skończyła się jeszcze, a kartę atutową, małą złotą gwiazdkę, ma w swoich rękach. Pierwszą z Przepowiedni również. Taak, jeszcze potrafi popsuć szyki pozostałym graczom, jeszcze zdąży się zemścić.

Jaka szkoda, że nie ujrzy miny swego pierworodnego, gdy ten następnym razem spotka dell'Idarei. Cóż za strata, że nie zobaczy wściekłości na twarzy WeddSa'arda, gdy ten się dowie, iż upragniony Ferrin dostał się tej nędznej uzurpatorce.

Cóż, Wielki Władco Świata Światów, czas zacząć ostatnie przedstawienie...

Eleuzis przeniósł spojrzenie z majaczących w oddali ruin wieży na Anaelę i widząc twarz Leczącej, mokrą od łez, uśmiechnął się łagodnie.

- Nie rozpaczaj, moja droga. Legenda o Anaeli dell'Idarei, jakkolwiek wydaje ci się to nieprawdopodobne, kończy się dobrze.

- Eleuzisie, ty majaczysz? - Dotknęła jego czoła. - Oprzytomniej, musimy poszukać pomocy!

- Pomocy? Tutaj? Moje dziecko, to Tartar, tu rządzą Duszobójcy.

- Tartar - zdobyła się jedynie na szept. Przez plecy przebiegł dreszcz zgrozy. - Oni tu są? Musimy uciekać! - Poderwała się na równe nogi i pociągnęła go w górę. - Znajdą nas i...

- Anaelo, posłuchaj mnie uważnie. - Zmusił ją, by ukłękła z powrotem. - Na północy, za tamtymi wzgórzami, widzisz je? Tam znajdują się ruiny Serca Edenu, w nich zaś Czarny Portal, którym powrócisz do Świata Światów.

- Powrócimy - poprawiła go.

- Powrócisz. Moje życie dobiega końca, Anaelo. - Powstrzymał jej protesty władcym gestem dłoni. - Uklęknij.

Gdy uczyniła to, co kazał, dotknął kciukiem czoła dziewczyny i rzekł:

- Mocą nadanego mi przywileju mianuję cię Władczynią Ferrinu.

Złota gwiazdka zdobiąca jego czoło znikła. Anaela, nie zwróciwszy na to uwagi, ściągnęła brwi zaniepokojona. Najwyraźniej Eleuzis postradał zmysły. Chwyliła go pod pachy i uniosła do pozycji siedzącej.

- Przywileje przywilejami, władza władzą, a w Ferrinie już na ciebie czekają, mój panie - odezwała się łagodnie jak do chorego dziecka. - Wstawaj i ruszamy na północ - dodała głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Uczynił, co kazała, pilnując, by nie dojrzała na jego twarzy cienia triumfu. Wsparł się na ramieniu Leczącej i pozwolił się prowadzić tam, dokąd go wiodła.

Od ruin stolicy dzieliły ich najwyżej dwa kilometry, gdy Eleuzis osunął się na ziemię i nie mógł już wstać. Anaela na przemian błagała go i przeklinała, mimo to Wielki Władca nie podniósł się więcej.

- To już niedaleko - wychrypiała, mając gardło spalone pragnieniem. - Już widać. Serce Edenu. Proszę, Eleuzisie.

Jak wiele razy wcześniej, usiłowała ująć go pod pachy i podnieść, ale wątłe siły, uszczuplone jeszcze niekończącą się mordegą nie miała pojęcia, ile czasu minęło od momentu ich zesłania - nie pozwoliły na to.

Odepchnął ją po raz nie wiadomo który.

- Idź.

- Nie zostawię cię tutaj! - sprzeciwiła się, a z oczu popłynęły łzy. Otarła je gwałtownym ruchem i siłą powstrzymała się, by nie spić z dłoni tych paru słonych kropelek, dając spieczonemu językowi choć ułudę wilgoci. Usiadła ciężko obok Eleuzisa i ukryła twarz w dłoniach. Wychudłymi plecami wstrząsnął szloch.

- Nie mam już siły - poskarżyła się jak mała dziewczynka. - Jeżeli ty się poddasz, ja też nie zrobię ani kroku więcej.

- Anaelo, moje życie nie ma już znaczenia, to ty jesteś nadzieją Świata Światów - przypomniał, ale pokręciła tylko głową. - Pamiętasz? „Bądź wierna. Idź”. - Zaciśnięła szczuple palce na ramieniu dziewczyny. Potaknęła niechętnie. - Więc wstań i ruszaj w dalszą drogę. To tak niedaleko. - Wstała posłusznie. - Sprowadź pomoc. Będę czekał.

- Przyniesiesz?

- Przrzekam - odparł zmęczonym głosem. - Czy ty również mi coś przrzekniesz?
- Co tylko zechcesz.
- Poślubisz Reikana.

Pragnęła zdobyć się na ostatni protest. Czy on nie rozumiał?! Czy ten wszechmądry i wszechwiedzący Wielki Władca nie wiedział, kto zawładnął sercem i myślą Anaeli? Owszem, kochała księcia dell'Soll, ale nie tego!!!

- Anaelo. Proszę. To moje ostatnie życzenie. Nie odmawia się umierającemu.
- Jeśli Reikan mnie zechce... - odparła cicho po długiej, długiej chwili.

- Dziękuję. - Eleuzis z westchnieniem ulgi opadł na pokrytą szarym pyłem ziemię. - A teraz idź już i pamiętaj: liczy się tylko Ferrin. - To słowo podziałało na Anaelę jak zimny prysznic.

- Ferrin to ty! - krzyknęła. - Oddajesz mi we władanie świat, podczas gdy ja nie potrafię władać własnym życiem! - Chciał powstrzymać potok słów, którego wysłuchiwał niejednokrotnie podczas tej wędrówki, ale tym razem nie pozwoliła sobie przerwać. - Weź z powrotem Przywilej, wróć do Ferrinu i oddaj go Reikanowi. Twój syn jest bardziej tego godzien!

- Anaelo, nigdy nie byłem pewniejszy swego wyboru, niż jestem teraz - odparł cicho, choć w duchu aż gotował się z wściekłości. Dell'Idarei mogła zawieść w decydującej chwili. W godzinie próby mogła nie sprostać zadaniu i wtedy Ferrin przypadnie Sellinarisowi albo, co gorsza, Reikanowi, który nie zasługiwał na władanie nawet najmarniejszą prowincją. Pohamowując gniew, Eleuzis uśmiechnął się smutno i łagodnie. - Pospiesz się, moje dziecko, nadchodzą.

Powiodła zmęczonym wzrokiem po otaczających ich łąkach, którymi nadciągały szare postaci Duszobójców. Kołysząc się z boku na bok, płynęły niczym rozchybotane statki widma przez ocean mroku i beznadziei. Ciągnęły za jeszcze żywą, ale już właściwie ofiarą. Nieodłączne, pewne niczym koniec świata. Ohydne. Bezduszne. Straszne.

Tułuby w szpitalnych piżamach kołyszące się w przód i w tył, w przód i w tył. Poruszające bezdźwięcznie ustami. Wpatrzone w obrazy istniejące tylko w ich chorych umysłach. Żywe i martwe zarazem. Przeróżające w swym obłędzie.

Wspomnienie wstrząsnęło nią. Zwróciła się ku niosącym nadzieję ruinom Sercu Edenu. Po czym przeniosła spojrzenie na umierającego elfa.

- Wróć po ciebie.

Nie zważając na chylące się ku niej drapieżne sylwetki, ostatkiem sił pełzła ku portalowi. Duszobójcy postępowali za Anaela krok w krok, jednakże blask małej złotej gwiazdki nie pozwalał na pochwycenie ofiary. Czyżby miała umknąć bezkarnie?

Podniosła oczy na bramę do Raju i wzdrygnęła się. Portal porażał chłodem nieuniknionego. Nie bez przyczyny nosił miano Portalu Śmierci. Czerń kamienia, w którym był wykuty, odpychała. Ostrzegła: Za mną jest tylko zimno i mrok, strzeż się! Za mną czeka Prządka z nożycami chwytającymi łąpczywie wątlą nic twego losu, strzeż się! Za mną nie ma NIC.

Co też roi twój umęczony umysł? Anaelo, uciekaj stąd, nawet w czeluści Saetina. Nic nie może być gorsze od Świata Bez Nadziei. Świata Szarej Śmierci. Świata przerażających w swej powtarzalności jednakowych dni i nocy.

Stała, usiłując w ostatniej minucie swego pobytu tutaj trzymać się prosto. Tak, Sellinarisie WeddSa'ardzie, nie złamałeś mnie! Wprawdzie przybyłam tu - z twojej ręki - na kolanach, ale odejdę wyprostowana.

Wyszeptała zaklęcie, którego Eleuzis uczył ją po drodze. Przyłożyła dłoń do czarnego kamienia i... Nic! Kompletnie nic się nie stało! Portal był zamknięty.

Przecież znam inwokację, mam tę cholerną złotą gwiazdkę! Chcę stąd wyjść! Czyżby mieli pozostać tu oboje: i ona, i Eleuzis? A co się stanie z Ferrinem?! Zdobędzie go WeddSa'ard? Pieprzyć Ferrin i WeddSa'arda, ja chcę stąd wyjść!!!

Czuła, że zaraz oszaleje, że zacznie drapać niewzruszone kamienie Portalu Śmierci, błagając Primeę, zaklinając Saetina, by ją wypuścili z tego straszego miejsca.

Duszobójcy przyglądali się Anaeli z ukontentowaniem w bezdennych oczach. A jednak pożywią się i nią - Władczynią Ferrinu. Choćby nawet dostępu do jej duszy bronił Znak, ciało pozostawało bezbronne. Gdy rozum odmówi posłuszeństwa, ono samo odda się we władanie Szarej Śmierci. Spiją powoli, kropla po kropli, młodą duszę. Wchłoną bezzębnymi ustami uległą wolę, a gdy już...

- Precz, bestie! - wycharczała z obłędem w oczach. - Chcecie krwi, to ją...

Zaraz, zaraz! A może...? Schyliła się po kawałek odłupanej cegły, pociągnęła ostrą krawędzią po przedramieniu i zrosiła czarny kamień kroplami życiodajnego płynu. Powtórzyła zaklęcie i... Portal ożył. Purpurowe krople zlały się w jedną, a ta rosła i rosła, aż wypełniła pulsującą, falującą czerwienią całą - antracytową dotychczas - przestrzeń. Ze szlochom ulgi rwącym gardło Anaela rzuciła się naprzód.

Duszobójcy, poczuwszy świeżą krew, niczym stado rekinów rzucili się ku ofierze. Chwycili za suknię, chwycili za nogi, uniemożliwiając ucieczkę. Anaela szarpnęła się do przodu i wyciągnęła w ostatnim geście rozpaczy ręce.

Dziewczynka zerwała się z fotela Klucznika, chwyciła błagające o pomoc dłonie i pociągnęła z całej siły.

- *Kassandro!!!*

- *Kasieńko!!!*

Złotozielone oczy wpatrują się z gasnącą nadzieją w twarz dziewczynki. Głodne bestie nie mają zamiaru się poddać. Walczą o łyk świeżej krwi niemal tak rozpaczliwie, jak Cassandra walczy o ukochaną panią.

Anaela resztkami sił uczepliła się kamiennego wrębu. Posłała dziewczynce przeproszające spojrzenie, zamknęła oczy i rozwarła palce. Bestie pochwyciły ją i... nagle znieruchomiały, widząc nadchodzącą postać odzianą w czerń. A potem pierzchły na boki, kryjąc się spieszenie.

Ostatkiem świadomości Anaela czuje, że czyjeś silne ręce ją unoszą. Widzi błysk srebrnego wilka na kołnierzyku. Nim zdąży wyszeptać:

- Sellinarisie - jest po drugiej stronie feri'ańskiego portalu. Z trudem unosi głowę, by ujrzeć, jak on, spowity mrokiem Tartaru, odwraca się i odchodzi. - Sellinarisie...

I wszystko gaśnie.

Rozdział XII

FERRIN

Czyjś zamierający szept:

- Pić - sprawił, że Cassandra uniosła powieki. Przez chwilę błądziła wzrokiem po sklepieniu, usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. - Pić.

Spojrzała w kierunku głosu. Ocalona przez nią Leddi leżała tuż obok. W szarej, wychudzonej twarzy żyły jedynie oczy.

- W całej Alderianie nie ma wody, pani Anaelo. ONI zatruli wszystkie studnie - odszepnęła dziewczynka, przysuwając się bliżej Leczącej. Portal, po którego drugiej stronie znów klębili się Duszobójcy, napawał ją panicznym lękiem.

- Nie przejdą?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Gorzki smak wina na popękanych wargach; czuły dotyk małej rączki przykładającej mokrą szmatkę do rozpalonego czoła; wyszeptane słowa, straszne, przerażające słowa o tym, co ONI zrobili, co ONI zniszczyli, co ONI, ONI, ONI...

Anaela nie musiała otwierać oczu, by mieć pewność, że przeżyła Szarą Śmierć.

- Wiedziałam, wiedziałam, że po mnie wrócisz, pani Anaelo. - Dziewczynka, ścierając z twarzy Leczącej warstwy kurzu, mówiła bardziej do siebie niż do niej. - No proszę, proszę, co my tu mamy... Znak Ferrinu. Chylę czołko, rączki całuję. Mam też taką, tylko trochę inną. - Odgarnęła grzywkę z czoła i dotknęła opuszką małej błękitnej gwiazdki.

- Jesteś Władczynią Alderii. - Anaela uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak, mianowałaś mnie przecież Następczynią, pani Anaelo - odrzekło z dumą dziecko. - Na szczęście nikt poza Najwyższą o tym nie wiedział, a ona ukryła mnie w kuchniach. Mądra ta pani Berenika była. Myślę, że gdyby uznała mnie oficjalnie i trzymała przy sobie, już byłoby po twojej Kassandrze. - Mała pokręciła głową. - Gdy pani Berenika umarła, poczułam to aż tutaj, w brzuchu, i ONI weszli do zamku, to wszyscy, wszyscy! zaczęli uciekać na oślep. Widziałam to przez piwniczne okienko. ONI zganiłi ludzi na dziedziniec, a potem... nie

mogłam już patrzeć. To było okropne i straszne. Zaszłam się w lochach. Wiedziałam, że będą mnie szukać. ONI nie oszczędzali nikogo. Tylko krzyki i krzyki było słycać. „Gdzie jest Następczyni?!”... tak się wydzierali, ale ja nie myślałam się ujawniać, o nieee. Bo po co? Co by zmieniła moja śmierć? Gdyby zjawił się ich przywódca, WeddSa’ard, może bym się poddała, ale on zniknął, ponoć został zesłany w Międzywymiar, i nikt nie panował nad tymi mordercami. Nikt, pani Anaelo. Tylko ten najgorszy, Czowiek-Sep. Och, on to lubił. Lubiał krew... - Umilkła, przełknęła głośno. - A gdy zabili już wszystkich: od Mistrzyń po dziewczynki z Akademii, nawet te najmłodsze, wszystko ucichło. Potem wszędzie było pełno dymu. Już myślałam, że po nas. Że spalą nam zamek nad głową, ale palili tylko trupy.

- Nam? - Anaela uniosła opadające ze znużenia powieki. Głos dziecka szemrał usypiająco jak makabryczna kołysanka. - Powiedziałaś, że zabili wszystkich. Ktoś jednak ocalał?

- Ja i więzień. Drugiego dnia po tym, jak ucichły te okropne wrzaski, przyprowadzili jego. I zostawili. Gdy podpalili zamek, to znaczy, myślałam, że zamek, ale tylko te trupy, chciałam uciekać... nie wiem gdzie, może do Górali?... ale ten głupi więzień zdechłby beze mnie.

Dziewczynka pokręciła głową. Tyle okrucieństwa widziała w swoim krótkim życiu, że zobojętniała na ludzkie cierpienie. Jednakże skazanie jeńca na śmierć z pragnienia i głodu nawet w tym cynicznym dziecku wywoływało odrazę.

- Poję go tym winem, które znalazłam. Chyba jeszcze nie umarł, ale głowy nie dam. Gdy odzyskasz siły, pani Anaelo, może spróbujemy go uwolnić? Myślę, że ONI byliby wściekli, gdyby dzięki nam przeżył. - Zachichotała jak wiedźma i nagle ten podnoszący włosy na głowie chichot przeszedł w rozdzierający szloch.

Anaela wyciągnęła rękę. Mała rzuciła się jej w ramiona, wtuliła twarz w szorstkie od szarego pyłu włosy Leczącej i zapłakała. Wreszcie zapłakała tak, jak powinna płakać ośmioletnia przerażona dziewczynka, która widziała i przeżyła zbyt wiele.

Anaeli kręciło się w głowie od nadmiaru wina - śmiertelnie spragniona wypila go więcej, niż powinna - ale po przeżyciach ostatnich dni takie odurzenie było przyjemne. Z uczeptioną jej sukni Cassandra - dziecko ciągle musiało czuć, że Lecząca jest tuż obok - zesła z Wieży Portalowej.

Nie rozglądała się po drodze. Nie chciała napawać oczu upadkiem znieawidzonej Twierdzy. Nie chciała widzieć śladów rzezi. Nieznośny swąd spalenizny kręcił w nosie, szczypał w oczy, wyciskał łzy. To jednak nic. Najgorsze czekało w podziemiach.

Większość zwłok spalono na dziedzińcu, nikt jednak nie zaprzętał sobie głowy usuwaniem z lochów ciał pomordowanych więźniów. Po otwarciu okutych tytanianem drzwi smród rozkładających się zwłok uderzył w Anaelę jak taran, odbierając oddech, nieomal zwalając z nóg.

Wyrwała rękę z dłoni Kassandry i przytknęła do ust, powstrzymując wymioty. Wsparła się o wilgotny mur, nagle osłabła, próbując zaczerpnąć powietrza. Dziecko czekało cierpliwie, aż Lecząca przywyknie do odrażającej woni, wreszcie - straciwszy widać tę cierpliwość - łagodnie pociągnęło kobietę za sobą.

- Więźniu! - Dziewczynka uderzyła pięścią w któreś z dziesiątek jednakowych drzwi. - Więźniu, żyjesz?! - Żaden dźwięk nie dobiegł z wnętrza celi. Mała wzruszyła ramionami. - Jeszcze niedawno coś tam szurało.

- Odsuń się od drzwi, Kassandro. Spróbuję coś zdziałać. - Anaela, pokonując zawroty głowy, przymknęła oczy. *Wzrok* po ucieczce z Tartaru stopniowo powracał, wracały też umiejętności Leczącej.

Przymknęła oczy... Całą przestrzeń korytarza wy syciła czerwona energia: energia walki i strachu. Kotłowała się od podłogi po sufit, dając świadectwo rzezi, której tutaj dokonano. Spływała po ścianach niczym krwawe łzy. Dosyć! Nie widzieć, nie myśleć! Uwolnić więźnia i uciekać!

Zaczerpnęła obiema dłońmi tej purpury. Błyskawica ciśnięta przez Leczącą wypaliła w drewnie okrągły otwór i... odbiła się od tytanianowej płyty, wyściełającej drzwi od wewnątrz. Ledwie Anaela zdążyła uskoczyć przed własną mocą. No tak, powinna była przewidzieć, że cela tego szczególnego więźnia, jedyne, który ocalał, będzie chroniona przed magią. Po wtórnie uderzyła, stając nieco z boku, żeby wracająca rykoszetem czerwień nie wyrządziła nikomu krzywdy. Kassandra z ukontentowaniem pokiwała główką, widząc powiększający się wyłom. Anaela znalezionym gdzieś po drodze mieczem dokonała reszty zniszczenia, przebijając w tytanianie otwór na tyle duży, by precyzyjnie się wciągnęło dziecko. Kassandra bez namysłu wpełzła do środka.

- Żyje, pani Anaelo! - krzyknęła uradowana. - Ale strasznie śmierdzi!

- Odsuń go i ty się odsuń, to powiększę otwór.

- On ma koronę, pani Anaelo, to chyba jakiś księżę!

Nigdy żadne z nich nie powróciło w rozmowie do tamtych dni - najdłuższych dni ich życia.

Reikan nie powiedział, a Anaela nie pytała, jak - po zerwanym kontakcie z nią i Eleuzisem - pospieszył na poszukiwania i wychodząc z alderiańskiego portalu, wpadł prosto w zasadzkę zastawioną przez Vervaina.

Nie powiedział, jak nad spętanym i bezbronnym Szara Bestia znęcała się dotąd, aż znalazł się na granicy życia i śmierci, i tak został ciśnięty do tytanianowej celi, by umrzeć w samotności i upodleniu.

Nie powiedział, jak dogorywał przez nieskończenie długie dni i noce, a przy życiu trzymało go wyciekające ze szpary pod drzwiami, cierpkie wino, które zlizywał z kamiennej posadzki.

Nie powiedział, że ostatecznym ciosem dla jego dumy było nie owo poniżające powolne umieranie, niegodne następcy tronu, ale dotyk rąk ukochanej, zdzierających zeń - unurzane w jego własnych ekskrementach - odzienie.

Anaela nie pytała.

Własny krzyk wyrwał Anaelę z koszmarne snu. Widma Duszebójców wyciągających ku niej sine szponiaste dłonie przysły przed pierwszym promieniem wschodzącego słońca. Rozdygotana usiadła i rozejrzała się półprzytomnie.

Znajdowała się w nieznannej komnacie o kolistym kształcie i oknach wychodzących na sześć stron świata. Ściany wyłożono jedwabną, ręcznie malowaną w złote esy-floresy materia, o ton jaśniejszą od ciężkich ciemnozielonych stor. Oprócz łoża zasłanego lekką jak mgiełka, złoto lśniąca pościelą nie było tu żadnych mebli.

Promień słońca spłynął czułą pieśczołą na policzek Leczącej. Wstała ostrożnie - ciało miała tak obolałe, jakby centymetr po centymetrze ktoś obił je gumowym młotkiem - i przytrzymując się ścian, podszła do okna sięgającego od podłogi aż po łukowate sklepienie.

Odsunęła aksamitne zasłony, otworzyła podwójne ościeżnice, po czym - wstrzymując oddech - wyszła na taras.

I wtedy ujrzała to, za czym tęskniła przez całe swe życie.

Zamek unosił się niby smukły okręt o perłowobiałych żaglach na morzu mgieł skrzących się złoto i purpurowo w promieniach wschodzących słońc. Tam gdzie zalegał jeszcze nocny cień, mgły przybrały barwę fioleto.

Owo mleczne jezioro otoczone było ośnieżonymi szczytami gór, które przypominały śpiących rycerzy, strzegących bezcennego skarbu. Budziły zachwyt, co oczywiste, ale i trudne do określenia uczucie, które dopiero po paru chwilach Anaela rozpoznała jako dojmującą tęsknotę.

Przytrzymując się poręczy tarasu, ruszyła wzdłuż muru wieży, który zbudowany z bloków białego marmuru opalizował wszystkimi kolorami tęczy niczym wnętrze muszli.

Feri'anę ze wszystkich stron otaczało jezioro mgieł. Tylko jeden kamienny most, z tej wysokości nieprawdopodobnie wąski, łączył serce Ferrinu ze stałym lądem. Trzy strzeliste wieże strzegły twierdzy z trzech stron. Sześciokątny dziedziniec, brukowany tym samym białym kamieniem, z którego zbudowano most i niknącą w górskiej przełęczy drogę, otaczały wielopiętrowe krużganki. Wszędzie panowała nieskazitelna czystość. Wszystko, każdy kamień, każde okienko, mieniło się w świetle wstającego dnia. Zamek, piękniejszy niż z najpiękniejszych snów, stał jaśniejący i... cichy. Nienaturalnie cichy jak niedawno opuszczona, martwa Alderiana.

To wspomnienie i nagły krzyk gdzieś w chmurach przyprawiły Anaelę o dreszcz zgrozy. Nim zdążyła jednak przerazić się na śmierć, z powtórnym krzykiem spłynęła ku niej z nieba... srebrnografitowa lwiana. Wylądowała na tarasie miękko, jak na kota przystało, podeszła do znieruchomiałej kobiety i otarła się o jej bok z cichym, acz czułym mruczeniem.

- Hatira? - zapytała Anaela z nadzieją, dotykając miękkiego futra na grzbiecie zwierzęcia.

- *Ofria*.

Zajrzała w pociemniałe ze smutku oczy Anaeli i - jak to było we zwyczaju lwian - przeciągnęła szorstkim jęzorem po jej policzku. Lecząca uśmiechnęła się i otarła twarz. Jakże łatwo było sobie wyobrazić, że czas się cofnął, że jest w Lesie Tysiąca, na początku swej wędrówki, a wszyscy ci, których straciła, żyją i żyć będą, bo ona - Anaela - po raz drugi nie popełni błędów z przeszłości. Nie wdrapie się na skałę, „żeby popatrzeć”, nie spuści oka z Mirelli, nie otworzy przed WeddSa'ardem wrót Saskii. A może nawet... może nawet nie zrobi kroku w szmaragdowy portal, łączący wszechświat ze Światem Światów?

Westchnęła. Wróciło śmiertelne zmęczenie, ciężar winy przygniótł wątle barki; chłód, który czuła od powrotu z Tartaru, przeniknął ją do szpiku kości. Wzdrygnęła się i otuliła ramionami. Ofria zimnym nosem pchnęła Anaelę z powrotem do komnaty, gdzie już czekała służba.

Nim dwie elfie zdążyły się nisko skłonić, ujrzała w ich wielkich szafirowych oczach niepewność i strach. Nikt tutaj nie wiedział, czego po smoczowłosej Następczyni, którą Eleuzis obdarował poddanych, można się spodziewać.

Służące bez słowa poprowadziły nieco skonsternowaną tym milczeniem Anaelę ku drzwiom prowadzącym do lśniącego alabastrową bielą pokoju kąpielowego, gdzie królowała kamienna wanna pełna wonnej, parującej wody. Podtrzymując swą panią pod ramiona, delikatnie obmyły jej ciało od stóp do głów, cmokając nad każdym siniakiem czy zadrapaniem.

Po wyjściu z kąpeli została wytarta do sucha miękkim białym ręcznikiem, po czym podprowadzono ją do garderoby i zapytano gestem dłoni, jaką suknię życzy sobie włożyć. Wskazała niezbyt wyszukaną, z ciemnozielonego aksamitu. Na strojne złota, srebra, biele, błękity i inne kolory tęczy nie miała ochoty. Gdy służki w milczeniu zasnuwały gorset i udrapowały spódnicę, cofnęły się o dwa kroki i skłoniły, czekając, aż władczyni ruszy do wyjścia. Zawahała się, po czym wróciła do sypialni, ściągnęła z łoża ciężką brokatową kapę i owinęła się nią szczelnie. Mimo to przejmujący chłód nie ustąpił.

Kręte schody prowadziły piętro niżej do komnaty będącej zapewne jadalnią i gabinetem, o czym świadczyły stoliki, krzesła, pięknie rzeźbione biureczko, sekretarzyk i półki z woluminami oprawionymi w czarne płótno. A stamtąd wychodziło się na krużganek. Gwardziści stojący po obu stronach oddali Anaeli salut, czekając na polecenia. Rozejrzała się niepewna dokąd teraz.

Nikt nie pospieszył władczyni z pomocą. Służące stały za nią, z wyrazem oczekiwania na twarzach, żołnierze patrzyli przed siebie beznamiętnie. Odchrząknęła, by słowa mogły przejść przez zaciśnięte gardło.

- Proszę zaprowadzić mnie do Reikana.

Gdy Anaela weszła do Sali Narad, zebrani tam oficerowie w cichości ducha stwierdzili, że ona i książę stanowią dobraną parę: oboje przeraźliwie wychudzeni poruszali się z ostrożnością właściwą ludziom chorym, dotykając koniuszkami palców ścian. W poszarzałych twarzach płonęły tylko oczy - płonęły obłędem i determinacją.

- Pokłon dla Anaeli dell'Idarei, Następczyni Wielkiego Władcy Ferrinu, Eleuzisa dell'Soll! - Gromki głos gwardzisty odbił się echem od ścian. Dopiero imię Eleuzisa sprawiło, iż głowy zebranych ugięły się w pokłonie. A Anaela stała w drzwiach, czując wszechogarniającą niechęć zebranych.

Reikan wsparty dłońmi o stół obserwował reakcję podwładnych w ponurym milczeniu. Nie. Ferrin nie pogodził się z decyzją Eleuzisa. Oficerowie nie zaakceptowali człowieczej

władczyni, a skoro oni byli jej przeciwni, cała Feri'ana odwróci się od Anaeli. Ogarnęła go rozpacz. Nie miał sił, by walczyć i z WeddSa'ardem, i ze swoimi...

Opuścił głowę na piersi, jakby nagle uszła z niego resztką życiowej energii. Któryś z oficerów przyskoczył doń, ale odprawił go machnięciem ręki. Elfowie, zrozumiałwszy ten gest, wyszli pospiesznie, kłaniając się zdawkowo mijanej w progu Anaeli.

Gdy sala opustoszała, a ciężkie, rzeźbione odrzwia zamknęły się za ostatnim z doradców, osunęła się na stojące najbliżej krzesło i przez długą chwilę trzymała twarz ukrytą w dłoniach.

- Weź ją! - rzuciła z nagłą złością. - Weź ode mnie tę pieprzoną władzę! Zabierz złotą gwiazdkę razem ze wspaniałym Ferrinem!

Pokręcił głową.

- Nie chcą mnie tutaj! Nawet służące się do mnie nie odzywają!

- Przysięgały milczenie.

- I to jest twoja odpowiedź?! - Wstała gwałtownie, zrzucając z ramion narzutę. Podeszła zdecydowanym krokiem do księcia, po czym gestem, jakim uczynił to Eleuzis, przytknęła Reikanowi do czoła kciuk. - Mianuję cię...

Nie zdążyła dokończyć. Chwycił ją za nadgarstek i odepchnął.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął, gdy zrobiła ku niemu krok. Odruchowo nabrał w dłoń czerwonej energii, ale zachwiał się i musiał chwycić krawędzi stołu, by nie upaść.

- Już dobrze! - zawołała Anaela. - Nie uczynię cię władcą, skoro masz od tego zaraz umierać! - Objęła elfa w pól i pomogła usiąść na krześle. - Musisz trochę schudnąć, ledwie cię utrzymałam - szepnęła z czułością, ocierając jego czoło zroszone zimnym potem.

Odsunął dłoń kobiety szorstkim gestem, zażenowany własną słabością. Sięgnął po puchar wypełniony błękitną nalewką i wypił, krzywiąc się niemiłosiernie, aż do dna. Czułość w oczach Anaeli zgasła.

- Dlaczego wstałeś z łóżka?! - Zaatakowała, by ukryć żal. - Ferrin mógł poczekać.

- ...ale WeddSa'ard nie będzie czekał - wpadł jej w słowo. - Jest wojna, Anaelo.

- Ale nie tutaj.

- Sellinaris stoi u granic Ferrinu na czele połączonych sił Darrakii i Alderii.

- Jak to Alderii?! Przecież jeszcze niedawno z nią walczył!

- Dał dowódcom regimentów ultimatum: albo sojusz, albo śmierć.

- Oczywiście wybrali sojusz, zdrajcy - syknęła.

- A komu mieli być wierni? Berenika nie żyła. Następczyni przepadła bez wieści. Komu, Anaelo?

Chciała odrzec: „Choćby tobie!”, ale zmroziła ją myśl, że właśnie wtedy Reikan był torturowany, być może na oczach całej Alderiany. Milczała więc.

- Mają nad nami pięciokrotną przewagę. Jeżeli... - Urwał. Beznadziejnym wzrokiem zapatrzył się przed siebie.

- Dokończ - poprosiła cicho.

- Jeżeli nie zjednasz sobie poddanych.

- Jak?! Mam ich błagać na kolanach o miłość, wierność i posłuszeństwo?!

Nie, nie ich musisz błagać - odpowiedziała sama sobie - wystarczy, że zwrócisz im prawowitego władcę.

- Eleuzis. Eleuzis musi wrócić z Tartaru - oświadczyła, jakby sprowadzenie elfa ze Świata Bez Powrotu było tak proste jak sprowadzenie jej samej ze wszechświata.

- Los mego ojca jest przesadzony. - Reikan natychmiast zgasił tę nadzieję. - Teraz ważą się losy Ferrinu, tego Ferrinu, który Eleuzis, złożył w twoje ręce.

- Nie prosiłam go o to!

- Eleuzis mianował cię Wielką Władczynią, musisz uszanować jego wolę.

- Jaka ja tam wielka, Reikanie - skapitulowała nagle. - Wiesz, że nigdy nie pragnęłam władzy. Pamiętasz? „Władza jest jak Duszobójca: zniewala duszę, pęta umysł i odziera z człowieczeństwa”. To twoje słowa.

- Mimo wszystko tobie przypadła w udziale - uciał sucho - i ty poniesiesz jej ciężar. Zwrócę się do Arcykapłana, by przygotował ceremonię koronacji na dzisiejszą noc.

Dzisiejszą noc?! - w złotozielonych oczach błysnęło nieudawane przerażenie.

- Nie bój się, Anaelo. - Ujął jej zimne ręce. - Pamiętaj, że zawsze, zawsze! będę przy tobie.

Przysięga złożona Eleuzisowi ciążyła Anaeli jak kamień u szyi, jednocześnie zaś wskazywała drogę. Jedyнным sposobem zjednania poddanych było poślubienie syna Wielkiego Władcy. Oczywiście pod warunkiem, że ów syn ją zechce. Może jednak poczekać z propozycją matrymonialną? Bądź co bądź jest wojna. Na wojnie wielu zginie.

Wzdrygnęła się. Takie myśli tuż u progu ostatecznego starcia były wyzwaniem rzuconym bogom w twarz.

- Moja pani, długo jeszcze każesz mi trzymać tę koronę? - Słowa Reikana kazały Anaeli wrócić do Sali Tronowej, gdzie księżę usiłował przeprowadzić próbę generalną koronacji. - Pamiętasz słowa przysięgi?

- „Na krwiew swą i życie swoje...”, i tak dalej, i tak dalej. Strasznie to egzaltowane. I składnia jakaś dziwna.

Kassandra okupująca stopnie tronu parsknęła śmiechem.

- To Przysięga Władców, której słowa nie zmieniły się od tysiący lat. - Reikan zgromił obydwie wzrokiem.

- Przy okazji przysięg chcę cię o coś prosić, Reikanie.

Czekała na żartobliwe „Wszystko, czego zapragniesz”, ale księżę spowaźniał, szóstym zmysłem wyczuwając, że prośba Anaeli będzie co najmniej trudna do spełnienia.

- Chcę cię prosić... - Boże, nie powie tego! Jak Eleuzis mógł od niej tego wymagać?! Jak ona mogła się zgodzić?! - Kassandro, czy byłabyś tak dobra i przyniosła mój płaszcz, strasznie tu zimno.

Gdy odprawiona w ten sposób dziewczynka wyszła, Anaela ponaglana spojrzeniem księcia zaczęła od nowa:

- Chciałabym prosić cię... Cię prosić... Chciałabym... O rękę - wyrzuciła z desperacją i ukryła twarz w dłoniach. - Jeśli trzeba, to uklękne - dodała szeptem.

W oczach Reikana błysnęło niedowierzanie przeradzające się w nadzieję, a potem w gniew.

- To był pomysł mego ojca, prawda?

- Przepraszam, Reikanie! - Złożyła ręce jak do modlitwy. - Eleuzis wymógł na mnie to przyrzeczenie! - Pograżała się z każdym słowem, nie zdając sobie sprawy, że jednocześnie zadaje najserdeczniejszemu przyjacielowi nieznośny ból. - Nie wiem, czemu ubzdurał sobie, że powinniśmy się pobrać. Ja bym nigdy...

Reikan wpatrzony niewidzącym wzrokiem w okno przygryzł wargę do krwi. Zamilcz! - chciał krzyknąć. - Milcz!!! Ranisz mnie!

- Wybacz mi, Reikanie. - Podeszła doń i pogłaskała przepraszająco po ramieniu. - Wiesz, że kocham cię jak brata.

- Dosyć! - przerwał te wywody nieswoim głosem i odsunął się tak, że jej ręka opadła bezwładnie. - Dziękuję za tę propozycję, ale muszę odmówić. - Tu powinien umilknąć, ale pełne goryczy słowa same cisnęły się na usta: - Nie zwykłem zadowalać się resztkami ze stołu WeddSa'arda.

Poderwała głowę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?!

- Zawsze ten drugi! - ciągnął Reikan z pasją tłumioną przez całe lata. - Drugi w kolejce do tronu, drugi w kolejce do serca ojca, drugi w walce, drugi w łóżu kochanki.

- Nie jestem kochanką Sellinarisa! - krzyknęła oburzona, ale przerwał jej z kpiącym uśmiechem.

- J e s z c z e nie. Myślisz, że nie wiem, czyje imię szepczesz we śnie?

- Nie śnię o Sellinarisie!

- Przepraszam, moja pani, zapomniałem, że jesteś zbyt zakłamana, by przyznać się do swych najskrytszych pragnień.

- Obrażasz mnie!

- Twoja propozycja małżeństwa była równie obraźliwa.

- Wyszła od twojego ojca, nie ode mnie! Nie chciałabym ciebie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie!!!

Boże, co ona powiedziała?! Jak mogła?! Do najwierniejszego przyjaciela! Zamknęła oczy. To koniec. Najpierw Amre, teraz Reikan. Nie został jej już nikt.

Reikan odezwał się dopiero po długiej, bardzo długiej chwili. Uprzejmie. Bardzo uprzejmie.

- Eleuzis pragnął umocnić twą władzę, wiążąc cię z dynastią dell'Soll. Oświadczyliśmy dowiodłaś, iż twoje poświęcenie dla Ferrinu jest bezgraniczne. Z tych samych względów, co ją złożyłaś, przyjmę tę zaszczytną propozycję.

Z twarzą pozbawioną wyrazu przyklęknął.

- Anaelo dell'Soll, oddaję tobie, z wyboru, a nie z musu, ciało, duszę i serce. Przyjmuję ciebie ze wszystkim, czym zapagniesz mnie obdarzyć. Od teraz aż do śmierci. - Ujął bezwładną dłoń kobiety, wsunął na jej serdeczny palec rodowy sygnet i ucałował, a potem odrzucił tę dłoń, jakby była skalana.

Patrzyła, jak odchodzi. Dlaczego ciągle musi patrzeć, jak ktoś od niej odchodzi?! - to była pierwsza myśl, jaka przemknęła przez pogrążający się w rozpacz umysł. - Ktoś ją przeklął! Skazał na ciągłe odrzucanie tych, których kochała, próbowała kochać lub powinna była kochać. Tylko za co, Boże jedyny?! Czy była aż tak złym człowiekiem, by zasługiwać na wieczną samotność?!

Straciła przyjaciela - zyskała męża. Co za ironia! Nawet w Lesie Tysiąca nie czuła się tak opuszczona, tak przeraźliwie samotna jak w tej chwili...

Tupot drobnych stopek zmusił Anaelę do otarcia oczu. Przygarbione, drżące ramiona kobiety okryła miękka materia. Mała, ciepła rączka wsunęła się w dłoń ozdobioną sygnetem Reikana. Cassandra poklepała tę dłoń pokrzepiającym gestem, podpatrzonym u dorosłych.

- Myślę, pani Anaelo, że powinnaś coś zjeść - rzekła z powagą.

Kobieta musiała się uśmiechnąć, patrząc w orzechowe oczy pełne bezwarunkowej - a przez to prostej - miłości, do jakiej zdolne są tylko dzieci i zwierzęta.

Obiad, raczej skromny jak na wyobrażenia Anaeli o życiu w sercu Świata Światów, podano w pokoju na wieży. Tak jak sobie zażyczyła. Zapewne w Feri'anie była wspaniała jadalnia, kapiąca od złota i aksamitów, pełna zjawiskowo pięknych elfii i elfów, ale Anaela nie miała jeszcze siły stanąć twarzą w twarz z niechętnymi jej poddanymi. Nie. Nie potrafiła wyobrazić sobie siebie w roli władczyni. Jak zachowuje się królowa elfów? Jest wyniosła? Surowa? Nie uśmiecha się? A może to raczej dobra pani, sąsiadka zza płotu, która każdego ujmie bezpośredniością i promiennym obliczem? Jaka ma być, do cholery?! Kogo może zapytać o radę?! Niemych służących, unikających jej wzroku?

- Pozostań taka, jaką ciebie pokochałam, pani Anaelo. - Cassandra wdrapała się na kolana kobiety i obejmując ją rączkami za szyję, przytuliła się mocno. Czyżby to dziecko czytało w myślach?

Nie zdążyła o to zapytać, gdyż zapukano do drzwi. Jeden z gwardzistów skłonił się w progu ze słowami:

- Pani, wrócił wasz Cień.

- Saris wrócił?! Mój Saris?! - Anaela poderwała się gwałtownie, zrzucając Kassandra z kolan.

Saris wrócił! Jest uratowana! On wie wszystko! Pomoże, doradzi!

Podkasawszy suknię, zbiegła po krętych schodach, nie czekając na eskortę. U wyjścia z wieży nieco się pogubiła - nie wszystkie korytarze prowadziły na dziedziniec, ale w końcu wypadła na rozległy podwórzec, gdzie czekał na nią... Czekali na nią... Stała jak wryta, bo obok Sarisa stał, otoczony przez uzbrojonych gwardzistów...

- To darrakijski dezterter - wyjaśnił jeden z nich, rzucając jeńcowi pełne pogardy spojrzenie.

Nim Anaela zdołała zaprotestować, drugi z rozmachem uderzył Darrakijczyka pięścią w potylicę. Jego słowa:

- Na kolana, bydlę! - zbiegły się z brzmącym jak szloch:

- Amre! - Anaeli.

Podniósł nań udęczone oczy.

- Rozwiążcie go! - krzyknęła, klękając przy nim i szarpiąc pętające go więzy. - To mój... - chciała dokończyć „przyjaciół”, ale ostrzegawcze: - *Nie pogrążaj się!* - Sarisa sprawiło, że to słowo, to cenne, piękne słowo uwięzło jej w gardle.

- *Wystarczy, że w Saskii dałaś przedstawienie!*

Wstała powoli z klęczek, odruchowo wygładzając suknię.

Po twarzy Amrego przemknął cień.

- Pani - odezwał się chłodnym tonem - przybyłem, by oddać twoją własność. - Wyciągnął dłoń, na której spoczywał...

- Amirin - wyszeptała i ujęła bezcenny klejnot. Poczowała znajome pulsowanie, zgodne z rytmem jej serca, i ogromną ulgę. Rozejrzała się jak obudzona z koszmarne snu: Amre był na wyciągnięcie ręki, Reikan stał nieco z tyłu, przyglądając się tej scenie lekko zmrużonymi oczyma. Byli wszyscy troje. Cała Trójka z Przepowiedni: ona - Lecząca, z Amirinem w dłoni, księżę Ferrinu i Czarny Tytanian.

Przepowiednia dopełniała się. Przeznaczenie stało u ferrińskich wrót. Czyżby? Zaraz, zaraz, co to znaczy: „Pozwólcie mi odejść”?!

- Pozwólcie mi odejść, Wasza Wysokość - powtórzył Amre, wrywając Anaelę z oszołomienia.

- Nie możesz! - zaprotestowała gwałtownie. - Jesteś nam potrzebny! To on! To Czarny Tytanian! - wskazała Amrego oskarżycielskim gestem, na który gwardziści rzucili się ku oficerowi, by ponownie go związać.

- Dosyć! - Reikan zrobił krok do przodu. Gwardziści posłuchali, całkiem zdezorientowani. - Jesteśmy winni temu oficerowi przynajmniej ciepły posiłek i dach nad głową. Jutro odejdzie wolno. - Posłał Anaeli długie spojrzenie, jakby chciał dodać: „Tylko posiłek i nocleg, droga żono, nic więcej”.

- Dziękuję za wielkoduszność, księżę. - Ukłon Amrego był równie obelżywy jak słowa. - Jednakże wolałbym odjechać już teraz.

- Powiedziałem: zostaniesz do jutra. - W głosie Reikana zabrzmiała jakaś dzika, okrutna satysfakcja. - Moja małżonka - tu objął Anaelę w pól - chciałaby zapewne, byś wziął udział w koronacji. Odprowadzić! - rzucił przez ramię i nie oglądając się, ruszył ku schodom.

Anaela wyrwała się, blada z oburzenia.

- Jestem twoją małżonką, a nie własnością! Winienesz wdzięczność i szacunek temu, który wielokrotnie uratował jej życie! Puścić wolno. Dać konia. Ktoś jest przeciw? - Powiodła wzrokiem po milczących elfach, a potem przeniosła spojrzenie na zwiadowcę i stojącego tuż przy nim Cienia. Oczy kobiety złagodniały. Amre i Saris... obaj niezawodni, wierni i oddani. Aż do końca.

Odjeżdżał chwilę później. Bez czułych pożegnań, bez wielkich słów. Jemu nie wystarczyła przyjaźń Wielkiej Władczyni, ona zaś nie mogła zaoferować mu niczego więcej. Między nimi stanęli Sellinaris i Reikan, a w samej Anaeli też niewiele zostało z zagubionej w Lesie Tysiąca dziewczyny o czystym sercu i duszy nieskalanej Szarą Śmiercią.

Nie wiedziała, jak majestatycznie - i przez to odpychająco - wygląda we wspaniałej sukni z ciemnozielonego aksamitu, tak współgrającego z barwą jej oczu. Ze złotą gwiazdką na czole - oznaką władzy. Była mu obca - ta Anaela była jemu, Amremu, zupełnie obca. Jej głos: „Puścić wolno, dać konia”, był głosem Wielkiej Władczyni Ferrinu. Jeden gest Eleuzisa zmienił wszystko. I tylko Anaeli mogło się wydawać, w jej bezgranicznej naiwności, że nic się nie zmieniło.

Amre tracił ją po wielokroć, ale żadna strata nie była tak bolesna, tak pozbawiona nadziei jak ta dzisiejsza.

Wzrok oficera spoczął na sygnecie zdobiącym dłoń kobiety. Małżonka Reikana... Amre poczuł, jak serce szarpnął kły żalu i zazdrości. Zgrzytnął zębami. Pochylił głowę. Tak, tak, oficerze, ty zrobiłeś swoje, możesz odejść. Gdzie ci do ferrińskiego księcia, kundlu WeddSa'arda. Trzymaj fason w ostatniej minucie twojej miłości.

Szarpnął skórzany pas, aż koń stęknął, nieprzyzwyczajony do tak brutalnego traktowania. Już z wysokości końskiego grzbietu skinął Anaeli głową i pociągnął za wodze. Zwierzę skierowało się ku bramie.

Anaela patrzyła za odjeżdżającym i... Och! Pieprzyć Reikana i resztę publiczności!

- Amre!!! - krzyknęła, jakby zaraz miało pęknąć jej serce.

Nie zatrzymał się. Nie odwrócił. Skoczyła za nim, nogi zaplątały się w fałdach długiej sukni i poleciała do przodu, w ostatniej chwili chwytając się grzywy Sarisa, który stanął jej na drodze.

- *Amre należy do przeszłości* - rzekł Cień.

- Jest moim przyjacielem!

- *Jest twoim wrogiem.*

- To Trzeci z Przepowiedni!

- *Mylisz się.*

Nie zważając na skonsternowane spojrzenia stajennych, siedziała na wiązce siana w obszernym, wygodnym boksie Sarisa, rękami obejmując podkulone kolana.

Mimo nalegań Cień nie chciał zdradzić ani słowa więcej na temat Przepowiedni i Trzeciego, którym, jak się okazuje, nie był Amre.

- Jak możesz zatajać przede mną to, co wiesz?! - krzyknęła Anaela rozżalona i zła. - To przecież tak ważne dla twojego Ferrinu. I dla mnie. Dlaczego nie chcesz powiedzieć, kim jest Trzeci?!

- *Widzę przyszłość tylko do pierwszego węzła* - odparł enigmatycznie Saris. - *Przetnie go Sellinaris, nie Amre.*

Anaela zadrżała. Znów ogarnął ją przyniesiony z Tartaru chłód. Odruchowo objęła się ramionami. Z szafirowych oczu Cienia, utkwionych w wydarzeniach, które dopiero nastąpią, niewiele mogła wyczytać. Tylko smutek.

- Czy wiesz, że nigdy nie powiedziałeś o nim „WeddSa’ard”? Że zawsze był dla ciebie Sellinarisem?

Odwrócił głowę w jej stronę.

- *Myślę, moja pani, że ty to rozumiesz. Tak jak ja wierzysz, że w WeddSa’ardzie pozostał okruch Sellinarisa, choć próbował się go pozbyć. O tak... Próbował...*

- To dlatego nie zabił Reikana, ciebie i mnie, chociaż miał tyle okazji - wyszeptwała.

- *Tak, Sellinaris dell’Soll nie potrafiłby skrzywdzić tych, których kocha.*

Drogę z zamku przez most na otaczającym Feri’anę jeziorze aż do lasów na przeciwległym brzegu oświetlały tysiące pochodni trzymanyh przez elfy. Nadeszła północ, czas koronacji Anaeli dell’Soll - tak, teraz już dell’Soll - na Wielką Władczynię Ferrinu.

W całkowitej ciszy słyhać było jedynie trzaskanie ognia.

Zatrzymała się na szczycie schodów oczarowana widokiem płonących żagwi, które znaczyły drogę. Nikt jej nie ponaglał. Powoli, jakby zanurzała się we śnie, ruszyła między dwoma szeregami milczących elfów.

Odziana w skromną białą suknię, bez żadnych ozdób, z rozpuszczonymi włosami, spływającymi aż do pasa, wydawała się - nawet tym najbardziej niechętnym z elfich wielmożów - utkana z jeziornych mgieł. Z ramion spływał na ziemię ciężki płaszcz w kolorze królewskiego błękitu, nieco na drobną kobietę za duży, ale nikt nie miał czasu ni ochoty, by go dopasować.

Reikan kroczył tuż za nią równie milczący jak wszyscy. Przed chwilą, w obecności li tylko Arcykapłana, oficjalnie powtórzył przed Anaela przysięgę małżeńską, czego zdawał się żałować. Tak zresztą jak i ona.

Kassandra ujęła chłodną dłoń księcia i uściśniła lekko, nie patrząc nań. To dziecko rozumiało więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Więcej, niż dziecko winno rozumieć.

- To wygląda jak pogrzeb, a nie jak koronacja - wyszeptwała.

Anaela wkroczyła na most.

Szpaler płonących pochodni kończył się u podnóża kamiennego ołtarza, na polanie otoczonej prastarym lasem.

Ujęła dłoń Arcykapłana i po chwili stała na czarnym, gładkim kamieniu, mając u swych stóp morze głów i płomieni. Było to tak nierzeczywiste jak senne majaki. Dopiero cichy głos Arcykapłana przerwał tę niesamowitą ciszę i wytrącił Anaelę z zauroczenia.

- Czy przyjmujesz to brzemie?

Uniosła oczy. Wiekowy elf trzymał nad jej głową ciężką, kutą z białego metalu koronę ozdobioną kamieniami koloru krwi.

Długie chwile trwała jak zahipnotyzowana, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w symbol władzy. Wszyscy zebrani na polanie również wbili weń wzrok. Przełknęła głośno.

- Przyjmuję.

- Złóż przysięgę.

Przyklękła.

- Na krwie swą i życie swoje bronić ziemi tej przyrzekam. Bronić ludu tego przyrzekam. Stać na straży granic tych przyrzekam. Oddać wszystko, co mam, pokonać wroga każdego, poświęcić najbliższych sercu memu, o ile Ferrin, Ferrin i tylko Ferrin tego zażąda. Przyrzekam.

Korona spoczęła na głowie Anaeli. Wstała.

- Złóż ofiarę.

Kapłan podał kobiecie sztylet wykonany z tego samego metalu, o rękojeści nabijanej równie krwistymi kamieniami co korona. Anaela odruchowo wyciągnęła rękę, by po chwili ją cofnąć. Jaką ofiarę?! Nie było mowy o ofiarach!

Tłum stojący przed ołtarzem rozstąpił się przed ośmioma elfami niosącymi wielkiego skrzydlatego kota, którego srebrzysta sierść lśniła w świetle pochodni. Złożyli związane zwierzę na zimnym kamieniu u stóp Anaeli.

Lwiana Ofria oddychała szybko, z trudem łapiąc powietrze przez skórzany kaganiec. Żółte oczy miała zamglone narkotykiem, ale mimo to widniał w nich strach i błaganie. Jeden z elfów łagodnie odgiął głowę zwierzęcia do tyłu, odsłaniając gardło.

- Złóż ofiarę - powtórzył Arcykapłan, ujął dłoń kobiety i zacisnął jej palce na rękojeści sztyletu.

Chyba nikt nie oczekuje, że... Anaela powiodła wzrokiem po milczącym tłumie. Zatrzymała spojrzenie na twarzy Reikana. Wiedział! Wiedział, że zażądają tego podczas koronacji, i nie uprzedził jej! Jak mogłeś?!

Lwiana leżała spokojnie, nie walczyła o życie. W kącikach żółtych oczu zebrały się dwie łzy i po chwili skapnęły na czarny kamień. Tylko dwie. Anaela zapagnęła rzucić sztylet Arcykapłanowi pod nogi, a koroną cisnąć w Reikana. Przecież nie potrafi zabić tego zwierzęcia! Ani żadnego innego! Nie poświęci czyjegoś istnienia za żadną władzę! Ale...

- *Przyrzekałaś* - głos księcia wdarł się do jej umysłu - *oddać wszystko, jeśli Ferrin tego zażąda. Ferrin żąda ofiary z życia. Dopelnij przysięgi.*

Niewidoczna dłoń zacisnęła się na grdyce kobiety, tłumiąc krzyk protestu. Kolana ugięły się pod przemożną siłą. Uklękła ciężko. Poczowała, jak jej palce silniej ujmują wysadzaną krwawnikiem rękojeść. Ujrzała własną dłoń unoszącą sztylet w górę. Próbowała rozewrzeć palce i odrzucić broń, ale potężniejąca z każdym uderzeniem serca moc - połączona moc Arcykapłana, Reikana, Sarisa i... - tak! Kassandry! do oprawców dołączyła Cassandra! - nie pozwoliła na to. Przez chwilę zmagali się ze sobą: Anaela przeciwko tym czworgu.

Nie!!! Zamiast krzyku z gardła kobiety wydobyło się cichutkie piśnienie. Źrenice lwiany pociemniały, wpatrzone w ostrze. Opadło, celując w krtań.

Sztylet wysunął się ze zdrtwiałych palców. Krople krwi rozprysły się na zimnym gładkim kamieniu. Arcykapłan podniósł nóż i ponownie podał go wpatrzonej w konającą lwianę Anaeli. Przeniosła niedowierzające spojrzenie ze zwierzęcia na starego elfa.

- Wasza Wysokość - rzekł z namaszczeniem. - Rozetnij trzewia. Bogowie żądają.

- Nie! - przerwała mu takim tonem, że Arcykapłan umilkł. - Żadnych żądań.

Zeszła z ołtarza, potykając się jak ślepiec na kamiennych schodkach, by po kilku krokach stanąć twarzą w twarz z milczącym tłumem.

I co teraz? - pomyślała zupełnie wyprana z uczuć. - Zlinczujecie mnie, pierdoleni sadyści? Za mało wam krwi?

Reikan ukląkł pierwszy, chyląc nisko głowę. Zaraz po nim opadła na kolana Cassandra, a potem... morze elfich głów zafalowało, rozstąpiło się przed Anaela i ugięło z pokorą.

Ferrin oddawał hołd Wielkiej Władczyni.

Mięśnie poruszały się wyłącznie siłami magii, bo raczej nie woli. Anaela nie miała już woli. Szła jak lunatyk, stawiając stopę za stopą, najpierw przez las, potem przez most na jeziorze, przez bramę i dziedziniec. Weszła w jakieś drzwi, dalej - korytarzem i wreszcie „swoimi” schodami wspięła się na „swoją” wieżę.

Za nią podążał Reikan równie wyczerpany jak Anaela. Ten dzień zdawał się trwać bez końca. I dla niej, i dla niego. Gdy drzwi sypialni zamknęły się za nimi, podeszła do okna, chwilę patrzyła, nie widząc, przed siebie, by wreszcie odwrócić się ku niemu, nienaturalnie blada.

- Wiesz, mogę ci wybaczyć, że mnie nie uprzedziłeś - zaczęła zatrważająco spokojnym tonem. - Nie przystąpiłabym do tej chorej ceremonii, gdybym miała choć cień podejrzenia, że każecie mi zabijać. Wiedziałeś o tym. Wybaczam ci. Jestem w stanie zrozumieć was, mężczyzn, w tej nienasyconej żądzy mordowania. Ale dlaczego wciągnąłeś do krwawego przedstawienia ośmioletnią dziewczynkę?

Reikan zacisnął szczęki. Przez moment myślała, miała nadzieję, że ją uderzy, on jednak nie byłby sobą, gdyby to uczynił. Opanował się po chwili na tyle, by móc na nią spojrzeć.

- Cassandra przyłączyła się dobrowolnie. Tak jak my chciała pomóc Wielkiej Władczyni w dotrzymaniu dopiero co złożonej przysięgi. Pamiętasz: „oddać wszystko, co mam, poświęcić najbliższych sercu memu, o ile Ferrin tego zażąda”... to twoje słowa. Ktoś musiał ich dotrzymać. Nie waz się nas potępiać.

Długo w noc mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Leżąc na wznak we wspianym małżeńskim łóżu, z głową opartą na przedramieniu, patrzył w zdobiony sufit, przeklinając i to łóże, i to miejsce, i siebie, i śpiącą obok kobietę. Była tak blisko jak nigdy dotąd i zarazem tak daleko jak jeszcze nigdy. Posiadł ją zgodnie z ferrińskim i boskim prawem, lecz jednocześnie stracił na zawsze.

Chwilę po tamtej rozmowie wyciągnął ku Anaeli dłoń, by w geście pojednania pomóc jej rozsznurować gorset. Od skoczyła, jakby był skalany, spojrzała nań oczyma płonącymi nienawiścią, a potem padły trzy mordercze słowa:

- Nie. Dotykaj. Mnie.

Dłoń opadła bezwładnie.

Reikan obudził Jej Wysokość Anaelę dell'Soll, nim weszło drugie ze słońc.

- Jesteś potrzebna - rzekł krótko, całkowicie ubrany i gotów do wyjścia, jakby wcale się nie kładł. - WeddSa'ard przekroczył granicę.

Oprzytomniała natychmiast.

- Zaraz tu będzie?! - Drżącymi rękami zaczęła rozpinąć guziki koszuli nocnej, raz po raz zerkając w chmurne oczy Reikana.

- Nie tak zaraz - odparł i odwrócił się, bo zastygła z rękoma unoszącymi skraj koszuli, nagle zawstydzona obecnością męża. Podał Anaeli wyjętą z szafy na chybił trafił suknię.

- Służba przygotowuje zamek na przyjęcie uchodźców, a ja wyjeżdżam zebrać ludzi. Musisz radzić sobie sama.

- Zawsze radziłam sobie sama. - Wzięła w dwa palce strojną srebrno-złotą szatę, lekką i zwiewną jak poranna mgła. - Ale nie w czymś takim!

Po paru minutach, odziana w skromną ciemnozieloną tunikę i nieco ciemniejszą spódnicę, zbiegła na dziedziniec, gdzie panowało niezwykle jak na Feri'anę poruszenie.

Elfie przemieszczały się wte i wewte, dostojne i majestatyczne, z wyrazem pewnego zaambarasowania, nosząc naręcza pościeli, koców, narzut i poduszek, zupełnie jakby przygotowywały zamek na wielki piknik. W skupionej ciszy wędrowały po kruzgankach, schodach, korytarzach i tarasach, pozbywając się ciężaru w najdziwniejszych i zupełnie absurdalnych miejscach.

Jedynym elementem wnoszącym nieco życia w ten niemy spektakl była Cassandra podskakująca pośrodku podwórca jak rozzłoszczony wróbel. Jej cienki głosik słyhać było aż na wieży:

- Proszę pani! Proszę nie kłaść czystej pościeli na schodach! Nie, nie, tam też nie! Do Sali Tronowej, tak, do sali! Dobra kobieto, ten kocyk bardziej przydałby się... nieważne gdzie, proszę go zanieść do... O, bogom dzięki, pani Anaelo! - wykrzyknęła na widok władczyni. - Może pani zaprowadzi tu porządek. Mnie nie chcą słuhać.

Anaela przez dłuższą chwilę stała jak wmurowana, okrągłymi ze zdumienia oczyma patrząc na „przygotowania do wojny *à la Ferrin*”. Elfie niosące z namaszczeniem dary, niczym Trzej Królowie, smukłe, poruszające się z niewysłowioną gracją w długich, błyszczących od lamowań i klejnotów szatach wyglądały... niewątpliwie... ładnie. Taaak... Oto jej poddane w całej elfiej okazałości, w przededniu oblężenia zamku. Jedna z kocykiem w rękę, druga z poduszczką. Otrząsnęła się ze zgrozy i zwróciła do kapitana gwardii:

- Kto zarządza zamkiem pod nieobecność władcy? Przyślij mi tego kogoś do Sali Tronowej. I wszystkich zarządców czegokolwiek: kuchni, łaźni, stajni. Wszystkich. Twoi ludzie niech opanują chaos na dziedzińcu.

- Wybaczcie, Wasza Wysokość - ośmielił się wtrącić - gwardia królewska wyjechała z księciem Reikanem.

- No tak. Chaos opanujemy w dalszej kolejności, a teraz... Co teraz? - Rozejrzała się bezradnie.

- Może przemówienie? - zasugerował kapitan.

Anaela w pierwszym momencie myślała, że żartuje, ale nie: mówił śmiertelnie poważnie.

- Dobrze - zgodziła się, w jednej krótkiej chwili pojmując, z jakim typem istot będzie miała w najbliższych dniach do czynienia. Nie, nie były tępe. Były jedynie zagubione i zszokowane jak ciśnięte w oko tajfunu porcelanowe laleczki z bezcennej kolekcji. - Przemówienie.

Weszła na schody prowadzące do Sali Tronowej. Gwardzista wykrzyknął:

- Pokłon dla Jej Wysokości Anaeli dell'Soll, Wielkiej Władczyni Ferrinu!

Snujące się w dole elfie znieruchomiały na chwilę i skłoniły się nisko, po czym wbiły w Anaelę wyczekujące spojrzenia.

- Jest wojna - zaczęła. - Jeszcze nie tu! - dodała szybko, widząc panikę w oczach poddanych. - Nasi dzielni mężowie stawiają godny odpór armii najeźdźców, my zaś musimy się przygotować na drobne wojenne niedogodności. - Tu Cassandra parsknęła śmiechem, a Anaela zgromiła ją wzrokiem. - Ja odbędę teraz naradę, wy zbierzcie się na dziedzińcu i podzielcie na grupy: jedna do opieki nad rannymi, druga do opieki nad uchodźcami, trzecia do przygotowywania posiłków. To by było na tyle. Na razie. Dzielcie się.

Skinęła na gwardzistę, ten zasalutował i ruszył na poszukiwanie zarządców, Anaela zaś chwyciła Kassandra za rękę i pociągnęła za sobą. Nagle jednak obejrzała się na niestawiające oporu dziecko. Zmarszczyła brwi, przyglądając się dziewczynce badawczo. Mała odruchowo poprawiła opaskę zasłaniającą Znak.

- Już wiem, czego tu brakuje! - krzyknęła odkrywco Anaela. - Dzieci! Gdzie się podziały dzieci?!

Kassandra wytrzeszczyła na kobietę oczy. Na twarzy przechodzącej elfii ujrzała zgorzenie, jakby powiedziała coś arcyniestosownego.

- Elfy nie mają dzieci - wyjaśniła szeptem dziewczynka.

- To skąd się biorą?!

- Oj, pani Anaelo. - Mała skrzywiła się zdegustowana ignorancją władczyni. - Nie biorą się. W Ferrinie nie urodziło się ani jedno elfiątko od dwustu lat. Od czasu Szarej Śmierci.

I tu ponownie udało się Kassandra Anaelę zaskoczyć. Potoczyła wzrokiem po Feri'anie, cichej i smutnej mimo panującego poruszenia. Zajrzała w puste twarze przechodzących kobiet. Ich rasa wymierała. Po co więc miały się spieszyć?

Przez następne dni do Feri'any napływały kolejne fale elfich kobiet, brudnych, głodnych, a przede wszystkim zrozpaczonych. Widać Ferrin nigdy jeszcze nie oglądał wojny na swojej ziemi.

Palił, ale nie był palony; grabił, ale nie był grabiony; ścigał, ale nie uciekał; zabijał i sam ginął - jak to na wojnie - ale gdzieś tam, daleko, za górami, za lasami, a właściwie to tylko legendy - takie wrażenie odnosiła Anaela, widząc w szeroko rozwartych, nic nierozumiejących oczach uciekinierek jedno jedyne pytanie: za co?!

Piątego dnia, gdy źródło uchodźczyń zdawało się wysychać, a sytuacja na zamku była w miarę opanowana - każdy miał dach nad głową i koc na grzbiet, racje żywnościowe zostały wydzielone, zajęcia dla nudzących się rąk i głów wynalezione - Anaela postanowiła wyruszyć na rekonesans. Kto jak kto, ale ona miała prawo wiedzieć, co się poza Feri'aną dzieje.

Niewielki orszak wjechał w las porastający przełęcz między dwoma szczytami.

- To jedyna droga do Feri'any, czy WeddSa'ard może przejść przez góry i zaatakować od tyłu? - Anaela od początku podróży zasypywała kapitana gwardii tysiącami pytań.

- Przejść może i by mógł, to przecież szalenie, ale nie sforsuje jeziora.

- A jeżeli jednak?

- Jezioro jest - elf się zawahał, chcąc użyć odpowiedniego słowa - iluzją.

- To znaczy, że nie istnieje?! A ja miałam chęć popływać!

Kapitan spojrział na władczynię ze zdumieniem. Popływać? W TYM jeziorze?!

- Zaraz. To co jest między zamkiem a górami? - indagowała dalej.

- Pustka. Międzywymiar.

Anaela najpierw usiłowała to sobie wyobrazić, a potem pokiwała głową z uznaniem. No, no, umieścić twierdzę pośrodku nicości... to dopiero coś!

- A co by się stało, gdybym zanurzyła w jeziorze rękę? Albo nogę?

- Nie wiem, moja pani, nie próbowałem. I WeddSa'ard też nie będzie próbował. - Uśmiechnął się.

- Rozumiem, że ze Światem Światów łączy nas tylko ten most? - Elf potwierdził. - No to pięknie. Gdy WeddSa'ard zagoni nas do zamku, znajdziemy się w pułapce bez wyjścia.

- Ale po zniszczeniu mostu Feri'ana jest nie do zdobycia - zauważył oficer.

- Mało pocieszające. Zapasy wystarczą na...?

- ...trzy miesiące - głos Reikana, stojącego pośrodku drogi, którą jechali, rozbrzmiał tak niespodziewanie jak kiedyś, w Lesie Tysiąca. Anaela drgnęła przestraszona, kapitan natomiast zsalutował spokojnie, od początku drogi świadom, że są obserwowani przez zwiadowców, a księżę zostanie uprzedzony o ich przybyciu.

- Co potem? - zapytała Anaela, gdy siwy ogier Reikana zrównał się z Sarisem. - Co po tych trzech miesiącach, gdy skończy się woda i żywność?

- To już nie moje zmartwienie, Wasza Wysokość. Ja na pewno tej chwili nie dożyję - odparł Reikan.

Posłała mu zabójcze spojrzenie, co zniósł obojętnie. Wjechali między namioty rozstawione w niekończących się szeregach po obu stronach duktu.

- WeddSa'ard ma nad nami pięciokrotną przewagę. Moi ludzie będą walczyć do końca, ale...

- ...potrzebujemy sojuszników - wpadła mu w słowo. - Gdzie ich szukać?

- Ferrin nie ma sojuszników w tym Wymiarze - odparł Reikan z goryczą.

Znów stała przed czarnym kamieniem magicznych wrót. Znów miała udawać się nimi w nieznane. Odziana jak na władczynię przystało w strojną złotą suknię, z koroną zdobiącą lśniące kasztanowe włosy, czekała, aż Klucznik Nolandii, dawnej alderiańskiej prowincji należącej do Górali, otworzy przejście do ich stolicy - K'horu.

Widząc swe odbicie w powierzchni gładkiego kamienia, drgnęła niczym obudzona z długiego snu. Wyglądała jak niedospana, niedojedzona sierota, a nie jak władczyni Świata Elfów! Cholera albo „Dass'ratt” jak kto woli... Któraś ze służących podsunęła usłużnie czarce wypełnioną złotym pyłkiem. Anaela zmarszczyła brwi, po czym, wiedzona intuicją, nabrała szczyptę proszku i pstryknęła nad głową palcami. Złocista mgiełka na okamgnienie spowiła całą sylwetkę i już po chwili w miejscu Anaeli-Półtora-Nieszczęścia stała jej lepsza, udoskonalona iluzją wersja. No nieźle, nieźle. Nie miała czasu na dalszy samozachwyt, bo portal błękitnym błyskiem zaprosił ją do środka.

K'hor jako żywo przypominał Alderianę wbitą w ziemię do góry nogami. Tam - na powierzchni - im kto wyższą miał pozycję w ludzkiej hierarchii, tym wyżej mieszkał. Tutaj było dokładnie na odwrót: władca zajmował komnaty wykute na samym dole, do których z Komnaty Portalowej prowadziły niekończące się kręcone schody.

Po pokonaniu kilkunastu pięter Anaela straciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ujrzy światło dnia. Po następnych, że schody w ogóle dokądś wiodą. A jednak wiodły.

Kończyły się obszernym korytarzem prowadzącym do olbrzymich wierzei, które otworzyły się nagle same z siebie. Widać i Góralom nieobca była magia.

Anaela spodziewała się Sali Tronowej dorównującej wspaniałością i przepychem tej alderiańskiej, zastała natomiast kameralną jadalnię wypełnioną tłumem ludzików z brodami we wszystkich kolorach tęczy.

- Hej, lordzie Airen! Masz gościa! - krzyknął różowobrody tubalnym głosem do jegomościa zasiadającego przy suto zastawionym stole. Tamten machnął zachęcająco ociekającym sosem udkiem jakiegoś zwierzęcia w kierunku oniemiałej Anaeli.

- Hej, Leddi, przyłącz się do biesiady! - zahuczał.

- Hej, Airen, to już nie Leddi! - odkrzyknął ten, który ją przyprowadził. Porozumiewali się krzykiem, mimo że komnata była nieduża i wcale niegłośna. - To Władczynie Oferrminu!

Zebrani zarechotali. Anaela pochyliła głowę, by ukryć uśmiech, i tylko eskortujący ją gwardziści elfów jak jeden mąż zmrużyli wściekle oczy i zacisnęli szczęki.

- Hej, Wasza Wysokościowość, zapraszamy do stołu! Jak to mówią: na głodnego nawet Górol do niczego! - krzyknął lord Airen k'Hor, władca prowincji, wzbudzając kolejną falę wesołości. Odszturchnął siedzącego przy nim fioletowobrodego byłego ambasadora przy alderiańskim dworze, by Anaela mogła zająć miejsce u szczytu stołu.

Zawahała się. Wolalaby przeprowadzić negocjacje w jakimś zaciszniejszym gabinecie, nie przy wszystkich.

- Hej! Siadaj i jedz, Anaelo dell'Szkieletoarei, musimy cię nieco podtuczyć, nim zaczniemy negocjacje. Takaś wiotka, Nasza-Wasza, że możesz nie dożyć ich końca... Żartowałem! żartowałem! - Airen ze śmiechem uniósł ręce w obronnym geście, widząc, jak elfy na tę niewinną groźbę sięgają po miecze.

Anaela zmarszczyła brwi. Eskorta niechętnie odstąpiła. Airen nałożył Anaeli na talerz kopiastrą łychę ziemniaków, polał obficie gęstym, złotym sosem i rzucił na wierzch poleć mięsa.

- Teraz, wesoła kompanijo, zostawcie nas samych.

Górale wśród żartów i śmiechów podnieśli się z miejsc, kierując do wyjścia. Świta Anaeli zignorowała słowa lorda. Dopiero na jej nakazujące spojrzenie z ociąganiem ruszyli w ślad za Góralami.

- Obiecuję, że waszej władczynie ani jeden smoczy włos z głowy nie spadnie! - krzyknął za elfami Airen.

Okazało się, iż chrupiące, przypieczone ziemniaczki, maczane w złocistym sosie, jedzone palcami w towarzystwie Górala smakują tak samo, jeżeli nie lepiej, niż jedzone srebrnym widelcem w towarzystwie napuszonych Alderiańczyków. I wyniosłych elfów. A raczej smakowałyby, gdyby nie myśli krążące wokół jednego tematu. W końcu musiała nawiązać do celu swej wizyty.

- Wiesz, po co tu przybyłam, prawda?

- Hej, nie wpadłaś po sąsiedzku? - Dołożył ziemniaków i dołał sosu.

- Pomóż nam - powiedziała po prostu.

Spowaźniał.

- Górale nie pójdą walczyć za Ferrin.

Anaelę zdziwiła stanowczość w głosie lorda. Powiedziano jej, że Górale to najemnicy. Że ich zwerbowanie jest tylko kwestią ceny.

- Dobrze zapłacimy. - Ostrożnie zarzuciła haczyk, ale Airen pokręcił głową i powtórzył:

- Górale nie pójdą walczyć za Ferrin.

Odebrała tę odmowę jak uderzenie w twarz. Nadzieja na sojusz z walecznym ludem gór rozwiewała się w tajemniczych oparach dziejów. Wstała i wyciągnęła dłoń do Airena.

- Wprawdzie nie rozumiem, ale szanuję twoją decyzję, lordzie. Czy mam się spodziewać, że staniecie po stronie WeddSa'arda?

- To kwestia ceny. - Człowieczek wzruszył ramionami.

- Jest na tym świecie coś, czego nie można kupić?! - Nie potrafiła powstrzymać się od wybuchu.

- Jest, moja pani. - Góral się uśmiechnął. - Choćby... lojalność. - Poprowadził Anaelę do wyjścia.

- Czegoś nie wiem, prawda? Czegoś mi nie powiedziano? - Przytrzymała go za ramię.

Spojrzał na nią wzrokiem, jakiego nigdy by się nie spodziewała po tak dobroduszej istocie.

- Przez tysiąclecia staliśmy na straży ferrińskich granic. Za wierność i przelaną krew odplaciliście zdradą. Sprzedaliście nas Raskãrowi i Berenice. Oto dlaczego Górale nie staną u waszego boku. Nigdy więcej.

Doceniła, że odprowadził ją osobiście pod sam k'hordzki portal, pokonując razem z Anaela owe tysiące schodków, tym razem w górę.

Już miała przejść do Kyrenii, gdy zatrzymało ją:

- Aha, moja pani, dbaj o Reikana. To dobry dzieciak.

- Dobrze, Airen. - Znów miała wejść w portal, gdy powtórnie ją zatrzymał.

- Aha, moja pani, wiedz, że kyrie są głupie, wredne i nieobliczalne. A już Raskãr jest najgorszy. Uważaj na słowa, uważaj na siebie.

- Będę pamiętała, lordzie.

Zrobiła krok w przód i...

- Aha...

Parsknęła śmiechem.

- Jeżeli Reikan ci się znudzi, chętnie zajmę jego miejsce.

Tym razem nawet elfiej eskorcie przemknął po twarzy cień uśmiechu.

Portal, przez który Anaela weszła do Świata Smoków, był ogromny. Bądź co bądź przechodziły przezeń największe stworzenia Świata Światów. Wsparty na kolumnach wysadzanych szlachetnymi kamieniami i ociekających złotem miał oszałamiać i oszałamiał. Anaela uniosła głowę, by obejrzeć dokładnie magiczne wrota, ale kontemplację przerwało jej ostrzegawcze:

- Wasza Wysokość! - dowódcy gwardii.

No tak, miast zachwycać się portalem, powinna z godnością podążyć na spotkanie z Raskãrem. Odwróciła się na pięcie i zamarła. Byli otoczeni. Otoczeni przez demony prosto z piekieł. Kyrie.

Zmrużone gadzie oczy lśniąco żółcią wpatrywały się w Anaelę i garstkę elfów bynajmniej nieprzyjaźnie. Długie włosy ognistej barwy, rzeczywiście podobne do włosów Anaeli, lśniły w świetle pochodni. Szpony rozwierały się i zwierzały, jakby już czuły gardła ofiar. Skrzydłami - skórzastymi jak u wielkich nietoperzy - uderzały miarowo, burząc spokój myśli. Ciała - muskularne, prawie nagie, nie licząc przepaski na biodrach, pokryte drobną złotą łuską - gotowe były do ataku.

Jeden z kyrieich, przepasany czarną szarfą, wystąpił naprzód.

- Czego tu szukassie? - Rozdwojonemu językowi niesporo szło wypowiedanie spółgłosek.

- Więcej szacunku, gadzie - warknął kapitan.

Kyrie ryknął.

Przed nimi i nad nimi zaroilo się nagle od rozeźlonych demonów. Te, które stały w bocznych nawach, skoczyły ku przybyszom. Te, które drzemały na kamiennych półkach pod powałą, wzbily się w powietrze i krążąc nad głowami intruzów, czekały tylko na rozkaz, by roznieść ich na strzępy.

Tuzin elfów niewiele mógł zdziałać przeciw takiej potędze, mimo to jak jeden mąż wyjęli miecze, gotowi do walki.

Anaela szeroko otwartymi oczyma patrzyła na zbliżających się Ludzi-Smoków. Gdyby była normalna, w panice cofnęłaby się ku portalowi i ewakuowała przezeń choćby do Tartaru. Ona jednak nie była normalna. W jej oczach nie było przerażenia, tylko zachwyty. Smoki były najbardziej fascynującymi istotami w jej życiu.

Stanowczo usunęła z drogi chroniącego ją kapitana, by stanąć twarzą w twarz z demonem w pół ludzkiej i pół smoczej skórze. Wyprostowana jak struna, z godnie uniesioną głową zmierzyła kyriego surowym spojrzeniem.

- Jestem Anaela dell'Soll, Wielka Władczyni Ferrinu. Noszę szarfę ambasadora zapewniającą nietykalność. Kyrenia zawsze słynęła z gościnności. Czy dzisiaj złamię zasady?

Nie miała wprawdzie pojęcia, czy rzeczywiście kyrie hołdowali jakimkolwiek zasadom i czy należała do tychże gościnność, ale jej słowa spodobały się chyba demonowi.

- Kyrenia wita ambassadora i Władczynię Ferrinu. - Skłonił się nie za nisko. - W jakim csselu przybyłaś, pani?

- Proszę Jego Wysokość Raskāra o audiencję.

- Mój pan, Rassskār Sssmok, odpoczywa - odparł.

- Poczekam - odrzekła spokojnie.

Długie chwile walczyli na spojrzenia. Gdy wreszcie z ramion coraz bardziej zniecierpliwionej kobiety zaczęły spływać małe czerwone błyskawice, mrok panujący na końcu korytarza rozjaśniła kula ognia. Pomknęła ku niewidocznemu do tej pory żyrandolowi, rozpalając tkwiące w uchwytych setki świec. W sali pojaśniało nagle. Kyrie padły na kolana przed postacią, która wznosiła się na tronie z czarnego matowego kamienia.

- Zbliź się - tubalny baryton odbił się od ścian.

- Tylko jeżeli okażesz należne mi względy - odparła Anaela.

Przez moment panowała napięta cisza. Kyrenia zdawała się wstrzymywać oddech. Anaela widziała wpatrujące się w nią złote oczy i wytrzymała to spojrzenie.

- Od czasu Paktu Trojga, którym smoki i elfy zakończyli trwającą dwa wieki wojnę, żaden Ostrouchy nie śmiał postawić stopy na wolnej ziemi Kyrenii.

- Nie jestem Ostroucha - odrzekła Anaela.

Władca Smoków sprawiał oszałamiające wrażenie. O dwie głowy wyższy od najwyższego ze swych poddanych, o ciele pokrytym drobną, złotą łuską, odziany w bogato zdobione ciężkie od złota materie, stał wyprostowany i patrzył na Anaelę z góry. Płomienne włosy, misternie plecione, spływały niczym płaszcz do samej ziemi, czoło zdobił diadem - arcydzieło sztuki jubilerskiej.

Anaela, która przy nim zdawała się niepozorną wieśniaczką, nagle się uśmiechnęła.

- W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam ujrzeć kogoś tak wspaniałego, mój panie. - Skłoniła się nisko.

Raskār też się uśmiechnął, mile polechtany komplementem, i oddał ukłon.

- Przybywam prosić o wsparcie w wojnie z Sellinarisem WeddSa'ardem, który najechał ziemię Wolnego Ferrinu.

- Czemu miałbym wspierać odwiecznych wrogów? - zachnął się teatralnie.

- Wrogów? Myślałam, że od czasu Paktu Trojga jesteśmy sojusznikami.

Władca Kyrenii nie skomentował tych słów, zmieniając raptownie temat:

- Co dasz w zamian?

Anaela odetchnęła w duchu: był skłonny do negocjacji, a mógł od razu odmówić. Jak Airen k'Hor.

- Złoto?

Pokręcił głową.

- Mam własne.

- Tytanian? - zapytała ostrożnie. Odpowiedź była taka sama. - Żywność?

Na Bogów! Czemu nikt mi nie powiedział, czym kupić smoki?!

Kapitan gwardii pochylił się ku niej i szepnął jedno słowo, które Anaela powtórzyła na głos ze zdumieniem:

- Samice?! To smoki nie mają samic? - Przeniosła spojrzenie na Raskära.

- Mają. Uwięzione w lochach Feri'any od dwóch wieków.

Po jego dobitnych słowach zapadła wroga cisza: elfy patrzyły przed siebie, kyrie wściekłym wzrokiem mierzyły elfów. Widać było, że i jedni, i drudzy chętnie stanęliby do walki. Przeciwno sobie.

Anaela trzęsła się w duchu z oburzenia. Znów coś przed nią zatajono! Jak miała prowadzić negocjacje, nie znając kart przetargowych?! Czy Reikan łudził się nadzieją, że Airen i Raskär w przededniu walnej bitwy o Ferrin nie upomną się o swoje?

- Wystawię ci pięciuset najlepszych wojowników - zaproponował naraz Raskär.

Pięćset skrzydlatych demonów! Co za potęga! I jakaż kusząca propozycja...

- Poprowadzę ich osobiście - ciągnął Władca Smoków.

Kapitan gwardii rzucił mu ostre spojrzenie. Nie było w nim za grosz zaufania.

- Jeżeli uwolnisz samice, Wasza Miłość - zaszeptał do Anaeli - za parę lat będziemy mieć następną wojnę. Ze smokami.

Długo się wahała, stojąc przed Raskärem z opuszczoną głową. Ramiona, dotąd wyprostowane, opadły. Plecy się przygarbiły. Ferrin stanie jednak do walki sam.

- Przykro mi, Wasza Wysokość. - Pokręciła głową. - Nie mogę podejmować takiej decyzji bez porozumienia z Reikanem.

Człowiek-Smok wiedział, jaka będzie odpowiedź. To żądanie: uwolnij samice! - było jedynie prowokacją mającą złamać hart ducha Anaeli dell'Soll, on bowiem grał o znacznie wyższą stawkę...

- Rozumiem: Księżę Małżonek włada Ferrinem - odezwał się zwodniczo łagodnym głosem. - Ale mam inną propozycję.

Anaela uniosła smutne, zgaszone brakiem nadziei oczy.

- Dasz mi coś, co należy tylko do ciebie.

Te słowa obudziły czujność elfów z eskorty. Jedynym, co należało tylko i wyłącznie do Wielkiej Władczyni, było jej życie.

- Co masz na myśli? - zapytała wolno Anaela, dotykając odruchowo Amirinu.

- Pozwól za mną. Takich rozmów nie prowadzi się w obecności popędliwych gwardzistów. - Władca Smoków zapraszającym gestem wskazał drzwi znajdujące się tuż za tronem.

- Wasza Wysokość, nie zezwalam... - Kapitan stanął jej na drodze.

Raskār roześmiał się kpiąco.

- Masz złe mniemanie o Władczyni Ferrinu, żołnierzu, wątpiąc, czy poradzi sobie z jednym marnym półsmokiem. - Spojrzał wyzywająco złotymi oczyma na Anaelę.

Ta rzekła krótko:

- Poradzę sobie.

- Wasza Wysokość, to Raskār, nie byle smok! - Elf próbował jeszcze oponować.

Jednakże za nią już zamykały się ciężkie drzwi. Władca Smoków przeciągnął po nich dłonią. Na drewnie zapłonęły ogniste litery jego imienia:

Raskār

Anaela przyglądała się tym migoczącym zgłoskom z ciekawością. Już raz takie widziała: na drzwiach Bereniki.

- To pieczęć - odpowiedział na niezadane pytanie Człowiek-Smok. - Nie uczono cię nakładać pieczęci?

Pokręciła głową. Zmrużył oczy w uśmiechu.

- Jest niczym niezawodny zamek. Nikt go nie sforsuje. - Uniosła nań pytające spojrzenie. - Nikt nie otworzy tych drzwi, dopóki nie zdejmę pieczęci.

W tym momencie Anaela poczuła groźbę sytuacji. Była sama jedna w towarzystwie nieobliczalnej bestii i nikt nie mógł przyjść jej z pomocą, gdyby... Odeszła parę kroków. Z udawanym spokojem wzięła do ręki piękny puchar z kryształu.

- Miałaś dla mnie propozycję - przypomniała.

Spod drzwi, przy których stał w półmroku, nie dochodził żaden dźwięk. Człowiek-Smok przyglądał się brance. Mierzył jej sylwetkę centymetr po centymetrze, zatrzymując spojrzenie na cechach charakterystycznych dla rasy, z której się wywodziła: na pierwszy rzut oka ludzkiej rasy. Świadczyłyby o tym pięciopalczaste dłonie i okrągłe źrenice, ale już kształt oczu, smukłość ciała, jasna karnacja... No i te włosy!

- Ile masz lat?

Drgnęła, zaskoczona tym pytaniem.

- Dwadzieścia siedem.

Nie. Nie mogła znać tamtej. A jeśli jednak?

- Spotkałaś Amarillę dell'Soll?

Anaela już miała przytaknąć, gdy nagle nabrała podejrzeń. On zadawał za dużo pytań.

- Propozycja. Podaj cenę za pięć szwadronów kyrieich.

Zrobił krok do przodu. I drugi. I kolejny. Wychodził z cienia, a ona musiała unosić coraz wyżej głowę, by patrzeć mu w twarz, taki był potężny.

- A zdołasz ją zapłacić? - Obrzucił Anaelę z lekka pogardliwym spojrzeniem.

Wyprostowała się, uniosła podbródek.

- Przynajmniej spróbuję.

Raskār zatrzymał się dwa kroki przed nią. Jego silna, złota, na wpół ludzka, na wpół zwierzęca aura przeniknęła jej własną i Anaela poczuła nagle emocje, które szarpiały tym ni człowiekiem, ni smokiem. Ciekawość. To było pierwsze uczucie: całym jestestwem pragnął ją poznać. Nie, nie ją. Tajemnicę z nią związaną. Drugim była frustracja. Prawdopodobnie dlatego, że nie mógł tego uczynić. Trzecim zaś, które trzymał do tej pory na wodzy, było wściekłe, zwierzęce pożądanie. Aż się zachwiała, upuszczając puchar i łapiąc biurka.

- Nie... podchodź - wyszeptała, niezdolna unieść ręki i bronić siebie czerwienią energii. Raskār doskonale zdawał sobie z tego sprawę, zrobił następny krok. - Nie podchodź!

Odskoczyła w tył. Nabrała czerwieni, a gdy tamten zrobił kolejny krok - uderzyła. I oniemiała. Bez wysiłku odbił czerwoną błyskawicę łuskowatą dłonią. Anaela zrozumiała, o czym mówił kapitan: Raskār to nie byle smok. Władał Najwyższą Magią.

Uśmiechnął się, widząc narastającą panikę w oczach kobiety i już miał po nią ruszyć, gdy usłyszał za plecami stukot kopyt. Przez zapieczetowane, zamknięte drzwi przechodził... Saris.

Człowiek-Smok obrócił się na pięcie. W złotych oczach zapłonęła czysta nienawiść. Taka sama jak w szafirowym spojrzeniu Cienia.

- Co knujesz, Raskār?

- Nic, co dotyczy ciebie. To sprawa między mną a Władczynią Ferrinu. Pani? - Człowiek-Smok wyciągnął ku Anaeli dłoń i skinął rozkazująco.

Jak zahipnotyzowana ruszyła ku niemu. Zatrzymało ją:

- *Ani. Się. Waż!*

Cień drżał na całym ciele z ledwo hamowanej furii. Nigdy nie widziała go tak wzburzonym. Z pochyloną nisko głową, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w pierwszy węzeł, stał na szeroko rozstawionych nogach i... trzął się cały. Podrzucił nagle głowę. Wpadł między nich. Uderzył kopytami w pierś Raskāra, aż ten się zachwiał.

- *Nie dostaniesz tego, po co wyciągasz szpony. Nie będzie smoczej krwi na ferrińskim tronie. Precz!!!* - Pchnął.

Człowiek-Smok zatoczył się w tył. Zgrzytnął zębami. Sięgnął po miecz. Anaela jęknęła, przytykając dłoń do ust, ale ani

Raskār, ani Saris tego nie widzieli. Zdawało się, że w całej Kyrenii są tylko oni dwaj: Władca Smoków i Władca Cieni.

- *Jeśli ja, to i ty* - wycedził Saris, podstawiając szyję pod ostrze. - *Chcesz, to tnij.*

- Nie! - Anaela próbowała ruszyć Cieniowi z pomocą, ale zatrzymało ją ramię Raskāra. Szarpnęła się, widząc, jak sztych miecza tnie skórę Sarisa. - *Dostaniesz wszystko, czego zażądasz! Zrobisz ze mną, co chcesz, tylko zostaw go!*

Jednorożec zwrócił się ku niej z jadowitą ironią w szafirowych oczach.

- *Moja mała naiwna Anaelo. Nie domyślasz się, czego zapagnęła ta bestia?*

I nagle zrozumiała. Zachwiała się jak od uderzenia. Zmierzyła z niedowierzaniem Człowieka-Smoka od stóp do głów, przez sekundę zatrzymując wzrok na uwypuklającym spodnie monstrualnym przyrodzeniu. Aż ją zatkało. I zemdlilo z obrzydzenia.

Słabnąc, chwyciła się grzywy Cienia.

- *Masz odpowiedź, Raskār.*

Władca Smoków powoli opuścił miecz.

- *Otwórz drzwi. Natychmiast*

Człowiek-Smok wysyczał przekleństwo.

- *Sam je sobie otwórz.*

Saris pchnął Anaelę w stronę wyjścia. Uderzyła ramieniem we framugę. Wsparła się o drzwi. Oprzytomniała. Przed jej oczami płonęły zgłoski smoczego imienia.

- *Zetrzyj to. Po prostu zetrzyj!* - nakazał Saris.

Niepewnie przeciągnęła dłonią po ognistych literach. Znikły. Cień obejrzał się na Raskãra, mrużąc oczy w złośliwym uśmiechu, po czym naparł na drzwi. Odskoczyły gwałtownie. Gwardziści natychmiast otoczyli Anaelę.

Już miała ruszyć za Sarisem ku portalowi powrotnemu, gdy zatrzymały ją słowa Władcy Smoków:

- Wesprę was, skoro oboje stoicie po tej samej stronie.

Saris spojrział na niego z politowaniem.

- *Stoimy po naszej stronie, a ty jak zwykle po swojej.*

- Wesprę was - powtórzył Raskãr, jakby nie słyszał gryzącej ironii w słowach Cienia. - Jako zapłatę przyjmę niewolników - zwrócił się do otumanionej Anaeli. - Silnych, sprawnych niewolników do sprząwania, polowania, usługiwania mnie i moim synom. Oddasz jeńców wojennych.

- N-nie mogę tego uczynić - zająknęła się.

Sama myśl o chwytaniu ludzi, by oddawać ich w kyrieńską niewolę, jakąkolwiek niewolę, była Anaeli wstrętą.

Raskãr przez chwilę to zaciskał, to rozwierał szpony, by wreszcie pohamować gniew.

- Wezmę tych, których pochwyca moi wojownicy. Tylko tych.

Gwardziści zaszeptali między sobą gorączkowo. To doskonała propozycja, czemu Władczyni się waha? Gad chce jedynie jeńców, Darrakijczyków!

Anaela spojrzała bezradnie na Sarisa, ale temu wydawało się to obojętne.

- Szwadron kyrieich może wyrządzić większe szkody niż pięć szwadronów konnicy. Nawet elfiej - kusił Raskãr.

Kapitan syknął półgłosem:

- Chce się wślizgnąć na pole bitwy.

- I tak się tam znajdę. - Władca Smoków przeniósł na niego złote spojrzenie. - Jeżeli nie po stronie Ferrinu, to Darrakii.

To ultimatum ostatecznie przekonało Anaelę.

- Dobrze więc - rzekła wreszcie, choć Bóg jeden wie, ile ją ta zgoda kosztowała. - Dostaniesz tych, których sam upolujesz. Oprócz rannych - dodała szybko.

- Zgoda. Przypieczętujemy pakt.

Władca Smoków wyciągnął do niej dłoń. Kapitan syknął ostrzegawczo, Anaela jednak, nie zważając na to, podała Raskãrowi swoją. Człowiek-Smok ujął ją, odwrócił wnętrzem do góry i patrząc ciekawie w twarz kobiety, przeciągnął pazurem po skórze na tyle głęboko, by pokazała się krew. W pierwszym odruchu Anaela musiała się skrzywić - bądź co bądź nikt jej

nie uprzedzał o pacce podpisywanym własną krwią - ale już po chwili zapanowała nad bólem. Teraz ona odwróciła rękę Raskãra i naznaczyła na niej krwawą pręgę swoim sztyletem, nie tak dawno naostrzonym. Człowiek-Smok się uśmiechnął. Anaela odwzajemniła uśmiech.

Dłonie połączyły się w krótkim uścisku.

Krew ludzka zmieszała się ze smoczą.

Rozdział XIII

OSTATNI DUSZOBÓJCA

Długa kolumna wojsk wyruszyła z obozu tuż przed świtem. Szli na północ, ku nadciągającej armii WeddSa'arda, na pierwszą i ostatnią bitwą, jaką Ferrin wytoczył Wielkiemu Mistrzowi. Wiedzieli, że muszą wygrać, jeśli ich świat ma istnieć. Wiedzieli, że walczą nie o ziemię, a o symbol - symbol wszystkiego, co najukochańsze i najpiękniejsze. Wiedzieli, że wraz z przegraną stracą nie tylko życie - ktoś chciałby zresztą żyć w Tartarze, gdzie WeddSa'ard obiecał zesłać pokonanych - ale stracą to, czego przez tysiąclecia nikt nie śmiał im odebrać: godność.

Reikan obejrzał się przez ramię. Jego ludzie podążali w karnych, doskonale równych szeregach. Nawet konie stawiały krok za krokiem jak na paradzie.

Dadzą z siebie wszystko - przemknęło dowódcy przez myśl, mimo to w głębi duszy czuł, że prowadzi żołnierzy na rzeź. Odwracając głowę, napotkał spojrzenie złotozielonych oczu.

- Dadzą z siebie wszystko. - Anaela uśmiechnęła się do księcia. Ten uśmiech, który miał być krzepiący, tylko Reikana zirytował.

- Czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka? - Słowa te wypowiadał wielokrotnie podczas tego marszu. - W czasie bitwy będę zajęty dowodzeniem, a nie ochroną twojej cennej osoby!

- W wygranej ci nie przeszkodzę, a jeśli mamy przegrać... - Wzruszyła ramionami. - Co to za różnica, czy WeddSa'ard ukatrupi mnie dzisiejszego ranka, czy parę dni później, gdy zdobędzie zamek?

- Taka, Wasza Wysokość, że dopóki żyjesz, dopóty jest nadzieja.

- Na co?

- Jeżeli WeddSa'ard wygra, będziesz potrzebna naszym ludziom - warknął w odpowiedzi. Bogowie! Już tyle razy przerabiali ten temat! - Ktoś musi dowodzić obroną Feri'any!

- Reikanie, spójrz na mnie, jesteś pewien, że tym kimś mam być ja?

- Tylko ty...

Nagle zamieszanie na tyłach kazało Reikanowi przerwać i zjechać na bok. Anaela uczyniła to samo. Konny w mundurze gwardii zamkowej przedzierał się w kierunku czoła kolumny. Przed nim siedziała...

- Kassandro! Miałaś zostać w Feri'anie! - wykrzyknęła Anaela.

Saris, ostatnimi czasy dziwnie milczący, posłał jej spojrzenie mówiące: *Ty też!*

Dziewczynka nie zareagowała na ostry ton głosu ukochanej pani. Zdawała się zasluchana w głos szepcący jakieś prawdy z głębi trzewi.

Anaela potrząsnęła nią za ramię i nagle mała wbiła wzrok w jej twarz: czerwone tęczy i nienaturalnie rozszerzone źrenice wypełniały niemal całe białka oczu, co nadawało dziecku wygląd Duszobójcy.

- Gwiazda Ferrinu zajdzie na zachodzie i nie wzejdzie ponownie... - zaczęła wolno Cassandra. - Prządka sięgnie po troje, odda dwoje. Bogowie grają znacznymi kartami. Zawróć, póki czas.

Anaela zsunęła się z grzbietu Sarisa i chwyciła małą w objęcia. Wieszcza oprzytomniała. Utkwiła w Anaeli zszokowane spojrzenie i nagle, obejmując ją za szyję chudymi rączkami, wybuchnęła płaczem.

- Pani Anaelo, nie chcę stracić i ciebie! Jesteś moją jedyną rodziną!

Anaela pokręciła głową.

- Wróć, malutka. - Ucałowała zalane łzami policzki, przytuliła dziecko raz jeszcze i oddała w ręce elfa eskortującego Kassandrę.

Patrzyła za odjeżdżającymi długą chwilę, nim przeniosła spojrzenie na Reikana, który z trudem hamował gniew. Uśmiechnęła się raz jeszcze, choć oczy jej zwilgotniały.

- Wróć.

Wyjechali na rozległą równinę, gdzie stał WeddSa'ard ze swą armią. Dwadzieścia tysięcy konnych i czterdzieści tysięcy spieszonych trwało w oczekiwaniu. Doskonale zdyscyplinowane szeregi odzianych na czarno wojowników wzbudziły popłoch w niejednym elfim sercu.

Reikan i Anaela zjechali z drogi wojownikom Ferrinu, kierując się ku wzgórzu sztabowemu - tam oczekiwał jedyny sojusznik, którego udało się Anaeli zjednać. I do którego nie miała za grosz zaufania.

Raskār zmrużył gadzie oczy w czymś, co miało być powitalnym uśmiechem.

- Czy elfom zawsze tak spieszno do bitwy? - zadrwił, mierząc spojrzeniem mijające ich równym stępem oddziały.

- Gdzie kyrie? - Książę nie dał się sprowokować.

- Dobrze ukryte. Zostaną podane na deser. A co tu robi nasza urocza władczyni? - Człowiek-Smok zwrócił się ku Anaeli.

- Nie mogłam się oprzeć pokusie, by nie ujrzeć cię w walce, Raskârze. - Kobieta zajrzała półsmokowi głęboko w złociste oczy. - Będę śledziła każdy twój ruch.

- Oddziały są gotowe. Na co czekasz, panie?

- Nie ruszymy, póki choć jeden ferriński pułk będzie tkwił w lesie - odparł WeddSa'ard.

- Ależ panie, nie czas teraz na honorowe pierdoły! - Vervain po raz pierwszy nie krył swego rozdrażnienia. Był podniecony niczym rekin czujący zapach krwi i nie panował nad sobą. - Nasze siły zmiażdżą Ostrouchych, nim tamci zajmą pozycje!

- „Honorowe pierdoły”? - Śmiech Sellinarisa przemknął niczym lawina przez stojących wokół żołnierzy i zmroził ich do szpiku kości. - Głupcze! Nie ruszymy, dopóki każdy z poddanych mego brata i tej wiedźmy, każdy: od piechura po generała, nie zrozumie, z jaką potęgą przyjdzie mu walczyć. A teraz precz mi z oczu! - Nie patrząc na Szarą Bestię, Sellinaris wbił ostrogi w bok karego wierzchowca i wjechał na szczyt wzniesienia, skąd mógł ogarnąć wzrokiem swą armię.

Miał z czego być dumny. Oto bowiem morze czarnowłosych głów otaczało go ze wszystkich stron. W promieniach wstających słońc migotały blaskiem niezliczone szeregi piechoty, której nakazano zająć pozycje w centrum darrakijskich sił. Kolejne rzędy zbrojnych wyglądały stąd jak pionki na szachownicy w grze, którą WeddSa'ard miał właśnie dokończyć.

Najbardziej wysunięte pozycje zajęła lekkozbrojna piechota. Dalej szereg łuczników i kuszników i oddziały ciężko zbrojnych. Skrzydła czarnej armii, złożone z doskonale wyszkolonej konnicy, były wysunięte nieco naprzód: miały za zadanie okrążyć ferrińskie siły i zamknąć je w śmiertelnym uścisku.

Sellinaris przeniósł ukontentowane spojrzenie na Wilczych Zwiadowców, których mundur sam nosił, rozlokowanych wokół wzgórza sztabowego. Te cztery doborowe oddziały same jedne były w stanie rozstrzygnąć każdą bitwę.

Szwadrony elfów wyjeżdżały lekkim klusem na porośniętą zielonymi trawami równinę. Zajmowały swe pozycje bez pośpiechu, trzymając szyk. Szereg za szeregiem stawały naprzeciw pięciokrotnie przewyższających ich liczebnością najeźdźców.

Mimo zbrojnej przewagi wroga nie byli bez szans: mieli broń, której tamci zostali pozbawieni - miłość do ziemi, o którą przyszło elfom walczyć. Ta miłość sprawiała, że w oczach Darrakijczyków nie było zwykłej buty i pewności siebie. Pewny był tylko on - WeddSa'ard.

Gdy z lasu wynurzyła się ariergarda elfiej armii, gdy już każdy z ferrińskich poddanych ujrzał, z jaką potęgą przyjdzie im się zmierzyć, Sellinaris uniósł dłoń i dał rozkaz do ataku.

Anaela stojąca obok pochylonego nad prowizorycznym stołem mapowym Reikana dostrzegła ruch w formacjach przeciwnika. Najpierw oba skrzydła kawalerii, a potem cała wroga armia ruszyła powoli swe cielsko niczym hydra o dziesiątkach głów.

- Zaczęło się! - krzyknęła do Reikana.

Elf popatrzył na nią udręczonym wzrokiem wodza, który ma świadomość, że wysyła swych poddanych w zimne objęcia śmierci, i wycodził:

- Niech Primea będzie z nami...

Niekończące się minuty czekał, mierząc zmrużonymi oczyma gotowe do ataku oddziały elfów. Nagle rzucił:

- Teraz!

Adiutant chwycił w dłonie śnieżnobiałego sokoła i wypuścił go w błękitne niebo. Ptak wzbił się ponad chmury, by po kilku uderzeniach serca sfrunąć w dół. Zakrzyczał przeraźliwie. Na ten sygnał ukryta w lasach konnica ruszyła...

WeddSa'ard z okrutnym półuśmieszkiem patrzył, jak jego misternie opracowany plan właśnie się realizuje. Szeregi darrakijskiej piechoty szybko zaczęły ustępować pola elitarnym jednostkom elfiej jazdy. To jednak stanowiło część planów Władcy Darrakii: pozorny odwrót głównych sił, przy jednoczesnym obustronnym oskrzydleniu, miał wpędzić ferrińskie wojska w pułapkę bez wyjścia.

Oto macki konnych legionów za chwilę otoczą garstkę przeciwników, a wtedy zacznie się rzeź, która krwią przypieczętuje zmiany na akcie własności Ferrinu. Jeszcze chwila, niech jeszcze Reikan nacieszy się pozornym zwycięstwem. Niech stępi ono czujność ferrińskich dowódców. Jeszcze chwila. Jeszcze. Teraz! W poszarzałe od dymów niebo poszybowała kula ognia: na ten sygnał darrakijaska piechota cofnęła się w udawanej panice, pociągając za sobą atakujących ją elfów. Pułapka się zatrzasnęła.

Kawaleria atakująca tyły Darrakijczyków wyjechała właśnie na otwartą przestrzeń. Jeźdźcy nie musieli poganiać koni, które same puściły się w cwał. Przed nimi majaczyły sylwetki czarnoarmistów. Konni na rozkaz dowódcy pułku wyciągnęli miecze, gotowi spaść na zaskoczoną ofiarę i wgryźć się jej w kark, gdy...

Kusznicy, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, zmiotli pierwszy szereg nacierających. Nie bawili się w dokładne celowanie, tu liczyły się ułamki sekund. Cofnęli się błyskawicznie i znów spod ziemi, z wykopanego i zamaskowanego rowu wyskoczyli następni, trzymając w rękach gotową do użytku broń. Kolejna salwa grubych na kciuk pocisków i kolejny szereg elfiej konnicy poszedł w rozsypkę.

Ale ta niespodzianka była do przewidzenia, następna zaś już nie. Kusznicy odrzucili kusze, po czym jak jeden mąż... Nie mąż! - kusznikami okazały się kobiety, alderiańskie czarodziejki! Wszystkie wyciągnęły przed siebie dłonie. W mgnieniu oka przestrzeń wypełniła się błękitną mgłą, która stała się jednym długim portalem. Taki był zamiar WeddSa'arda: pochwycić pięć tysięcy konnych w błękitne sidła i wysłać ich, Saetin jeden wie gdzie.

- Co się...?! - Dłoń Reikana trzymająca lunetę opadła bezwładnie. - Zatrzymaj ich, Sorell! Zatrzymaj i zawróć!

Nikt inny oprócz elfa i jego konia nie zdołałby uczynić tego, czego w tym momencie dokonali podkomendni Sorella. Wyciągnięte w cwale wierzchowce zrobiły nieprawdopodobnie ostry zwrot, długi szereg pękł na pół, ominął zasadzkę i wbił się po obu stronach trzymających portal czarodziejek w mrowie nieprzygotowanej na ten atak piechoty. WeddSa'ard skrzywił się lekko.

Reikan wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze. Palce zaciśnięte kurczowo na lunecie się rozwarły. Mało brakowało, a Ferrin zapłaciłby straszliwą cenę za błąd dowódcy. Jeszcze chwila, a najlepsza kompania jego armii przestałaby istnieć.

Powrócił spojrzeniem na pole walki, ponownie wstrzymując oddech. Z wysokiego pagórka panorama roztaczała się jak na dłoni. Skrzydła przeciwnika obejmowały niczym ramiona matki armię obrońców, mając za zadanie okrążyć ją i zmiażdżyć.

Kompania Sorella, która przed chwilą cudem uniknęła zagłady w portalach donikąd, właśnie odcinała te ramiona.

Nieśmiała nadzieja wykielkowała w sercu Reikana. Przypomniały mu się słowa Anaeli: „Dadzą z siebie wszystko”. I dawali, na bogów! Nie bacząc na pięciokrotną przewagę czarnej armii, nie bacząc na ogniste kule energii ciskane przez czarodziejki, nie tracąc głowy na

widok ogromnych opancerzonych wież, miażdżących na swej drodze wszystko, co żyje, żołnierze elfów walczyli o Ferrin.

Reikan, sam pragnąc przyłączyć się do walczących, wahał się przed wypuszczeniem ostatniego posłańca, patrząc tam, gdzie za wzgórzem czekali przyczajeni Ludzie-Smoki. To oni rozstrzygną o losie Ferrinu. To oni przeważą szalę bitwy na jedną ze stron. Czy może złożyć swój los w szponiaste łapy kyriech?

Zielone oczy elfa napotkały złote źrenice Raskāra i w tym momencie Reikan wiedział już, że to koniec.

Raskār, pod postacią smoka, z lubością wciągnął przesycone krwią i żółcią powietrze. To był dzień triumfu. Także jego triumfu.

Smakował przez chwilę rozdwojonym językiem słodką gorycz władzy. Oto dwaj bracia - Reikan i Sellinaris - rzućni na przeciwne szalki wagi śledzili każdy jego ruch, każdy skręt szyi, każde machnięcie skrzydłami. To w jego, Raskāra, potężnych szponach spoczywał los tych dwojga. - I tej trzeciej.

- Anaelo dell'Soll! - tubalny głos dobiegający z góry sprawił, że obie walczące armie zamarzyły na kilka uderzeń serca. - Jedynym, czym można kupić smoki, są... nasze samice! Nasze piękne samice więzione w lochach Feri'any od dwóch wieków! Precz z Ferrinem!

Pięć setek kyriech zatoczyło koło nad oddziałami WeddSa'arda i z rykiem runęło ku armii Reikana.

- Boże, co ja zrobiłam! - wyszeptała Anaela.

Książę, nie odrywając wzroku od pikującego ku nim Raskāra, sięgnął po łuk, z nienaturalnym spokojem naciągnął cięciwę, wymierzył uważnie i ze słowami:

- Tego się spodziewałem - wypuścił strzałę. Tylko jedną. Prosto w złotą źrenicę zdrajcy.

I trafiłby, gdyby w ostatniej chwili nie odepchnął go... Saris.

Strzała śmignęła tuż obok głowy smoka. Ten syknął, wyciągnął przed siebie szpony, celując w rosnącą z każdą chwilą sylwetkę w białej sukni. To ona - Anaela - była celem Raskāra w tej wojnie. Już po nią sięgał, już ją miał, gdy czarny jednorożec skoczył między niego a ofiarę.

Smok zrobił gwałtowny zwrot. Nawrócił.

Reikan wycelował powtórnie.

I Cień znów go odepchnął.

Książę zaklął.

Raskār zasyczał wściekle.

Oglądając się raz po raz na Anaelę, wzbił się w niebo, minął wzgórze sztabowe, uformował z kyrieich szyk i z furją uderzył w ferrińską jazdę...

- Miecze w dłoń, panowie. - Reikan sięgnął po swój oręż. Oficerowie poszli w jego ślady.
- Umrzemy na ziemi wolnego Ferrinu. To jakieś pocieszenie. - Zaśmiał się.

Anaela spoglądała nań jak na szaleńca, ale w oczach księcia nie było obłędu. Był spokój dowódcy, który zrobił wszystko, co w jego mocy, by ocalić swój kraj, a teraz chce umrzeć razem ze swymi ludźmi. Reikan wskoczył na konia i w tym momencie napotkał szafirowe oczy Cienia.

- Tobie, Saris - wymierzył w niego sztych - nigdy tego nie zapomnę.

Anaela obronnym gestem objęła jednorożca. Już ruszali, gdy krzyknęła za Reikanem:

- A ja? Co ze mną?!

Księżę obejrzał się przez ramię, a potem wraził jej w serce słowa:

- Ty dobij rannych i uciekaj do Feri'any. Albo oddaj się WeddSa'ardowi już teraz.

Skrwawione strzępy armii cofnęły się do zamku. Pole niedawnej bitwy spowiła cisza, która po zgiełku walki aż kłuła w uszy. Ślady kopyt, którymi zryta była ziemia, wypełniała krew obrońców i najeźdźców.

Sellinaris w przypływie dobrego humoru cofnął swe oddziały na odległość strzału z kuszy i teraz, ponownie ze szczytu wzgórza, obserwował snujących się tam w dole, oszołomionych porażką elfów. Miał czas. Miał dużo czasu. Feri'any nie trzeba było brać szturmem. Wystarczyło poczekać, aż oblężonym skończą się zapasy żywności i wody. A wszelkie zapasy muszą się kiedyś skończyć. Patrzył z ukontentowaniem na pewną zdobycz, gdy poczuł za sobą czyjąś obecność.

- Żyjesz? - zapytał, nie odwracając się.

- Twój brat kiepsko strzela - odrzekł Raskâr.

- Mój brat strzela znakomicie. Trafi w źrenicę smoka. Chyba że przeszkodzi mu w tym pewien Cień.

- Zawsze możesz spróbować ty.

- Wiesz, że nie mogę. - WeddSa'ard zwrócił się ku niemu. - Saris zapewnia ci nietykalność. Ale tylko tobie. Jeszcze dziś zbierzesz swoich bękartów, którzy właśnie kradną i gwałcą, miast karnie wznosić wieże oblężnicze, i odleczysz na północ.

- A jeżeli nie? - rzucił butnie Człowiek-Smok.

- Dołączysz do swoich samic w ferri'ńskich lochach - odrzekł Sellinaris, natychmiast gasząc tę butę.

- Przrzekłeś je uwolnić!

- Nie po tym, czego zażądałeś od dell'Idarei. - WeddSa'ard pokręcił głową. - Smoczyce nadal będą zakładniczkami. Twoje dopełnienie do nich dołączy.

- Nie zrobisz tego! - wykrzyknął z wściekłością Władca Smoków.

- Przekonamy się?

- Chodź ze mną. - Reikan zacisnął dłoń na ramieniu Anaeli i siłą odciągnął ją od rannego.

- Przestań robić sceny, zaraz tu wrócisz - syknął, gdy zaczęła się opierać.

- Oby to było coś ważniejszego niż ludzkie życie - odwarknęła kobieta, oddając bandażę Kassandrze, i z ociąganiem ruszyła za księciem.

Mijała leżących pokotem żołnierzy, patrząc pod nogi, by się o kogoś nie potknąć. Kiedyś, za czasów Cambrii, czy potem Saskii, byłaby zapewne wstrząśnięta tym ogromem nieszczęścia i cierpienia. Żaden Reikan nie stanąłby między Leczącą a potrzebującym pomocy. Do wszystkiego można się było jednak przyzwyczaić.

- Dokąd mnie ciagniesz? - warknęła, gdy stanęli przed schodami prowadzącymi do lochów. - Smoczyce będziesz mi pokazywał? Nieco za późno!

Coraz bardziej zniecierpliwiona podążała za milczącym Reikanem. Pochodnia rzucała wokół niespokojne refleksy. Zatrzymał się nagle przed kamienną ścianą. Z rozpędu wpadła na niego, a on objął ją odruchowo w pól. Odsunęli się od siebie równie zmieszani tą niechcianą bliskością.

- To jedyna droga ucieczki z zamku. - Dotknął dłonią gładkiego kamienia. - Znana tylko rodzinie dell'Soll: mnie, tobie i... jemu. Daj rękę. - Pociągnął Anaelę do siebie, przyłożył jej dłoń do kamienia. - Gdy nadejdzie koniec, uciekaj razem z dzieckiem. Nie próbuj ratować nikogo innego, bo portal jest bardzo nietrwały, przepuści tylko was dwie. - Pełen napięcia głos Reikana, głucha cisza podziemi, migoczący płomień pochodni, a przede wszystkim narastająca groza nieuniknionej sprawy, że włosy uniosły się Anaeli na karku. - Pamiętaj o jednym: WeddSa'ard również zna ten portal, już raz się nim wymknął. Może na was czekać po drugiej stronie.

- Co wtedy? - Anaela ledwo wydobyła z siebie głos.

- Przepuść Kassandrę przodem.

W pierwszym momencie nie zrozumiała, w drugim brała zamach, by uderzyć księcia w twarz, ale bez wysiłku chwycił ją za nadgarstek.

- Liczy się tylko Ferrin, co? - prychnęła z bezgraniczną pogardą.

- Ferrin to ty - odparował zimno.

Przyjrzała się ustom zaciśniętym w wąską kreskę, wynędzniałej twarzy i zielonym oczom, w których nie było nic oprócz rozpacz i beznadziei, i nagle cała furia spłynęła, pozostawiając miejsce żalowi.

- Gdzie się podziała ta miłość, z jaką jeszcze niedawno na mnie patrzyłeś? - szepnęła.

Spojrzał gdzieś za nią.

- Czas i brak nadziei wyleczą z każdej miłości.

- Mylisz się. - Pokręciła głową. - Nie z każdej. - W nagłym przypiływie czułości dotknęła koniuszkami palców jego policzka. - Muszę wracać do rannych. - Odwróciła się i odeszła, nim zdążył przytrzymać jej dłoń.

Skonana oparła się o gładką, chłodną ścianę zamku. Przytknęła do piekących oczu wierzch dłoni, nie bacząc, że zostawia na twarzy ślady krwi.

- To był ostatni. - Cassandra odprowadziła wzrokiem starej kobiety wynoszonego przez służące elfa spowitego w bandaż i szarą mgłę. - Umrze? - zapytała bez emocji.

- Umrze - przytaknęła Anaela. Ona również nie potrafiła się zdobyć na współczucie czy żal. Zbyt wielu skołało jej dzisiaj na rękach. - Bardzo mi pomogłaś. - Z trudem uniosła dłoń, by pogłodzić dziewczynkę po włosach. - A teraz biegnij do łóżka. Ja muszę rozmówić się jeszcze z małżonkiem.

Odnalazła Reikana w sali, do której przeniesiono ostatnich rannych: spał jak wszyscy inni, wprost na podłodze, przykryty przez jakąś litościwą duszę zakurzonym kocem. Wycofała się na palcach niezauważona. Teraz albo nigdy.

Z tłukącym w piersi sercem, ściskając w rękach pochodnię, ruszyła w głąb feri'ańskich lochów ku ukrytemu portalowi. Ostrożnie zbiegła po schodach i... z trudem stłumiła okrzyk przerażenia. Coś, a raczej ktoś stojący pośrodku wąskiego korytarza uniemożliwił przejście.

- *Dokąd się wybierasz o tej porze?* - usłyszała głos Cienia.

- Pooddychać świeżym powietrzem. Przepuść mnie - odparła zmieszana. I zła.

- *Świeże powietrze to raczej w odwrotnym kierunku* - zauważył. - *Wymykasz się jak szczur z płonącego okrętu?*

- A chcesz w łeb?! - Gwałtownie uniosła zaciśniętą pięść i to był jej błąd. W tym momencie peleryna zsunęła się jej z ramion i oczom Sarisa ukazała się szczupła kibić jego pani odzianej w zwiewną, półprzezroczystą, mocno wydekoltowaną, jednym słowem: wyzywającą złotą suknię.

- *Spacer pod gwiazdami w tym... czymś?* - zapytał, otwierając szeroko szafirowe oczy.

- Jezu! Jakiś ty namolny! - wykrzyknęła ze złością, która miała ukryć palący wstyd. - Zamierzam wyblagać u WeddSa'arda wolność dla Eleuzisa. Reikan się poddał, a ja nie jestem w stanie walczyć samotnie, w ogóle nie potrafię walczyć. Sellinaris zaś ma tylko jedną słabość...

- *Ciebie? I ty, ty! chcesz mu się sprzedać?!*

- Za życie Eleuzisa?! Owszem! - Anaela była na progu wytrzymałości. Czy ten głupi koń tego nie rozumie?! Nie rozumie, jakim brzemieniem jest dla niej odpowiedzialność za cholerny Ferrin?!

- *Takie było jego przeznaczenie! A twoim jest zgładzić WeddSa'arda, a nie go uwodzić! Chyba że lubisz...*

Gdyby był człowiekiem, dałaby mu w pysk! Na odlew! Z trudem się opanowała. Bądź co bądź Saris usiłował ją chronić, nie obrażać.

- Przepowiednia mówi: „Gdy Słońce wróci, skąd nie ma dróg”. Eleuzis nosi przydomek dell'Soll...

- *Ty również* - wpadł jej w słowo. - *Roisz sobie, że za jedną noc w twych ramionach Sellinaris odda ci najbardziej zniechęconego wroga?*

- Liczę na więcej - rzekła, spuszczać głowę.

- *Więcej nocy?* - W głosie Sarisa zabrzmiał szyderczy śmiech, bo wiedział, jak Anaela na to pytanie zareaguje. Nie pomylił się. Znow uniosła pięść. I zaraz opuściła.

- Pragnę nakłonić WeddSa'arda, by odstąpił od Feri'any. By pozwolił naszym ludziom odejść wolno - odrzekła po chwili. - Pod wodzą Eleuzisa. Ja zostanę w zamian.

- *Pochlebiasz sobie, myśląc, że Sellinaris czuje do ciebie aż taką słabość.*

Uniosła głowę i rzekła twardo:

- Władam elfią magią. Sprawię, iż poczuje.

Saris zamilkł, zawiedziony, zraniony, zdradzony.

Czy naprawdę użyłabyś metod godnych Bereniki, by osiągnąć cel? - pytały szafirowe oczy. Długo mierzyli się wzrokiem. Anaela otuliła się peleryną i rzekła cicho:

- Albo jesteś ze mną, albo przeciw mnie, przyjacielu.

- *Od pierwszej chwili, gdy postawiłaś stopą na tej ziemi, byłem z tobą.*

- Wiem, Saris. - Oparła głowę o szyję Cienia.

Ten powziął nagle decyzję:

- *Sellinaris nigdy nie odda ani Eleuzisa, ani Feri'any. Nawet tobie. Ty próbuj negocjować rozejm, bez uciekania się do elfiej magii, a ja udam się do Tartaru, odnajdą Eleuzisa i sprowadzą go z powrotem.*

- Sprowadzisz Eleuzisa do Feri'any? - upewniła się.

- *Tak. O ile będzie żył.*

- O ile będzie żył - powtórzyła, pieczętując układ. Nie zdawała sobie sprawy, że brak blokady chroniącej do niedawna Ferrin znaczył jedno: Eleuzis nie żył lub, co gorsza, stał się jednym z Duszebójców.

A Saris nie zamierzał jej tego uświadamiać.

Czarny portal otworzył się tuż przed nimi. W ciszę nocy wpełzła jękliwa pieśń szarych bestii. Kołysząc się na boki, cierpliwie czekały na kolejną ofiarę.

Srebrna gwiazdka na czole Sarisa rozbłysła, roztaczając nad nim ochronną aurę. Znak Anaeli zapulsował tak silnie, aż zabolalo. I nagle straciła wiarę w to, co ona i on mieli uczynić.

Nie idź tam! - chciała krzyknąć. Eleuzis jest stracony, Feri'ana także. Uciekajmy! Ratujmy chociaż siebie! Ukryjemy się w najdalszym zakątku Świata Światów, tam gdzie nikt nas nie odnajdzie, nikt nie będzie szukał, ale nie mogła wydobyć głosu. Zatkaną usta dłońmi i szeroko rozwartymi oczyma patrzyła to na Sarisa, to na Duszebójców. Czowała całą sobą, że traci Cienia na zawsze.

Saris już miał wejść w czerń, gdy nagle się zatrzymał.

- *Coś za coś, Anaelo.*

- Wszystko, czego zażadasz.

- *Ocal go.*

Anaela opuściła powoli rękę.

- *Ocal go* - powtórzył.

Nie musiała pytać, kogo Saris kocha tak bardzo, by poświęcać mu swą ostatnią myśl.

Portal był krótki. Ledwie Anaela weń weszła, już zajaśniał przed nią błękit wyjścia. Przez opadającą mgiełkę widziała ciemne sylwetki drzew na tle nocnego nieba.

Widziała też jego. Stał nieruchomo naprzeciw Anaeli i wbijał w nią rekinie oczy.

- Wyciągnij ręce, muszę cię zwięzać.

- Jestem parlamentariuszem! - Podetknęła Szarej Bestii pod nos czerwoną szarfę.

Jednym ruchem zdarł z jej piersi jedwabną materię.

- Już nie.

W odpowiedzi podniosła dłoń wypełnioną wściekle czerwoną energią. O tak, w błyskawicznym zbieraniu mocy była dobra. Bardzo dobra. Pochylił głowę w niechętnym uznaniu. Nie spuszczać wzroku z Szarej Bestii, cofnęła się w zbawczy błękit portalu.

- Poczekaj!

Stała.

Vervain w wyciągniętej ręce trzymał purpurową szarfę.

- W imieniu mego pana gwarantuję ci nietykalność.

Dosiadł konia i wyciągnął do kobiety rękę. Odtrąciła ją.

- Już raz z tobą jechałam. Albo ty, albo ja.

Sycząc przekleństwa, zeskoczył na ziemię. Nigdy nikogo bardziej nie nienawdził niż tej kurwy.

Już odjeżdżała, gdy dogonił ją głos Szarej Bestii:

- Ta mała, którą przysłałaś po Joysella, w Saskii. Pamiętasz? - Anaela odwróciła się gwałtownie. Mirella! Czy to COŚ mówiło o Mirelli?! - Ostra była. Musiałem przerznąć ją niemal na wylot, by przestała się bronić. - Młasnął oblesnie językiem. - I co teraz? Zabijesz mnie? - zarechotał, widząc wyraz twarzy kobiety.

W pierwszym odruchu rzeczywiście chciała zeskoczyć z konia, nabrać Złej Mocy i chlasnąć to ścierwo po oczach, lecz nagle... zrozumiała. Powoli zsunęła się na ziemię i stanęła z Szarą Bestią twarzą w twarz.

Po raz pierwszy mogła przyjrzeć się Vervainowi uważnie: zmienione okrucieństwem Sellinarisowe rysy twarzy, martwe migdałokształtne oczy, wypełnione czernią aż po białkówkę, sine usta, z których wyrывało się od czasu do czasu jęklive, wznoszące się i opadające zawodzenie. Miała przed sobą... Duszobójcę. Pasożyta, który zasiedlał ciało Sellinarisa i jakimś cudem wyrwał się na wolność. Pulsowanie złotej gwiazdki potwierdziło to przypuszczenie.

W tej chwili pojęła także, że to z nim, z Vervainem, a nie z Sellinarisem, przyjdzie się jej zmierzyć w ostatecznej rozgrywce. To Vervain, a nie Sellinaris jest nieszczęściem tego świata. I jej nieszczęściem. To przed Szarą Bestią ma uratować Ferrin, samą siebie i...

Ocal go. - Tak przyrzekała.

Czas Przepowiedni się zbliżał. Ale jeszcze nie nadszedł.

Znów stała naprzeciw WeddSa'arda, znosząc utkwione w niej czarne oczy.

- Przybyłam negocjować warunki rozejmu.

Gdzieś na dnie tych oczu błysnął niepokojący płomień.

- Teraz, gdy mam Ferrin w garści?

- Doskonale wiesz, że Feri'any nigdy nie zdobędziesz.

Wzruszył lekko ramionami.

- Kwestia czasu.

- Reikan spali zamek. Jego mieszkańcy rzucają się w otchłań Międzywymiaru. Rozewrzesz palce i okaże się, że garść jest pusta. Tego chcesz? - zapytała cicho.

- Właśnie tego. - Zaśmiał się. Ten śmiech powinien przyprawić Anaelę o zgrozę, może rozgniewać, ale ona czuła tylko smutek.

- Jak możesz być taki okrutny? Czemu tak ci zależy na zagładzie najpiękniejszego ze światów?

- Wasza Wysokość, proszę... - WeddSa'ard skrzywił się zde gustowany.

- Wiem, że mścisz się za wyrządzone krzywdy. Być może masz do tego prawo. - Twarz władcy stężała, co wystarczyło za odpowiedź. - Wszyscy popełniamy błędy - ciągnęła miękko, widząc po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia tej potyczki błysk ludzkich uczuć w oczach Sellinarisa. - Mądrzy i wielkoduszni potrafią wybaczać.

- Nazwij mnie zatem głupim i małodusznym, pani, wiedz jednak, że głęboko zranisz tym moje serce. - Przyłożył dłoń do piersi i skłonił się teatralnie, po czym podszedł do stołu. Od niechcienia uniósł do oczu plik dokumentów, jakby zaraz miał zacząć je czytać, nie przejmując się obecnością Anaeli. Lecz nie zakończył rozmowy. Czekał.

- Podaj cenę. - Czy to rzeczywiście ona powiedziała? Czy padły w końcu te słowa, na które obydwójce, tak, tak, obydwójce, czekali?

Podniósł powoli wzrok.

- A jesteś gotowa na nią przystać?

Milczała.

Obszedł biurko i stanął tuż przed nią. Uderzył ją słodko-cierpki zapach perfum, woń spalenizny i jakichś ziół. Cofnęła się. Aura Sellinarisa wnika ją w jej aurę przyciągała ją i jednocześnie odpychała.

Zsunął z ramion kobiety pelerynę. Cmoknął z udawanym uznaniem na widok niewiele ukrywającej sukni z cieniutkiego, złotego szyfonu. Anaela gniewnym ruchem odepchnęła jego dłoń.

- Jaka jest twoja odpowiedź? - indagował niezrażony. - Oddasz siebie za Ferrin, moja śliczna?

- A jak myślisz, po co tu jestem? - zapytała spokojnie. Nienaturalnie spokojnie. - Masz mnie w garści. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

- Ooch... - wymruczał, biorąc jej twarz w dłoń. - Łamanie oporu nie sprawia mi takiej przyjemności jak łamanie woli. Mogłem już dawno wziąć gwałtem twoje ciało, moja pani, wołałem poczekać, aż przyjdiesz do mnie sama, z własnej woli, zadając gwałt swojej duszy.

- Przyszłam, jak widzisz. - Cofnęła się o krok, mimowolnie przecząc swoim słowom.

- Nie wystarczy przyjść, musisz mnie jeszcze uwieść.

- To... sam mnie sobie nie weźmiesz? - zająknęła się.

- Nie, moja droga, nie jestem padlinożercą. - Zdecydowanym ruchem naciągnął na ramiona Anaeli pelerynę i zawiązał pod brodą jej troczki. - Musiałabyś wykazać się dużym entuzjazmem, bym w nagrodę oddał ci ten piękny zameczek i jego nie mniej ślicznych mieszkańców.

- Wykażę się. - Podniosła głowę, patrząc hardo w czarne, błyszczące oczy, zerwała z ramion pelerynę i odrzuciła ją na bok.

- No to dobiliśmy targu! - Podszedł do łóżka i rozparł się wygodnie, patrząc na Anaelę z wyczekiwaniem.

Usiłując powstrzymać drżenie rąk, rozpiniała guziczki sukni. Z kąta namiotu, gdzie stało łóżko, nie dochodził żaden dźwięk, wiedziała jednak, że WeddSa'ard przewierca ją spojrzeniem.

Gniew, pałący gniew, i wstyd, tak, wstyd przed samą sobą, wyparły smutek i współczucie, z jakim tu przyszła. „Dobiliśmy targu!”, jak on śmiał?! Jak śmiało to bydlę?! Kupił ją niczym handlarz końmi! A ty? Ty jesteś taka święta? Przecież przyszłaś tu z własnej woli. Chciałaś tego, prawda? Chciałam ocalić pieprzony Ferrin! Och, proszę, nie okłamuj sama siebie. Przyszłaś tu, by zaznać rozkoszy w ramionach ukochanego, o którym marzyłaś skrycie od pierwszej chwili, gdy go ujrzałaś. Oddasz mu się teraz z rozkoszą, oczywiście pod płaszczykiem poświęcenia dla wyższej sprawy, w przeciwnym razie byłaby to pospolita zdrada.

Zdjęła sygnet Reikana i położyła na stoliku.

WeddSa'ard nie jest moim ukochanym! Ja go nienawidzę! Czyżby? To czemu w łądzwiach rozlewa się fala gorąca? Czemu twoje ciało płonie pożądaniem? Nie, masz rację, to nie jest miłość, ty tylko pragniesz tego mężczyzny, pragniesz go do obłędu. Od pierwszego spojrzenia, od pierwszego dotyku. Mylisz się, kocham go. Czy to grzech kochać? Tak, kochać JEGO to grzech. A gdyby... gdyby i on mnie pokochał? I zechciał się zmienić? Czy wtedy miłość do niego też byłaby grzechem? Naiwna, naiwna dziewczynko.

Pochlebiasz sobie, myśląc, że czuje do ciebie aż taką słabość. „Sprawię, iż poczuje”.

Jeżeli grzechem jest kochać i pragnąć, dzisiaj zgrzeszę!

Suknia opadła na ziemię. Anaela podniosła na Sellinarisa oczy i zrobiła krok w jego stronę. Wstał, chłonąc nagą postać rozpalonym spojrzeniem, po czym wziął ją na ręce i delikatnie złożył na pachnącym ferrińską łąką posłaniu.

Odwróciła głowę, by nie widział łez zastygłych w kącikach oczu. On miał jednak w swym życiu zbyt wiele kobiet, by się tych łez nie domyślił.

Gwałtownym ruchem podetknął kobiecie butelkę z nalewką i rzucił sucho:

- Pij!

Śniła.

Ciało to unosiło się, to opadało. Fala za falą. Góra, dół. Rozpostarła śnieżnobiałe skrzydła i wzbijała ponad rozkołysane morze. W dali ujrzała mężczyznę siedzącego przy stole skleconym z paru desek. Z nagich, muskularnych ramion spływały aż do ziemi skrzydła o lśniących czernią lotkach.

Trzymając w zaciśniętych palcach pióro, sprawiał wrażenie zajętego pisaniem, ale... nie. Przeczyły temu napięte ramiona, sztywne plecy i wzrok wbity w ścianę. Czekał.

W jedno uderzenie serca znalazła się tuż za nim. Dotknęła jego karku i wsunęła palce w krucze włosy. Mimowolnie odchylił głowę w tył. Palce wciąż ścisnęły pióro. Stosina trzasnęła cicho.

Jednym płynnym ruchem odwrócił się, wstał i - obejmując ją czarnymi skrzydłami - wzleciał w górę. Płomień świecy zamigotał. Przyłgnęła do mężczyzny całym spragnionym ciałem. Zadrzała. Nie ze strachu, że rozewrze skrzydła i ją upuści. Nie. Bała się. Tak strasznie się bała, że ten płomień, trawiący teraz ich dwoje, zgaśnie tak nagle, jak rozgorzał. Że jedno słowo tego mężczyzny, jeden gest i... płomień zgaśnie. Nie teraz! Nie teraz, gdy cię trzymam ze wszystkich sił!

Zacisnął ramiona na jej kibici, otulił skrzydłami. Złożył oboje, niczym podwójną ofiarę, na rozkołysanym posłaniu. Skrył twarz w jej włosach. Na policzku poczuła jego łzę. Zwolnił uścisk.

- Nie! Trzymaj mnie! - Śmiertelny strach, że zaraz spadnie na krwawiącą ziemię, sama, znów sama, bez niego, odbierał zmysły. Gdyby tylko potrafiła, wtopiłaby się weń, żeby w końcu byli jednością. By nikt nie mógł rozdzielić ich na dwie połowy; by on, Sellinaris, nie mógł ich rozdzielić. Ani jednym słowem. Ani jednym gestem.

Zamknął jej usta pocałunkiem tak żarliwym, tak namiętym, że straciła dech. Odpływała w falującą czerń, pociągając go za sobą. Objęła jego biodra udami. Uderzenia serca, coraz szybsze i szybsze, pulsująca w żyłach krew i dwa płonące ciała, stapiające się w tym żarze -

fala po fali - w jedną całość. Ona odziana w suknię, on w spodniach. Nagość nie była im potrzebna. Warstwy materiału nie stanowiły przeszkody dla dwóch jaźni przeznaczonych sobie od zawsze.

Unosili się wciąż wyżej i wyżej. Rozgwieżdżone niebo spływało wodospadami iskier dookoła nich. Pęd odbierał zmysły. W tej samej sekundzie wzbili się na sam szczyt nieskończoności, tam gdzie czekało spełnienie.

Chwycił jej twarz w obie dłonie.

- Powiedz to! - Dwa słowa, pierwsze od początku snu, wyrwały się z gardła mężczyzny. -
Powiedz!

- Kocham cię, Sellinarisie.

Runęli w przepaść.

Nad Feria'ną wstawał świt.

Sellinaris stał w progu namiotu wpatrzony w unoszący się na falach mgieł zamek.

Odda go jej. Już postanowił. Złoży Feri'anę u stóp Anaeli za te trzy słowa, które minionej nocy powtórzyła wielokrotnie. W dowód swojej miłości, zamiast słów, których on nie potrafił wypowiedzieć, odda Anaeli - i sobie - wolność.

On sam odejdzie. Zawróci z drogi zemsty. Wezwie Sarisa i ruszą znów razem: Wybrany i jego Cień - może do Nienazwanego? - by nauczyć się na nowo żyć.

Nie była to nieprzyjemna myśl.

Wrócił do namiotu i uśmiechnął się lekko, widząc pogrążoną we śnie Anaełę, a ten uśmiech, w którym po raz pierwszy od powrotu z Tartaru jako Władca Duszbójców nie było ani ironii, ani cynizmu, zdjął z twarzy Sellinarisa lata gorzkości i nienawiści. Wyciągnął dłoń, by pogłodzić śpiącą słodko kobietę po policzku.

Uśmiech znikł tak nagle, jak się pojawił. Mężczyzna uniósł głowę, a potem wyprostował się i znieruchomiał, całym sobą chłonąc narastającą grozę. Coś nadciągało. Krzyk. Wydarty z tysięcy piersi krzyk rozpacz.

Cios spadł na Sellinarisa tak nagle, że ten padł z jękiem na ziemię i zwinął się w pól. Ból rozrywający klatkę piersiową był straszny. Mężczyzna trwał bez ruchu, nie mogąc zaczerpnąć powietrza.

Na ziemi Tartaru umierał czarny jednorożec: Cień o imieniu Saris, którego ułamany róg przebijał Eleuzisa Duszbójcę konającego obok w konwulsjach.

WeddSa'ard z trudem uniósł się na klęczki i wspierając na słupie podtrzymującym płótno, wstał. Omdlewającymi dłońmi otworzył czarny portal i zniknął w jego otwartej paszczy.

Szara breja wyciekała z wnętrzości nosiciela, który jeszcze niedawno był Wielkim Władcą Ferrinu. Mieszała się z opalizującą srebrem krwią Sarisa, płynącą nieprzerwanym strumieniem z miejsca po ułamany rogu.

Sellinaris odtrącił ciało ojca, nie poświęcając mu ani jednej myśli, i chwycił ciężącą ku ziemi głowę Cienia. Ukrył twarz w lepkiej od krwi grzywie. Nagimi plecami wstrząsał szloch.

Zaklinał Cienia na wszystko, przyrzekał oddać cały Ferrin, cały świat, wszystko, co kochał i co nienawdził, by tylko zatrzymać Brata-W-Mocy po tej stronie. Miotał złorzeczenia, błagał, a potem znów kłął, bo Saris nie mógł spełnić prośby swego pana. Obietnice padły za późno.

- Pozwól odejść za tobą - wychrypiał w końcu przez łyży.

- *Nie wolno ci, Sellinarisie.* - Głos Sarisa nawet w ostatnich sekundach jego życia był pełen miłości. - *Pamiętasz? Albo ty, albo sługa Saetina. Wytrwaj.*

Cień zgasł.

Odszedł Ostatni Jednorożec.

Po ostatniej istocie o czystym sercu pozostała srebrna mgła, która przez parę chwil rozjaśniała mrok Tartaru. A potem mgła się rozwiązała.

Miejsce po Sellinarisie było puste. Stwierdziła to z żalem tuż po przebudzeniu.

Żal szybko mijał, tak jak mijało odurzenie wywołane nalewką. Wyostrzały się zmysły, powracała pamięć. I wstyd. Pałący wstyd. Ona, ta, co nie zdradza, właśnie cudzołożyła. Oddała się dobrowolnie, chętnie - och, bardzo chętnie! - wrogowi, najeźdźcy, mordercy. Przyrzekała, że zostanie z nim - owym wrogiem - na zawsze. Po wielekroć wyznała mu miłość i przyjmowała miłość od niego. Boże... Przypomniała sobie ten sen nie sen, którym pozwoliła temu mężczyźnie przełamać wszelkie hamulce i blokady, które do tej pory ją ograniczały. I to, co robiła, gdy minęło pierwsze omdlenie z rozkoszy, on uwolnił siebie i ją z okowów materii, a ona, żeby zaspokoić głód trawiący lędźwie. Nie, to nie mogła być ona! Co za wstyd. Uciekać! I zapomnieć. Uniosła się na łokciu. Dookoła panowała cisza i pustka.

Wzrok Anaeli powędrował na stertę ubrań i zatrzymał się na Amarecie - Czarnym Sercu Ferrinu, medalionie WeddSa'arda. Wytrzeźwiała momentalnie, a mózg rozpoczął pracę. To o

tym klejnocie mówiła Przepowiednia: „...gdy serce białe z czarnym się połączy”! Wystarczy złączyć Amareth z Amirinem i koniec wojny, Ferrin ocalony, a ona... wolna.

Ujęła Amareth w dwa palce. Zadrżał jak żywa istota. Przyłożyła klejnot rewersem do Amirinu, który miała na szyi. Zaciśnęła powieki i... I czekała na jakiś spektakularny popis najwyższej magii. Na próżno.

Rozczarowana otworzyła oczy, napotyając... spojrzenie Sellinarisa. Stał w progu namiotu, uśmiechając się kpiąco.

- I co? Nie zadziałało?

Pokręciła wolno głową.

Jednym skokiem był przy niej. Chwyił ją za ramiona, zaciskając palce tak silnie, jakby chciał na ciele kobiety odcisnąć piętno swych dłoni.

- Może teraz mi powiesz, czyj to był pomysł?! Kto kazał omamić mnie pięknymi słówkami i pięknym ciałem?! Kto kazał uśpić moją czujność, byś mogła dorwać się do medalionu?! Twój czy księcia małżonka?! - W głosie WeddSa'arda nie było gniewu, który Anaela może próbowałaby ułagodzić: była w nim zimna mordercza furia.

- Reikan prędzej by mnie zabił, niż pozwolił skalać twoim dotykiem! - krzyknęła, ale słaby był to krzyk.

- Oddałaś mi się! Przyszłaś sama, nieprzymuszona! Tylko po to, by zdradzić! By knuć przeciw mnie jak reszta! - puścił ją. - Jak cała parszywa reszta tego świata.

Odwrócił się z odrazą, ona zaś trzęsącymi się rękami zaczęła wkładać suknię. Bogowie wiedzą, jak Sellinaris umyśli sobie ją ukarać. Co ją podkusiło, by bawić się medalionami?! Ratuj się, moja kochana, uciekaj, póki twój kochanek ogłuszony jest twoją zdradą! A misja, z którą tu przybyła? Chrzanić misję! Jedynie cholerny urok mógłby ją uratować. Gdyby tylko potrafiła skorzystać ze słynnej elfiej magii! Złamać WeddSa'arda chorą miłością, tak by pełzał u jej stóp, i wtedy zażądać...

- Wracaj do swoich, Anaelo - rzekł nagle, podając jej szarfę posła. - Masz przecież gwarancję nietykalności.

Wstała na miękkich nogach, jeszcze nie wierząc w swoje szczęście.

- Pozwalasz mi odejść?

Przytaknął.

- Dziękuję. Wierzyłam w ciebie.

Nieśmiało podeszła doń, dotknęła koniuszkami palców policzka mężczyzny, ten zaś objął ją w pole. Wtuliła się weń, łkając w duszy z nagłej ulgi, a on odgarnął płomienne włosy i

pocałował zagłębienie między szyją a obojczykiem. Na szczęście dla siebie Anaela nie widziała wyrazu jego twarzy.

Sellinaris, całując kochankę, wzrok miał utkwiony w kimś, kto właśnie stanął na progu, a którego sam parę chwil wcześniej mentalnie wezwał. Teraz, unosząc kącik ust w czymś, co miało być uśmiechem, rzekł:

- Zacieśniamy przyjaźń darrakijsko-ferrińską. Przyłączysz się, Shanon?

Anaela odwróciła się ze zduszonym:

- Nie! - I nagle czas runął do przodu.

Oficer ni to z jękiem, ni szlochem chwyta za miecz. WeddSa'ard w tym samym momencie sięga po swój. Anaela chce się wyrwać, ale Wielki Mistrz trzyma ją w żelaznym uścisku, zasłaniając się kobietą niczym żywą tarczą przed atakującym Shanonem. Miecze połyskują złowrogo w świetle pochodni jak oczy uwolnionej bestii. Klingi jęczą niczym żywe stworzenia, wgryzając się jedna w drugą. Cięcie. Amre pada na kolana, zasłaniając dłońmi rozplataną twarz. Anaela chce wyrwać się do niego, ale WeddSa'ard nie zwalnia uścisku. Wbijając koniec klingi w krtań oficera, nakazuje mu wstać.

- To jeszcze nie koniec.

Amre podnosi się chwiejnie. Krew zalewa błyszczące nienawiścią oczy. Ociera ją niecierpliwym ruchem dłoni. WeddSa'ard odrzuca miecz, by wyciągnąć zza pasa... srebrzysty róg, zboczony zaschniętą krwią. Oczy Amrego ogromnieją i pojawia się w nich nagle zrozumienie.

Sellinaris ujmuje dłoń kobiety i zaciska bezwładne palce na tępych końcu srebrzystej broni.

- Posłałaś na śmierć jedynego przyjaciela, który mi pozostał - szepcze Anaeli do ucha. - Tak, tak, to róg Sarisa, Ostatniego Jednoroźca, którym na twoje polecenie zgładził przekłętą po tysiącokroć Eleuzisa Duszobójcę. Odebrałaś mi ostatnią nadzieję na ocalenie duszy. Przez twoją głupotę mój Saris nie żyje i teraz śmiercią t w o j e g o przyjaciela, jedyne, jaki t o b i e pozostał, zapłacisz za jego śmierć.

I uderza wprost w pierś Amrego, a ten pada bez jęku w objęcia Anaeli. Ona krzyczy, a może wydaje jej się tylko, że krzyczy, bo całe ciało krzyczy z bólu. Razem z umierającym osuwa się na lepkie od krwi klepisko. Oczy Amrego wpatrzone w jej twarz gasną nieubłaganie.

Prządka śmieje się piskliwie:

- Tego, którego mi ukradłaś, sama oddasz w moje ręce.

I zamierający szept Amrego:

- Powiedz, że mnie kochasz.

I słowa, które padają za późno:

- Kocham cię, Amre.

Anaela podniosła się z klęczek, stając twarzą w twarz z Sellinarisem.

Był przygotowany na atak nienawiści, stek wyzwisk, uderzenie w twarz. Ale nie na to, co miało nastąpić.

Ujęła dłonie mężczyzny i zwróciła wnętrzem ku górze. Przez chwilę oboje wpatrywali się, jak zahipnotyzowani, w opalizującą srebrem czerwień.

- Może to ja wysłałam Sarisa na śmierć - rzekła cicho, unosząc wzrok. - Ale to ty masz jego krew na rękach. - Złożyła dłonie Sellinarisa jak do modlitwy. - Żyj z tym.

Minęła go, ruszając do wyjścia.

- Poczekaj! - wydusił wbrew sobie.

Zatrzymała się również wbrew sobie.

Dotknął jej policzka. Ona spojrzała nań oczami pełnymi łez.

- Panie mój... - Słowa Vervaina, który pojawił się w tym momencie, omiatając rekinim wzrokiem Anaelę i Sellinarisa, zniweczyły ostatnią szansę dla tych dwojga. Czar prysł. Przez twarz Szarej Bestii przemknął uśmiech satysfakcji.

WeddSa'ard zaklął.

- Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać!

- Ferrin przysłał posła.

- Niech czeka!

- Wybacz, panie, ale uznałem, że powinieneś się z nim rozmówić. - Arcymag stał w progu, patrząc Sellinarisowi prosto w twarz.

WeddSa'ard z początku nie wierzył w to, co słyszy. Ta kreatura, to nic! uznała, że on, Wielki Władca, coś powinien?!

- Zapominasz się, Vervain - wycodził.

- Ty również, WeddSa'ardzie. - rzucił tamten wyzywająco.

Sellinaris stanął jak wryty.

Anaela zamarła.

Przestrzeń nagle zaniknęła się wokół nich. Świat zewnętrzny przestał istnieć. Powietrze tak zgęstniało, że Anaela nie mogła zaczerpnąć tchu. Moc potężniejsza od wszystkiego, czego doświadczyła w tym świecie, zatoczyła krąg, łącząc pana i sługę w jedną istotę. Jaźń Vervaina, znalazłszy słaby punkt w pancerzu skuwającym do tej pory serce WeddSa'arda,

powoli i bezlitośnie brała w posiadanie ciało, umysł i... duszę Wielkiego Mistrza, a Anaela czuła, jakby to przez jej ciało, umysł i duszę ta Moc miała się do Sellinarisa wedrzeć.

Wydawało się, że upłynęły wieki, nim Sellinaris wyciągnął dłoń, zacisnął ją na gardle Szarej Bestii i wychrypiał z nieczłowieckim wysiłkiem:

- Jeszcze... nie... czas. - Po czym cisnął Duszbójcą o klepisko.

Stał przez kilka uderzeń serca wsparty o słup, dysząc ciężko, a gdy wyrównał oddech, przeniósł pełne nienawiści spojrzenie z Vervaina na Anaelę, zarzucił na ramiona kurtkę czarnego munduru, przypasał Czarny Tytanian Amrego i wyszedł wysłuchać posła, którego przysłał Ferrin.

Mimo wszystko Vervain miał rację. Z tym posłem należało się rozmówić tu i teraz. Reikan odrzucił kaptur.

- Przybyłem po żonę - rzekł krótko.

Na twarz Sellinarisa wypełził leniwy uśmiech.

- Nie wiem, czy zechce z tobą wrócić - strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek. - Tak jej dogodziłem, że dotąd lka ze szczęścia.

Reikan sięgnął po miecz.

- Skończmy to raz na zawsze. Bracie.

WeddSa'ard okrążył przeciwnika, mierząc go uważnym spojrzeniem. Minęły dwa wieki, odkąd ostatni raz skrzyżowali ostrza. Nagle zaatakował. Reikan zręcznie sparował uderzenie i wyprowadził swoje. Minęli się w półpiruecie i uderzyli jednocześnie: od góry. Poprawili z dołu. Odskoczyli. Sellinaris zaatakował powtórnie. Ciął na odlew z prawej do lewej. Reikan uchylił się i ostrze trafiło w próżnię. Natychmiast zaatakował od dołu. Sellinaris odskoczył, ale koniec miecza dosięgnął go i ranił w udo. Syknął i przeszedł do kontrataku. Płaskie cięcie z półokręgu, potem szybki cios z dołu, sparowany przez przeciwnika. Miecze jęknęły. Zaiskrzyło. Mężczyźni odskoczyli od siebie, by w mgnieniu oka zewrzeć się w kolejnym starciu. Sellinaris uderzył błyskawicznie, markując cios z prawej, ale w ostatniej chwili ciął dołem. Reikan bezbłędnie wyczuł zamiar atakującego - sparował i znowu odskoczyli od siebie. Szli po półkolu, niemal rysując po ziemi ostrzami nisko opuszczonych mieczy.

Sellinaris ponownie zaatakował pierwszy, po przekątnej. Reikan sparował. Wyprowadził kontrę. Ten przejął ją bez wysiłku. Jego miecz znowu spadł na elfa jak jastrząb na ofiarę. Kolejny cios, po nim następny. WeddSa'ard uderzał szybko i silnie, nie zostawiając bratu nawet sekundy na złapanie oddechu.

Widać było, że Władca Darrakii jest coraz bardziej wściekły, bo jego kolejne pchnięcia nie tylko nie zasługiwały na miano śmiertelnych, ale nawet nie drasnęły Reikana. Ten zaś oszczędnym ruchem nadgarstka sparował kolejny sztych, nie wyprowadzając jednak swojego pchnięcia. WeddSa'ard ciął wściekle od góry, Reikan wykonał kolejny unik. Gdy szykował się do riposty, tamten przerzucił miecz z prawej dłoni do lewej i zaatakował. Reikan sparował, po czym ciął błyskawicznie, po raz drugi sięgając celu. Nagły ból wgrzyzający się w prawy bark uderzył w WeddSa'arda jak grom.

Warknął i w jednym jedynym ciosie zogniskował całą swoją wściekłość, bezsilność i nienawiść, które tłumił przez dwieście lat. Siła tego uderzenia zwała Reikana z nóg. Padł na wznak, upuszczając oręż z wywichniętej ręki. Sellinaris uniósł obiema rękami miecz, by dobić bezbronnego.

- To twój brat!!!

Krzyk Anaeli sprawił, że WeddSa'ard zawahał się. Opuścił klingę i wbił sztych w gardło Reikana, nakazując mu wstać:

- Zabiję cię na stojąco, aby być świadkiem twego powolnego osuwania się na kolana.

Oddali sobie spóźniony salut, podnieśli miecze do ostatecznego uderzenia i wtedy...

...czas zatrzymał się.

Anaela zamrugała zapuchniętymi od płaczu powiekami, patrząc na znieruchomiałe sylwetki walczących. Podeszła bliżej, nie wierząc w to, co widzi. Zastygli z podniesionymi do ciosu mieczami; oczy wpatrzone były w przeciwnika, żywe, ale zarazem martwe. Dotknęła ramienia Reikana. Było ciepłe, lecz twarde jak kamień.

Oszalałam doszczętnie! - pomyślała i ta myśl przyniosła jej ulgę. To koniec. Koniec męki. Zwariowała i zaraz obudzi się w szpitalu psychiatrycznym, jeżeli takie w Ferrinie istnieją.

Narastający dźwięk, którego na początku nie usłyszała, począł domagać się jej uwagi. Dźwięk milionów werbli i dzwoneczków... Jasność spłynęła tuż przed Anaelę i jej oczom ukazały się dwie istoty.

- Umarłam? - zapytała niepewnie. Jedna z istot roześmiała się perliście.

- Nie. Jeszcze nie. Czy domyślasz się, kim jesteśmy?

Anaela otarła załzawione oczy, przyglądając się tym dwojgu. Całe ciało nieznajomej opalizowało. W twarzy wyrzeźbionej dłutem arcymistrza dominowały wielkie, sarnie oczy.

Smukłą, białą dłoń, utkaną ze światła, trzymała w ręku mężczyzny, który przyglądał się Anaeli z równą uwagą w zimnych, bezdennych źrenicach. To nieludzkie spojrzenie zmroziło Anaelę, jednocześnie zaś sprawiło, że odrzuciła strach i poczuła wściekłość. Nie wściekłość: furię - lodowatą jak jego oczy.

- Och, zapewne tutejszymi bożkami. - Z przyjemnością patrzyła, jak się zachnęli na to bluźnierstwo. - Pogrywającymi każdym, kto w tym świecie może dostarczyć wam rozrywki, a mną przy okazji. Bawi was to?

- Owszem, bawi - odparł Saetin. - Bawią wasze maluczkie miłości i nienawiści. Bawią nieudolne próby uniknięcia przeznaczenia. Bawią zmagania z nami, z nami! w Wielkiej Grze. Ty zaś bawisz nas najbardziej swoją wiarą, uporem i naiwnością. To był dobry wybór, Primeo. - Skłonił się Bogini, ona zaś oddała ukłon.

- Karmicie się naszym cierpieniem, bezduszne marionetki ludzkiej wyobraźni! - krzyknęła Anaela, doprowadzona niemal do szaleństwa tą jawną kpina. - Amre, Mirella, Joysell, Arliss! Saris, mój Saris. Tyle śmierci, tyle krwi! Dlaczego, dlaczego jesteście tacy okrutni? - krzyk przeszedł w szept.

- Okrutni? Raczej znudzeni - odparła Primea.

- To zagrajcie w pokera!

- Ciągłe jakieś gry. A wynik jest zawsze ten sam - westchnęła teatralnie Bogini. - Tylko ludzkie serca są do końca nieprzewidywalne, twoje zaś najbardziej. Nie jesteś ciekawa, jak skończy się TA gra?

Anaela pokręciła głową, niezdolna wymówić ani słowa.

- Nawet jeśli wynik cię nie interesuje, skoro zaczęłaś, musisz dokończyć. Twoim zadaniem jest przytrzymanie miecza Reikana, zginie on wtedy z ręki WeddSa'arda. - Primea wskazała na znieruchomiałe sylwetki walczących i tłumaczyła Anaeli cierpliwie, niczym zbuntowanemu dziecku: - Jeżeli zaś powstrzymasz Czarny Tytanian, Reikan wygra, uśmiercając brata.

- I to jest mój wybór: serdeczny przyjaciel albo śmiertelny wróg? To za proste! - Anaela wyrwała dłoń z uścisku Primei, ocierając ją ze wstrętem o suknię, i zaczęła się cofać, chociaż w pustce nieistnienia, w której zawisła, cofać się nie było dokąd.

- Nic nie jest tak proste, jak się na pozór wydaje! - zaśmiał się diabolicznie Saetin i jednym skinieniem dłoni cofnął czas.

Cofnął o całe dwieście lat.

* * *

Sellinaris dell'Soll, najstarszy z trojga ferrińskich książąt, leżał wyciągnięty na trawie i spod półprzymkniętych powiek obserwował tańczącego z mieczem Reikana. A było co podziwiać.

Młodszy brat zdumiewał bowiem swego mistrza zręcznością, gracją, precyzją pchnięć i ciosów, nie mówiąc już o słynnej elfiej szybkości. Wrażenie, jakie wywierał na starszym bracie i bliźniaczej siostrze, sprawiało Reikanowi przyjemność i dopingowało do dalszych popisów.

Niedługo będzie lepszy ode mnie - przemknęło przez myśl Sellinarisowi. Zawstydził się tej myśli. Nie powinien być zazdrosny o Reikana.

Patrzył, jak brat wyskakuje w górę w pełnym wdzięku piruecie. Ciśnięty przezeń miecz zamigotał w świetle słońca, świsnął tuż nad uchem Sellinarisa i wbił się w ziemię obok jego głowy. Ten jednak ani drgnął, nie wypuścił nawet z ust źdźbła trawy. Elanora zaklaskała w ręce. Sellinaris posłał elfii ostre spojrzenie, a jego twarz spochmurniała.

- Reikanie - zaczął, wolno cedząc słowa - wojna to nie balet, a ty nie jesteś primabaleriną. Podczas bitwy nie ma czasu ani miejsca na efektowne popisy. Twoje ciosy mają być krótkie i precyzyjne, obliczone na zadanie szybkiej śmierci. I - tyle razy to powtarzałem - nigdy, przenigdy! nie pozbywaj się miecza!

To był moment. Jeszcze przed chwilą Sellinaris leżał rozleniwiony w cieniu meandrowca, ze źdźbłem trawy w ustach, a już w następnej przykładał ostrze Reikanowego miecza do grdyki brata.

Tylko dzięki nieprawdopodobnemu refleksowi Reikan zdołał zablokować cios przedramieniem. Uchylając się przed zimnym metalem, rzucił Wielkiemu Księciu drwiące spojrzenie. Sellinaris spojrział w dół: sztylet Reikana mierzył wprost w jego serce.

- Ty zginałbyś pierwszy. - Sellinaris ciął skórę na szyi elfa, aż pokazała się krwawa pęga.

- Ty zaraz po mnie. - Ostrze sztyletu przecięło koszulę i splamiło biały jedwab krwią Sellinarisa.

Chwytną ręką Czarne Tytanianu, tkwiącego do tej pory u pasa brata, Reikan odskoczył i, z mieczem w jednej, ze sztyletem w drugiej dłoni, zaśmiał się triumfująco.

- Broń się! - krzyknął i zaatakował.

- Z przyjemnością - odparł Sellinaris, parując cios.

Elanora położyła się na brzuchu, podparła na łokciach i z zachwytem przyglądała się walce. Och, uwielbiała - po prostu uwielbiała! - patrzeć na walczącego Sellinarisa. Z roziskrzonym spojrzeniem i rozwianym czarnym włosom przypominał roztańczony płomień,

unoszący się cal nad ziemią. W przeciwieństwie do Reikana, który nie okazywał emocji, Sellinaris emanował namiętnością. Duszą i ciałem oddał się potyczce, jakby to był bój na śmierć i życie, a nie zwykły przyjacielski sparing. To właśnie odróżniało księcia od dwójki rodzeństwa: temperament. Oni byli tacy chłodni. Tak doskonale opanowani i zrównoważeni, podczas gdy w żyłach Sellinarisa płynęła gorąca wiedźmia krew.

Błękitna klinga wgrzyła się z jękiem w ostrze Czarnego Tytanianu. Pojedynek był coraz bardziej zażarty, bo ani Sellinaris, ani Reikan nie zamierzali się poddać.

Wielkiemu Księciu przemknęło przez myśl, że następnej walki może nie wygrać, i w tym momencie Elanora poderwała się i wpadła między walczących.

Ostrza zawisły tuż nad jej głową.

- Elanoro dell'Soll, nigdy więcej tego nie rób! - Reikan rzucił miecz i objął ją wpół. - Następnym razem cię spiorę! - Wyglądał na naprawdę rozszoszczonego.

Różowe usteczka rozchyliły się w uśmiechu, cmoknęły policzek. Księżniczka wyrwała się z objęć brata. Jej szczęśliwy, beztroski śmiech topił serca.

- Ciebie, Reikanie, ogłaszam zwycięzcą turnieju. - Przyozdobiła lśniący potem tors girlandą z blad różowych kwiatów argusa.

Sellinaris poczuł ukłucie zazdrości o ten uśmiech. O dotknięcie smukłej dłoni. O przelotny pocałunek. Ale nim zdołał sobie tę zazdrość uświadomić i się jej zawstydzić, już Elanora zwracała się do niego.

- Ciebie zaś, Sellinarisie - jej kciuk dotknął rozgorączkowanego czoła - mianuję Władcą Ferrinu. - Opadła na kolana i utkwiała w starszym bracie złote oczy. Oczy pełne uwielbienia, pełne miłości...

Serce Sellinarisa zamarło w pół taktu. Dojrzał tę miłość i nagle zobaczył w siostrze nie urocze dziecko, jakim do tej pory wydawała się, lecz kobietę. Urzekająco piękną, jak się można było tego spodziewać po córce Amarilli i Eleuzisa, pełną słodyczy i nieodpartego czaru młodą elfie. Poczul nagle szarpiący serce żal za stratą swej Słodyczki. Bo stracił ją właśnie teraz, w momencie gdy ujrzal ten niepokojący płomień uczucia rozszerzający źrenice. Uczucia, które sprawiało, że... Dass'ratt!

Patrzył jak zauroczony na uśmiechające się doń usta i oczy siostry. Siostry - na bogów! - co się z tobą dzieje?! To twoja s i o s t r a! Dosyć!!!

Z trudem odwrócił wzrok od twarzyczki elfii i srogo spojrzal na brata.

- A ja ciebie spiorę, gdy jeszcze raz w mojej obecności ciśniesz mieczem!

Wskoczył na grzbiet przyglądającego się zajściu Cienia i odjechał, nie spojrzawszy więcej ani na zdumionego Reikana, ani na Elanorę, która - pozostając na kolanach - patrzyła za znikającym w oddali bratem ze łzami w oczach.

- Unikasz mnie - szepnęła z wyrzutem. - Dlaczego, Sellinarisie?

Zatrzymał się w pół kroku i zwrócił ku ukrytej w podcieniu elfii.

- Słodczyko - zaczął, odgarniając czułym gestem kosmyk włosów z twarzy Elanory, ale przerwała mu:

- Nie nazywaj mnie tak! Nie jestem już dzieckiem!

Przytrzymała jego dłoń, przycisnęła do policzka i nagle wtuliła usta w jej wnętrze.

- Elanoro, na bogów! - Sellinaris wyrwał rękę i zrobił krok w tył.

- Nie kochasz mnie już? - zapytała płaczliwym tonem.

- Kocham cię ponad życie, ale...

- To dlaczego mnie odtrącasz? - Zrobiła krok w kierunku księcia, ten cofnął się aż pod ścianę. Patrzył z mieszaniną fascynacji i przerażenia, jak Elanora podchodzi doń, bierze jego twarz w dłonie, jak jej źrenice ogromnieją. Pierwsze muśnięcie ciepłych, karminowych warg było miękkie i delikatne. I niewinne. Po wielekroć całowała go tak, gdy - jak przystało na starszego brata - ratował siostrę z rozlicznych opresji. Skoro całowała cię tak po wielekroć, czemu twe lędźwie zapłonęły pożądaniem? Dlaczego pragniesz porwać ją w ramiona, tulić i całować do utraty tchu? Dlaczego, Sellinarisie?

Palce elfii wplątały się w krucze włosy, przyciągając głowę księcia z niespodziewaną siłą. Wpiła się namiętnie w jego usta i ten pocałunek nie był już pocałunkiem li tylko siostrzanym. Przerażenie Sellinarisa wzięło górę nad fascynacją. W nagłym akcie desperacji chwycił Elanorę za nadgarstki i oderwał od siebie. Stanowczo. Niemal brutalnie. Spojrzała nań oczyma zranionej łani.

- Nie, Elanoro! - wychrypiał, ciężko łapiąc oddech. - Na bogów, nie! Nie!!! - Potrząsnął nią, aż spięte diademem włosy dziewczyny rozsypały się w nieładzie.

Odepchnął ją i ruszył korytarzem.

- Dokąd idziesz?! - Elanora dogoniła brata i uczepiła się rękawa jego kurty.

- Wyjeżdżam - odrzekł zduszonym głosem, nie zatrzymując się.

- Nie możesz! Przecież cię kocham! - wykrzyknęła, jakby to wszystko tłumaczyło. - Gdzie jedziesz?! Kiedy wrócisz?! - Raz jeszcze szarpnęła go za rękę, widząc, że jej wyznanie nie zrobiło na Sellinarisie spodziewanego wrażenia. Nie zrobiło z a d n e g o wrażenia.

- Wrócę dopiero na twój ślub, sestro - rzucił przez ramię, wyswobodzając się z kurczowego uścisku jej palców.

- Wrócisz do mnie! Wrócisz na kolanach, ty... ty zdrajco!!! Ty... ty mieszany bękarcie!!!

Sellinaris stanął jak wryty. Widać ugodziła go celnie tą obelgą. Bo chciała go zranić! Chciała, żeby poczuł jej ból! Chciała, żeby odwrócił się, żeby wybuchnął gniewem, żeby dał jej w twarz za tę śmiertelną zniewagę, ale księżę trwał tylko przez długą chwilę w bezruchu, po czym odszedł.

- Cóż to, następca tronu opuszcza Feri'anę nocą, w tajemnicy i pośpiechu, niczym zbieg?
- głos Reikana zatrzymał Wielkiego Księcia, gdy ten miał wejść w portal łączący Feri'anę ze światem zewnętrznym.

- Ruszaj, Saris - rzekł Sellinaris do Cienia, nie spojrzawszy na brata.

Reikan chwycił pełną garścią grzywę ogiera i stanął im na drodze.

- Czym zasłużyłem na takie traktowanie? - zapytał cicho.

Sellinaris milczał długo, patrząc przed siebie, wreszcie westchnął i zwrócił się do brata:

- Jest mi wystarczająco ciężko odchodzić. Nie utrudniaj tego.

- Byliśmy sobie bliscy. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Zawsze trzymaliśmy się razem. „Saetińskie trio”, tak o nas mówiono. O tobie, Elanorze i o mnie. Mam prawo wiedzieć, dlaczego nagle opuszczasz nas bez słowa wyjaśnienia.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, Reikanie?! - Ton głosu Sellinarisa zjeżył młodszemu bratu włosy na głowie. Już miały paść słowa: „Bo nasza siostra usiłowała mnie uwieść, a ja z trudem się temu oparłem!”, ale w tym momencie Saris wyrwał się, odepchnął Reikana i zniknął w błękitach magicznych wrót.

Nie zwalniając, wpadli w lasy otaczające Feri'anę.

- Oszalałeś?! Zatrzymaj się! - krzyknął Sellinaris, gdy odzyskał głos. - Stój, ty bydle parszywe! - Z całej siły uderzył otwartą dłoń w szyję wierzchowca. Ten wrył się czterema kopytami w ziemię, szarpnął głową w dół, aż księżę przeleciał przez łeb i upadł na ścieżkę. Chciał poderwać się, gotów do walki, ale Cień był szybszy. Postawił ciężkie kopyto na piersi księcia i... nacisnął.

- *Nigdy* - zaczął Saris, mrużąc szafirowe oczy - *nigdy więcej nie podnoś ręki na swego Cienia.* - Sellinaris znów chciał wstać, mnąc w ustach ohydne przekleństwa, ale Cień nacisnął mocniej, aż księciu zabrakło tchu. - *Co chciałeś osiągnąć, dzieląc się z Reikanem tą tajemnicą? Rozgrzeszenie? Nie wystarczy, że cierpi Elanora, że cierpisz ty, a ja dzielę z tobą twój ból? A może... Może pragnąłeś, by Reikan, usłyszawszy twą „spowiedź”, chwycił za*

miecz? Chciałeś przelać jego krew? Zabić go? Zemścić się na bracie zamiast na siostrze? A może... jesteś zazdrosny o jej miłość?

Saris zamilkł, pozwalając, by słowa te zapadły w umysł i serce jego pana. Długo trwali w bezruchu. Wreszcie Sellinaris wstał powoli, objął ogiera za szyję i wtulił twarz w aksamitną grzywę.

- Dziękuję, Saris - wyszeptał.

- *Jest za co, głupcze* - odparł z czułością Cień.

- Otwórzcie.

Śmiertelnie zdudzeni strażnicy poderwali się na baczność, odruchowo poprawiając mundury. Z ciemności krętych schodów wyłoniła się niczym duch księżniczka Elanora i zażądała otwarcia tytanianowych drzwi.

- Wybaczcie, pani, ale nie mamy rozkazu - wydukał jeden z gwardzistów, patrząc jak zauroczony w rozognione oczy elfii. Tylko one rozjaśniały nienaturalnie bladą twarz.

- Ona jest Leczącą. Dobrą Leczącą. A ja potrzebuję porady. W kobiecej sprawie. - Tu zrobiła znaczącą przerwę. - Mój ojciec nie musi o tym wiedzieć.

- Wielki Władca winien wiedzieć o każdej wizycie u wiedźmy - odparł niewzruszenie drugi. Na nim widać urok elfii nie robił wrażenia.

- Weźmiesz odpowiedzialność za moje zdrowie, a może nawet życie? - zapytała Elanora.

Tym razem to strażnik zbladł. Bądź co bądź miał przed sobą córkę Eleuzisa. W potrzebie. Czy zaryzykuje gniew władcy, czy zdrowie, a może nawet życie jego córki? Bez słowa usunął się z drogi. Jego towarzysz położył dłoń na drzwiach i wyszeptał hasło. Elanora niczym senna zjawą przemknęła obok i znikła w ciemnościach spowijających komnatę.

Takiego gościa się nie spodziewała. Berenika, która usiłowała zasnąć, wpatrzona bezmyślnie w baldachim wieńczący łożo, aż usiadła z wrażenia. Elanora dell'Soll w skromnych progach jej więzienia?! Drzwi zamknęły się z metalicznym szczękiem. Księżniczka obejrzała się, jakby pożałowała tego, że przyszła tutaj.

Berenika narzuciła na nocną koszulę pelerynkę z błękitnego aksamitu, podeszła do rzeźbionego w rajskie ptaki krzesła i rozparła się na nim niczym na tronie, usiłując nie pokazać po sobie zzerającej ją ciekawości.

- Słucham cię, moje dziecko? - Uśmiechnęła się zachęcająco, zapraszając do stołu. Elfia stała w progu.

- Przyszłam do ciebie...

- „Do was, pani” - przerwała księżniczce uprzejmie.

- Przyszłam do... was, pani. - Elanora skłoniła się nisko, na co Berenika z aprobatą skinęła głową. - Przyszłam, bo chcę... muszę... - Zawahała się, zarumieniła. - Muszę poznać twój sekret. Chcę wiedzieć, jak uwiodłaś mego ojca - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Czarodziejka uniosła brwi, a potem roześmiała się perliście. I sztucznie.

- Och, Elanoro, kto jest tak nieczuły na twe wdzięki, pochodzenie, władzę, posag, byś zwracała się o pomoc do wyklętej przez Ferrin wiedźmy?

- Twój syn.

Berenikę zatkało. Milczała długą chwilę, uważnie badając twarz dziewczyny.

- Czy dobrze zrozumiałam: chcesz uwieść mego syna, a twego... brata? - zapytała wreszcie, usiłując się nie roześmiać.

- Dobrze zrozumiałaś. - Elanora podniosła głowę. W jej oczach błysnął gniew. I desperacja. - Kocham Sellinarisa. Kocham go do szaleństwa i zrobię wszystko. Wszystko! - Opadła na kolana, chyląc nisko głowę. Na kamienną posadzkę spadły gorące łzy.

- Cii. Nie płacz, moje dziecko. - Berenika, nacieszywszy oczy upokorzeniem elfii, macierzyńskim gestem pogłaskała ją po głowie. - Wiem, czym jest niespełniona miłość. - Westchnęła teatralnie. - Pomogę ci, obie jesteśmy przecież kobietami, będę jednak oczekiwała wdzięczności. - Zawiesiła znacząco głos.

- Dam ci, co zechcesz. - Elanora nie podniosła głowy.

Wiedźma zmrużyła błękitne oczy.

- Zwrócisz mi ukradzioną przez twego ojca wolność.

- Zwrócę ci wolność - powtórzyła pokornie elfia.

- Dobrze więc. - W głosie Bereniki zabrzmiał triumf i... jakaś fałszywa nuta, która dla kogoś niebędącego zakochaną księżniczką byłaby ostrzeżeniem. - Udasz się do Wieży Bogów.

Nie! Tylko nie tam! - chciała wykrzyknąć Elanora, bo sama nazwa tego przekłętego miejsca przyprawiała o dreszcze najodważniejszych z odważnych. Ale... pragnienie okazało się silniejsze od strachu.

- *Nie wejdę z tobą, moja pani.* - Ardis, Cień Elanory, po raz pierwszy odkąd towarzyszył elfii, sprzeciwił się jej woli.

- Ty, nawet ty! jesteś przeciwko mnie?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Myślałam, że zrozumiesz!

- *Rozumiem cię, Elanoro, ale mimo to nie przekroczę progu Wieży Bogów.*

- Boisz się zbrukać swe czyste kopytka? - zadrwiła. Krzywy uśmiech oszpecił piękną twarz. Ardis spojrział na nią ze zdumieniem, które przerodziło się w niepokój.

- *Cienie są darem Bogini Primei* - odparł wolno. - *Nigdy nie wstąpią na ścieżkę Saetina.*

- Cienie są związane z Wybranymi na śmierć i życie! Łamiesz przysięgę wierności!

- *Ta droga* - spojrział na ścieżkę prowadzącą między skałami - *prowadzi do twojej zguby.*

Nie mogę ci na niej towarzyszyć.

Elanora zadrżała mimowolnie i z trwogą spojrziała tam, gdzie strome zbocze Przeklętej Góry wieńczyła ponura budowla. Mimo szumnej nazwy Wieża Bogów nie miała w sobie nic boskiego.

- *Wracajmy, Elanom* - poprosił Cień.

Przez chwilę księżniczka się wahała. Za sobą zostawiała jasną, szczęśliwą przeszłość, przed sobą miała mrok nieznannej przyszłości. I nagle... w tej przyszłości...

Kołyszące się z boku na bok morze szaro odzianych postaci o pustych oczach i nagich czaszkach. Blade, otwarte jak do krzyku usta nucące upiorną pieśń bez słów. Wznoszące się i opadające „Aaaaaa”. W kręgu upiorów Sellinaris klęczący u stóp Elanory. Tulący twarz mokrą od łez do kolan elfii. Palce czepiające się czarnej sukni. Jego jęk: „Błagam cię! Błagam!!!”. I głęboki, hipnotyzujący głos: „Dostaniesz to, po co przyszłaś: Sellinaris wróci do ciebie na kolanach”.

I szafirowe oczy Ardisa wpatrujące się w jej twarz z niepokojem, pytająco, podejrzliwie.

Oprzytomniała. Potrząsnęła głową, ale wizja ukochanego, który łkał u jej stóp, nie chciała odejść. Elfia wstrzymała oddech, jak przed skokiem w nieznaną głębię, a potem uczyniła zdecydowany krok ku Wieży.

Cień stanął na drodze swej pani, w ostatniej próbie powstrzymania jej.

- Precz! - warknęła.

Ustał.

Stromą ścieżką wykutą w brunatnej skale, wielokrotnie żałując swej decyzji, dotarła do stóp przerażającej budowli. Usiłowała nie patrzeć na pożółkłe ze starości kości, z których wzniesiono mury. Wieża przypominała barwą i kształtem wielki kiel. Kiel wgryzający się w błękitne niebo, niczym wyzwanie, a może ostrzeżenie dla Najwyższych.

Wrota otworzyły się bezdźwięcznie. Z sercem ściśniętym trwogą elfia weszła do środka. Spodziewała się... dziedzińca.

Albo chociaż przedsionka. A może niekończących się schodów? Znalazła się natomiast w obszernej komnacie bez okien, której mrok rozjaśniały nieliczne pochodnie.

- Nie bój się, moje dziecko. Podejź.

Głos ten dobywał się z cieni otaczających podwyższenie, na którym znajdowało się - Elanora aż westchnęła z zaskoczenia - monstrualnych rozmiarów łożo, zasłane krwistoczerwoną jedwabną pościelą.

Co za demonstracja - pomyślała Elanora.

- Nie boję się! - rzekła na głos, po czym z uniesioną dumnie głową ruszyła w stronę mężczyzny, który, półleżąc, wsparty na łokciu, wbijał w nią wzrok.

Ale z każdym krokiem duma ulatywała, a w umysł wdzierało się z wątpienie, strach i... odraza. Odraza do samej siebie, że tu jest, i odraza do tego, który jej oczekiwał.

Elanora wychowana w Feri'anie wśród elfiej arystokracji, otoczona przez pięknych mężczyzn i piękne kobiety - elf o przeciętnej urodzie nie zostałby dopuszczony w pobliże Władców Ferrinu, by nie razić ich poczucia estetyki - nie wiedziała, jak się zachować w obliczu kogoś, kto nie tyle był szpetny, ile ohydny.

Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął księżniczką, gdy ujrzała w całej okazałości nagie ciało, tłuste, bezkształtne, wylewające się na purpurowe prześcieradło, epatujące rażąca dziewicze oczy nagością zakrytą TAM jedynie rąbkami jedwabnego prześcieradła; gdy ujrzała skórę pokrytą krótką, rzadką szczecina, jak u starego wyliniałego szczura; gdy patrzyła na rysy twarzy, nijakie, rozlane jak całe ciało, jak gdyby istota owa została ulepiona z błota i wylana z formy, jeszcze nim błoto zastygło; a gdy zobaczyła oczy - nieludzkie, nieruchome jak u rekina, utkwione w zbliżającej się ofierze, pewne zdobyczy...

Wyciągnął rękę po Elanorę.

Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, purpurowa na twarzy z zawstydzenia i gniewu, gotowa uciec z krzykiem, gdy tylko monstrum spróbuje jej dotknąć.

- A jednak, moja mała, śliczna snobko, mimo że brzydzi cię mój widok i pogardzasz mną, jednak zrobisz wszystko, oddasz swe młode, nietknięte ciało w moje ręce, żeby tylko dostać jego. Swego brata.

Na te słowa, jakże prawdziwe, Elanora nie była przygotowana. Spuściła głowę, by zyskać na czasie. By opanować targające nią emocje. By odzyskać traconą z każdym uderzeniem serca dumę. Ta kreatura miała rację. Za miłość Sellinarisa gotowa oddać wszystko!

Ostro zabrzmiały słowa elfii:

- Jestem Elanora dell'Soll, Wielka Księżna Ferrinu, zwykłam być przyjmowana z większymi honorami.

- Nie tutaj, moja mała, nie tutaj. - Zgasił dziewczynę natychmiast, po czym leniwie potoczył po niej spojrzeniem, w którym nie było za grosz szacunku, ta zaś zaniemówiła z oburzenia. Takimi słowami i takim wzrokiem nikt w całym Świecie Światów nie śmiał jej potraktować! Oprócz niego. - Czy wiesz, kim jestem? - zapytał, zbywając całą jej tyradę ironicznym uśmiechem.

Zaprzeczyła.

- Jestem Arcymag Vervain. Namiestnik Saetina.

Usłyszawszy imię Boga Upadłych, nagle straciła całą pewność siebie. Bała się. Bała się tego miejsca, tego indywiduum, i tego, co ją czeka. A on doskonale o tym wiedział i sycił się jej strachem. Pragnął, by się bała. Pragnął, by ten strach doprowadził ją niebezpiecznie blisko granicy, za którą jego Pan będzie miał dostęp do nieskalanej duszy i dziewiczego ciała.

- Przysłała mnie... - zaczęła elfia, ale przerwał jej:

- Wiem, kto cię przysłała, i wiem po co. Mam to, czego potrzebujesz. - Uśmiechnął się dwuznacznie, a Elanora spłonęła rumieńcem.

- Czego chcesz w zamian?

Bezczelne spojrzenie Vervaina wystarczyło za odpowiedź. Elanora zbladła. Długą chwilę walczyła ze sobą. Jak ta kreatura śmiała?! Jak on śmiał! Wrócę tu z gwardzistami i zabiję go! Albo sama go zabiję - teraz, moim sztyletem! I nigdy nie odzyskasz Sellinarisa. Sellinaris nie wymagałby poświęcenia mej czci! Och, Sellinaris od ciebie niczego nie wymaga.

Trzęsącymi się dłońmi sięgnęła do haftek sukni. Gdy miękka materia spłynęła wokół jej stóp i Elanora stanęła naga przed tym strasznym człowiekiem - nie! nie człowiekiem! dawno złożył swoje człowieczeństwo na ołtarzu Saetina! - po jej białych policzkach spływały gorące łzy wstydu i upokorzenia. Ale jeszcze nie bała się wystarczająco.

- Taka młoda i niewinna, a tak beztrząsco oddaje duszę. - Vervain wstał powoli - równie nagi jak i ona - obrzucając drżącą dziewczynę wzrokiem konesera. - Z przyjemnością posiadę część takiego ciała. - Wzdrygnęła się, a w szeroko otwartych oczach pojawił się zwierzęcy strach. Jego głos stwardniał nagle. - Przyszedłeś tu dobrowolnie i z własnej woli, by prosić Boga Upadłych o coś, o co prosić nie powinnaś. Jeszcze możesz odejść.

I nagle przed księżniczką nie było już Vervaina, ale klęczący u jej stóp Sellinaris, tulący głowę do jej kolan. Czuli przez cienki materiał sukni dotyk gorących dłoni. Patrzyła w oszalałymi oczami, mokre od łez. „Błagam, cię, błagam, Elanoro!”, słyszała

chrapliwy szept. I ten inny, głęboki, hipnotyzujący, odbierający zmysły: „Dostaniesz to, po co przyszedłaś: Sellinaris wróci do ciebie na kolanach”.

- Mój Pan chce cię zobaczyć.

Obecność Istoty poczuła niczym lepkie zimno, wnikające od stóp w sparaliżowane przerażeniem ciało. Istota powoli ogarniała całą postać dziewczyny, zamykając zmrożoną strachem ofiarę w śmiertelnym uścisku.

Elanora, w akcie paniki, odruchowo zamknęła aureę.

- *Nie broń się!* - Słowa brutalnie wdarły się do jej umysłu. Poczowała, jak wraz ze słowami wdziera się tam ta Istota. Na Primeę!!! Nigdy nie czuła się tak bezbronna! Nikt nigdy nie śmiał wbrew woli Elanory wtargnąć do jej jaźni! To było... To było... jak gwałt! Istota nie zważała na nic, a Elanora nie potrafiła się przed nią bronić.

Ucie... Uciekać! Próbowwała zrobić krok tam, gdzie powinny znajdować się drzwi.

- *Stąd nie ma ucieczki. Jesteś we władzy Saetina. Boga Upadłych. Od tej chwili t w o j e g o Boga.*

Nogi ugięły się pod Elanora. Pod naciskiem Istoty uklękła ciężko, walcząc z własnym ciałem. Wsparta na rękach dotknęła czołem ziemi w wiernopoddańczym ukłonie, czując podchodzącą do gardła falę mdłości. Chciała krzyknąć, chciała się sprzeciwić, chciała uciekać - na oślep, byle dalej, może jeszcze zdąży! - ale ciało nie należało już do niej. Było w posiadaniu... Jego!

- *Dostaniesz to, po co przyszedłaś: Sellinaris wróci do ciebie na kolanach.*

Poczowała dłonie Vervaina chwytające jej głowę niczym kleszcze, na jego czole rozbłysł nagle Znak Władców.

Elanora w słabym blasku czarnej gwiazdy ujrzała, jak twarz Vervaina rozplywa się i zmienia w jej własną: wynaturzoną, karykaturalną, wykrzywioną uczuciami tak ohydny, że do ich istnienia nigdy by się nie przyznała.

Śmiertelnie przerażona chciała się wyrwać, ale kleszcze zacisnęły się jeszcze silniej. Usta elfii otwarły się do krzyku, który trwał i trwał jeszcze długo po tym, jak Duszobójca wniknął w ciało i połączył się z jaźnią swej pierwszej ofiary.

Samotny jeździec przemierzał bezkresne stopy Nienazwanego na czarnym jak czeluści Saetina wierzchowcu. Wiatr szarpał długim płaszczem. Rozwiewał krucze włosy. Wyciskał łzy z oczu. Mimo to Sellinaris był szczęśliwy. Czuł się wolny. Dopiero tu - w Krainie-Bez-Imienia - zakosztował niezależności i swobody, dostępnych do tej pory tylko dzikim ptakom.

Niczym nieskrępowany wędrował przed siebie bez celu i pośpiechu. Towarzyszył mu jedynie wierny Cień.

Wolność. Czy musiał poświęcić wszystko: wygodną komnatę, przywileje następcy tronu, uwielbienie poddanych i przyjaciół, wreszcie miłość brata i siostry, by poczuć smak prawdziwej wolności? I czy to, co stracił, aby na pewno było warte tej wolności? Nie zastanawiał się nad tym. Nie myślał o niczym oprócz przeżycia następnego dnia.

Ogorzały od słońca, wysmagany wiatrem, w wystrzępionym odzieniu, łątanym nieprzywykłymi do igły i nici dłońmi, ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym w horyzoncie sprawiał wrażenie szalonego: to dlatego może nie zatrzymali go ani Górale, ani kyrie. Nawet Dzicy Ludzie omijali cenny zdawałoby się łup szerokim łukiem.

Ferrin upomniał się jednak o swego księcia nawet na krańcu świata. Biały nietoperz pisnął przenikliwie, zapewne z ulgi, że po długich poszukiwaniach znalazł adresata, i zatoczywszy nad Sellinarisem koło, zapikował w dół, by po chwili wczepić się pazurkami w wyciągnięte ku niemu ramię.

Książę w pierwszym odruchu chciał podrzucić posłańca w powietrze i zignorować jego obecność, ale przypomniał sobie z niejakim smutkiem, iż utkane z magii zwierzę krążyłoby nad nim dopóty, dopóki nie dostarczyłoby wiadomości.

Westchnął więc, zdjął tulejkę i rozwinął karteluszek. Przebiegł oczyma pismo i pobladł.

- Wracamy, Saris. Elanora umiera.

Cień posłusznie, świadom uczuć targających jego panem, ruszył wyciągniętym klusem. Nie zdołał jednak powstrzymać się od komentarzy.

- *Elanora chce cię zwabić do Feri'any, a ty...*

- Na wezwaniu była pieczęć Eleuzisa, nie Elanory.

Saris potrząsnął głową, nieprzekonany.

- Nie darowałbym sobie, że nie przybyłem na wezwanie umierającej siostry - dodał książę. - Gdzie jest najbliższy portal?

- *W Smoczym Stosie.*

- To za daleko. Otworzymy portal tutaj.

- *Chyba oszalałeś! Nie zamierzam wylądować pod ziemią lub na dnie jeziora!*

- Zaufaj mi, Bracie-W-Mocy.

- *Czynię to często. Zbyt często...*

Portal wypluł ich dwa metry nad ziemią. W środku lasu. Wprost w gęste krzaki.

- Mamy szczęście - rzekł zadowolony Sellinaris, strzepując z kurty gałązki i liście, które zebrał po drodze.

- *Mów za siebie* - warknął w odpowiedzi Cień, podrywając się na nogi i potrząsając głową. - *Wyluskaj mi te śmiecie z grzywy!* - zażądał. - *I z ogona!* - dorzucił złośliwie.

- Nie ma czasu, koniku. - Wielki Księżę poklepał go protekcyjnie po szyi.

- *Na bogów, nie jestem konikiem!!!*

Jeszcze przed zmrokiem wjechali na szeroki trakt, brukowany białym marmurem, prowadzący do wrót Feri'any. Sellinaris, co rusz popędzając Sarisa, sercem i duszą był przy Elanorze. A jeśli nie zdąży? Jeśli Słodyczka umrze przed jego przybyciem? Uciekł od niej i jej miłości jak tchórz, jak zdrajca, miast sprostać wyzwaniu i poprosić Wielkiego Władcę - swego ojca - o rękę księżniczki - swej siostry. Siostry! Czy pamiętasz, że łączą cię z Elanora więzy krwi?!

A jednak Sellinaris uciekł. Na bogów, musiał uciec!

Po tajemniczym zniknięciu Wielkiej Władczyni Amarilli, matki Elanory i Reikana, to on wychował bliźnięta. Był im nie tylko bratem, ale matką i ojcem, bo Eleuzisa bardziej interesowało przejęcie w Ferrinie władzy i jej umocnienie niż własne dzieci. Jak więc Sellinaris mógł wykorzystać młodzieńczą, niewinną miłość tej, którą nosił na rękach i uczył pierwszych kroków?! Miłość swojej siostry?! Kazirodztwo prowadziło wprost w objęcia Saetina. Sellinaris nigdy nie naraziłby duszy Elanory na upadek w Otchłań. Musiał uciec.

- *Ardis wrócił do Krainy Cieni.*

Słowa Sarisa przerwały te pełne goryczy rozważania. Księżę zmarszczył brwi, nie rozumiawszy w pierwszym momencie.

- Jego pani umiera, a on od niej odchodzi?! - wykrzyknął zdumiony. Taki przypadek nie zdarzył się jeszcze nigdy w całej historii Braterstwa-W-Mocy, łączącego Cienie z Wybranymi.

On sam nie potrafił sobie nawet wyobrazić odejścia Sarisa, który właśnie Wielkiemu Księciu uczynił ten zaszczyt i wybrał go na swego pana. Cień trwał przy Sellinarisie od dnia narodzin, z anielską cierpliwością i pobłażaniem w szafirowych oczach znosząc najgorsze psoty i wybryki, jakie trzymały się chłopca - a potem młodzieńca - przez ładne dwadzieścia lat. Cieniowi powierzał wszystkie tajemnice, bo wiedział, że Saris nigdy go nie zdradzi - było to sprzeczne z naturą tych tajemniczych istot. Cień umierał razem ze swym panem. Był przyjacielem najwierniejszym z wiernych. Cały świat mógł odwrócić się od Wybranego, ale Cień trwał przy nim do końca.

Właśnie dlatego w świecie elfów nikt nie uwierzył w śmierć Wielkiej Władczyni Amarilli dell'Soll, gdy pewnej strasznej nocy zniknęła bez śladu. Mieli nadzieję, że Amarilla wciąż żyje, bo żył Izis - jej wspaniałą śnieżnobiały Cień.

Co strasznego uczyniła Elanora, że Ardis od niej odszedł?

- *Ja o to zapytaj, nie mnie* - parsknął Saris.

- Nie grzeb mi w myślach! - zachnął się książę i w tym momencie usłyszał cichy głos Reikana wyłaniającego się z mroku.

- Dobrze, że wróciłeś, bracie.

Spieszyli wprost do komnat zajmowanych przez Elanorę i jej służebne.

- Czasem odzyskuje przytomność, ale i wtedy mówi tylko o tobie. Pyta tylko o ciebie. Jest przy niej Berenika... - Dopiero te ostatnie słowa sprawiły, że Wielki Książę zwolnił.

- Co ta wiedźma robi przy mojej siostrze? - wyszczał.

- Jest najlepszą Leczącą, jaką miał Ferrin. Elanora życzyła sobie jej obecności.

- I ojciec na to pozwolił?! - Sellinaris przyspieszył kroku. - Zaufał Berenice?!

Odrzwia pchnięte oburącz trzasnęły o ściany. Drzemiąca w rogu komnaty niewolnica poderwała się na równe nogi, po czym skłoniła nisko. Sellinaris, gdy chciał, potrafił przerazić samym wyglądem.

- Na co czekasz, głupia?! Prowadź do swej pani! - Ponaglił drżącą dziewczynę.

Pobiegła przodem, oglądając się trwożliwie raz po raz.

- Słodyczko - wyszeptał, chwytając bezwładną dłoń siostry. Nie zareagowała. Z nieruchomą, wychudłą, bladą twarzą i podkrążonymi oczyma wydawała się pogrążona w śpiączce. - Co jej jest?! Co jej zrobiłaś?! - Wbił wściekłe spojrzenie w twarz stojącej u wezłowania kobiety.

- Takimi oskarżeniami witasz własną matkę?

- Moją matką była Amarilla. Ty podrzuciłaś mnie mamce i uciekłaś nocą. - Z trudem panował nad ogarniającą go furją.

- Takimi kłamstwami karmi cię od urodzenia Eleuzis. Prawdą jest, że odebrano mi ciebie, a potem odesłano jak byle niewolnicę - odparła.

- Nie byłaś nikim więcej!

- Dosyć! - Reikan wkroczył między nich. - Dokończycie kiedy indziej! Ja chcę widzieć Elanorę zdrową!

To otrzeźwiło Sellinarisa. Ponownie ujął dłoń siostry. Berenika pochyliła się ku niemu.

- Umiera z tęsknoty - rzekła cicho. - Z tęsknoty za... tobą.

- Milcz - syknął. - Reikanie, zostaw nas samych - zwrócił się do brata. - Obudź ją - zażądał, gdy za księciem zamknęły się drzwi.

Berenika ujęła głowę dziewczyny w dłonie, a ta powoli otworzyła piękne, złociste oczy.

- Wróciłeś. - Twarz księżniczki się rozjaśniła.

Odwzajemnił ten uśmiech, nie mogąc wydobyć głosu. Trzymała dłoń Sellinarisa w szczupłych palcach tak silnie, jakby się bała, że jest tylko snem, który rozwieje się z nadejściem świtu.

- Pani, twoje lekarstwo. - Berenika podsunęła chorej puchar z bursztynowym płynem.

- Co jej podajesz?! - Wyrwał naczynie z rąk Leczącej.

- Wywar z liniusa. Możesz sprawdzić - odparła zapytana.

Gdy przechylał puchar, by upić łyk, nie widział triumfującego spojrzenia, jakie wymieniły Elanora z Berenika.

W następnej chwili upuścił naczynie, walcząc o oddech. Płyn palił mu krtań. Gdy złapał haust powietrza, zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- To nie był linius, coś jej dała, wiedźmo?! - Wychrypiał, chwytając Berenikę za gardło. Nagle rozluźnił chwyt. Komnata się zachwiała. Chwycił się kolumny łoża, by nie upaść. Kolana ugięły się pod nim. Zacisnął palce na kołdrze. Poczul dłoń siostry głaszczącą go po włosach, usłyszał jej szept:

- Ciii, kochany mój. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Zewsząd napływała ciemność. Potrząsnął głową w niemym proteście. Ostatnie, co zapamiętał, to słowa Bereniki:

- Ten powitalny toast był przygotowany dla ciebie, mój synu.

Ta twarz. Ta cudna twarz wydawała się taka znajoma. Może spotkał ją w snach? Tak, to musiał być sen, po którym obudzi się rozedrgany, zlany potem, z ręką wstydliwie trącą spragnioną męskość.

To ciało. To cudne ciało, którego nie powstydzilaby się sama Bogini, otwarte na niego. Garnące się doń. Biorące go w posiadanie.

Niech sen trwa. Tym razem aż do końca. Tym razem nie obudzi się, płonąc z pożądania. Tym razem zazna zaspokojenia.

Pognał jak uwolniony z pęt dziki Cień. Ku rozkoszy, ku spełnieniu, ku miejscu, gdzie sen miał się skończyć.

Pierwszym świadomym wrażeniem był ból rozsadzający czaszkę. Potem poczuł posiniaczone ciało, a gdy chciał się odwrócić na bok, dało o sobie znać pęknięte żebro. Obrzękłe, pokrwawione usta rozchyliły się w przeciągłym jęku.

Na Primeę, co się stało?! Gdzie ja jestem?! - Z trudem uchylił powieki. Otaczała go cicha, na pozór łagodna ciemność, rozjaśniana ledwo widoczną emanacją ścian. Wyciągnął rękę i z niedowierzaniem dotknął zimnego, gładkiego metalu, który zamykał się nad nim, dookoła niego i pod nim, tworząc ciasną celę, bez okien i drzwi. Zadrzał, bynajmniej nie od chłodu. Już wiedział, gdzie jest. Znał przecież Feri'anę od lochów po szczyt wieży. Kiedyś, lata temu, schował się w tej celi Sarisowi - w celi o ścianach z bezcennego czarnego tytanianu, chroniącego przed magią - przyprawiając go niemal o palpitację serca. Odnalazłszy małego Sellinarisa po wielogodzinnym poszukiwaniu, Cień zakazał księciu wstępu do podziemi zamku.

Saris nie mógł przypuszczać w najgorszych koszmarach sennych, że jego podopieczny ponownie trafi do celi z czarnego tytanianu. Jako zbrodniarz.

- Za co?! - To pytanie, będące raczej żalną skargą, powtarzał raz po raz od długiego czasu. Nie wiedział, jak długiego, nie miał żadnych punktów odniesienia. Nie docierał do niego żaden dźwięk. Nie widział ani blasku dnia, ani ciemności nocy. Nie karmiono go ani nie pojono - nie było takiej potrzeby: rzadka papka o smaku rozgotowanej ścierki spływała po ścianie. Od tej pory miała być jedynym posiłkiem Wielkiego Księcia. Woda spływała przeciwległym strumieniem, niknąc w otworze na ekskrementy.

Nie docierał do niego żaden dźwięk, tak jakby razem z nim uwięziono ciszę. Straszna była ta cisza, niepewność własnego losu i... bezczynność. Tak. Bezczynność dobijała Sellinarisa. Mógł jedynie leżeć na zimnej podłodze, siedzieć skulony pod zimną ścianą lub miotać się po ciasnej celi niczym dzikie zwierzę mające w błędnych oczach jedno jedyne pytanie:

Za co?!

Rozdygotaną i nagą pod zarzuconym nań litościwie płaszczem gwardzisty postawiono przed obliczem Władcy Ferrinu.

Wciąż miała przed oczyma masakrowanego przez straż kochanka, wciąż słyszała jego jęki.

- To moja wina! - przyskoczyła do Eleuzisa z zaciśniętymi pięściami.

- Wyjdźcie! - rzucił władca w kierunku strażników, nawet na córkę nie spojrzawszy. Dopiero gdy zostali sami, przeniósł na nią zimny wzrok.

- Wyprosiłam w Wieży Bogów narkotyk odbierający zmysły z pożądania. To wszystko ja... - Nie dokończyła. Uderzenie w twarz cisnęło ją o ścianę komnaty. - Możesz mnie bić! Możesz mnie nawet zabić, ale wypuść Sellinarisa! - krzyknęła, trzymając się za policzek.

Eleuzis podszedł doń i uderzył jeszcze raz. I znowu.

Elanora zanosła się diabolicznym chichotem:

- Zapłodnił mnie! Noszę jego dziecko! Tak jak chciałam! Bóg Upadłych mi to obiecał!!!
- wrzasnęła z triumfem.

Eleuzis powstrzymał karzącą dłoń przed następnym uderzeniem. Prawdę mówiąc, ręka sama mu opadła. Ostatnie słowa Elanory spowodowały, że osunął się ciężko na najbliższe krzesło, oniemiały, nie mogąc złapać tchu. Miał za córkę kurwę - na usługach Saetina - która uwiodła podstępem własnego brata.

- Daj mi go za męża. - Elanora przypadła do kolan ojca.

Za męża?! Spojrzał na dziewczynę, jakby była niespełna rozumu.

- To mieszaniec! - wysyczał. - Nigdy elf królewskiego rodu nie poślubi bękarta z domieszką ludzkiej krwi!

- Więc to ci przeszkadza?! - roześmiała się histerycznie w odpowiedzi. - Ludzka krew?! A nie przeszkadzała ci w pieprzeniu wiedźmy i splodzeniu z nią syna, którego ogłosiłeś następcą tronu?!

Tym razem roześmiał się Eleuzis.

- Miałbym oddać mój Ferrin mieszańcowi?!

- Przecież... - Elanora patrzyła na swego ojca oczyma, w których czaiło się prawdziwe szaleństwo. Przecież Eleuzis oficjalnie uznał swego pierworodnego! Czemu więc teraz... Teraz?! - Sellinaris nigdy nie otrzymałby od ciebie Przywileju Władzy. - To było raczej stwierdzenie, nie pytanie. - Nie zamierzałeś oddać mu Ferrinu.

- Nie. - Eleuzis podszedł do córki i łagodnie ujął jej bezwładną dłoń. Drgnęła, nie spodziewając się takiej czułości. Ale to nie była czułość... - Elanoro dell'Soll, nakładam na ciebie uwarunkowanie: nie opuścisz Edenu, dopóki cię nie wezwę.

Gdy pojęła sens tych słów, zbladła. Kręcąc głową w niemym proteście, chciała się wyszarpnąć, bronić wolności, ale Eleuzis trzymał mocno. Widmowa bransoleta wykwitła na nadgarstku dziewczyny.

- Straż! Księżniczka udaje się do Krainy Cieni. Odprowadzić do Wieży Portalowej. - To były słowa pożegnania, ostatnie, jakie Elanora usłyszała od ojca. Zaraz potem zaczęła wyciecznym zwierzę prowadzone na rzeź:

- Wypuście go!!!

- Wypuście go!!! - wycie Elanory wlezionej do Wieży Portalowej dobiegało aż tutaj - do komnaty Reikana.

Książę leżał na łóżku, z poduszką naciągniętą na głowę i - pierwszy raz w życiu - łkał niczym dziecko. Łkał z rozpacz, bezsilności i poczucia winy. Przed oczyma cały czas miał obraz ukochanego brata hańbiącego ukochaną siostrę. Widział nieprzytomne oczy Sellinarisa. Widział, jak te oczy wypełnia dzika furia, gdy oderwał go od Elanory. Do tej pory słyszał jej krzyk:

- Zostaw go! To moja wina! To ja!!!

A potem ta straszna walka brata z bratem: na pięści, łokcie, kolana - bogom niech będą dzięki, że nie mieli przy sobie broni - przerwana wtargnięciem pałacowej straży.

I Reikan pozwala, by strażnicy na oczach oszalałej Elanory zakatowali Sellinarisa niemal na śmierć, bo ten walczy i wrywa się w kierunku dziewczyny dopóty, dopóki po brutalnym ciosie w genitalia nie osunie się nieprzytomny na miękkim, błękitno-złoty dywan, purpurowy od krwi.

Po raz ostatni widział wtedy Sellinarisa i Elanorę. W ciągu jednej nocy stracił brata i siostrę. I do dziś nie mógł zrozumieć, co właściwie się wydarzyło tamtej nocy.

A Reikan chciał zrozumieć. Chciał wiedzieć, co pchnęło Sellinarisa do tak straszego czynu jak gwałt na siostrze. I czy to rzeczywiście był gwałt? „Zostaw go! To moja wina!”. Co miały oznaczać te słowa? Czy tak krzyczy zhańbiona dziewczyna? Dlaczego Eleuzis, ich ojciec! - bez sądu zamknął Sellinarisa w chronionej tytanianem celi, a Elanorę zesłał do Krainy Cieni?

Ferrin zawsze zdawał się Reikanowi najbezpieczniejszym i najwspanialszym ze światów, miejscem, gdzie prawo było prawem, a sprawiedliwość, sprawiedliwością. Każdy, nawet zbrodniczy kryminalista, nawet najmarniejszy niewolnik „do ćwiczeń”, miał w Ferrinie możliwość wypowiedzenia się we własnej obronie. Dlaczego nie pozwolono na to następcy tronu? I ferrińskiej księżniczce?

I jaka była w tym wszystkim rola zbiegłej Bereniki?

„Dziecko znajduje się w Wieży Bogów. Chłopiec. Krwi mieszanej”. Eleuzis wypuścił karteluszek z dłoni i pozwolił, by spłonął wraz z posłańcem. Patrzył na popiół z mieszanymi uczuciami.

Chłopiec. Krwi mieszanej.

Dlaczego nie dziewczynka?! Oczekiwał Wybranej, a nie kolejnego mieszzańca! Jeżeli nie Elanora, i nie jej córka, to kim była Wybawicielka z Wielkiej Smoczej Przepowiedni? I co, w imię Saetina, ma teraz robić?

„Dziecko w Wieży Bogów” - to tak jakby go nie było. A nie ma dziecka, więc nic się nie wydarzyło. Elanora wróci do Ferrinu, Sellinaris zostanie wysłany na wojnę do Nolandii, gdzie, niestety, zginie, Cienie dochowają tajemnicy, a poddani zapomną. Muszą zapomnieć! Zresztą znają tylko plotki. Naoczni świadkowie zniknęli. Gwardziści. Służebne. Wszyscy odeszli w niebyt oprócz Reikana, Sellinarisa i...

- *Eleuzisie dell'Soll, usłysz mnie.* - Widmowa postać... Elanory! - jakim cudem udało jej się zdjąć uwarunkowanie?! - zamajaczyła przed oniemiałym elfem.

- Cóрко, dostałaś wyraźny rozkaz...

- Nie dotyczą mnie już twoje rozkazy, Władco Ferrinu - przerwała mu, unosząc dłoń. - Milcz i słuchaj, póki jeszcze chcę z tobą rozmawiać. - Czy to rzeczywiście mówiła jego słodka, kochana, dobrze ułożona córeczka?! Chciał stanowczo i spokojnie odmówić księżniczce posłuchania, ale... Widok czarnej gwiazdy na jej czole ponownie odebrał Eleuzisowi głos. - Tak, tak, dobrze widzisz. Jestem Elanora WeddSa'ard, Wielka Władczyni Tartaru. Pokłoń się mi jak równej sobie!

Twarz widma wykrzywił uśmiech, który przeraziłby każdego, kto pamiętał dawną Elanorę.

Czekała. Czekała dotąd, aż Eleuzis skłonił sztywno głowę. Dopiero wtedy jej głos i uśmiech zmroziły elfa ponownie.

- Ty i ja, obydwójce otrzymaliśmy Przywilej Władzy. Ty za życie żony, ja za życie dziecka. Nadszedł czas zapłaty za tę władzę, Eleuzisie dell'Soll. Zaraza nazwana Szarą Śmiercią będzie pustoszyć Świat Światów, dopóki nie oddasz mi Sellinarisa.

Widok był wstrząsający. Dziesiątki Cieni czekały u podnóży ferrińskiej Wieży Portalowej na przejście.

Karnie, cierpliwie, w całkowitej ciszy. Stały ze zwieszonymi głowami i przymkniętymi oczyma. Mogłoby się wydawać, że drzemią, ale uważny obserwator widział, w jak wielkim są napięciu. Wsłuchane w swe wnętrza, wpatrzone w przyszłość, widzianą do pierwszego węzła, ale wystarczająco przerażającą, nie prosiły o pożywienie, nie chciały wody, nie odpowiadały na pozdrowienia.

Dla elfów przemierzających dziedziniec w swoich sprawach to było niecodzienne zjawisko. Każdy czuł, że dzieje się coś strasznego: Cienie opuszczają Ferrin.

- Nie możesz odwołać Cieni. W zamian za służbę Ferrin zwrócił wam wolność. Czy Wielki Władca Edenu jest krzywoprzysięcą? - Tą obelgą Eleuzis przywitał Izisa, śnieżnobiałego jednorożca, który służył Amarilli dell'Soll aż do dnia jej zniknięcia.

- *Zdradę zarzuca mi Wielki Władca Ferrinu, który przysłał do Edenu pierwszą nosicielkę?*

- Elanora trafiła pod twój dach zdrowa - odparł gniewnie Eleuzis.

- *Czyżby?* - W szafirowych oczach Izisa błysnęła ironia. - *Dlaczego więc w ogóle do nas trafiła?*

- Zapytaj jej Cienia - odburknął elf.

- *Ardisa, tak jak każdego z nas, obowiązuje tajemnica. Za to właśnie... za lojalność... tak nas ceniliście. I czym nam odpłacacie?* - Izis przewiercał rozmówcę spojrzeniem.

- Wyślę wam parę oddziałów najlepszych żołnierzy. - Eleuzis nie odwrócił wzroku. - Zlikwidują nosicieli.

- *Jak?* - uprzejmie zdziwił się Władca Edenu.

- Wytną ich w pień - wycedził elf.

- *Nosicieli potrafią zabić tylko Cienie, płacąc za to życiem. Nasi opiekunowie, Zaklinacze, umknęli do lasów przed zarazą i przed... nami. Zdajesz sobie sprawę, czym stał się wspaniały Eden? Kraina Czystych Serc? To pole śmierci, na którym każdy ucieka przed każdym, a wszyscy przed jednym: przed zarazą. Twoja córka ogłosiła się Władczynią Duszbójców - tak nazywa nosicieli. Zdobyła ich rękami naszą stolicę i przemianowała Eden na Tartar!* - W szafirowych oczach błysnęły łzy. - *My, którzy służyliśmy Bogini Primei, staliśmy na straży dobra i prawdy, my - jedyne istoty o czystych sercach w całym Świecie Świątów - mieszkamy teraz w domu Saetina! A ty oferujesz mi wsparcie w liczbie parudziesięciu elfów? Czy twoi poddani umieją jeszcze trzymać miecz?!*

Eleuzis wstał powoli z tronu, gotów całym swym majestatem odeprzeć tę potwarz, ale Izis pokręcił smutno głową.

- *Nie, Eleuzisie. Cienie wrócą do Edenu i postarają się zatrzymać Szarą Śmierć w jego granicach. Za wszelką pomoc będę naturalnie wdzięczny. O ile nie przyślesz mi następnego Duszbójcy...*

Ta rozmowa odbyła się o świecie. Gdyby Izis wiedział, z kim, gdzie i w jakim celu o północy spotka się Eleuzis, nie zniżyłby się do rozmowy z Władcą Ferrinu.

- Co ty wyrabiasz?! Zamknij przejście!

- Z szacunkiem, gadzie - wycedził Eleuzis, patrząc na Raskãra.

- Musisz zatrzymać Cienie!
- Po co?
- Śmierć Cieni i smoków, nie powstrzyma tego, co zagraża twojemu pierdolonemu Ferrinowi!

- Może to smoki są tym zagrożeniem? - rzucił w odpowiedzi Władca Świata Elfów.
- Od nas pochodzi Przepowiednia! To my stoimy na jej straży! Zatrzymaj Cienie!
- Nawet jeśli zamknę feri'ański portal, przejdą każdym innym. I nie gorączkuj się tak. Odchodzą tylko ogiery. Klacze, i twoje samice, pozostają bezpieczne. Saris oczywiście też.

Eleuzis poprawił od niechcienia zdobny w srebrny haft mankiet tuniki, a Raskār zrozumiał, że przyszła pora na pytanie o cenę, także za swoje życie.

Spotkali się w miejscu neutralnym, jeżeli w Świecie Światów zdominowanym przez Ferrin można było takie miejsce znaleźć. Wieża Bogów jednak, ze swymi mrocznymi, niedostępnymi śmiertelnikom wnętrzami, nadawała się do tajnych spotkań znakomicie. Nawet jeśli spotykali się zaprzysiężeni wrogowie: elf, człowiek i smok.

Było to wyjątkowo niedobre towarzystwo.

- Czy dobrze cię rozumiałam, Eleuzisie? - zapytała Berenika de Sanctis, wyklęta przez Ferrin jeszcze przed tym, jak wznieciła bunt wśród niewolników, doprowadzając do wybuchu wojny domowej elfów z ludźmi, a w rezultacie do wyniszczających cały świat wojen nolandzkich. - Chcesz nałożyć uwarunkowanie na całą krainę?

Raskār stał naprzeciw nich z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Niezupełnie, Bereniko - odparł Eleuzis. - Chcę nałożyć na Eden blokadę, aby nikt nie mógł stamtąd uciec ani tam się dostać, a następnie przenieść Krainę Cieni do Międzywymiaru.

- Teraz rozumiem. - Z twarzy Bereniki zniknęły naraz wszelkie ironiczne uśmieszki. Zniknął z niej także wszelki kolor. Stała się kredowobiała. - Eden przestanie istnieć w tym Wymiarze Świata Światów i we wszelkim innym.

- Tak. Teraz rozumiesz - powtórzył niczym echo Eleuzis. - Nie pozwolę na zagrożenie Ferrinu Szarą Śmiercią.

- No tak. Liczy się tylko Ferrin. Nawet za cenę zagłady Edenu...

- Tartaru - poprawił Berenikę Raskār. I były to pierwsze słowa, jakie Człowiek-Smok wypowiedział od początku spotkania.

- Racja. Nowa władczyni - tu złośliwy uśmiech i ukłon w kierunku ojca Elanory - przemianowała tę krainę na Tartar. To zbrodnia, Eleuzisie. - Berenika spoważniała ponownie. - Niewyobrażalna zbrodnia. Dokonasz egzekucji na tysiącach Cieni i Zaklinaczy elfiej krwi.

- Dokonamy - poprawił ją, a w zielonych oczach błysnęło to, co zawsze ją przerażało. - Sam nie związę tak potężnego zaklęcia. Potrzebna mi moc ludzka - tu skłonił się Berenice - i nieludzka - tu skinął głową Raskãrowi - elfów i boska.

Zapadła martwa cisza. Owszem, i ludzie, i kyrie bezlitośnie walczyli z każdym, kto stanął im na drodze. W wojnach nolandzkich i teraz, w wojnie domowej, przelano wiele krwi. Niewolnicy mordowali swoich panów. Elfom odpowiadało polowanie na niewolników. Ale... coś takiego - zesłanie okrutnej śmierci na cały świat - nie przyszłoby do głowy nawet wyprutemu z wszelkich uczuć kyriemu. Nawet bezwzględnej, zepsutej do szpiku wieźmich kości Berenice.

- Co ci zrobiły...? Cienie...? - wyszeptała, nie spodziewając się odpowiedzi. I nie otrzymała jej. - Jednorożce są ulubieńcami Primei. Bogini nigdy nie przyłoży ręki do ich zagłady. Skąd więc weźmiesz moc boską?

- Nie od Primei - odparł Eleuzis i rozejrzał się znacząco po celi, w której rozmawiali.

- Oddasz duszę Saetinowi? - tym razem w głosie Bereniki zabrzmiało niedowierzenie. I strach. Spojrzała na Władcę Elfów, jakby ten postradał rozum. Ferrin Ferrinem, ale dusza duszą.

- Nie swoją - uśmiechnął się zimno Eleuzis. - Oddamy Saetinowi, o d d a m y - powtórzył z naciskiem - elfa, człowieka i smoka. To powinno Boga Upadłych usatysfakcjonować.

Zapadło milczenie. Mimo tysiąca pytań wszystko było jasne. Oprócz jednego.

- Co dostaniemy w zamian? - zapytał bezceremonialnie Raskãr.

- To, o co walczyacie: władzę. - Eleuzis pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Ty dostaniesz Nolandię... złamię przymierze z Góralami i wycofam swoje oddziały. Tobie, Bereniko, oddam zachodnie prowincje, tam utworzysz swą wymarzoną Krainę Niewolników.

- Krainę Czarodziejek - wyszeptała, wypatrując w twarzy Wielkiego Władcy oznak niestosownego żartu. Ale twarz Eleuzisa pozostała nieruchoma.

- Niech ci będzie: Czarodziejek - zgodził się łaskawie. - Pozostali w Ferrinie niewolnicy zostaną odesłani do granic tej nowej krainy, przybędzie ci poddanych. Mieszkańców może wziąć Raskãr. Nie sprzeciwiaj się, Raskãrze, to niezła propozycja: mieszkańcy nie są może nawykli do pracy i posłuszeństwa, jak ludzie, za to żyją bez porównania dłużej. Będziesz miał czas, by ich sobie ułożyć.

Raskār się skrzywił. Akurat na kłopotliwych poddanych mieszanej krwi najmniej mu zależało. Za to zależało mu na spłodzeniu z kobietami mieszanej krwi potomstwa, skoro smoczyce pozostały w zamknięciu.

- Zgoda.

Berenika otworzyła usta, by zaprotestować. Te negocjacje, szczególnie po krwawej rzeźni, którą urządziły Ferrinowi nie tak dawno właśnie smoki, nie podobały się czarodziejce. Zbyt łatwo, zbyt szybko elf i kyrie...

- Jestem z tobą - powtórzył Raskār.

- Klękniij więc - rozkazał Eleuzis, a gdy gad wykonał polecenie, oblizując nerwowo łuskowate wargi, dotknął jego czoła kciukiem. - Mocą nadaną mi przez bogów mianuję cię, Raskārze, Władcą...

- Kyrenii - odpowiedział Człowiek-Smok.

- ...Kyrenii, Krainy Smoków - dokończył Eleuzis.

Na czole kyriego rozbłysła naraz purpurowa gwiazdka. Berenika wpatrywała się w nią jak urzeczona, po czym bez słowa osunęła się na kolana. Nie miała już żadnych wątpliwości. Opanowało ją pragnienie władzy.

Eleuzis dotknął kciukiem czoła kobiety i wypowiedział te same magiczne słowa:

- Mocą nadaną mi przez bogów mianuję cię, Bereniko de Sanctis, Władczynią...

- ...Alderii, Krainy Czarodziejek.

Na czole Bereniki rozbłysła gwiazda błękitna jak jej oczy, z których teraz płynęły gorące łzy szczęścia.

Przeżalone, nic nierozumiejące oczy trzech ofiar - maleńkiego chłopczyka, synka Elanory i Sellinarisa, ludzkiej kobiety oraz niedawno narodzonego kyrie - wpatrywały się w twarze trójki oprawców. Gwiazdy zdobiące czoła trzech Wielkich Władców rozświetlały ciemność niesamowitym blaskiem.

Cała trójka uniosła jednocześnie rytualne noże i opuściła je w tej samej chwili. Krzyk przechodzący w skowyt przeciął niewzruszoną ciszę podziemi. Krew, purpurowa i gorąca, splamiła ołtarz, podłogę wokół postumentu i ściany.

Nim z ofiar uszło życie, przybył ten, dla którego były one przeznaczone: Saetin, Bóg Upadłych, i dołączył swoją moc, potrzebną do zagłady Edenu.

Już mieli się rozstać - trzej nowo sprzymierzeni, połączeni zbrodnią i tajemnicą - gdy Berenika zatrzymała się na progu celi, nie mogąc powściągnąć się od zjadliwego komentarza:

- Eleuzisie, tak łatwo pozbywasz się tych, którzy ci ufają... Mnie odesłałeś jak parszywą sukę zaraz po urodzeniu wymarzonego następcy tronu... Następna była słodka, szlachetna Amarilla dell'Soll. - Nie, Eleuzisie! - nie miałam nic wspólnego ze zniknięciem twojej żony! Potem Elanora, tak śliczna, pełna wdzięku, młoda elfia, a teraz Cienie... Kto po nich? Sellinaris?

- Od kiedy obchodzi cię Sellinaris? - zapytał zimno Eleuzis.

- Właśnie przestał mnie obchodzić. Dostałam to, co przy pomocy Sellinarisa zamierzałam osiągnąć - odparła cynicznie. - Zrobisz z nim, co uważasz za stosowne. I to na ciebie spadnie odpowiedzialność za los, jaki mu zgotujesz. Ty będziesz miał na rękach krew pierworodnego. Pamiętaj o tym.

- Te wywody, Bereniko, brzmią w twoich ustach trochę nieszczerze po tym, jak pomogłaś mi zglądzić Eden.

Odwróciła się i posłała mu słodki uśmiech.

- Uczę się od najlepszych. Twoi poddani powinni cię od tej pory miast Wielkim Władcą nazywać Wielkim Zdrajcą. Czy istnieje dla ciebie jakakolwiek świętość?

- Tylko Ferrin - odparł z kamienną twarzą Eleuzis.

Reikan zmęczonym gestem przetarł oczy. Od wielu dni wraz z góralskimi zwiadowcami on i jego oddział tropili komando kyrieich.

Trudni to byli przeciwnicy na trudnym terenie: pustynia nie była wymarzonym miejscem na biwak ani dla Górali, ani dla elfów. Kończyła się woda i zapasy żywności dla ludzi i zwierząt. Słońca paliły niemiłosiernie. Mimo to Reikan nie zaprzestał pościgu. Rozkazy z Ferrinu były jasne: „Kyrie do piachu”. Tu, na tej pieprzonej pustyni, mogły być wykonane dosłownie.

Zaklął, ścierając ramieniem pot z czoła. Nikt nie wymagał od księcia służby w tym piekle. Czemu więc się na nią zgodził?

Tutaj, na końcu świata, goniąc za niewidocznym przeciwnikiem, wyczerpany, głodny, spragniony i brudny, Reikan mógł nie myśleć. Nie myśleć o tym, co przygnało go na rubież Nolandii. Przecież sam z własnej woli wyruszył na tę wojnę, prowadząc oddział elfów mieszanej krwi. Nawet sprzeciw ojca nie mógł powstrzymać Reikana od... ucieczki. Wspaniała Feri'ana, świat szczęśliwego dzieciństwa, przestała istnieć. Teraz kojarzyła się księciu jedynie ze strasznymi wydarzeniami tamtej nocy. Wciąż miał przed oczyma Sellinarisa, który...

- Ożeż kurrwa ich mać, wykończy mnie ten gorąc - zaklął szpetnie Airen k'Hor, kładąc się na szczycie wydmy obok Reikana. Miał cichą nadzieję, że to przekleństwo księcia zgorszy, ale się rozczarował. Reikan uśmiechnął się tylko. - Czemuśmy ich jeszcze nie dognali? Przecież gady ślepną w nocy, powinniśmy mieć przewagę!

- Mają skrzydła. Nadrabiają w dzień. - Reikan wzruszył ramionami. - Poza tym w nocy to i my niewiele widzimy.

- No, co racja, to racja. Nie mam nic przeciw wojaczce, ale to pustkowie i ta pogoń za cieniem wkurwia moich ludzi. - Znów łypnął na elfa z nadzieją, że może teraz go zgorszył. Znów się rozczarował.

- Nie przejmuj się. - Reikan uśmiechnął się ponownie. - Moich wkurwia jeszcze bardziej.

Airen roześmiał się rubasznie. Nigdy specjalnie nie przepadał za elfami, ale Reikana serdecznie polubił. Księżę to swój gość. Nie wywyższał się, nie mądrzył. Potrafił słuchać nie tylko gry na fujarce, ale także dobrych rad Górali, a czasem - chociaż rzadko - udało mu się nawet błysnąć humorem.

Przedmiot Airenich rozważań osłonił oczy od blasku słońc i miast wpatrzył się w ślady na piasku, obserwował krążącą nad ich głowami plamkę.

- Będą atakować? - zaniepokoił się Góral.

Obserwowana istota spadła z nieba z przeciągłym piskiem triumfu.

- Zestrzełę. - Przyboczny z ίσicie elfim refleksem napiął łuk i wymierzył, ale:

- Czekaj! - Reikana kazało mu powstrzymać śmiertcioną strzałę. - To posłaniec.

Reikan wyciągnął rękę. Biały sokół wbił się szponami w przedramię księcia, odczekał cierpliwie, aż ten odbierze wiadomość, po czym pomknął z powrotem na południe.

- Jakie wieści? - Zwiadowca, Amre Shanon, zajrzał swemu dowódcy przez ramię, ale Reikan ku zdumieniu wszystkich odsunął go stanowczym gestem, zmiął kartkę, którą przyniósł magiczny posłaniec, i odszedł na bok, pilnując, by trzymać się prosto.

Podkomendni spojrzeli po sobie. Widać wiadomość była naprawdę zła...

I treściwa: „Ferrin wycofuje się z Nolandii. Wracaj natychmiast. Podpisano: Eleuzis dell'Soll, Wielki Władca Ferrinu”.

Jak to?! Po tylu miesiącach wspólnych zmagani z wrednymi gadami, po tylu potyczkach u boku Górali, walcząc ramię w ramię, miecz w miecz, teraz ma zostawić sprzymierzeńców samych sobie? Czy sytuacja w Ferrinie była naprawdę tak dramatyczna, bunt wzniecony wśród niewolników tak groźny, by oddawać Nolandię, od zawsze stojącą na straży

północnych granic, w szpony kyrieich? Przecież Górale nie poradzą sobie i z Dzikimi Ludźmi, i ze smokami!

A co z oddziałem? Ma zostawić swoich żołnierzy, którzy podążali za nim wiernie, bez słowa skargi, przez piekło Nienazwanego, na pastwę kyrieich?

Reikan obejrzał się: stali tam - jego ludzie mieszanej krwi i Górale - czekając na jego powrót. Twarze tych pierwszych nie zdradzały żadnych uczuć. Twarze Górali były pochmurne niczym niebo zwiastujące piaskową burzę. Księżę westchnął. Tak ciężko było przekazać te wieści Airenowi. Zaprzyjaźnił się szczerze z prostodusznym człowieczkiem.

Położył kępemu Góralowi, który patrzył nań z ufnością dziecka, dłoń na ramieniu.

- Jest aż tak źle?

Reikan skinął głową.

- Wycofujemy się.

- Dass'ratt! - syknął Airen i splunął.

- Dostałem rozkaz natychmiastowego powrotu. Doprowadzisz moich ludzi do portalu w Smoczym Stosie i przepuścisz ich?

Airen mierzył księcia dłuższą chwilę zimnym spojrzeniem, po czym wzruszył ramionami.

- Jak tam sobie chcesz - odwarknął.

Reikan zajął pytająco w szare oczy kompana. Ten wytrzymał jego spojrzenie.

- Jak rzekłem, że przepuszczę, to przepuszczę. My, Górale, nie łamiemy danego słowa.

- Wiem, Airenie - odrzekł cicho Reikan. - Wybacz mi... - Zamilkł, nie chcąc być nielojalnym w stosunku do ojca.

- Trudno będzie - sapnął Góral. - No, znikaj już, Ostrouchy, stary kazał ci wracać natychmiast.

„Wracaj natychmiast”. Łatwo rozkazać, trudno wykonać. Od najbliższego portalu w Smoczym Stosie dzieliło Reikana kilka dni wytężonego marszu. W warunkach wojennych - kilkanaście. Księżu pozostał jedyny środek transportu, jakim po odejściu Cienia dysponował: lwiana.

Reikan westchnął powtórnie - już sobie wyobrażał, jak pomysł podróży na grzbiecie półdzikiej lwiany skomentowałby Rais, nieodżałowany Cień. Poczuł niemal fizyczny ból na wspomnienie najdroższego przyjaciela, ale odsunął ten ból na dno duszy. Spotkają się przecież. Kiedyś. Tak obiecał Rais, a Cienie zawsze dotrzymują słowa.

Reikan gwizdnął przeciągle. Skrzydlaty lew o srebrnym ciele upstrzonym ciemniejszymi cętkami przybył dopiero na trzecie wezwanie. Ale przybył.

- Gdzie byłaś? - zbeształ bestię dobrodusznie, ciągnąc ją za pędzelki na uszach.

- *Polowałam. Na kyrie.* - Nie musiał pytać o wynik polowania. Lwiana się oblizwała, patrząc na swego pana oczyma błyszczącymi zadowoleniem.

- Dobra Hatira. - Podrapał lwianę za uchem, co przy jąła narastającym mručeniem, niczym wielki - naprawdę wielki - kot, którym właściwie była. - Teraz poniesiesz mnie do Ferrinu.

- *Nie!*

- Zrobisz to. - Głos Reikana był bardzo stanowczy.

Zwierzę parsknęło wściekle. Zamachnęło się wielką łapą, uzbrojoną w potężne pazury, tnąc powietrze tuż przed twarzą księcia. Ten uniósł tylko brwi.

- Połóż się - nakazał spokojnie.

Bestia niechętnie wykonała rozkaz, demonstrując niezadowolenie sykami i uderzeniami ogona o cętkowane boki. Książę usadowił się na jej grzbiecie i wczepił palcami w ciemną grzywę; lwiana przeciągnęła się, machnęła skrzydłami i wzbija się w czyste, szmaragdowobłękitne niebo.

Nie oszalał tylko dlatego, że był przy nim Saris.

- *Sellinarisie. U...łysz ...ie!* - Słabe mentalne wezwanie usłyszał tej nocy, gdy z głodu i pragnienia - tak właśnie próbował ze sobą skończyć - zasłabł nad kloacznym otworem i padł twarzą w nieczystości. - *Sellina. Usły... mnie!* - Czy to halucynacje zesłane przez zbliżającą się śmierć, czy oczekiwany jak wybawienie obłąd? Sellinaris uniósł się na rękach, ocierając z twarzy łzy upokorzenia, bezsilności i rozpacz, zmieszane z własnymi odchodami. Potrząsnął głową i oprzytomniał. Pochylony nad otworem wsłuchał się w dobiegające zeń wołanie.

- Saris... - wyszeptał z niedowierzaniem. - Saris!!! - krzyknął tak głośno, jakby Cień mógł go słyszeć. Zamknął oczy i koncentrując się do granic możliwości, pochylił nad cuchnącym ściekiem. Jego ściany nie były wyłożone tytanianem i przez ten słaby punkt magicznej osłony dobiegał głos Sarisa.

- *Je... tem ...łyszę cię.*

Od tej chwili Cień trwał przy więźniu dzień i noc. Gdy tylko książę budził się z niespokojnego snu, pełzł do otworu i na jego paniczne: „Saris?!” natychmiast przychodziła uspokajająca odpowiedź:

- *Je... tem.*

Mieli dużo czasu na rozmowy. Głos Sarisa nikał chwilami, mimo to Cień cierpliwie opowiadał swemu panu o wydarzeniach tamtej nocy. Bo Sellinaris chciał, tak jak Reikan,

zrozumieć. Zrozumieć za co. Jedyne, co pamiętał, to widok pogrążonej w śpiączce Elanory i stojącej u wezglowia Bereniki. To, co stało się potem, do momentu ocknięcia w tej celi, stanowiło dręczącą zagadkę. Później nie było już zagadką, choć pozostało udręką: zhańbił Elanorę. Zhańbił własną siostrę. Chorą, wręcz umierającą. W napadzie ślepej furii chciał zabić Reikana. Brata. Na bogów! I nie tłumaczył Sellinarisa fakt, że podano mu truciznę odbierającą zmysły.

Długo krążył po celi, nie mogąc pogodzić się z tym, co uczynił. Słusznie wtrącono go do więzienia! Zasłużył na śmierć! Ale przecież... Gdybym wiedział. Gdybym przewidział. Nigdy! Nigdy!!! Na bogów! Elanora i Reikan! Oddałby za nich bez wahania życie! Przecież kochał i brata, i siostrę! Widać tę drugą za bardzo.

- *Nie zadreżczaj się* - tłumaczył Saris. - *Nie uczyniłeś tej zbrodni świadomie. Nie ty jesteś jej winien.*

Skoro nie ja, to kto? Berenika. To Berenika podała mu truciznę, by zemścić się na rodzice dell'Soll.

Dlaczego więc Eleuzis równie surowo ukarał Elanorę, miast ścigać tę, która to wszystko ukartowała?

Ściana celi rozbłysła seledynowym światłem. Sellinaris osłonił oczy przedramieniem.

- Książę. - Usłyszał głos gwardzisty i poczuł jego dłoń na ramieniu. - Pozwól za mną.

Wstał oszołomiony. Czyżby to była jego ostatnia droga? Po drugiej stronie drzwi czekał Saris. Lekko dotknął wolnego ramienia swego pana, zapewniając go tym gestem: „Jestem przy tobie”. Książę poczuł, że zarzucają mu na plecy płaszcz, a głowę okrywają kapturem. Potykając się, ruszył za strażnikiem. Ruszył w ostatnią drogę Sellinarisa dell'Soll.

Nigdy nie widział takiego portalu. A przecież swego czasu, dopóki go to bawiło, Sellinaris przechodził do różnych Światów i Wymiarów. Portale bywały błękitne - te najbliższe, zielonkawe - te dalsze, chronione blokadami. Ale czarny?! Sellinaris cofnął się o krok, zdecydowany odmówić wykonania rozkazu. Zwykle po drugiej stronie czekał nań Klucznik, gotów otworzyć portal wyjściowy. Tym razem Klucznika nie było. Właściwie nie było nic oprócz atramentowej czerni.

- Wasza Wysokość, czekamy na rozkazy - przypomniał przyboczny. Oddział liczący pięćdziesięciu elfów mieszanej krwi stał półkolem za dowódcą, równie niespokojnie jak on wpatrując się w czerń.

Rozkaz nie był zbyt skomplikowany: „W Edenie wybuchła zaraza. Sprowadzić Elanorę do Feri’any. Podpisano: Eleuzis dell’Soll, Wielki Władca Ferrinu”. Tyle że portal prowadzący do Edenu miał piękną perłowobłękitną barwę, a ten tutaj?

- Saris, co o tym myślisz? - Księżę położył dłoń na szyi Cienia, czując, jak ten drży.

- *Wzywano mnie, a ja nie usłuchałem. Wzywano mnie...*

Saris wszedł w portal. Sellinaris skoczył za nim, a za księciem ruszyła reszta oddziału.

Droga była krótka. Zaledwie jeden krok dzielił dwa światy. Jeden krok.

Cień i elfowie stali po drugiej stronie i nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Słońca zostawili za sobą - w tamtej, tak bliskiej, wydawałoby się, rzeczywistości. Eden spowijał mrok. Nie noc - wtedy świat wyglądałby naturalnie, ale mrok. Niebo nad głowami było... Nie było nieba. Sellinaris nagle zrozumiał: jakaś straszliwa siła zamknęła Krainę Cieni w garści, wyszarpnęła ze Świata Światów jak serce z piersi i cisnęła w Międzywymiar.

Niekończące się łąki, kiedyś soczyste zielone, teraz zmieniły się w morze popiołów. Trawy szerniały i kładły się pokotem na spękanej ziemi. Strumienie, do niedawna krystalicznie czyste, jak dusze zamieszkujących ten świat istot, teraz niosły burą wodę, którą spływał wszechobecny szary pył. Drzewa wyciągały bezlistne ramiona ku górze, tam gdzie kiedyś z błękitnego nieba spływały promienie dwu słońc. Pasma szarej, gęstej jak woal mgły włóczyły się nad ziemią niczym duchy potępieńców.

Widok był przerażający. Elfowie spoglądali niepewnie po sobie, bo mimo że odwagi im nie brakowało, tak całkowitej zagłady się nie spodziewali.

Sellinaris trzymał dłoń na szyi Cienia, gładząc go delikatnie. Przez pierwsze chwile obawiał się, że Saris nie zniesie widoku, jaki się przed nim rozpościerał. Że Cieniowi pęknie serce z rozpaczy. Sam ledwo stał na nogach. Miał chęć paść na kolana i zapłakać.

A koszmar dopiero się zaczynał.

Nie ruszywszy się o krok od portalu, czekali na powrót zwiadowców. Co chwila któryś zerkał na czarny prostokąt przejścia, marząc o wejściu wewnątrz i powrocie do Świata Światów.

Sellinaris stał obok Sarisa, który ze zwieszoną głową i oczami nieprzytomnymi z bólu przypominał cień samego siebie.

Cień Cienia. Księżciu ścisnęło się serce, gdy czuł pod dłonią drzenie przyjaciela.

Coraz gorsze też ogarniały go przeczucia. Co jeszcze tu zastaną? Zwiadowca wynurzył się z kłębow szarej mgły, zatrzymał się tuż przed dowódcą i dał wzrokiem znać, by księżę ruszył za nim.

- Panie, zawróćmy - wyszeptał, zeskakując na ziemię. Twarz miał tak szarą jak wszystko wokół.

- Mów! - rozkazał Sellinaris.

- Przed nami jest... - Zwiadowca zamilkł, szukając słów. - Można to nazwać polem bitwy. Setki Cieni. Martwych. I, Wasza Wysokość, równie wielu Zaklinaczy zabitych przez... przez Cienie.

- Zaklinaczy?! Przez Cienie?! - Księżę nie mógł powstrzymać się od pełnego zgrozy i niedowierzania okrzyku. Jak łagodne, kochające życie istoty, jakimi były Cienie, mogły zabić swoich opiekunów?! To szaleństwo! Ten świat oszalał!

Sellinaris spojrzał w górę, gdzie nie było już nieba. Kiedy to się stało? Kiedy Eden został skazany na zagładę? Przez kogo i z jakiego powodu? Tyle pytań.

- Zaklinacze mają twarze... ciała... poznaczone zarazą. Nagie czaszki. Puste oczy. Na twarzach... Nie potrafię opisać ich twarzy. Usta rozwarte jak do krzyku... Widziałem nieraz zwłoki, ale tak... przerażających jeszcze nigdy.

- Jesteś pewien, że to Zaklinacze, a nie Duszobójcy?

- Nie wiem. Niczego nie jestem już pewien. Noszą znaki opiekunów. - Umilkł i obejrzał się w kierunku, skąd przybył. - Do Serca Edenu jeszcze szmat drogi, księżę. Obawiam się, że im bliżej stolicy, tym będzie gorzej. Nie ma śladu życia. Rośliny, zwierzęta. Wszystko martwe. - Spojrzał w stronę czarnego ogiera. - Nie wiem, czy wasz Saris to zniesie.

Sellinaris przeciągnął dłońmi po twarzy. On także bał się o Sarisa.

Gdy się tu znaleźli, ujrzał, jak na czole Cienia rozkwita srebrzysta gwiazdka, i wiedział, co to oznacza: Sarisowi przekazano Przywilej Władzy. Izis, Cień Amarilli, nie żył.

Nie namyślając się długo, skinął na przybocznego, a gdy ten podszedł, prowadząc za sobą jucznego konia, sięgnął zdecydowanym gestem do sakwy. Giętka linka, spleciona z rzemienia i metalu, czarnego tytanianu, spoczywała na samym dnie, równie cenna, jak niebezpieczna.

Księżę położył uspokajającym gestem dłoń na czole Sarisa i szepcząc zaklęcie, zapętlił na jego szyi chroniącą przed użyciem magii linkę. Cień nie zamierzał się bronić, zobojętniały na wszystko.

- Wracamy do domu, koniku - szepnął Sellinaris i rzucił przez ramię rozkaz wymarszu. Oddział elfów ustawił się w szeregu, gotowy do opuszczenia tego miejsca ze źle ukrywaną ulgą.

Książę ruszył przodem, ciągnąc za sobą Sarisa. Podeszedł do portalu, chciał zrobić krok i... Nie zdołał. Portal nie przepuścił Sellinarisa. Żadnego z elfów także nie.

- *Saris, wysłuchaj mnie!* - Smagnął ogiera mentalnie, aż ten drgnął, nieprzyzwyczajony do tak brutalnej ingerencji. - *Wysłano nas bezpowrotnie. Na pewną śmierć. Może ty, mając Przywilej Władzy, przejdziesz przez ten przekłety portal. Słuchaj mnie!* - Z całej siły uderzył Cienia. Ten łypnął nań wściekle. Po raz pierwszy, od kiedy się tu znaleźli, książę dojrzał w jego oczach coś więcej niż rozpacz. - *Wróc do Świata Światów i czekaj na mnie. Gdybym tu zdechl...* - Książę umilkł. Nie bał się śmierci. Nie mógł się tylko pogodzić z myślą, że wypuszczono go z lochu tylko po to, by skazać na śmierć tutaj, w tym martwym świecie. - *Znajdź winnych. Wymierz sprawiedliwość. Nawet jeśli miałoby to być Primea i Saetin.*

- *Tartar nie jest dziełem Najwyższych.*

- A czym?! - wykrzyknął na głos Sellinaris. Saris pokręcił tylko głową. - Nawet po tym, co tu widziałeś, kryjesz zbrodniarzy?! Wymordowali twoich braci i opiekunów, obrócili Eden w popiół, a ty silisz się na słynną lojalność jednoroźca!

Saris uniósł głowę i spojrzał swemu panu prosto w oczy.

- *Nie silę się na lojalność wobec zbrodniarzy, ale chcę tobie oszczędzić cierpienia.*

- A ja chcę...

- *Eleuzis. Berenika. Raskār.*

Brodząc po kolana w szarej mgle, która lepiała się do nich niczym pajęczka sieci, podążali w kierunku stolicy Krainy Cieni, nie mając nadziei, że zastaną tam kogokolwiek żywego. Szli za swym dowódcą chyba tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Nie było stąd ucieczki. Nie było powrotu.

Sellinaris raz po raz oglądał się na swój oddział. Nie tak wyobrażał sobie elfów idących w bój. Jeśli nawet skazani byliby na pewną śmierć, winni walczyć do końca. Za... Za Ferrin? Za co mieli walczyć jego podwładni, skoro wrócić do Ferrinu nie mogli, a Eden stał się światem upiorów?

Mijali ciała Cieni, tak pięknych za życia: żadna istota w całym Świecie Światów nie dorównywała pięknu biegnącego przez rozświetlone łąki Cienia. Mijali zwłoki ich opiekunów, o twarzach straszliwie zmienionych przez zarazę. Im bliżej Serca, tym częściej natykali się na martwych elfów w barwach Feri'any. Sellinaris nie wiedział, co o tym myśleć.

Mgła i pył, jedno i drugie lgnące do twarzy, ust, oczu, doprowadzały żyjących do obłądu. Brak światła dobijał. Po kilku dniach wyglądali nie lepiej niż mijani po drodze martwi Duszobójcy.

A był to dopiero przedsiónek piekła.

Czoło kolumny stanowili gwardziści. Otaczali maszerujących w milczeniu ludzi. Ludzkich niewolników. I nie tylko. Między służącymi widać było idących żołnierzy mieszanej krwi. Bez broni.

Reikan, ustąpiwszy z drogi, patrzył na ten pochód nic nierozumiejącymi oczyma. Wreszcie zatrzymał któregoś ze strażników. Ten, rozpoznawszy książęcy diadem, skłonił się i bez słowa podał Reikanowi zwój.

- Dekret o czystości rasy - przeczytał półgłosem książę. Podniósł na strażnika wzrok, ale ten umknął spojrzeniem. Reikan czytał więc dalej. Że Szarą Śmierć sprowadzili na Eden ludzie. Że ludzie wznieśli wojnę domową, bezlitośnie mordując swych opiekunów. Że nikt w Ferrinie nie może się czuć bezpieczny, dopóki każdy, kto ma choć kroplę ludzkiej krwi w żyłach, nie opuści Świata Elfów. Że od tej pory obowiązuje niniejszy dekret, mający chronić poddanych Eleuzisa. Że każdy, kto sprzeciwi się rozkazom, ukrywając ludzi bądź mieszaińców, zostanie stracony bez sądu. Że elf, który wszedł w związek z człowiekiem lub mieszaińcem i nie wyrzeknie się go, zostanie wydalony z Ferrinu bez prawa powrotu.

Ręka z pergaminem opadła bezwładnie. Ten świat oszalał. Eleuzis oszalał! Przez długą chwilę próbował pozbierać myśli, patrząc niewidzącym wzrokiem na wlokących się traktem wygnańców.

- Dokąd ich prowadzicie? - zapytał strażnika.

- Mamy rozkaz odstawić tych nieboraków do granicy. Ludzi do zachodniej. Mieszaińców do północnej.

Na północ? Do Nolandii. Tam gdzie Reikan zostawił swój oddział. Nagłe podejrzenie ściegło księciu krew w żyłach. Oddano mu pod dowództwo samych mieszaińców, wiedząc, że nie będzie dla nich powrotu. Zaraz, zaraz, co on powiedział? Ludzi do zachodniej?!

- Ferrin na zachodzie graniczy z morzem - wyszeptał.

- Już nie. - Strażnik pokręcił głową. - Ponoć z mocy bogów powstała na zachodzie Alderia, Kraina, tfu! Czarodziejek, którą rządzi Berenika de Sanctis, a na północy Kyrenia, kraina tego smoczego pomiotu, choć nie wiem, czy faktycznie taki był boski zamiar. Jest coś jeszcze. Wielki Władca... - Strażnik się zawahał. Za szerzenie takich wieści mógł zapłacić głową. Bądź co bądź była wojna. Reikan wstrzymał oddech. Czy było coś gorszego niż

wygnanie lojalnych poddanych mieszanej krwi i oddanie połowy Ferrinu wiedźmie?! - ...uwolnił smoki - dokończył.

- Łzesz! - krzyknął Reikan. Ten strażnik kłamał! To niemożliwe, by Eleuzis wypuścił z takim trudem pokonane i uwięzione po wiekach okrutnej wojny smoki!

- To szczerą prawdą, panie. Grota jest pusta. Smoki odleciały na północ, wezwane przez kyrieich. W Ferrinie mogą pozostać tylko elfy czystej krwi - dodał z niejaką dumą, odgarniając jasne włosy. - Dla nikogo innego nie ma już miejsca. Nie wiem tylko, co z Cieniami, żaden dotychczas nie powrócił. Gdzieście byli, wielmożny panie, że nie wiecie o nowych porządkach?

- Na wojnie. W Nolandii - odparł Reikan głucho i bez pożegnania ruszył w kierunku Feri'any.

- Nie ma już Nolandii. Jest Kyrenia, psia jej mać! - krzyknął za nim strażnik.

Powoli, ostrożnie zbliżali się do Serca Edenu. W oddali widzieli już Daleki Dwór i otaczające go stajnie. Wyjechali na łąki niegdyś żywo zielone, teraz pokryte pyłem, jak wszystko w tym świecie. Sellinaris puścił przodem zwiadowców, sam zaś wstrzymał konia, pozwalając zwierzęciu i żołnierzom na chwilę odpoczynku. Przede wszystkim zaś musiał zebrać myśli.

Był przerażony. Brał udział w niejednej bitwie - sam przyczynił się do pojmania smoków i wspierał Górali w wojnach nolandzkich. Nieraz ryzykował życie swoje i podwładnych, nieraz był ranny i niejednego wroga zabił. Jednakże to, co ujrzał po drugiej stronie portalu: cały świat zamieniony w pył, i to, co czekało go w tym świecie - nieznanne, nienazwane, ale złe, czuł owo zło każdą komórką drżącego ciała, to wszystko przerastało jego wyobrażenia i przerażało. Gdyby nie podkomendni szukający w oczach dowódcy pewności, odwagi i spokoju... Gdyby nie to, że drogi powrotnej po prostu nie ma...

- Książę, w stolicy nie byłoby żywej duszy... - Po tych słowach zwiadowca się zawahał. By zyskać na czasie, otarł z twarzy wstrętny szary pył.

- Gdyby nie? - ponaglił go Sellinaris.

- Twoja siostra. Oczekuje cię, mój panie.

- Elanora?! Jest cała? Zdrowa? - Zwiadowca przytaknął bez przekonania. - Pozostawiono ją samą?! Zupełnie samą w tym miejscu?! - Książę wbił piętę w bok wierzchowca. Zwierzę chciało skoczyć naprzód, ale zwiadowca w locie schwycił wodze i zatrzymał konia.

- Panie, powinieneś wiedzieć... - Urwał w pół zdania. - Ona nosi Znak. Nosi czarną gwiazdę władczyni tego... miejsca.

Sellinaris w pierwszym momencie nie zrozumiał. W następnym, gdy dotarło doń znaczenie tych słów, wyglądał, jakby nagle przybyło mu lat.

- Nie musicie jechać ze mną - rzekł do żołnierzy, nie odwracając głowy, i powoli ruszył ku Sercu Edenu.

Elanora czekała nań pośrodku alei prowadzącej ku Dalekiemu Dworowi. Stała spowita w czarny woal. W zapadłej twarzy żyły jedynie wielkie oczy, w których czerń rozszerzonych źrenic wchłonęła złoto tęczę.

- Nareszcie - westchnęła, gdy Sellinaris zatrzymał przed nią wierzchowca i zeskoczył na ziemię.

Wyciągnęła do brata dłonie, on zaś uchwycił je w swoje i podniósł do ust. Ale Elanora wyszarpnęła ręce, by w następnej sekundzie przyciągnąć twarz Sellinarisa i wpić się ustami w jego wargi. Pozwolił się całować siostrze przez chwilę, kompletnie zaskoczony. Wreszcie cofnął się gwałtownie. Elanora zachwiała się, znów wyciągając ku niemu ręce. Chwycił ją za nadgarstki.

- Nie, Elanoro - rzekł powoli, tak stanowczo jak wtedy, przed rozstaniem. - Nie.

- Jestem władczynią tego świata! - zakrzyczała piskliwie. - Mogę zrobić z tobą, co zechcę! Po co tu przybyłeś, jeśli nie po to, by mi służyć?!

- By cię stąd zabrać - sprostował spokojnie, mimo że okazywanie spokoju na zewnątrz, gdy w środku szalały emocje, drogo go kosztowało.

- Obiecał mi! Saetin mi obiecał, że wrócisz do mnie na kolanach!

- Jeżeli tego pragniesz. - Osunął się na kolana i ponownie ujął ręce dziewczyny. - Jesteś chora. Błagam, wróć ze mną do domu. Błagam.

- Tu jest mój dom! Mam władzę! Słuchają mnie! I wreszcie - zniżyła głos do szeptu - wreszcie mam też... ciebie. Nie wrócę z tobą do Ferrinu, Sellinarisie, bo stąd nie ma powrotu.

- Uśmiechnęła się doń słodko, na wpół obłąkanym uśmiechem. - Wiedziałeś o tym i przybyłeś, by rządzić Tartarem u mego boku. By mi służyć tak, jak mąż żonie służyć powinien.

- Elanoro,, co ty bredzisz?! - Poderwał się na równe nogi, chwycił siostrę za ramiona i potrząsnął. Zaśmiała się chichotem starej wiedźmy.

- Mam cię, mój ukochany, i już cię nie wypuszczę. Już nie uciekniesz. A za każde twoje „nie” zapłaci głową któryś z tych tam. - Wskazała brodą stojących w pewnym oddaleniu, coraz bardziej skonsternowanych żołnierzy.

Książę bez namysłu uderzył ją w twarz, licząc, że siarczysty policzek otrzeźwi pograżającą się w szaleństwie dziewczynę.

Spojrzała na Sellinarisa z taką nienawiścią, że musiał się cofnąć o krok, czując tę nienawiść wgryzającą się w jego ciało.

- Wybrałeś - wysyczała.

Duszobójcy pojawili się nie wiadomo skąd. Pustymi dotąd alejami nadciągało morze rozkołysanych bezwłosych, martwookich istot, nucących rozwartymi ustami pieśń bez słów: unoszący się i opadający ni to jęk, ni krzyk. Duszobójcy wyłaniali się z cieni rzucanych przez ruiny stajni; zwlekali z niskich murów otaczających zabudowania; wynurzali się z mgieł tak szarych jak ich twarze; wypęzali spod ziemi. Martwy świat, w którym Sellinaris nie spotkał dotąd żywej duszy, nagle ożył.

- Uciekać! - krzyknął Sellinaris, przytomniejąc gwałtownie. Elanora zachichotała. - Uciekajcie! - Chciał krzyczeć tak głośno, by krzyk zbudził go z koszmarne snu, ale wiedział, że to próżna nadzieja. Z Serca Edenu nie było ucieczki.

Oddział elfów zbił się w ciasną gromadę, z mieczami zwróconymi ku otaczającym ich bestiom. Nie mieli szans.

Feri'ana sprawiała wrażenie wymarłej. Nieliczni mieszkańcy przemykali korytarzami niczym duchy, starając się nie wchodzić sobie w drogę. Unikali nawzajem swoich spojrzeń, by w oczach współplemieńców nie widzieć tego samego strachu i zagubienia, które posiadały ich dusze. Ludzie zostali wygnani. Smoki odleciały na północ. Cienie odeszły. Świat Elfów należał... tylko do elfów. I stał się przez to przerażająco pusty.

- Udasz się do Wieży Bogów. - Eleuzis długimi krokami przemierzał salę audiencyjną. - Będziesz oczekiwał tego, kto wyjdzie z portalu. Odprowadzisz go, związanego, do granicy z Kyrenią, już na niego czekają, i puścisz wolno.

- Kim on będzie?! Co z Sellinarisem?! Co z Edenem?! - Książę poderwał się z klęczek. Nie mógł spokojnie patrzeć na kroczącego z dawnym dostojenstwem ojca, podczas gdy walił się w gruzy świat, który on, Reikan, ukochał.

- Z portalu wyjdzie Władca Duszobójców, by dalej siać zarzę.

- Idę tam! - Książę gotów był ruszać natychmiast, ale nie miał na myśli Wieży Bogów. - Muszę sprowadzić Sellinarisa i Elanorę.

- Portal jest zamknięty. - Słowa Eleuzisa zatrzymały Reikana, nim zrobił krok. Młody elf odwrócił się, jakby to przed nim zamknięto ostatnią drogę.

- Muszę spróbować - wyszeptał.

- Synu... - Władca oparł ręce na ramionach księcia. - Los tych, co powrócili do Edenu, jest przesądzony. Twoim zadaniem jest nie dopuścić, by to samo spotkało Ferrin. Błagam cię więc, w imieniu własnym i naszych poddanych - Eleuzis osunął się ciężko na kolana i pochylił głowę przed oniemiałym Reikanem - ocal nas.

- Nie!!! Neeee!!! - krzyk przeszedł w nieludzki skowyt. Ostatni z gwardzistów Sellinarisa zniknął pod oszalałym, kłębiącym się niczym stado hien, tłumem nosicieli.

On zaś mógł tylko patrzeć. I czekać na swoją kolej.

Dziesiątki razy - ilekroć Duszobójcy na rozkaz władczyni odciągali kolejną ofiarę - dziesiątki razy usiłował z nimi walczyć. Groził, błagał, miotał przekleństwa, ale osaczony przez bestie mógł jedynie patrzeć na śmierć, jaką zgotowano jego ludziom.

- Ukorz się - syczała Elanora za każdym razem, gdy rozszarpywano żołnierza. - Przysięgnij wierność. Oddaj mi się. Albo patrz i płacz.

Kiedy ucichło ostatnie „Neeee!!!”, Sellinaris przeniósł szeroko otwarte oczy, oczy zaszczutego zwierzęcia, na władczynię.

Powoli skierował ostrze miecza ku ziemi. Ukląkł, wspierając się na rękojeści, i pochylił głowę. Włosy - niegdyś lśniące czarne, teraz szare od wszechogarniającego pyłu - ukryły mokrą od łez twarz.

- Przysięgam - wyszeptał.

- Powtórz! - Elanora z triumfującym uśmiechem pochyliła się nad bratem.

- Przysięgam! - ryknął, podrywając Czarny Tytanian, i ciał Władczynię Tartaru od pachwiny po mostek.

Duszobójcy zamarli w oczekiwaniu. Sellinaris wcisnął pięść do ust i szlochając jak dziecko, pochylił się nad siostrą. Tuląc ją w ramionach, kołysał się w tył i w przód jak... ONI.

Ciało Elanory drgało w konwulsjach, jakby nie zgadzało się na śmierć. Jakby dusza usiłowała wydostać się na zewnątrz i, znów wolna, zacząć życie od nowa. I nie przetracić tego życia tak bezsensownie.

Pokraczna, skulona istota wrywała się z powłoki cielesnej należącej jeszcze przed chwilą do elfii... Esencja zła, źródło zarazy, szukała nowego pana.

Sellinaris odrzucił zwłoki siostry i zaczął cofać się na czworakach, bo nogi odmówiły posłuszeństwa. Patrząc na umierającą Elanorę, myślał, że wszystko, co najgorsze w życiu, już przeżył. Że w następnej kolejności skieruje ostrze miecza ku swemu sercu i umrze śmiercią łagodniejszą, niż zgotują mu Duszobójcy. Ale bogowie mieli widać inne plany.

To, co wylaniało się ze zwłok, było... Było karykaturą Elanory. Nie! Gdy wyciągnęło ku niemu ręce i pełzło, czepiając się ramion, przybierało jego, Sellinarisa, rysy twarzy.

- Odejdź! - zdołał wybełkotać.

Zamachnął się na oślepie mieczem, ale czyjaś dłoń powstrzymała głownię.

- Oto twój wybór, Sellinarisie - głos Bogini Primei brzmiał słodko i łagodnie. - Pozwól słudze Saetina żyć, a będzie od tej pory twoim sługą. Jeżeli jednak zdecydujesz się go zabić...

- zawiesiła głos, a Sellinaris nie chciał wiedzieć, co się stanie, jeśli podniesie rękę na pokrakę zastygłą w bezruchu u jego stóp - ...role się odmienia.

Nie miał wyboru.

Reikan dał rozkaz, by zsiadł z Cienia, jedyne przyjaciela, jaki się od niego nie odwrócił, po czym zdjął z szyi brata orkan i rozciął tytanianowe więzy pętające nadgarstki. Eskorta cofnęła się nieco, zamykając drogę powrotną.

Nagła rozpacz wgryza się w krtani. Sellinaris przez chwilę walczy o łyk powietrza. Nie! To nie może się tak skończyć! Nie zasłużył na traktowanie go jak zdrajcy! Nie zniesie jeszcze jednej straty!

Od chwili wyjścia z czarnego portalu nie odezwał się ni słowem. Zniósł w milczeniu odczytanie wyroku podpisanego przez własnego ojca. Zniósł w milczeniu upokarzający przemarsz ku granicy: napiętnowany czarną gwiazdą Duszobójcy, z tytanianową pętlą zaciśniętą na szyi, niczym pies wiedziony przez rakarza na śmierć. Teraz zaś miał bez protestu opuścić ukochany Ferrin...

Opuścić Ferrin?! - Sellinaris podnosi głowę. Granica jest tuż-tuż. Połyskuje zielonkawo i złowrogo. Patrząc na nią, ma pewność, że już nigdy tu nie wróci. Nie jako Sellinaris dell'Soll.

Chce krzyknąć: „Zabij mnie!”, ale świadomość, że w chwili jego śmierci bestia, i jej czarne piętno, przejdzie na Reikana, każe księciu zamilczeć.

- Wysłuchaj mnie - szepcze błagalnie.

Ale Reikan nie chce albo nie może słuchać. Kręci głową i cofa się, ciskając Sellinarisowi pod nogi jego miecz: Czarny Tytanian.

Sellinaris patrzy to na miecz, to na brata i zaczyna rwącym się głosem:

- Przeklinam tego, który zwał się moim ojcem! Przeklinam zdrajcę, którym okazał się mój brat! Przeklinam cały ten świat! Nie mam już ani domu, ani ojca, ani brata. - Głos dławi rozpacz, a w duszy kielkują pierwsze ziarna nienawiści.

Zar lał się z nieba. Słońca paliły niemiłosiernie ciało skazańca. Umierał. Umierał powoli, „dzięki” elfiej krwi w swoich żyłach. Dawno stracił poczucie rzeczywistości. Dni i noce mijały niedostrzegalnie. Jedyne, co czasem odbierał, to rwący ból wywichniętych rąk i potworne pragnienie. I nie wiedział, co jest gorszą torturą.

Cień padł na umęczonego jeńca. Monstrum o posturze rosłego mężczyzny, z błoniastymi skrzydłami złożonymi na plecach, stanęło przed pręgierzem. Pokryta łuską dłoń chwyciła pełną garścią sklezione krwią włosy skazańca i szarpnęła w tył. Ból wgrzył się w stawy jeszcze dotkliwiej, ale więzień nawet nie jęknął.

Opuchnięte powieki uniosły się odrobinę. Czarne oczy błysnęły jadowitą nienawiścią.

- Jeszcze żyje - wysyczał kyrie. - I nie spokorniał. - Zamachnął się i trzasnął jeńca w twarz z taką siłą, że głowa nieszczęśnika głucho uderzyła o pręgierz, po czym bezwładnie opadła na piersi.

- Ej, ej, tylko nie zabij go zbyt szybko! - zmitygował go drugi kyrie, przepasany szarfą dowódcy straży. - Znasz rozkazy. Zabawimy się tylko ździebko...

Jeniec uniósł z trudem głowę. Po wyrzyciu na piersiach skazańca swych imion szponami ostrymi jak sztylet z tytanianu kyrie zostawili go na pastwę pragnienia, bólu i słońca. Setki wielkich czarnych much obsiadły bezbronne ciało, wgrzając się w żywą tkankę, ssąc chciwie krew płynącą z ran.

Za co, bogowie?! Jeniec wbił mętniejące spojrzenie w niewzruszony szmaragd nieba. Uczono mnie zabijać szybko i bezboleśnie, nigdy nie zadałem niepotrzebnego bólu. Zasłużyłem na łagodną śmierć. Za co więc?!

Kolejna noc pochyliła się litościwie nad umierającym, otulając go w chłodną czerń. Księżyc skryły chmury. Powiał silniejszy wiatr. Zanosiło się na burzę. Pierwsze krople upragnionego deszczu spadły na spękane usta. Łapał chciwie życiodajną wilgoć, nie bacząc na dumę. Gdyby potrafił zapłakać, deszcz zmieszałby się z gorzkimi łzami. Ale jeniec nie potrafił już płakać.

- Stój spokojnie - czyjś szept rozbrzmiał tuż przy jego uchu. - Przetnę więzy. - Znieruchomiał posłusznie.

Nóż ciął tytanianową linkę, osuwające się ciało pochwycono w górę. Mężczyzna przerzucił jeńca przez ramię i tak szybko, jak na to pozwalał ciężar niesionego, ruszył ku murom Smoczego Stosu.

Mimo że zebrał całą siłę woli, jeniec czuł, iż traci przytomność. Niosący go też to zauważył.

- Nie mdlej! Zgubisz i siebie, i mnie! - wysyczał wściekle, z trudem łapiąc powietrze.

- Mów coś - wychrypiął tamten w odpowiedzi. - Mów o sobie.

- Jestem Amre. Amre Shanon. Byłem przybocznym księcia Reikana podczas wojen nolandzkich. Nie mdlej, na bogów! - Potrząsnął niesionym. - Po kapitulacji dopadli mnie kyrie, jak wielu innych. Ferrin nigdy się o nas nie upomniał. - Dokończył z goryczą. - Zaniosem cię do podkopu, którym niewolnicy wymykają się, by kraść jedzenie. Potem będziesz musiał radzić sobie sam.

- Nie idziesz ze mną?

Amre pokręcił głową.

- Za każdego uciekiniera wieszają dziesięciu niewolników. Wystarczy, że ktoś zapłaci życiem za ciebie, nie chcę, by któryś z moich druhów oddał głowę za mnie.

Złożył niesionego tuż u podnóża muru. Rozgarnął gałęzie maskujące wejście do podkopu. Uścisnął ramię jeńca w niemym życzeniu szczęścia i chciał odejść, ale ten przytrzymał go za wystrzępiony rękaw koszuli.

- Dlaczego mi pomagasz? Nic o mnie nie wiesz.

Amre spojrział przez ramię na leżącego u jego stóp półprzytomnego mężczyznę. Obrzucił wzrokiem opuchniętą od razów twarz, rozorane szponami kyriech piersi, pocięte batogiem ciało, wywichniętą w barku, bezwładną rękę.

- Nikt nie zasłużył na taką śmierć - skwitował krótko. Chciał uwolnić dłoń, ale palce jeńca zacisnęły się na jego nadgarstku.

- Pomożesz mi przedostać się na drugą stronę. - To nie była prośba. To był... rozkaz! W oczach Amrego błysnęło zdumienie. Ten strzep człowieka śmiał mu rozkazywać?! - Sam tego nie dokonam - dodał jeniec tonem usprawiedliwienia.

Amre zawahał się. Jeśli ten tam zemrze w podkopie, cały wysiłek pójdzie na marne. No i trzeba będzie nocami skrobać w ziemi drugi tunel. Bez słowa wpełzł w wąski otwór i pociągnął rannego za sobą.

Droga pod ziemią nie miała końca. Jeniec mdlał wielokrotnie i wielokrotnie był cucony pełnymi wściekłości szarpnięciami. W końcu Amre ostatkiem sił wyciągnął go na zewnątrz i padł obok, całkiem wyczerpany. Sam był w niewiele lepszym stanie niż ratowany, bo kyrie karmili niewolników skąpo, a razów nie żalowali. Z najwyższą niechęcią spojrział na jeńca. Znów odpływał w niebyt! Dass'ratt!

- Trzymaj się, na bogów! Co z ciebie za elf! - Potrząsnął tamtym za ramię.

Ranny uniósł powieki.

- Jestem mieszańcem tak jak i ty.

- Zauważyłem. Weź się w garść! Musisz przepłynąć fosę i do świtu przeczołgać się przez błonia - słowa Amrego odebrały resztki hartu. - No już, ruszaj! - Popchnął mężczyznę w stronę wody sieczzonej strugami deszczu. W tym momencie poczuł za sobą czyjąś obecność. Odwrócił się powoli. Na murze zamajaczyła sylwetka potężnego wierzchowca, wtopiona w tło niczym cień rzucony na ścianę. Cień zgęstniał. W następnej chwili wielki, czarny ogier pochylał nad jeńcem głowę.

- Saris! - imię przyjaciela zabrzmiało jak jęk. Skazaniec zacisnął palce na czarnej grzywie i podciągnął się w górę. Koń, nie, to nie był koń! - oparł głowę na ramieniu mężczyzny i przymknął szafirowe, nagle zwilgotniałe oczy.

Amre stał jak porażony. Miał przed sobą Cienia! A tylko Wybranym towarzyszyły te niezwykle istoty!

- Kim jesteście, panie? - wyjąkał.

Zapytany przeniósł nań spojrzenie czarnych oczu i rzekł:

- Jestem Sellinaris dell'Soll. Wielki Książę Ferrinu.

Amre oniemiał, a potem osunął się na kolana i pochylił kornie głowę, przypominając sobie wszystkie szarpnięcia i przekleństwa, jakimi uraczył księcia podczas ucieczki. Hm... Nie był zbyt delikatny.

- Oficerze. - Sellinaris zwrócił się do niewolnika już z wysokości końskiego grzbietu.

Amre zaprzeczył, nie podnosząc głowy:

- Byłem zwykłym zwiadowcą, Wasza Wysokość.

- Oficerze - powtórzył książę - pojedziesz ze mną.

Saris zręcznie omijał drzewa, przeskakiwał przez zwalone pnie, przedzierał się przez zarośla. Szybciej! Mieli mało czasu. O świcie kyrie odzyskają wzrok i ruszą w pogon.

Potok, przy którym pojmano Sellinarisa, zaszemrał pod kopytami. Woda bryznęła tysiącem kropli. Książę zsunął się z Sarisowego grzbietu i padł twarzą w rozkosznie chłodną toń. Pił długo, za wszystkie te dni, podczas których umierał z pragnienia w palących słońcach Kyrenii. Woda zmywała krew i pot z półnagięgo ciała, koila rany, łagodziła ból wykręconego barku i pociętej skóry.

- *Nie mamy czasu, Sellinarisie* - przypomniał Cień. - *Jeszcze przed jutrznią musimy dotrzeć do Lasu Tysiąca.*

Sellinaris chwycił się zwisającej gałęzi, wstał i potykając się co krok, ruszył w stronę pnia uschniętego meandrowca. Tam, między korzeniami, ukrył swój medalion. I miecz.

- Shanon! - Oficer siedzący do tej pory z boku poderwał głowę. - To dla ciebie. - Czarny Tytanium świsnął w powietrzu i wbił się w pień obok głowy Amrego. - W podziękowanie za uratowanie życia. Saris - książę zwrócił się do Cienia - pójdziesz sam, tylko nie protestuj, dopóki nie skończę!, wprost do Ferrinu, dla ciebie otworzą granicę. Zmylisz pogoń: niech kyrie myślą, że wpuszczono nas obu. Ja wrócę do Smoczego Stosu. Muszę wyprowadzić niewolników.

- *Nie los niewolników jest teraz najważniejszy!* - sprzeciwił się Cień i umilkł gwałtownie na widok niepokojącego uśmiechu, który wykwitł na twarzy jego pana.

- Ci niewolnicy to mieszańcy. Dobrzy, twardzi żołnierze. Dadzą początek mojej armii.

- *Armii?! A po co ci armia, na bogów?!*

- Z jej pomocą wywalczę sobie powrót.

Cień podrzucił głowę.

- *Będziesz się mścił?* - To było raczej stwierdzenie, nie pytanie i Saris nie oczekiwał odpowiedzi. - *Wiesz, że w zemście nie mogę ci towarzyszyć...*

- Nawet ty mnie opuścisz? - rzucił z goryczą Sellinaris.

- *Zawsze będę z tobą. Tylko... zawróć.* - Saris zajął błagalnie wilgotnymi od łez oczyma w czarne źrenice Sellinarisa. Ale ten pokręcił głowę.

- Ruszaj i nie daj się złapać. - Poglądził ogiera po aksamitnej sierści.

- *Będę czekał, aż mnie wezwiesz.*

- Idź już! - Odepchnął Sarisa szorstkim gestem, a gdy Cień odchodził, oglądając się raz po raz, wyszeptał łamiącym się głosem:

- Żegnaj, Bracie-W-Mocy.

*

Ciałem Anaeli klęczącej u stóp Saetina i Primei wstrząsało łkanie.

„To tłumaczenie tchórze! Zawsze jest jakiś wybór!” - pobrzmiwały w jej głowie słowa, które kiedyś rzuciła Sellinarisowi w twarz, tak samo krzywdzące jak ów wybór dany mu przez przeklętych bogów. - „Owszem, miałem wybór i obyś nigdy przed takim nie stanęła”.

Nie miałeś wyboru, Sellinarisie.

- Twój czas się kończy, Anaelo. - Bogini dotyka jej ramienia. - Jesteś gotowa?

- Nie jestem i nigdy nie będę! - krzyczy w odpowiedzi i wstaje. Pobladła, z zębami wbitymi we własną pięść, skacze między walczących.

W tym momencie czas rusza.

Anaelę tnie i miecz Reikana, i miecz Sellinarisa.

Świat Światów zamarł na mgnienie oka. Każda istota - od małego posłańca po Panią Lasu - odczuła chłód stali wbijającej się w Pierwszą z Przepowiedni. Każda istota odczuła jej ból jak swój własny.

- Bogowie, co ja zrobiłem?! - Reikan upuścił miecz i pochwycił osuwające się ciało Anaeli. - Zabiłem ją!

Złożył kobietę na zdeptanej murawie, usiłując trzęsącymi się rękami powstrzymać krwotok.

- Zostaw, Reikanie. - Szept umierającej kazał księciu umilknąć i pochylić się nad jej kochaną twarzą. Nagle pojął, że nawet czas i brak nadziei, że nawet jej śmierć, nigdy nie wyleczą go z miłości do Anaeli.

W tych ostatnich chwilach leżała w ramionach Reikana, wpatrzona w czyste ferrińskie niebo, cicha i spokojna. Jakby nagle uzyskała całkowitą pewność i celowość swego istnienia.

- Koniec. Nareszcie koniec... - Jej słowa sprawiały, że chciało się wyć. Wyć i kląć. - Cassandra. Moja córeczka. Opiekuj się nią.

Uścisnęła w milczeniu dłoń Anaeli, niezdolny wykrztusić słowa.

- Przyrzeknij. - Zająknęła się, zakwiliła z bólu.

Przyłożył do ran dłonie, z których spłynęła szmaragdowa kojąca energia. On, władający potężną leczniczą mocą, tylko tyle mógł uczynić dla ukochanej. Przyłożyć dłoń.

- Przyrzeknij.

Zdobył się na skinięcie głową.

- Przyrzeknij, że uszanujesz moją wolę. - Słowa sprawiały coraz większy wysiłek. Gasnące oczy wpatrywały się w jego twarz natarczywie.

- Przyrzekam.

Uśmiechnęła się samym spojrzeniem. Wyciągnęła rękę do Sellinarisa.

Stał dwa kroki od niej. Na martwej, kredowobiałej twarzy nie dojrzała żadnych uczuć. Tylko oczy, pełne niewymownego cierpienia i gasnącej wraz z życiem Anaeli nadziei, zdradzały, co się dzieje w przeklętej duszy tego mężczyzny.

Ponaglony przez Reikana zrobił krok ku umierającej, chwycił wyciągniętą do siebie dłoń gestem tak pełnym rozpacz, jakby tylko ta dłoń trzymała go do tej pory przy życiu, i padł na kolana. W szeroko rozwartych źrenicach Sellinarisa ujrziała swoje odbicie. Ujrzała siebie, a może swoją siostrę bliźniaczkę? - gasnącą tak jak i ona w kałuży krwi.

Oswobodziła rękę, by móc dotknąć kciukiem jego czoła.

- Sellinarisie dell'Soll... mianuję cię... Władcą Ferrinu. - Głos kobiety rwał się, ale była w nim pewność i siła.

Reikan pochylił głowę w hołdzie nowemu władcy. Sellinaris zaś zgiął się w straszliwym bólu, niezdolny wypowiedzieć ni słowa. Dłoń Anaeli osunęła się, spoczywając na sercu mężczyzny. Przed umierającą stało jeszcze jedno zadanie, bez dopełnienia którego jej śmierć nie miałyby sensu. Wydawało się to ponad siły, ale musiała spróbować. Zebrała całą elfią moc, jaką władała, ową zdolność rzucania nieodwracalnego uroku i...

- *Veeervaaain! Veeervaaain, chodź do mnie. Jesteś mójjjj...*

Sellinaris znieruchomiał, całym sobą czując wyrywającą się na wolność bestię. Spojrzał na skupioną do granic możliwości twarz Anaeli i zrozumiał, co chce uczynić.

- Nie! Błagam, nie rób tego - zaszeptał, chwytając Anaelę za nadgarstek i siłą próbując oderwać jej dłoń od swego ciała. Jednakże Najwyższa Moc, ta sama, która kiedyś zatrzymała miecz Reikana, teraz unieruchomiła dłoń Sellinarisa. - Ty nie wiesz... Nie znasz go... Zniszczy cię!

- *Veeervaaain...*

- Reikanie, na Bogów, pomóż mi! Powstrzymaj ją!!!

- *Veeervaaain...*

Bezkształtna masa powoli przybierająca ludzkie kształty, JEJ kształty, wypełzła z ciała Sellinarisa. Czepiając się sępimi szponami przedramienia Anaeli, otwierając bezzębne usta w niemym proteście, milimetr po milimetrze wnikała w ciało kobiety, stając się jej karykaturą, przybierając jej zeszepecone rysy twarzy, a na koniec wypalając na jej czole swoje piętno.

Gra dobiegła końca.

Anaela westchnęła z ulgą i... zgasła».

* * *

Huk spadającego na podłogę laptopa wyrывa mnie z objęć śmierci. Leżę, dygocząc. Nie wiem, czy bardziej z przerażenia, czy z bólu. Bo boli mnie całe ciało. Zupełnie jakby ostrze miecza przeszło na wylot każdą komórkę. Chcę krzyknąć i płakać, ale nie mogę. Gardło ściśnięte jest tym bólem i tym przerażeniem. Wróciłam!

I nagle zapala się światło, a w judaszu pojawia się zaniepokojona twarz pielęgniarki. Kobieta bada wzrokiem moje nieruchome ciało, patrzy na oczy błędzące nieprzytomnie po ciasnym pomieszczeniu i kręci z dezaprobatą głową. Światło gaśnie. Pozostaję sama z błogosławioną ciemnością.

Dzięki niej nie widzę przenikających przez ściany Duszebójców. Nie widzę Szarej Śmierci unoszącej się za oknem.

Ale ja muszę widzieć! Zrywam się. Przypadam do przezroczystej pleksi udającej szybę i zaczynam uderzać w nią pięściami. Łańcuch spinający połówki okna brzękiem wzywa pomoc.

Pojawiają się jacyś ludzie. Krzyczą coś. Ktoś powtarza ostrym głosem:

- Uspokój się! No już, uspokój się!

Ale ja nie chcę, nie mogę być spokojna! Czy nie widzicie?! Nie rozumiecie?! Ona przyszła tu za mną, Szara Śmierć! Czai się w cieniu, czyha, aż stracę resztki nadziei, by porwać mnie i zniewolić na zawsze. Pozwólcie mi uciec! Proszę! Zrobię to tak, aby nikt nie zauważył mojego odejścia, proszę!!!

Igła wbija się w krzyczące z bólu ciało. Ono wiotczeje posłusznie i tylko ogarnięty paniką umysł wciąż błaga o możliwość ucieczki. Ale ucieczki nie ma. Szara Śmierć chichocze cicho, patrząc z triumfem, jak Duszobójcy kładą mnie na łóżku. Słabą i bezwolną. Nie ma ucieczki, syczą. Nie ma nadziei. Jest szarość wschodzącego świtu. Świtu, którego miałam nadzieję już nie oglądać.

Ręka sięga do dławionego bólem gardła i natrafia na... Amirin!

Nie, to niemożliwe.

Przecież był on wytworem mojej wyobraźni! Dałam go jej - Anaeli. Anaeli-Karolinie. Anaeli-Katarzynie? Czy to jeszcze senny koszmar, czy już obłąd? Nigdy! Nigdy mnie stąd nie wypuszczą!

Chcę wstać i podejść do drzwi, paść na kolana i błagać o litość, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. Tylko palce kurczowo zaciskają się na Amirinie, wiedząc, że jest on jedynie snem. Że należy do powieści, a nie do mnie.

Przytykam zimne usta do ciepłego klejnotu, czując, jak Serce Ferrinu pulsuje zgodnie z rytmem mego serca. Coraz wolniej i wolniej. Myśli zmęczone przez lek omywają drżące ciało, a ono uspokaja się wreszcie i łagodnie zapada w rozkołysaną, cichą ciemność.

- Pani Kasiu! - Daleki głos powoduje, że niechętnie powracam do życia. Nie pozostawiono mi wyboru. - Pani Kasienko, proszę po leki... - I wiem, że znów dostanę trzy tabletki: białą na smutek, żółtą, która przyszpili mnie tutaj, na Ziemi, jak barwnego motyla w gablotce kolekcjonera sadysty, i czerwoną, bym nie uciekała już więcej w śmierć. I na nic zdadzą się protesty: już ONI potrafią mnie zmusić, bym przyjęła te trzy różnokolorowe szczęścia. ONI potrafią zmusić każdego do wszystkiego...

Wstaję na miękkich nogach. Zapuchnięte od płaczu oczy badają nierówność idealnie równej podłogi. Zgrzyta klucz w zamku i otwierają się drzwi izolatki, która przez mgnienie oka była całym wspaniałym światem. Wymarzonym, upragnionym, ukochanym Ferrinem. Sięgam do szyi, ale medalion znikł. Wiedziałam! Wiedziałam, że odbiorą mi ostatnią nadzieję! Brak mi już łez. Nie mam czym opłakać Amirinu.

Przemywając twarz zimną wodą, staram się nie patrzeć w lustro. Boję się tego, co mogę

tam ujrzeć. I słusznie się boję. Na widok Czarnego Znak wydam cichy zdławiony okrzyk. Potem milknę na długo. Powoli zmuszam dłoń do posłuszeństwa i dotykam palcem czarnej gwiazdy piętnującej moje czoło. Jest wstrętna i obca jak rakowa narośl.

Ale po chwili obojętnie mi to, że ja - właśnie ja! - stałam się tym, kogo nienawidziłam całym swym jestestwem: Ostatnim Duszobójcą. W tym miejscu nie ma to żadnego znaczenia. ONI poradzą sobie i ze mną, i z nią. Spętaniem rąk i nóg skórzanymi pasami. Wykręceniem ramion, aż ciało zwija się w pełen bólu węzeł. Lodowatym prysznicem albo przeciwnie: tak gorącym, że nikt go nie wytrzyma...

- Pani Kasieńko, leki!

Wzywają mnie ponownie.

Ruszam korytarzem, sunąc dłonią po ścianach koloru przypalanej musztardy, niczym lunatyk badając ich konsystencję. Są. Trwają na straży swych jeńców. Gdyby mogły płakać, płakałyby krwawymi łzami nad nieszczęściem tych, których więżą.

Pacjenci oddziału zamkniętego mijają mnie z udawaną obojętnością, jak ja ich. Skrupulatnie uciekamy przed sobą wzrokiem... Tu nikt nie patrzy w oczy współkazańcom, bo mógłby odczytać w nich swój własny los, swoje własne cierpienie i swoją własną beznadzieję.

Przy drzwiach wejściowych jakieś zamieszanie. Zwykle uciekłabym do mojej izolatki, ale tym razem jest mi to obojętne. Przecież nic gorszego nie może mnie już spotkać - stałam się Władczynią Szarej Śmierci.

Podnoszę wzrok: dwóch sanitariuszy wlecze nową ofiarę.

Krucze włosy przysłaniają twarz mężczyzny. Czarna koszula lepi się do zlanego potem ciała. Szarpie się i walczy, jakby nie wiedział, że stąd nie ma ucieczki. To nie więzienie, to szpital psychiatryczny! Tu zrobisz dokładnie to, co ONI zechcą, byś zrobił! Nie masz wyboru. Im prędzej to zrozumiesz, tym łatwiej ci będzie tu żyć.

Nie walcz, nie walcz! Poddaj się!

Zupełnie jakby usłyszał moje wołanie, nieznajomy nieruchomieje, unosi głowę i wbija czarne, rozgorączkowane oczy we mnie.

Nie. To nie możliwe.

Wspieram się o ścianę.

On strząsa z siebie oprawców. W dwóch susach jest przy mnie. Najpierw czuję słodko-cierpki zapach perfum, woń spalenizny i jakichś ziół. Potem dotyk rąk na policzkach.

Wreszcie słyszę głos, jego głos:

- Powiedz to! - Bierze moją twarz w dłonie, tak gorące, że aż parzą, i powtarza, tym

razem błagalnie, jakby od moich słów zależało jego życie:

- Powiedz to raz jeszcze!

I już wiem, że nie jesteś snem.

- Kocham cię, Sellinarisie.

EPILOG

Minęły dwa lata od napisania słów kończących ukochaną „Grę o Ferrin”. Hebe, tak ma na imię moja Duszobójczyni, nie pozwala o sobie zapomnieć. Czai się nieustannie. Jest zawsze blisko. Ilekroć patrzę w lustro, boję się, że ujrzę jej zimne, pełne nienawiści do całego świata spojrzenie. Ilekroć własny krzyk obudzi mnie w środku nocy, drzę, iż jest to zew złej, podłej, spragnionej cierpienia Mocy.

Sellinaris zawsze jest przy mnie. Nim Hebe zdoła zaatakować i zranić, zamyka nas obie w żelaznym uścisku swych ramion i trzyma dotąd, aż ja - złana potem i łzami, słaba jak dziecko - zwyciężam Szarą Bestię. Aż moje tęczyówki na powrót błysną złoto-zielonym płomieniem.

Teraz też, gdy wystukuję na klawiaturze imię Mojego Księcia, co chwila napotykam pełne miłości, lecz czujne spojrzenie elfich oczu. Unosząc w uśmiechu kącik ust, odgarnia wierzchem dłoni kosmyk włosów, a ja choćby za ten uśmiech i ten gest byłabym gotowa raz jeszcze dać krok w Nieznane.

W naszych rozmowach często gości Świat Światów: przyszłość Ferrinu, nad którym władzę, odchodząc, Sellinaris oddał Reikanowi, Alderii, której władczynią została Cassandra, Nolandii pod wodzą Airena k’Hora i wreszcie Kyrenii, którą objęły we władanie smoki - ale do tej pory nie mierzyliśmy się z przeszłością. I być może na zawsze pozostawimy ten rozdział Gry zamknięty. Czyny się dokonały. Słowa padły.

Nasz własny Ferrin znaleźliśmy w leśnej głuszy na końcu świata, w wykupionej za psi grosz leśniczówce z poczerniałymi ze starości ścianami i przeciekającym dachem.

Ja między dyżurami piszę kolejną powieść, Sellinaris zaś... Sellinaris, zawsze w czerni, zawsze z Czarnym Tytanianem w zasięgu wzroku, jest gotów wrócić. Na pierwsze wezwanie. Na jedno skinienie swoich bogów.

Wiem, że mnie kocha, ale rozumiem jego dojmującą tęsknotę: ja oddałam za Sellinarisa życie, on za mnie dużo więcej.

Pora się pożegnać.

Mam nadzieję, że Twój Ferrin i Twój Sellinaris czekają gdzieś i na Ciebie. Uwierz mi: czasem wystarczy jeden krok.

Więc bądź wierna. Idź.

Warszawa, 28 września 2004 r.